

ORSON SCOTT CARD

Cień Hegemona

(Przełożył Piotr W. Cholewa)

Charlesowi Benjaminowi Cardowi

Zawsze byłeś dla nas światłem,

patrzyłeś poprzez cienie,

i słyszymy twój mocny głos

śpiewający nam w snach.

CZĘŚĆ 1
OCHOTNICY

1. Petra

To: Chamrajnagar%sacredriver@ifcom.gov

From: Locke%espinoza@polnet.gov

Subject: Co pan robi, żeby chronić dzieci?

Szanowny admirale Chamrajnagar,

pański ID uzyskałem od wspólnego znajomego, który kiedyś dla pana pracował, teraz jednak zajmuje się głównie wysyłką. Jestem pewien, że wie pan, o kogo chodzi. Zdaję sobie sprawę, że w tej chwili główne pana zadania są raczej logistycznej niż militarnej natury i myśli pan bardziej o kosmosie niż o sytuacji na Ziemi. W końcu to pan zdołał w Wojnie Ligi pokonać grupy nacjonalistyczne dowodzone przez pańskiego poprzednika. Ta sprawa wydaje się już załatwiona. MF pozostała niezależna i za to wszyscy jesteśmy wdzięczni.

Nikt chyba jednak nie rozumie, że pokój na Ziemi to zaledwie krótkotrwała iluzja. Nie tylko długo powstrzymywany ekspansjonizm Rosji wciąż pozostaje wielką siłą, ale też wiele innych narodów ma agresywne plany co do swych sąsiadów. Siły Strategosa ulegają właśnie rozformowaniu, Hegemonia szybko traci wszelką realną władzę, a Ziemia stanęła na progu kataklizmu.

Najcenniejszymi zasobami każdego kraju w przyszłych wojnach są dzieci wyćwiczone w Szkole Bojowej, Taktycznej i Dowodzenia. Jest rzeczą całkowicie naturalną, że dzieci te będą służyć swym narodom. Niestety, jest też nie do uniknięcia, by pewne kraje, pozbawione takich certyfikowanych przez MF geniuszy, lub też wierzące, że przeciwnicy mają bardziej utalentowanych dowódców, nie spróbowały podjąć akcji uprzedzających - w celu przejęcia zasobów przeciwnika, a przynajmniej uniemożliwienia mu ich wykorzystania. Krótko mówiąc, dzieciom tym grozi poważne niebezpieczeństwo porwania albo śmierci.

Uznaję, że nie chce się pan mieszać do spraw na Ziemi. Jednak MF znalazła te dzieci i przeszkoliła je, tym samym czyniąc z nich cele. Cokolwiek im się przydarzy, w ostatecznym rachunku MF będzie za to odpowiedzialna. Łatwiej byłoby chronić te dzieci, gdyby wydał pan rozkaz, w którym bierze je pod opiekę Flota. Mógłby pan zaznaczyć, że każdy kraj czy grupa osób, która spróbuje je skrzywdzić lub pozbawić swobody, spotka się z szybką i ostrą reakcją wojska. Większość rządów z pewnością nie uzna tego za mieszanie się w ziemską politykę, raczej z radością powita taką decyzję. Zyska pan też moje pełne poparcie na wszystkich

publicznych forach dyskusyjnych - cokolwiek jest ono warte.

Mam nadzieję, że podejmie pan działania natychmiast. Nie ma czasu do stracenia.

Z wyrazami szacunku, Locke

Nic w Armenii nie wyglądało tak jak powinno, gdy Petra Arkanian wróciła do domu. Góry były imponujące, to prawda, ale właściwie nie pamiętała ich z dzieciństwa. Dopiero kiedy dotarła do Maraliku, zaczęła dostrzegać to, co powinno mieć dla niej znaczenie. Ojciec spotkał się z nią w Erewaniu, matka czekała w domu z jedenastoletnim bratem Petry i z nowym dzieckiem, poczętym zanim jeszcze cofnięto restrykcje populacyjne, kiedy skończyła się wojna. Oboje z pewnością oglądali Petrę w telewizji. Teraz, kiedy ojciec wiozł ją fliwerem po wąskich uliczkach, zaczął się usprawiedliwiać.

- Widziałas kawał świata, Petro. Nie wiem, czy ci się tutaj spodoba.
- Nie pokazywali nam świata zbyt często, tatusiu. W Szkole Bojowej nie było okien.
- Chodziło mi o kosmoport, o stolicę, ważnych ludzi i wspaniałe budynki...
- Nie jestem rozczarowana, tatusiu. - Musiała kłamać, żeby mu dodać otuchy.

Zachowywał się, jakby dał jej Maralik w prezencie, a teraz nie był pewien, czy jej się spodoba. Na razie nie wiedziała, czy się spodoba, czy nie. Nie podobało jej się w Szkole Bojowej, ale zdążyła się przyzwyczaić. Nie można było się przyzwyczaić do Erosa, ale jakoś wytrzymała. Jak może się jej nie spodobać takie miejsce jak tutaj, pod otwartym niebem? I ludzie tu chodzą, gdzie mają ochotę.

A jednak czuła zawód. Wszystkie zapamiętane obrazy Maraliku były wspomnieniami pięciolatki patrzącej na szerokie ulice, gdzie z przerażającą szybkością pędzą jakieś ogromne pojazdy. Teraz wracała starsza, urosła; pojazdy wydawały się mniejsze, uliczki zupełnie wąskie, a domki - zaprojektowane tak, by wytrzymać kolejne trzęsienie ziemi, co nie udało się starym - krępe. Nie brzydkie, miały pewną grację mimo eklektycznego stylu łączącego wpływy tureckie i rosyjskie, hiszpańskie i francuskie, oraz - co zadziwiające - japońskie. Trudno było uwierzyć, jak łączył je dobór kolorów, bliskość ulicy, niemal równa wysokość, gdyż wszystkie ocierały się o prawnie dozwolone maksimum.

Czytała o tym na Erosie, gdy wraz z innymi dziećmi przeczekiwali Wojnę Ligi. Widziała w sieci zdjęcia. Ale nic nie przygotowało jej na fakt, że odeszła stąd jako pięciolatka, a teraz wracała w wieku lat czternastu.

- Co? - rzuciła odruchowo. Ojciec coś mówił, ale nie zrozumiała.
- Spytałem, czy chcesz się zatrzymać na lizaka, zanim wrócimy do domu. Tak jak dawniej.

Lizak. Jak mogła zapomnieć armeńskie słowo oznaczające lizak?

Łatwo - właśnie tak. Jedyńy poza nią Ormianin w Szkole Bojowej był o trzy lata starszy i przeszedł do Szkoły Taktycznej, więc byli razem zaledwie kilka miesięcy. Miała siedem lat, kiedy ze Szkoły Naziemnej trafiła do Bojowej, a on miał dziesięć i odchodził, nie dowodząc nawet armią. Czy można się dziwić, że nie miał ochoty rozmawiać po armeńsku z takim jak ona dzieciakiem? W rezultacie nie mówiła w ojczystym języku przez dziewięć lat. A armeński, jaki znała, był mową pięcioletniego dziecka. Tak trudno wracać do niego teraz, a jeszcze trudniej rozumieć.

Czy może powiedzieć ojcu, że pomógłby jej, gdyby przeszedł na wspólny Floty, czyli praktycznie angielski? Znał angielski, naturalnie. Kiedy była mała, on i matka uważali, że należy mówić w domu po angielsku, by w Szkole Bojowej nie miała kłopotów językowych. Właściwie, kiedy się nad tym zastanowiła, na tym właśnie polegał problem. Jak często ojciec proponował jej lizaka po armeńsku? Kiedy szła z nim przez miasto i wchodzili razem do sklepu, kazał jej prosić o lizaka po angielsku i po angielsku nazywać wszystkie słodycze. Chociaż to przecież bez sensu - na co miała się jej przydać w Szkole Bojowej znajomość angielskich nazw armeńskich słodczy?

- Z czego się śmiejesz?

- W kosmosie straciłam chyba apetyt na lizaki, tatusiu. Chociaż, przez pamięć dawnych czasów, mam nadzieję, że znajdziesz czas na spacer ze mną po mieście. Nie będziesz już taki wysoki jak ostatnim razem.

- Ani twoja rączka w mojej nie będzie tak mała. - Ojciec też się roześmiał. - Ukradziono nam te lata, których wspomnienie byłoby teraz takie cenne.

- To prawda - zgodziła się Petra. - Ale byłam tam, gdzie powinienam.

Czy na pewno? To przecież ja pierwsza się załamalam. Przeszłam wszystkie testy aż do tego, który naprawdę się liczył, a wtedy nie wytrzymałam. Ender pocieszał mnie i tłumaczył, że na mnie najbardziej polegał i mnie kazał pracować najciężej, ale wszyscy pracowaliśmy i polegał na wszystkich, a to ja pękłam.

Nikt nigdy o tym nie wspominał; na Ziemi chyba ani żywa dusza nie ma o tym pojęcia. Ale wiedzą inni, którzy walczyli wraz z nią. Do tamtej chwili, kiedy zasnęła w środku bitwy, była jedną z najlepszych. Potem, choć już nie zawiodła, Ender nigdy jej całkiem nie zaufał. Pozostali uważali na nią i gdyby nagle przestała kierować swoimi okrętami, mogli zająć jej miejsce. Nigdy nie spytała, ale była pewna, że któryś został do tego wyznaczony. Dink? Groszek? Tak, Groszek - czy Ender powierzył mu takie zadanie, czy nie, Petra wiedziała, że Groszek jej pilnuje, gotów przejąć komendę. Nie ufali jej. Sama sobie nie ufała.

Zachowa jednak ten sekret i nie zdradzi go rodzinie, tak jak nie zdradziła podczas rozmowy z premierem i prasą, z armeńską generalicją i dziećmi zebranymi, by powitać armeńską bohaterkę wojny z Formidami. Armenia potrzebowała bohatera, a Petra była jedyną kandydatką z tej wojny. Pokazali jej, że sieciowe informatory umieszczają ją pośród dziesięciu największych Ormian wszystkich czasów: jej zdjęcie, biografia, pochwały pułkownika Graffa, majora Andersona, Mazera Rackhama.

I Endera Wiggina. „To Petra pierwsza stanęła w mojej obronie, ryzykując własne bezpieczeństwo. To Petra mnie trenowała, kiedy nikt inny nie chciał. Wszystko, czego dokonałem, jej zawdzięczam. A w ostatniej kampanii, w kolejnych bitwach, ona była dowódcą, na którym polegałem”.

Ender nie mógł wiedzieć, że te słowa ranią. Z pewnością chciał ją przekonać, że naprawdę na niej polegał. Ale że znała prawdę, jego słowa brzmiały dla niej współczująco. Brzmiały jak kłamstwo z litości.

A teraz wróciła do domu. Nigdzie na Ziemi nie była tak bardzo obca jak tutaj, ponieważ tutaj powinna czuć się jak w domu, a nie potrafiła. Znali tu inteligentną dziewczynkę, odesłaną daleko, wśród ławych pożegnań i mężnych zapewnień o miłości. Znali bohaterkę, która wróciła w aureoli zwycięstwa rozświetlającej każde słowo i gest. Nie znali jednak i nigdy nie poznają dziewczyny, która załamała się pod napięciem i w samym środku bitwy zwyczajnie zasnęła. Kiedy wybuchały jej okręty, kiedy ginęli prawdziwi ludzie, spała, ponieważ jej ciało nie potrafiło dłużej zachować przytomności. Ta dziewczyna pozostanie na zawsze ukryta przed ich wzrokiem.

I pozostanie też ukryta dziewczyna, która obserwowała każdy ruch otaczających ją chłopców, oceniając ich możliwości, zgadując intencje, zdecydowana wykorzystać każdą możliwą przewagę, byle tylko nie uznać wyższości żadnego z nich. Tutaj oczekiwali, że znowu stanie się dzieckiem - starszym, ale jednak dzieckiem. Kimś zależnym.

Po dziewięciu latach czujności przyjemnie będzie oddać swe życie pod opiekę innych. Prawda?

- Mama chciała pojechać. Ale bała się tego spotkania. - Ojciec parsknął, jakby to go rozbawiło. - Rozumiesz?

- Nie - przyznała Petra.

- Nie bała się ciebie - wyjaśnił ojciec. - Swojej pierworodnej córki nie mogłaby się lękać. Ale kamery... politycy... tłumy... Jest kobietą z kuchni, nie kobietą z targu. Rozumiesz?

Rozumiała po armeńsku, jeśli o to pytał, bo pojął sytuację i zaczął mówić prostymi zdaniami, oddzielając od siebie słowa, by nie zagubiła się w rozmowie. Była mu za to

wdzięczna, ale też zakłopotana, że jej problemy są aż tak wyraźne.

Nie rozumiała jednak lęku przed tłumami, który powstrzymał matkę przed wyjazdem na spotkanie córki nie widzianej od dziewięciu lat.

Petra wiedziała, że nie tłumy ani kamery budziły obawę matki, lecz sama Petra. Utracona pięcioletnia córka, która już nigdy nie będzie miała pięciu lat, która pierwszą menstruację przeżyła z pomocą pielęgniarki Floty, której matka nigdy nie pomagała w lekcjach ani nie uczyła gotować. Nie, chwileczkę... Piekła przecież ciastka razem z mamą. Pomagała wyrabiać ciasto. Kiedy teraz o tym myślała, widziała jasno, że matka nie pozwalała jej robić niczego ważnego. Ale Petrze wydawało się wtedy, że to ona piecze. Że matka jej ufa.

Te myśli znów przywołały wspomnienie, jak Ender opiekował się nią na końcu, jak udawał, że na niej polega, ale w rzeczywistości zawsze zachowywał kontrolę. Pamięć o tym była trudna do zniesienia.

Petra wyrzała przez okienko fliwera.

- Czy jesteśmy już w tej części, gdzie się kiedyś bawiłam?

- Jeszcze nie - odparł ojciec. - Ale prawie. Maralik to przecież nieduże miasto.

- Wszystko wydaje mi się takie nowe...

- A nie jest. Nic się tutaj nie zmienia. Tylko architektura. Ormianie żyją na całym świecie, ale tylko dlatego że musieli stąd wyjechać, ratować życie. Ze swej natury Ormianie zostają w domach. Te góry są jak macica, a my nie mamy ochoty na poród.

Parsknął śmiechem ze swego żartu.

Czy zawsze tak parskał? Petrze wydawało się, że to nie rozbawienie, ale zdenerwowanie. Nie tylko matka się jej bała.

Wreszcie dotarli do domu. I tutaj wreszcie poznała dawne miejsca. Domek był mały i zaniedbany w porównaniu z tym, jak go zapamiętała, ale prawdę mówiąc, od lat nawet o nim nie myślała. Przestał nawiedzać ją w snach, zanim jeszcze skończyła dziesięć lat. Ale teraz, kiedy znów tu była, wszystko nagle powróciło - łązy przelane w pierwszych tygodniach i miesiącach Szkoły Naziemnej, a potem znowu, kiedy odleciała do Szkoły Bojowej. Za tym wszystkim tęskniła i wreszcie to odzyskała... i wiedziała, że nie jest już jej potrzebne, nie jest upragnione. Nerwowy mężczyzna w wozie obok niej nie był już wysokim bogiem, który z dumą prowadził ją ulicami Maraliku. A kobieta czekająca w środku nie była boginią zsyłającą ciepłe jedzenie i chłodną dłoń na czoło, kiedy Petra gorączkowała.

Tyle że nie miała dokąd pójść.

Matka stała w oknie i patrzyła, jak Petra wysiada z fliwera. Ojciec przyłożył dłoń do skanera, akceptując pobranie należności. Petra podniosła rękę i pomachała lekko do matki.

Rzuciła zakłopotany uśmieszek, który szybko zmienił się w szeroki uśmiech. Matka odpowiedziała tym samym i także skinęła jej ręką. Petra ujęła dłoń ojca i wraz z nim ruszyła do domu.

Drzwi otworzyły się przed nimi. To Stefan, jej brat. Nie poznałaby go - zapamiętała twarz dwulatka, po dziecinnemu jeszcze okrągłą. On, naturalnie, nie znał jej wcale. Patrzył na nią tak jak ci uczniowie, którzy ją witali - podnieceni, że mogą spotkać taką sławę, ale właściwie nie widzący w niej żywego człowieka. Ale Stefan był jej bratem, więc uściskała go, a on odpowiedział uściskiem.

- Naprawdę jesteś Petra! - powiedział.

- A ty naprawdę jesteś Stefan! - odparła. Matka wciąż stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Kiedy odwróciła się, policzki miała mokre od łez.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Petro - powiedziała.

Ale nie zrobiła nawet kroku w stronę córki, nie wyciągnęła rąk.

- Wciąż wypatrujesz tej dziewczynki, która odjechała dziewięć lat temu.

Matka wybuchnęła płaczem. Teraz dopiero rozłożyła ramiona, a Petra podbiegła do niej i dała się objąć mocnym uściskiem.

- Jesteś już kobietą - szepnęła matka. - Nie znam cię, ale cię kocham.

- Ja też cię kocham, mamó - odpowiedziała Petra. I z radością uświadomiła sobie, że to prawda.

Mieli jakąś godzinę we czworo - właściwie pięcioro, kiedy obudził się mały. Petra zbyła ich pytania.

- Przecież wszystko o mnie było już opublikowane albo pokazane. To o was chcę się czegoś dowiedzieć.

I dowiedziała się, że ojciec nadal redaguje podręczniki i dba o tłumaczenia, a matka nadal jest opiekunką, troszczy się o sąsiadów, przynosi jedzenie, kiedy ktoś zachoruje, pilnuje dzieci, kiedy rodzice muszą coś załatwić, i częstuje obiadem każde dziecko, które do niej zapuka.

- Pamiętam, kiedyś mama i ja jedliśmy obiad sami, tylko we dwoje - zażartował Stefan.

- Nie wiedzieliśmy, co mówić. I tyle zostało jedzenia....

- To samo się działo, gdy byłem mały - przyznała Petra. - Pamiętam, byłem strasznie dumna, że inne dzieci kochają moją mamę. I zazdrosna, że ona je kocha.

- Nigdy tak bardzo jak moją dziewczynkę i chłopczyka - zapewniła matka. - Ale przyznaję, rzeczywiście kocham dzieci. Każde jest skarbem w oczach Boga i każde jest z radością witane w moim domu.

- Znałam kilka takich, których byś nie kochała - stwierdziła Petra.

- Możliwe... - Matka nie chciała się kłócić, ale wyraźnie nie wierzyła, że może istnieć takie dziecko.

Niemowlę zaczęło gaworzyć, więc matka podniosła koszulę i przystawiła je sobie do piersi.

- Ja też tak głośno mlaskałam? - spytała Petra.

- Właściwie nie.

- Powiedz prawdę - wtrącił ojciec. - Budziła sąsiadów.

- Więc byłam łakomczuchem?

- Nie, tylko barbarzyńcą. Bez śladu dobrych manier. Petra postanowiła śmiało zadać delikatne pytanie i załatwić problem.

- Dziecko urodziło się zaledwie miesiąc po wycofaniu restrykcji populacyjnych.

Ojciec i matka spojrzeli na siebie nawzajem, matka z błogim uśmiechem, ojciec z lekkim skrzywieniem ust.

- Tęskniliśmy za tobą. Chcieliśmy znowu mieć małą dziewczynkę.

- Mogłeś stracić pracę - przypomniała Petra.

- Nie od razu - odparł ojciec.

- Armeńscy urzędnicy nigdy się nie spieszyli przy wprowadzaniu tych praw - dodała matka.

- Ale w końcu stracilibyście wszystko.

- Nie. Kiedy odjechałaś, straciliśmy połowę wszystkiego. Dzieci są wszystkim. Reszta się nie liczy.

- Chyba że jestem głodny - zaśmiał się Stefan. - Wtedy liczy się jedzenie.

- Zawsze jesteś głodny - przypomniał mu ojciec.

- Jedzenie zawsze się liczy.

Śmiali się wszyscy, ale Petra widziała, że Stefan nie miał złudzeń co do skutków narodzin tego dziecka.

- Dobrze, że wygraliśmy tę wojnę - powiedziała.

- To lepsze niż przegrać - zgodził się Stefan.

- Miło jest mieć dziecko i przestrzegać prawa - dodała matka.

- Ale nie macie swojej małej dziewczynki.

- Nie - przyznał ojciec. - Mamy naszego Dawida.

- Zresztą mała dziewczynka nie była potrzebna - zauważyła matka. - Przecież wróciłaś.

Nie tak naprawdę, pomyślała Petra. I nie na długo. Za cztery lata, może mniej, wyjadę

na studia. Ale wtedy nie będziecie już za mną tęsknić. Będziecie wiedzieć, że nie jestem tą małą dziewczynką, którą kochaliście, ale pokrwawionym weteranem z paskudnej szkoły wojskowej, który musiał walczyć w prawdziwych bitwach.

Po pierwszej godzinie zaczęli zaglądać sąsiedzi, krewni i koledzy ojca z pracy. Dopiero dobrze po północy ojciec oświadczył, że jutro nie ma święta państwowego i on przynajmniej musi się trochę przespać. Jeszcze godzinę trwało, zanim udało się pożegnać wszystkich gości. Petra miała ochotę zwinąć się na łóżku i ukryć przed światem na co najmniej tydzień.

Pod wieczór następnego dnia wiedziała już, że musi wyrwać się z domu. Nie pasowała do rozkładu zajęć. Matka kochała ją, owszem, ale jej życie obracało się wokół dziecka i sąsiadów. Próbowала z córką rozmawiać, ale Petra widziała, że przeszkadza, że lepiej będzie, jeśli zacznie chodzić do szkoły, jak Stefan, i wracać po południu. Rozumiała to i tego samego wieczoru oznajmiła, że chce zapisać się do szkoły i od jutra chodzić na lekcje.

- Ludzie z MF mówili - powiedział ojciec - że właściwie mogłabyś iść prosto na uniwersytet.

- Mam czternaście lat - przypomniała Petra. - I poważne braki w edukacji.

- Nie słyszała nawet o Dogach - stwierdził Stefan.

- Co? - zdziwił się ojciec. - O jakich dogach?

- Dog - wyjaśnił Stefan. - Taka kapela. No wiesz...

- Bardzo znany zespół - tłumaczyła matka. - Gdybyś ich usłyszał, wprowadziłbyś do nich wóz, żeby wyklepali karoserię.

- Ach, ten Dog. Nie sędzę, żeby taką edukację Petra miała na myśli.

- Owszem, właśnie taką - potwierdziła Petra.

- To tak jakby przyleciała z innej planety - podsumował Stefan. - Wczoraj wieczorem uświadomiłem sobie, że ona nie słyszała o nikim.

- Jestem z innej planety. A raczej, ściślej mówiąc, z planetoidy.

- Oczywiście - zgodziła się matka. - Musisz dołączyć do swojego pokolenia.

Petra odpowiedziała uśmiechem, ale skrzywiła się w myślach. Jej pokolenie? Nie miała swojego pokolenia, jeśli nie liczyć paru tysięcy dzieciaków, które kiedyś były w Szkole Bojowej, a teraz - rozproszone po całej powierzchni Ziemi - próbowały znaleźć sobie miejsce w pokojowym świecie.

Szybko odkryła, że w szkole nie będzie jej łatwo. Program nie przewidywał zajęć z historii wojskowości ani strategii. Matematyka wydawała się żalosna w porównaniu z tą, jaką opanowała w Szkole Bojowej, za to o gramatyce i literaturze właściwie nie miała pojęcia. Armeński znała na dzieciennym poziomie, a chociaż płynnie mówiła tą wersją angielskiego,

którego używano w Szkole Bojowej - łącznie ze slangiem tamtejszych dzieciaków - niewiele wiedziała o regułach gramatyki i nie rozumiała tej mieszanki angielskiego z armeńskim, jaką rozmawiano między sobą tutaj.

Oczywiście, wszyscy byli dla niej bardzo mili - najpopularniejsze dziewczęta natychmiast wciągnęły ją do swego grona, a nauczyciele traktowali jak gwiazdę. Petra pozwoliła się oprowadzać i pokazywać sobie wszystko; uważnie słuchała paplania nowych koleżanek, by poznać szkolny slang oraz niuanse wymowy szkolnego angielskiego i armeńskiego. Wiedziała, że popularne dziewczęta szybko się nią znudzą - zwłaszcza kiedy się przekonają, jak jest bezceremonialnie szczera. Tej wady Petra nie zamierzała w sobie zwalczać. Przyzwyczaiała się już, że ludzie dbający o hierarchię towarzyską szybko zaczynają jej nienawidzić, a jeśli są mądrzy, także się obawiać, gdyż fałszywe pretensje w jej towarzystwie nie mogły przetrwać długo. W ciągu kilku tygodni znajdzie prawdziwych przyjaciół - jeśli w ogóle trafi na kogoś, kto będzie ją cenił za to, kim jest naprawdę. To bez znaczenia. Wszystkie tutejsze przyjaźnie, wszelkie zabiegi towarzyskie wydawały się trywialne. Stawką była jedynie pozycja każdego z uczniów i jego przyszłość akademicka. Czy to ważne? Wcześniejsza edukacja Petry trwała w cieniu wojny, gdy los całej ludzkości zależał od jej wyników i jej zdolności. Czy teraz coś w ogóle ma znaczenie? Owszem, będzie czytać armeńską literaturę, ponieważ chce poznać język. Nie dlatego że interesuje ją, co jakiś emigrant, jak Saroyan, ma do powiedzenia o losie dzieci w dawno minionej epoce w dalekim kraju.

Z lekcji lubiła tylko wychowanie fizyczne. Mieć niebo nad głową podczas biegu, widzieć przed sobą płaski tor, móc biec tak i biec dla samej radości biegu, bez zegara, który odlicza czas przeznaczony na ćwiczenia - to był prawdziwy luksus. Fizycznie nie mogła się mierzyć z większością dziewcząt. Ciało potrzebowało czasu, by dostosować się do warunków wysokiej grawitacji. Wprawdzie MF starała się, żeby organizmy żołnierzy nie cierpiały zbyt mocno podczas miesięcy i lat w kosmosie, ale nic nie mogło przygotować do życia na powierzchni planety - oprócz życia na powierzchni planety. Petra nie przejmowała się jednak, że w każdym biegu dociera na metę jako ostatnia, że nie potrafi przeskoczyć nawet najniższego płotka. Wkrótce stanie się godną przeciwniczką koleżanek.

Był to jeden z aspektów jej osobowości, który doprowadził ją do Szkoły Bojowej - nie interesowało jej współzawodnictwo, ponieważ w każdej sytuacji zakładała, że jeśli będzie to istotne, znajdzie sposób, by zwyciężyć.

Z wolna wchodziła w tory nowego życia. Po kilku tygodniach płynnie mówiła po armeńsku i opanowała miejscowy slang. Tak jak oczekiwała, popularne dziewczęta zrezygnowały z niej mniej więcej w tym samym czasie, a parę tygodni później opadło także

zainteresowanie dziewcząt najbardziej inteligentnych. Przyjaciół znalazła pośród buntowników i nieudaczników. Wkrótce miała już krąg zaufanych i współkonspiratorów, który nazywała „jeesh” - w slangu Szkoły Bojowej określenie bliskich przyjaciół, osobistej armii. Nie znaczy to, że została ich dowódcą - po prostu byli wobec siebie lojalni i wspólnie bawili się dziwactwami nauczycieli i wyskokami uczniów. Kiedy wezwał ją do siebie szkolny psycholog, gdyż dyrekcja stwierdziła z niepokojem, iż Petra obraca się w towarzystwie szkolnych elementów aspołecznych - wtedy wiedziała, że naprawdę jest w domu.

A potem, pewnego dnia, wróciła ze szkoły i odkryła, że drzwi wejściowe są zamknięte. Nie miała klucza - zresztą nikt z sąsiedztwa nie nosił kluczy, gdyż nikt nie używał zamków, a przy dobrej pogodzie nawet mało kto zamykał drzwi. Usłyszała płaczące w domu dziecko, zamiast więc pukać, żeby matka jej otworzyła, okrążyła dom, weszła do kuchni i zobaczyła matkę przywiązaną do krzesła, zakneblowaną, z szeroko otwartymi, przerażonymi oczyma.

Zanim Petra zdążyła zareagować, ktoś - nie zauważyła nawet kto - klepnął ją w ramię, umieszczając na skórze hypoplaster.

Osunęła się w ciemność.

2. Groszek

To: Locke%espinoza@polnet.gov

From: Chamrajnagar%%@ifcom.gov

Subject: Proszę już do mnie nie pisać

Panie Wiggin,

czy naprawdę pan sądził, że nie mam możliwości sprawdzenia pańskiej tożsamości? Owszem, może pan być autorem „Propozycji Locke'a”, której zawdzięcza pan opinię architekta pokoju, ale jest pan też częściowo odpowiedzialny za obecną destabilizację świata, a to poprzez szowinistyczne wykorzystywanie pseudonimu pańskiej siostry - Demostenesa. Nie mam żadnych złudzeń w kwestii pańskich motywów.

Skandaliczna jest sugestia, że naraziłem neutralność Międzynarodowej Floty, by zachować kontrolę nad dziećmi, które zakończyły już służbę w MF. Jeśli spróbuje pan manipulować opinią publiczną, by mnie do tego zmusić, ujawnię pańską tożsamość jako Locke'a i Demostenesa.

Zmieniłem mój identyfikator i poinformowałem naszego wspólnego przyjaciela, że ma więcej nie przekazywać wiadomości pomiędzy panem a mną. Jedną tylko mam dla pana dobrą informację - MF nie będzie przeszkadzać nikomu, kto spróbuje podporządkować swej hegemonii inne narody i ludzi - nawet panu.

Chamrajnagar

Porwanie Petry Arkanian z jej domu w Armenii stało się światową sensacją. Tytuły pełne były oskarżeń ciskanych przez Armenię na Turcję, Azerbejdżan i każde inne państwo, gdzie mówiło się po turecku. W odpowiedzi pojawiały się oschłe albo gniewne zaprzeczenia i kontroskarżenia. Publikowano też łzawe wywiady z matką Petry, jedynym świadkiem zajścia, która była pewna, że porywacze przybyli z Azerbejdżanu.

- Znam język, znam akcent, to oni porwali moją córeczkę!

Groszek drugi dzień był z rodziną na wakacjach nad morzem, na wysepce Itaka, ale chodziło o Petrę, więc czytał wiadomości w sieci i pilnie oglądał widy. Podobnie jego brat Nikolai. Obaj natychmiast doszli do tych samych wniosków.

- To nie było żadne z państw tureckich - wyjaśnił rodzicom Nikolai. - To oczywiste.

Ojciec, który przez wiele lat pracował dla rządu, przyznał mu rację.

- Prawdziwi Turcy na pewno mówiliby tylko po rosyjsku.
- Albo po armeńsku - dodał Nikolai.
- Żaden Turek nie mówi po armeńsku - przypomniała matka.

Miała rację, oczywiście. Prawdziwi Turcy nie zniżali się do nauki armeńskiego, a ci w tureckojęzycznych krajach, którzy znali armeński, z definicji nie byli prawdziwymi Turkami i nikt by im nie powierzył sprawy tak delikatnej, jak porwanie geniusza militarnego.

- Więc kto to był? - spytał ojciec. - Jacyś prowokatorzy, którzy chcą doprowadzić do wojny?

- Obstawiam rząd Armenii - stwierdził Nikolai. - Chcą ją postawić na czele swojego sztabu.

- Po co mieliby ją porywać, kiedy mogą ją jawnie zaangażować?

- Gdyby jawnie zabrali ją ze szkoły, wyjawiliby swoje intencje. A to mogłoby sprowokować uderzenia uprzedzające ze strony Turcji albo Azerbejdżanu.

Teoria Nikolaia była z pozoru rozsądna, ale Groszek wiedział, że jest inaczej. Przewidział już taką możliwość, jeszcze kiedy wszystkie utalentowane dzieciaki przebywały w przestrzeni. Wtedy głównym zagrożeniem był Polemarcha i Groszek wysłał anonimowe listy do dwóch najbardziej opiniotwórczych osób na Ziemi, Locke'a i Demostenesa. Namawiał ich, by jak najszybciej przenieść wszystkie dzieci ze Szkoły Bojowej na Ziemię, żeby nie mogły ich schwytać ani pozabijać siły Polemarchy w Wojnie Ligi. Ostrzeżenie odniosło skutek, ale teraz Wojna Ligi się skończyła i zbyt wiele rządów zaczęło myśleć i działać tak, jakby świat cieszył się stabilnym pokojem, a nie chwiejnym zawieszeniem broni. Ówczesna analiza Groszka wciąż pozostawała w mocy. To Rosja stała za próbą zamachu stanu Polemarchy, i prawdopodobnie Rosja dokonała porwania Petry Arkanian.

Mimo to nie miał żadnych dowodów na potwierdzenie tej tezy ani nie znał sposobu, by je zdobyć. Nie tkwił już na placówce Floty i nie miał dostępu do wojskowych systemów komputerowych. Zachował więc swój sceptycyzm dla siebie.

- Sam nie wiem, Nikolai - powiedział żartobliwie. - To porwanie wpłynęło bardzo destabilizująco na całą sytuację. Jeśli rzeczywiście rząd Armenii to sfingował, dowiódł, że naprawdę Petry potrzebują. Bo cała akcja była wyjątkowo głupia.

- Jeżeli nie są głupi - odezwał się ojciec - to kto to zrobił?

- Ktoś, kto ma ambicję prowadzić i wygrywać wojny. I dość rozumu, by wiedzieć, że potrzebuje wyjątkowego dowódcy. I ktoś dostatecznie wielki, dostatecznie niewidoczny albo przebywający dostatecznie daleko od Armenii, żeby się nie przejmować skutkami porwania. Moim zdaniem, ktokolwiek to zrobił, wcale się nie zmartwi, jeśli wybuchnie wojna na

Kaukazie.

- Podejrzewasz więc jakieś wielkie i potężne państwo w pobliżu? - Oczywiście, w pobliżu Armenii leżało tylko jedno wielkie i potężne państwo.

- Możliwe, ale trudno powiedzieć. Kto potrzebuje takiego dowódcy jak Petra, chciałby mieć świat w stanie chaosu. Kiedy wybucha chaos, każdy może się dostać na szczyt. Jest wtedy wiele stron konfliktu, które można rozgrywać przeciwko sobie.

Teraz, kiedy Groszek powiedział to głośno, sam zaczął w to wierzyć. Rosja była najbardziej agresywna przed Wojną Ligi, ale to nie znaczy, że inni nie zechcą włączyć się do gry.

- W świecie, gdzie panuje chaos - stwierdził Nikolai - wygrywa armia mająca najlepszego dowódcę.

- Jeśli chcesz znaleźć porywaczy, szukaj wśród krajów, które najwięcej mówią o pokoju i pojednaniu - rzekł Groszek. Rozwagał swój pomysł i mówił na głos wszystko, co przyszło mu do głowy.

- Jesteś przesadnie cyniczny - zganił go Nikolai. - Ktoś, kto mówi o pokoju i pojednaniu, może po prostu chcieć pokoju i pojednania.

- Uważaj... Kraje, które proponują arbitraż, to te, które uważają, że powinny rządzić światem. To dla nich tylko jeden z ruchów w grze.

Ojciec roześmiał się.

- Nie wierz w to za bardzo - powiedział. - Większość krajów, które stale proponują swój arbitraż, usiłuje odzyskać utracony status, a nie zdobyć nową władzę. Francja, Ameryka, Japonia... Zawsze się wtrącają, bo kiedyś miały siłę, którą mogły zagrozić. Jeszcze do nich nie dotarło, że ją straciły.

- Nigdy nie wiadomo, tato. - Groszek uśmiechnął się. - Samo to, że odrzucasz możliwość, że to oni są porywaczami, skłania do uznania ich za tym bardziej podejrzanych.

Nikolai ze śmiechem przyznał mu rację.

- Takie są kłopoty, kiedy ma się w domu dwóch absolwentów Szkoły Bojowej - westchnął ojciec. - Wydaje się wam, że skoro znacie się na wojskowości, to znacie się też na polityce.

- Wszystko to są manewry i unikanie starcia, póki nie osiągnie się przytłaczającej przewagi - odparł Groszek.

- Ale ważna jest też wola władzy. I jeśli nawet pojedyncze osoby w Ameryce, we Francji czy w Japonii mają taką wolę, ich społeczeństwa jej nie mają. Przywódcy nie zdołają ich poruszyć. Trzeba szukać wśród państw mniejszych. Wśród agresywnych narodów, które

uważają, że zostały skrzywdzone, że świat ich nie docenia. Wojownicze, drażliwe...

- Cały naród złożony z ludzi wojowniczych i drażliwych? - zdziwił się Nikolai.

- Całkiem jak Ateny - mruknął Groszek.

- Chodzi o naród, który zajmuje taką postawę wobec innych narodów - wyjaśnił ojciec.

- Kilka państw islamskich ma cechy, które pozwoliłyby im na taką grę. Ale nigdy nie porwaliby chrześcijańskiej dziewczyny, żeby ją postawić na czele armii.

- Mogli ją porwać, żeby nie mógł jej wykorzystać inny kraj - zauważył Nikolai. - Co prowadzi nas znowu do sąsiadów Armenii.

- To ciekawa łamigłówka - przyznał Groszek. - Rozwiążemy ją, kiedy już dotrzemy na miejsce.

Ojciec i Nikolai spojrzeli na niego jak na wariata.

- Dotrzemy? - zdziwił się ojciec. Matka zrozumiała.

- Porywają absolwentkę Szkoły Bojowej. Więcej, porywają kogoś z grupy Endera walczącej w wojnie.

- I to jedną z najlepszych - dodał Groszek. Ojciec pozostał sceptyczny.

- Jeden przypadek nie tworzy jeszcze wzorca.

- Nie czekajmy, żeby się przekonać, kto będzie następny - poradziła matka. - Wolę raczej czuć się głupio, bo niepotrzebnie się wystraszyłam, niż żałować, że zlekceważyłam zagrożenie.

- Zostawmy tę sprawę na parę dni - zaproponował ojciec. - Wszystko się wyjaśni.

- Oczekaliśmy już sześć godzin - przypomniał Groszek. - Jeśli porywacze są cierpliwi, nie zaatakują przez kilka miesięcy. Ale jeśli są niecierpliwi, to już trwa akcja przeciwko pozostałym celom. Najprawdopodobniej nie mają jeszcze w worku Nikolaia i mnie tylko dlatego, że nasz wyjazd na wakacje pokrzyżował im plany.

- Z drugiej strony - wtrącił Nikolai - nasz pobyt na wyspie daje im doskonałą okazję.

- Dlaczego nie poprosisz o ochronę? - zwróciła się matka do ojca.

Ojciec wahał się.

Groszek go rozumiał. Gry polityczne były zawsze subtelne i cokolwiek zrobi w tej chwili ojciec, będzie miało skutki dla całej jego kariery.

- Nie pomyśl, że prosisz o specjalne przywileje dla siebie - powiedział. - Nikolai i ja jesteśmy cennymi zasobami kraju. O ile pamiętam, premier kilkakrotnie powtórzył to publicznie. Jeśli dasz Atenom znać, gdzie jesteśmy, i zasugerujesz, żeby dali nam ochronę i zabrali stąd, uznają to za słuszną decyzję.

Ojciec sięgnął po telefon komórkowy.

Uzyskał sygnał „System zajęty”.

- To chyba wystarczy - stwierdził Groszek. - Sieć telefoniczna w żaden sposób nie może być tak obciążona tutaj, na Itace. Potrzebujemy łodzi.

- Samolotu - poprawiła go matka.

- Łodzi - zgodził się Nikolai. - I to nie z wypożyczalni. Pewnie czekają, aż sami wpadniemy im w ręce, żeby uniknąć walki.

- W sąsiednich domach mają łodzie - przypomniał sobie ojciec. - Ale przecież nie znamy tych ludzi.

- Oni nas znają - odparł Nikolai. - Zwłaszcza Groszka. No wiesz, jesteśmy bohaterami wojennymi.

- Ale każdy dom z okolicy może być właśnie tym, z którego nas obserwują. Jeśli nas obserwują. Nikomu nie możemy zaufać.

- Lepiej włóżmy kąpielówki - zaproponował Groszek. - Pójdziemy na plażę i brzegiem, jak najdalej, a potem skręcimy w głąb wyspy i znajdziemy kogoś, kto pożyczy nam łódź.

Nikt nie miał lepszego planu, więc natychmiast przystąpili do działania. Po dwóch minutach byli już w drodze. Nie wzięli żadnych portfeli ani toreb, choć ojciec i matka ukryli w kostiumach kąpielowych najważniejsze dokumenty i karty kredytowe. Groszek i Nikolai śmiali się i przekomarzali, jak zwykle. Rodzice trzymali się za ręce i rozmawiali cicho, spoglądając na synów... jak zwykle. Żadnych objawów lęku. Nic, co skłoniłoby obserwatora do podjęcia akcji.

Przeszli plażą zaledwie kilkaset metrów, kiedy usłyszeli wybuch - głośny, jakby bardzo bliski. Fala uderzeniowa wstrząsnęła gruntem. Matka upadła. Ojciec pomógł jej wstać, a Groszek i Nikolai obejrzel się jednocześnie.

- Może to nie nasz dom - powiedział Nikolai.

- Lepiej nie wracajmy, żeby sprawdzić - mruknął Groszek.

Pobiegli plażą, dostosowując prędkość do matki, która utykała trochę - przy upadku otarła sobie kolano i lekko skręciła drugie.

- Biegnijcie beze mnie - zaproponowała.

- Mamo, jeśli porwą ciebie, to tak jakby nas złapali - odpowiedział jej Nikolai. - Przecież zrobimy wszystko, co każą, żeby cię uwolnić.

- Oni nie chcą nas łąpać - oznajmił Groszek. - Petrę chcieli wykorzystać. Mnie chcą zabić.

- Nie! - krzyknęła matka.

- On ma rację - zgodził się ojciec. - Nie wysadza się domu, jeśli chce się schwytać mieszkańców.

- Przecież nie mamy pewności, że to był nasz dom!

- Mamo, to podstawowa strategia - odezwał się Groszek. - Wszelkie zasoby, których nie można przejąć, należy zniszczyć, żeby nie mógł z nich korzystać nieprzyjaciół.

- Jaki nieprzyjaciół? - zaprotestowała matka. - Grecja nie ma nieprzyjaciół.

- Jeżeli ktoś chce zawładnąć światem - rzekł Nikolai - w końcu każdy staje się jego nieprzyjacielem.

- Myślę, że powinniśmy biec szybciej - uznała matka.

Pobiegli.

Nikolai miał rację, oczywiście, ale Groszek cały czas zastanawiał się nad tym, co powiedziała mama. Nie potrafił przestać myśleć o jednym: rzeczywiście, Grecja nie ma wrogów - ale ja mam. Gdzieś na świecie wciąż żyje Achilles. Teoretycznie przebywa pod strażą, ponieważ jest psychicznie chory, ponieważ mordował. Graff obiecał, że nigdy nie wyjdzie na wolność. Tylko że Graff stanął przed sądem wojennym - owszem, został oczyszczony z zarzutów, ale wystąpił z armii. Jest teraz ministrem kolonizacji, czyli nie ma możliwości, by dotrzymać obietnicy w kwestii Achillesa. A Achilles pragnie zobaczyć mnie martwego.

Porwanie Petry - o tym Achilles mógłby pomyśleć. A skoro zyskał możliwość, by to przeprowadzić - jeśli jakiś rząd czy grupa u władzy słuchała jego poleceń - to bez trudności mógł skłonić tych ludzi, żeby zabili Groszka.

Czy może by nalegał, żeby być przy tym osobiście?

Chyba nie. Achilles nie jest sadystą. Zabijał własnoręcznie, jeśli musiał, ale nigdy nie wystawiłby się na ryzyko. Zabijanie na odległość byłoby dla niego lepszym rozwiązaniem: wykonanie roboty cudzymi rękoma.

Komu jeszcze mogło zależeć na śmierci Groszka? Każdy inny nieprzyjaciół próbowałby raczej go schwytać. Od procesu Graffa wyniki jego testów ze Szkoły Bojowej były publicznie znane. Wojskowi we wszystkich krajach wiedzieli, że był dzieckiem, które pod wieloma względami przewyższało samego Endera. Na Groszku najbardziej by im zależało. I Groszka najbardziej by się obawiali, gdyby w wojnie znalazł się po przeciwnej stronie. Każdy mógłby próbować go zabić, gdyby wiedział, że nie może go schwytać. Ale najpierw starałby się go schwytać. Tylko Achillesowi bardziej zależało na jego śmierci.

Nie podzielił się tymi myślami z rodziną. Strach przed Achillesem uznaliby za zbyt paranoiczny. Nie był pewien, czy sam w to wszystko wierzy. A jednak, biegnąc po plaży, nabierał coraz większej pewności, że ten, kto porwał Petrę, znajdował się pod wpływem Achillesa.

Usłyszeli silniki, zanim jeszcze w polu widzenia pojawiły się śmigłowce. Nikolai zareagował błyskawicznie.

- W głąb wyspy! - krzyknął. - Natychmiast!

Pobiegli do najbliższych drewnianych stopni prowadzących na klif nad plażą.

Dotarli do połowy drogi, kiedy nadleciały maszyny. Ukrywanie się nie miało sensu. Jeden śmigłowiec wylądował na plaży pod nimi, drugi usiadł na cyplu w górze.

- Na dół jest łatwiej niż do góry - zauważył ojciec. - A oni mają greckie znaki wojskowe.

Groszek nie przypomniał - bo przecież wszyscy o tym wiedzieli - że Grecja jest członkiem Nowego Układu Warszawskiego i całkiem możliwe, że greckie maszyny wojskowe są pod rosyjską komendą.

W milczeniu zeszli schodami na sam dół. Na przemian odczuwali nadzieję, rozpacz i lęk.

Żołnierze, którzy wyskoczyli na piasek, nosili greckie mundury.

- Przynajmniej nie udają Turków - mruknął Nikolai.

- Ale skąd grecka armia mogła wiedzieć, że powinni nas ratować? - zdziwiła się matka.

- Wybuch nastąpił ledwie parę minut temu.

Odpowiedź nadeszła szybko - gdy tylko znaleźli się na plaży. Naprzeciw wyszedł pułkownik, którego ojciec znał z widzenia. Zasalutował im. Nie - zasalutował Groszkowi, z szacunkiem należnym weteranowi wojny z Formidami.

- Mam do przekazania pozdrowienia od generała Thrakosa - powiedział. - Przyleciałby osobiście, ale kiedy nadeszło ostrzeżenie, nie było czasu do stracenia.

- Pułkowniku Dekanos, sądzimy, że naszym synom grozi poważne niebezpieczeństwo - oświadczył ojciec.

- Zdaliśmy sobie z tego sprawę w chwili, kiedy dotarła wiadomość o porwaniu Petry Arkanian - odparł Dekanos. - Nie było was w domu i kilka godzin trwało, zanim ustaliliśmy miejsce waszego pobytu.

- Słyszeliśmy wybuch - wtrąciła matka.

- Gdybyście zostali na miejscu, bylibyście teraz tak samo martwi jak mieszkańcy sąsiednich domów. Wojsko zabezpieczyło teren. Posłaliśmy piętnaście śmigłowców na poszukiwanie... was, mieliśmy nadzieję, a gdybyście zginęli, to przestępców. Meldowałem już Atenom, że jesteście żywi i zdrowi.

- Zablokowali sieć komórkową - przypomniał ojciec.

- Ktokolwiek to robi, dysponuje bardzo skuteczną organizacją - stwierdził Dekanos. - Dziewięcioro dzieci zostało porwanych w ciągu kilku godzin po Petrze Arkanian.

- Kto? - zapytał Groszek.

- Nie znam jeszcze nazwisk - odparł pułkownik. - Tylko liczbę.

- Czy kogokolwiek zabili?

- Nie. W każdym razie nic o tym nie słyszałem.

- W takim razie dlaczego wysadzili nasz dom? - chciała wiedzieć matka.

- Gdybyśmy wiedzieli dlaczego - odrzekł Dekanos - wiedzielibyśmy kto. I na odwrót.

Zapięli pasy. Śmigłowiec podniósł się - ale niezbyt wysoko. Po chwili pozostałe maszyny zajęły pozycje dookoła, z góry i z dołu - eskorta.

- Żołnierze na ziemi nadal szukają sprawców - wyjaśnił pułkownik. - Ale najwyższym priorytetem jest ratowanie waszego życia.

- Jesteśmy wdzięczni - zapewniła matka.

Groszek wcale nie był zadowolony. Grecka armia z pewnością umieści ich w jakiejś kryjówce, pod ochroną. Jednak cokolwiek zrobią wojskowi, nie zdołają zachować tajemnicy przed greckim rządem. A rząd grecki już od pokoleń należał do zdominowanego przez Rosję Układu Warszawskiego, jeszcze zanim wybuchła wojna z Formidami. Zatem Achilles - jeśli to Achilles, i jeśli właśnie dla Rosji pracuje, jeśli, jeśli... - potrafi się dowiedzieć o miejscu ich pobytu.

Groszek wiedział, że nie wystarczy, by był chroniony. Musi naprawdę się ukryć tak, żeby żaden rząd go nie znalazł, żeby nikt prócz niego samego nie wiedział, gdzie jest w danej chwili.

Kłopot polegał na tym, że był nie tylko dzieckiem, ale też bardzo znanym dzieckiem. Młody wiek i sława praktycznie uniemożliwiały dyskretne poruszanie się po świecie. Ktoś musi mu pomóc. Zatem na pewien czas zostanie pod ochroną wojska - w nadziei że mniej czasu straci, żeby się wydostać, niż potrzeba Achillesowi, żeby do niego dotrzeć.

Jeżeli to naprawdę Achilles.

3. List w butelce

To: Carlotta%agape@vatican.net/orders/sisters/ind

From: Graff%pilgrimage@colmin.gov

Subject: Niebezpieczeństwo

Nie mam pojęcia, gdzie siostra przebywa, i to dobrze, ponieważ sądzę, że grozi siostrze wielkie niebezpieczeństwo. Im trudniej siostrę znaleźć, tym lepiej.

Odszedłem już z MF, więc nie mam aktualnych informacji, co się u nich dzieje. Ale w wiadomościach stale informują o porwaniu większości dzieci, które służyły z Enderem w Szkole Dowodzenia. Mógł to zrobić każdy; nie brakuje państw czy grup nacisku zdolnych do zaplanowania i przeprowadzenia takiej operacji. Siostra może jednak nie wiedzieć, czy nie nastąpiła próba uprowadzenia jednego z dzieci. Dowiedziałem się od przyjaciela, że domek plażowy, gdzie Groszek z rodziną wyjechali na wakacje, został po prostu wysadzony w powietrze ładunkiem takiej mocy, że sąsiednie domy także uległy zniszczeniu, a wszyscy ich mieszkańcy zginęli. Groszek z rodziną uciekli i w tej chwili są pod ochroną greckiej armii. Trzyma się to w sekrecie, w nadziei że zabójcy uwierzą w swój sukces. Ale jak większość rządów, grecki także przecieka jak durszlak, więc zabójcy zapewne lepiej ode mnie wiedzą, gdzie jest teraz Groszek. Na Ziemi jest tylko jeden człowiek, który woli go widzieć martwego.

Oznacza to, że ludzie, którzy wydostali Achillesa z zakładu dla psychicznie chorych, nie tylko go wykorzystują - to on podejmuje, a przynajmniej wpływa na decyzje, by załatwić prywatne porachunki. Dlatego właśnie grozi siostrze niebezpieczeństwo. A Groszkowi tym większe. Musi zacząć się ukrywać, a nie może tego robić sam. Aby ratować jego i siostry życie, należy - jedynie to przychodzi mi do głowy - wywieźć was z planety. W ciągu kilku miesięcy wysłamy pierwsze statki kolonizacyjne. Jeśli tylko ja będę znał waszą tożsamość, mogę chronić was do chwili startu. Ale musimy jak najszybciej wydostać Groszka z Grecji. Pomoże mi siostra?

Proszę nie zdradzać, gdzie siostra teraz przebywa. Opracujemy jakoś metodę spotkania.

Za jak głupią ją uważali?

Petra potrzebowała pół godziny, by stwierdzić, że porywacze nie są Turkami. Nie była jakimś wyjątkowym ekspertem od tureckiego, ale rozmawiali między sobą i od czasu do czasu

w rozmowie padało rosyjskie słowo. Rosyjskiego Petra też nie znała, z wyjątkiem kilku zapożyczonych słów występujących w armeńskim. W azerskim też pojawiały się takie zapożyczenia. Ale kiedy używa się zapożyczonego rosyjskiego słowa, wymawia się je po armeńsku. Ci klauni, kiedy na nie trafiali, przeskakiwali na swobodny, naturalny rosyjski akcent. Musiałyby być gibbonem w klasie dla opóźnionych w rozwoju, by nie zrozumieć, że ta ich turecka maskarada nie jest niczym więcej niż właśnie maskaradą.

Kiedy uznała, że dowiedziała się już wszystkiego co możliwe, nasłuchując z zamkniętymi oczami, odezwała się we wspólnym Floty.

- Przejechaliśmy już przez Kaukaz? Kiedy się zatrzymamy na siusiu?

Ktoś zaklął.

- Nie. Siusiu - odparta. Otworzyła oczy i zamrugła. Leżała na podłodze pojazdu naziemnego. Spróbowała usiąść. Mężczyzna pchnął ją nogą na plecy.

- To sprytne. Chowacie mnie przed ludźmi, póki jedziemy po asfalcie, ale jak mnie przeprowadzicie do samolotu, żeby nikt nie widział? Chcecie chyba, żebym wysiadła i zachowywała się normalnie, więc lepiej, żeby nikt się nie denerwował, prawda?

- Będziesz się zachowywać, jak ci powiemy, albo zginiesz - oświadczył mężczyzna z ciężką nogą.

- Gdybyście mieli pozwolenie, żeby mnie zabić, byłabym martwa już w Maraliku.

Znowu spróbowała usiąść i znowu ciężki but pchnął ją z powrotem.

- Posłuchajcie uważnie - powiedziała. - Zostałam porwana, bo ktoś chce, żebym zaplanowała dla niego wojnę. To znaczy, że będę rozmawiać z samą górą. Nie są tacy głupi, by wierzyć, że osiągną cokolwiek bez mojej zgody na współpracę. Właśnie dlatego nie pozwolili wam zabić mojej matki. I jeśli im powiem, że palcem nie kiwnę, póki nie przyniosą mi waszych jaj w papierowej torebce, jak myślicie, ile będą się zastanawiać, co jest dla nich cenniejsze: mój mózg czy wasze jaja?

- Mamy pozwolenie, żeby cię zabić.

Tylko chwilę trwało, nim zorientowała się, dlaczego ktoś mógł udzielić takiej zgody tym kretynom.

- Tylko jeśli wystąpi bezpośrednie zagrożenie odbicia mnie z waszych rąk. Wolą raczej, żebym zginęła, niż żeby miał mnie wykorzystywać kto inny. Zobaczymy, jak ich przekonacie, że coś takiego stało się tutaj albo na pasie lotniska Gyuniri.

Tym razem padło inne niecenzuralne słowo.

Ktoś rzucił zdanie po rosyjsku. Zrozumiała jego sens z intonacji i gorzkiego śmiechu potem. „Upredzali cię, że jest geniuszem”.

Geniuszem, akurat. Jeśli była taka sprytna, to dlaczego nie odgadła, że ktoś spróbuje zgarnąć dzieciaki, które wygrały wojnę? I na pewno dzieciaki - ona sama zajmowała zbyt dalekie miejsce na liście kogokolwiek spoza Armenii, by była jedynym celem. Kiedy zastała drzwi zamknięte, powinna biec po policję, zamiast wchodzić przez kuchnię. To kolejne głupstwo, jakie zrobili - zamknęli na klucz drzwi frontowe. W Rosji trzeba je zamykać i pewnie uważali, że to normalne. Powinni lepiej się przygotować. Teraz już jej to nie pomoże, ma się rozumieć. Wiedziała tylko, że nie są aż tak dobrze przygotowani ani aż tak rozsądni. Każdy potrafi porwać kogoś, kto nie zachowuje żadnych środków ostrożności.

- A więc Rosja przystępuje do gry o światową dominację, tak? - zapytała.

- Zamknij się - rzucił mężczyzna na siedzeniu przed nią.

- Nie znam rosyjskiego, wiecie... I się nie nauczę.

- Nie musisz - oświadczyła kobieta.

- Czy to nie zabawne? Rosjanie zamierzają zdobyć władzę nad światem, ale żeby tego dokonać, muszą mówić po angielsku. Stopa na jej brzuchu nacisnęła mocniej.

- Pamiętaj o swoich jajach w torebce - powiedziała Petra.

Po chwili noga się cofnęła.

Petra usiadła. Tym razem nikt jej nie przeszkadzał.

- Rozetnijcie tę taśmę, żebym mogła podciągnąć się na siedzenie. No, dalej! Ręce mnie bolą w tej pozycji. Niczego się nie nauczyliście od czasów KGB? Osobom nieprzytomnym nie warto blokować krwioobiegu. Silny rosyjski oprych prawdopodobnie bez trudu obezwładni czternastoletnią dziewczynkę.

Zdjęli jej taśmę i zajęła miejsce między Ciężką Nogą a jakimś mężczyzną, który w ogóle na nią nie patrzył, tylko wyglądał przez okno po lewej stronie, potem po prawej i znowu po lewej.

- Więc to jest lotnisko Gyuniri?

- Jak to? Nie poznajesz?

- Nigdy tu nie byłam. Po co? Przez całe życie tylko dwa razy leciałam samolotem, raz z Erewania, kiedy miałam pięć lat, i raz z powrotem, dziewięć lat później.

- Wiedziała, że to Gyuniri, bo jest najbliższym lotniskiem, które nie obsługuje lotów komercyjnych - odezwała się kobieta. Mówiła bez śladu intonacji w głosie - bez pogardy, bez szacunku. Po prostu... obojętnie.

- Czyj to był znakomity pomysł? Wiadomo przecież, że generałowie wzięci do niewoli nie są najlepszymi strategami.

- Po pierwsze, skąd ci przyszło do głowy, że ktoś nam cokolwiek tłumaczy? - odezwała

się kobieta. - Po drugie, dlaczego się nie zamkniesz i nie przekonasz o wszystkim we właściwym czasie?

- Ponieważ jestem towarzyską, rozmowną ekstrawertyczką, która lubi zawierać nowe znajomości.

- Jesteś zarozumiałą, wścibską introwertyczką, która lubi wkurzać ludzi - sprostowała kobieta.

- Och, jednak zrobiliście jakieś rozpoznanie.

- Nie. To tylko obserwacja.

Czyli jednak miała poczucie humoru. Może...

- Lepiej się módlcie, żeby przelecieć nad Kaukazem, zanim dorwie was armeńskie lotnictwo.

Ciężka Noga prychnął pogardliwie, dowodząc, że nie potrafi rozpoznać ironii.

- Oczywiście, macie pewnie mały samolocik i pewnie przelecimy nad Morzem Czarnym. Co oznacza, że satelity MF dokładnie namierzą, gdzie jestem.

- Nie należysz już do personelu MF - przypomniała kobieta.

- To znaczy, że już ich nie obchodzi, co się z tobą dzieje - dodał Ciężka Noga.

Tymczasem zahamowali przy małym samolocie pasażerskim.

- Odrzutowiec... Jestem pod wrażeniem - oświadczyła Petra. - Ma jakieś uzbrojenie? Czy jest tylko wyładowany materiałem wybuchowym, żeby posłać go w diabły razem ze mną, kiedy armeńskie myśliwce spróbują was zmusić do lądowania?

- Czy musimy znowu cię związać? - spytała kobieta.

- To by się spodobało ludziom z wieży kontrolnej.

- Wyprowadźcie ją - rzuciła kobieta.

Zupełnie bez sensu mężczyźni po obu stronach otworzyli drzwi i wysiedli, pozostawiając jej wybór wyjścia. Wybrała więc Ciężką Nogę, ponieważ wiedziała, że jest głupi, a o drugim nie miała pojęcia. I rzeczywiście okazał się głupi, gdyż trzymał ją tylko za jedną rękę, a drugą zamykał drzwi. Dlatego szarpnęła w jedną stronę, jak gdyby się potknęła, i wytrąciła go z równowagi. Potem, wykorzystując jego chwyt jako podparcie, wykonała podwójne kopnięcie - w krocze i w kolano. Oba razy trafiła solidnie, a on puścił ją grzecznie, zanim osunął się na trawę. Jedną ręką trzymał się za krocze, drugą usiłował przesunąć rękę na miejsce do przodu.

Czy sądzili, że zapomniała o zajęciach z walki wręcz? Czy nie uprzedziła go, że dostanie jego jaja w torebce?

Odbiegła spory kawałek. Była całkiem dumna z tego, jak nauczyła się biegać przez te

miesiące ćwiczeń w szkole. I nagle uświadomiła sobie, że jej nie gonią. Czyli wiedzą, że wcale nie muszą...

Zauważyła to akurat w chwili, kiedy poczuła, że coś przebija jej skórę nad prawą łopatką. Zdążyła zwolnić, ale już nie się zatrzymać, nim znów zapadła w nieświadomość.

Tym razem trzymali ją uśpioną, dopóki nie dotarli do celu. Ponieważ nie widziała okolicy, jedynie ściany czegoś, co wyglądało na podziemny bunkier, nie miała pojęcia, gdzie ją umieścili. Gdzieś w Rosji - to wszystko. Po zadrapaniach i sińcach na kolanach, dłoniach i nosie domyśliła się, że nie traktowali jej zbyt delikatnie. Tę cenę zapłaciła za bycie zarozumiałą, wścibską introwertyczką. A może poszło o wkurzanie ludzi?

Leżała na pryczy, póki nie przyszła lekarka i nie opatrzyła jej zadrapań jakąś piekącą mieszkanką kwasu i alkoholu - tak się przynajmniej wydawało.

- To na wypadek gdyby nie bolało dość mocno? - spytała Petra. Lekarka nie odpowiedziała. Pewnie ją uprzedzili, co spotyka ludzi, którzy rozmawiają z Petrą.

- Ten facet, którego kopnęłam w jaja... Musieli mu amputować?

Żadnej odpowiedzi. Nawet śladu uśmiechu. Czy to możliwe, że to ta jedyna wykształcona osoba w Rosji, która nie zna wspólnego?

Przynosili jej posiłki, światła gasły i zapalały się, ale nikt nie przychodził z nią rozmawiać i nie pozwalali jej wychodzić z pomieszczenia. Przez ciężkie drzwi niczego nie słyszała. Stało się jasne, że karą za złe zachowanie w drodze będzie przez jakiś czas samotny pobyt w celi.

Postanowiła nie prosić o litość. Kiedy tylko zrozumiała, że jest izolowana, pogodziła się z tym i odizolowała jeszcze bardziej. Nie odzywała się ani nie reagowała na ludzi, którzy wchodzili i wychodzili. Oni też nie próbowali rozmawiać, więc w jej świecie panowała całkowita cisza.

Nie rozumieli, jak doskonale jest samowystarczalna. Jak jej umysł potrafi pokazać więcej niż zwykła rzeczywistość. Mogła przywoływać wspomnienia całymi stadami, rzeszami. Pełne rozmowy. Potem nowe wersje tych rozmów, w których zdołała wtrącić inteligentne uwagi, jakie naprawdę przyszły jej do głowy o wiele później.

Mogła też przeżywać każdą chwilę z bitew stoczonych na Erosie. Zwłaszcza tej bitwy, w połowie której zasnęła. Jak była zmęczona. Jak rozpaczliwie walczyła, by zachować przytomność. Jak czuła, że jej umysł staje się ociężały, zaczynała zapominać, gdzie jest i po co, a nawet kim jest.

Aby uciec przed tą powtarzającą się w nieskończoność sceną, próbowała myśleć o czymś innym. O rodzicach, o młodszym bracie. Pamiętała wszystko, co robiła i mówiła od

powrotu, ale po jakimś czasie ważne stały się tylko najdawniejsze wspomnienia, sprzed Szkoły Bojowej. Wspomnienia, które przez dziewięć lat starała się tłumić: obietnice rodzinnego życia, nigdy nie spełnione. Pożegnanie z matką, która płacząc wypuściła ją z objęć. Dłoń ojca, kiedy prowadził ją do samochodu. Ta dłoń zawsze dotąd dawała poczucie bezpieczeństwa, ale tym razem powiodła ją do miejsca, gdzie nigdy już nie czuła się bezpieczna. Petra wiedziała, że sama postanowiła jechać - ale przecież była tylko dzieckiem. Wiedziała, że tego właśnie od niej oczekują. I że nie podda się pokusie, by podbiec do zapłakanej matki, przytulić się i powiedzieć: Nie, nie chcę, niech ktoś inny będzie żołnierzem, ja wolę zostać i piec z mamą ciasto, i bawić się w dom z moimi lalkami. A nie lecieć w kosmos, gdzie mnie nauczą, jak zabijać niezwykle i straszne istoty... a przy okazji i ludzi, którzy mi zaufali, a ja za... zasnęłam.

Samotność ze wspomnieniami nie była dla niej szczęśliwym okresem.

Podjęła głodówkę, zwyczajnie ignorując jedzenie, które jej przynosili. Płynę także - niczego nie brała do ust. Spodziewała się, że ktoś spróbuje ją przekonać, jakoś namówić - ale nie. Weszła lekarka, przykleiła jej na ramię plaster, a kiedy Petra się obudziła, ręka ją bolała po kropłówce. Zrozumiała, że nie ma co odmawiać jedzenia.

Z początku nie prowadziła kalendarza, ale po tej kropłówce zaczęła - na własnym ciele. Tak mocno przyciskała paznokcie do skóry, aż zaczynała krwawić. Siedem dni na lewym nadgarstku, siedem na prawym. Musiała tylko pamiętać liczbę tygodni.

Tyle że nie chciało jej się już odliczać trzeciego. Pojęła, że chcą ją przeczekać. Mieli przecież innych porwanych i któreś z nich na pewno zgodziło się współpracować, więc nic im nie zaszkodzi, jeśli ona zostanie w swojej celi, coraz bardziej w tyle, aż kiedy w końcu wyjdzie, okaże się najgorsza ze wszystkich, cokolwiek robią.

I dobrze. Co ją to obchodzi? Przecież i tak nie zamierzała im pomagać.

Ale jeśli chce się uwolnić od tych ludzi i z tego pomieszczenia, musi stąd wyjść. Musi się znaleźć w miejscu, gdzie zdobędzie zaufanie i wtedy zdoła się wyrwać.

Zaufanie... Spodziewają się, że będzie kłamać, będzie spiskować. Musi zatem być tak przekonująca, jak tylko potrafi. Długa samotność z pewnością pomoże - każdy wie, że izolacja powoduje silne napięcia psychiczne. Poza tym na pewno już wiedzą od innych dzieciaków, że Petra pierwsza załamała się pod napięciem podczas bitew na Erosie. Czyli skłonni będą uwierzyć w załamanie teraz.

Zaczęła płakać. Nie było to trudne. Zebrała w sobie dość prawdziwych łez. Ale ukształtowała te emocje w skamlące łkanie, które trwało i trwało. Ciekło jej z nosa, ale go nie wycierała. Łzy spływały z oczu, ale pozostawiała mokre policzki. Nie odsunęła wilgotnej poduszki, odwróciła tylko, nawijając na nią włosy, a potem znowu, i jeszcze raz, aż pozlepiały

się od śluzu, a twarz pokryła skorupa. Pilnowała, żeby szloch nie stawał się bardziej rozpaczliwy - niech nikt nie myśli, że próbuje zwrócić na siebie uwagę. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie ucichnąć, gdy ktoś wejdzie do pomieszczenia, ale zrezygnowała. Uznała, że będzie bardziej przekonująca, jeśli w ogóle nie zauważy, jak wchodzi czy wychodzi.

Udało się. Po jednym dniu płaczu ktoś wszedł i nakleił jej plaster. Kiedy tym razem się obudziła, leżała w szpitalnym łóżku; za oknem widziała bezchmurne północne niebo. A przy łóżku siedział Dink Meeker.

- Cześć, Dink - powiedziała.

- Cześć, Petra. Nieźle dowaliłaś tym conchos.

- Człowiek robi co może dla sprawy - odparła. - Kto jeszcze?

- Ty jesteś ostatnia, która wyszła z izolatki. Mają tu cały zespół z Erosa. Oprócz Endera, naturalnie. I Groszka.

- Nie siedzi w izolatce?

- Nie. Nie trzymali w tajemnicy, kogo mają w pudle. Uznaliśmy, że nieźle im pokazałaś.

- Kto wyszedł ostatni przede mną?

- Czy to ważne? Wszyscy po pierwszym tygodniu. Ty wytrzymałaś pięć.

Czyli minęło dwa i pół tygodnia, zanim zaczęła prowadzić kalendarz.

- Bo ja jestem ta głupia?

- Uparta. To lepsze słowo.

- Wiecie, gdzie jesteście?

- W Rosji.

- Ale gdzie w Rosji?

- Daleko od wszystkich granic. Tak mówią.

- Co mamy do dyspozycji?

- Bardzo grube mury. Żadnych narzędzi. Stały nadzór. Wazą nasze odchody... nie żartuję.

- Co każą nam robić?

- Coś w rodzaju trochę bardziej tępej wersji Szkoły Bojowej. Wytrzymywaliśmy to dość długo, ale w końcu Fly Moło zrezygnował. I kiedy jeden z nauczycieli zacytował któreś z głębszych uogólnień von Clausevitz, Fly kontynuował cytat, zdanie po zdaniu, akapit po akapicie. Reszta się przyłączyła, jak najlepiej umieliśmy, przecież nikt nie ma takiej pamięci jak Fly, ale wystarczyło. W końcu dotarło do nich, że sami moglibyśmy im robić te durne wykłady. Więc teraz mamy tylko... gry wojenne.

- Znowu? I co, potem zamierzają nam wyjawić, że to było naprawdę?

- Nie, to tylko planowanie. Opracowanie strategii. Wojna między Rosją a Turkmenistanem. Między Rosją a sojuszem Turkmenistanu, Kazachstanu, Azerbejdżanu i Turcji. Wojna ze Stanami Zjednoczonymi i Kanadą. Wojna z dawnym paktem NATO bez Niemiec. Wojna z Niemcami. I tak dalej. Chiny. Indie. I jeszcze naprawdę durne numery, jak wojna między Peru a Brazylią, całkiem bez sensu. Chyba że sprawdzają nasze posłuszeństwo albo co.

- Wszystko to w ciągu pięciu tygodni?

- Trzy tygodnie tych kuso wykładów, potem dwa tygodnie gier wojennych. Kiedy kończymy plan, wpuszczają go w komputer, żeby nam pokazać, jak wyszedł. Pewnego dnia zrozumiemy, że jedyny sposób, aby to załatwić i nie marnować czasu, to kazać komuś z nas przygotować też plany dla przeciwnika.

- Myślę, że właśnie im to powiedziałeś.

- Mówiłem wcześniej, ale trudno ich przekonać. Klasyczne wojskowe trepy. Człowiek zaczyna rozumieć, po co w ogóle stworzyli koncepcję Szkoły Bojowej. Gdyby tę wojnę zostawili dorosłym, robale siedziałyby już przy każdym stole na świecie.

- Ale słuchają nas?

- Podejrzewam, że nagrywają wszystko, a potem odtwarzają w zwolnionym tempie, żeby sprawdzić, czy nie subwokalizujemy. Petra uśmiechnęła się.

- No więc dlaczego w końcu zgodziłaś się współpracować? - zapytał Dink.

Wzruszyła ramionami.

- Nie sądzę, żebym się zgodziła.

- Chwila... Nie wypuszczają cię z pudła, dopóki nie wyrazisz szczerzej chęci bycia grzecznym, posłusznym dzieckiem. Pokręciła głową.

- Chyba nie wyraziłam.

- No tak... Cokolwiek zrobiłaś, mała, zламаłaś się jako ostatnia z jeesha Endera.

Krótko zadzwonił brzęczyk.

- Czas się skończył - stwierdził Dink.

Wstał, schylił się, pocałował ją w czoło i wyszedł.

* * *

Sześć tygodni później Petrze zaczęło się to naprawdę podobać. Tak długo wysuwali żądania, że dostali wreszcie przyzwoity sprzęt i oprogramowanie pozwalające na realistyczne, taktyczne i strategiczne rozgrywki między sobą. Dostali także dostęp do sieci, więc mogli

porządnie zbadać tereny i możliwości stron, dzięki czemu gry wojenne nabrały realizmu. Wiedzieli, że każda wiadomość jest cenzurowana, czego dowodziła liczba zatrzymanych z takiego czy innego niejasnego powodu. Cieszyli się swoim towarzystwem, ćwiczyli razem i z pozoru stanowili grupę zadowolonych i posłusznych rosyjskich dowódców.

Petra wiedziała jednak - wszyscy wiedzieli - że każde z nich udaje. Robili głupie błędy, które - popełnione w bitwie - powodowałyby luki, jakie mógłby wykorzystać sprytny przeciwnik. Może ich dozorczy to dostrzegali, może nie. Przynajmniej oni sami czuli się z tym lepiej, choć nigdy na ten temat nie rozmawiali. A ponieważ wszyscy postępowali tak samo i współpracowali, nie wykorzystując słabości swych planów, mogli tylko zakładać, że w tej kwestii wszyscy mają te same opinie.

Rozmawiali swobodnie o wielu sprawach - o pogardzie dla porywaczy, o wspomnieniach ze Szkoły Naziemnej, Szkoły Bojowej i Szkoły Dowodzenia. I oczywiście o Enderze. Był poza zasięgiem tych drani, więc starali się jak najczęściej o nim mówić, przewidywać, że MF na pewno go użyje, by pokrzyżować wszystkie te głupie plany Rosji. Wiedzieli, że to tylko zasłona dymna, że MF nic nie zrobi. Powiedzieli to nawet. Mimo to Ender pozostawał ostateczną kartą atutową.

Aż do dnia, kiedy jeden z byłych nauczycieli powiedział, że statek kolonizacyjny odleciał, zabierając na pokładzie Endera i jego siostrę, Valentine.

- Nie wiedziałem nawet, że ma siostrę - oświadczył Kant Zupa.

Nikt nie zareagował, choć wszyscy wiedzieli, że to niemożliwe. Wszyscy pamiętali, że Ender ma siostrę. Ale... cokolwiek zamierzał Kant Zupa, udzielał mu wsparcia i zobacz, na czym polega jego gra.

- Nieważne, co nam mówią - stwierdził Kant Zupa. - Jedno wiemy na pewno: Wiggin wciąż jest z nami.

I znowu nie byli pewni, co chce przez to powiedzieć. Jednak po króciutkiej pauzie Shen uderzył dłonią w pierś.

- W naszych sercach, na zawsze! - zawołał.

- Tak - zgodził się Kant Zupa. - Ender pozostanie w naszych sercach.

Najlżejszy nacisk na słowie „Ender”...

Ale poprzednio powiedział „Wiggin”.

A jeszcze wcześniej zwrócił ich uwagę na fakt, że wszyscy przecież wiedzieli o siostrze Endera. Wiedzieli też, że Ender ma brata. Jeszcze na Erosie, kiedy Ender wracał do siebie po załamaniu, gdy odkrył, że bitwy toczyły się naprawdę, Mazer Rackham zdradził im to i owo na jego temat. A Groszek powiedział jeszcze więcej, kiedy siedzieli razem i czekali, aż dopali się

Wojna Ligi. Słuchali wykładów Groszka o tym, ile znaczyli dla Endera jego brat i siostra. Że powodem przyjscia na świat Endera - mimo obowiązywania prawa dwójki dzieci - był fakt, że jego rodzeństwo było tak inteligentne, choć brat okazał się zbyt niebezpiecznie agresywny, a siostra zbyt biernie posłuszna. Groszek nie zdradził, skąd o tym wie, ale informacja została nieusuwalnie zarejestrowana w ich pamięci, powiązana z tym pełnym napięcia czasem po zwycięstwie nad Formidami, a przed pokonaniem Polemarchy, usiłującego przejąć MF.

Kiedy więc Kant Zupa stwierdził, że „Wiggin jest z nami”, nie chodziło mu o Endera ani Valentine, gdyż oni w oczywisty sposób „z nami” nie byli.

Peter - tak miał na imię. Peter Wiggin. Kant Zupa próbował im powiedzieć, że na Ziemi nadal pozostaje ktoś równie błyskotliwy jak sam Ender. Jeśli zdołają się jakoś z nim skontaktować, może zostanie sprzymierzeńcem towarzyszy broni swego brata. Może znajdzie sposób, by ich uwolnić.

Problem polegał teraz na tym, żeby nawiązać z nim kontakt.

Wysłanie e-maila byłoby bezcelowe - na pewno nie chcieli, by ich strażnicy zobaczyli stos wiadomości adresowanych na wszelkie możliwe warianty nazwiska Petera Wiggina, na wszelkich możliwych listach dyskusyjnych, jakie tylko przyszły im do głowy. Ale wieczorem Alai opowiadał im jakąś dziwną historię o dzinnie uwięzionym w butelce. Słuchali z udawanym zainteresowaniem, lecz wiedzieli, że najważniejsze słowa padły na samym początku. Alai mówił:

- Rybak pomyślał, że może w butelce jest list od jakiegoś rozbitka, ale kiedy wyjął korek, z wnętrza wyleciał kłęb dymu i...

Wtedy zrozumieli. Musieli wysłać wiadomość w butelce, wiadomość, która dotrze do wszystkich i wszędzie, ale zrozumie ją tylko brat Endera, Peter.

Kiedy Petra sobie to uświadomiła, pomyślała natychmiast, że skoro wszystkie te świetne umysły pracują nad metodą dotarcia do Petera Wiggina, ona może się zająć planem rezerwowym. Peter Wiggin nie był jedynym człowiekiem, który mógł im pomóc. Pozostał jeszcze Groszek. Co prawda Groszek prawie na pewno się ukrywa, ma więc mniejszą swobodę działania niż Peter Wiggin. Ale to nie znaczy, że nie potrafią go znaleźć.

Myślała o tym przez tydzień, w każdej wolnej chwili. Odrzucała jeden pomysł po drugim.

Wreszcie znalazła sposób ominięcia cenzorów.

Bardzo starannie opracowała treść swojej wiadomości, pilnując, by forma i dobór słów były dokładnie takie, jak trzeba. Potem, kiedy знаła ją już na pamięć, sprawdziła kod binarny każdej z liter w standardowym dwubajtowym formacie. Tego również nauczyła się na pamięć.

Wtedy zaczęła się najtrudniejsza część zadania. Wszystko robiła w głowie, żeby nie zostawiać śladu na papierze ani nie wpisywać na komputerze, gdzie monitor klawiatury mógłby zdradzić strażnikom wszystko, co napisała.

Tymczasem w jakiejś japońskiej witrynie znalazła skomplikowany czarno-biały rysunek smoka. Zapamiętała go w postaci małego pliku. Kiedy wreszcie miała w pamięci całą zakodowaną wiadomość, wystarczyło kilka minut zabawy z rysunkiem. Potem dodawała go jako część swojej sygnaturki do każdego wysyłanego listu. Na przygotowanie go poświęciła tak niewiele czasu, że nie sądziła, by strażnicy potraktowali to jako coś więcej niż nieszkodliwy kaprys. Gdyby pytali, zawsze mogła powiedzieć, że zrobiła to na pamiątkę Enderowej Armii Smoka w Szkole Bojowej.

Oczywiście, teraz nie był to sam rysunek smoka. Petra dołączyła krótki wierszyk:

Roześlij smoka.

Jeśli to zrobisz,

Szczęśliwy koniec

I im, i tobie.

Powie, gdyby spytali, że to taki ironiczny żarcik. Jeśli nie uwierzą, wytną smoka z jej pocztu i będzie musiała znaleźć inny sposób.

Dołączała go do każdego listu, jaki od tej chwili wysyłała. W tym również do pozostałych dzieci. Dostawała go z powrotem w odpowiedziach, co znaczyło, że rozumiały i pomagają. Nie miała pojęcia, czy dozorczy pozwolili smokowi wyjść poza budynek. W końcu jednak zaczęła dostawać smoki w e-mailach z zewnątrz. Wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że odniosła sukces - zakodowana wiadomość nadal była osadzona w rysunku. Nikt jej nie usunął.

Pozostała tylko jedna kwestia - czy Groszek zauważy smoka i czy przyjrzy mu się tak dokładnie, by zrozumieć, że jest to zagadka do rozwiązania.

4. Opieka

To: Graff%pilgrimage@colmin.gov

From: Chamrajnagar%Jawaharlal@ifcom.gov

Subject: Rozterka

Wie pan lepiej niż inni, jak ważna jest obrona niezależności Floty przed machinacjami polityków. To był powód, dla którego odrzuciłem sugestię „Locke'a”. W tym jednak przypadku myliłem się. Nic bardziej nie zagraża niezależności Floty niż perspektywa dominacji jednego kraju, zwłaszcza gdy - jak wydaje się prawdopodobne - ten szczególny kraj okazał już skłonność do przejęcia Floty i wykorzystania jej w celach nacjonalistycznych.

Obawiam się, że potraktowałem Locke'a zbyt surowo. Nie ośmielę się pisać do niego bezpośrednio, ponieważ - chociaż jest chyba godny zaufania - nigdy nie wiadomo, co mógłby zrobić Demostenes z listem przeproszającym od Polemarchy. Proszę zatem przekazać, że odwołuję swoją groźbę i życzę mu wszystkiego najlepszego.

Potrafię się uczyć na własnych błędach. Ponieważ jeden z towarzyszy Wiggina pozostaje poza kontrolą agresora, ostrożność nakazuje objęcie młodego Delphiki ochroną.

Pan przebywa na Ziemi, a ja nie, chwilowo przekazuję więc panu dowództwo nad kontyngentem MF i wszelkimi innymi siłami, jakich mógłby pan potrzebować. Rozkazy nadejdą przez kanał kodowany 6 stopnia (oczywiście). Otrzymuje pan też specjalne instrukcje, aby nie zdradzać mnie ani nikomu innemu, jakie kroki podejmie pan dla ochrony Delphiki i jego rodziny. Nie powinien zostać żaden ślad w rejestrach MF ani dowolnego rządu.

Przy okazji - proszę nie ufać nikomu w Hegemonii. Zawsze wiedziałem, że to gniazdo karierowiczów, ale ostatnie wydarzenia sugerują, że karierowicza zastępuje ktoś gorszy: zatwardziały ideolog.

Niech pan działa szybko. Wydaje się, że albo stanęliśmy na skraju nowej wojny, albo Wojna Ligi nigdy się naprawdę nie skończyła.

Ile dni można przebywać w zamknięciu, w otoczeniu strażników, zanim człowiek zacznie się czuć jak więzień? Groszek nigdy nie odczuwał klaustrofobii w Szkole Bojowej. Nawet na Erosie, gdzie niskie stropy w tunelach robali chwiały się nad głową niby samochód ześlizgujący się z podnośnika. Nie to co tutaj, gdzie był zamknięty z rodziną i krążył po czteropokojowym apartamencie. Właściwie to nie krążył. Czuł się tylko, jakby chodził

dookoła, ale naprawdę siedział w miejscu, panował nad sobą i myślał, w jaki sposób odzyskać kontrolę nad własnym życiem.

Przebywanie pod czyjąś ochroną było dostatecznie irytujące - nigdy tego nie lubił, choć zdarzyło mu się to już, kiedy Buch chroniła go na ulicach Rotterdamu albo kiedy siostra Carlotta ocaliła go od pewnej śmierci, przyjmując do siebie, a potem wysyłając do Szkoły Bojowej. Ale wówczas mógł coś zrobić, by się upewnić, że wszystko idzie jak należy. Teraz było inaczej. Wiedział, że coś się nie uda, i nic nie mógł na to poradzić.

Ludzie pilnujący mieszkania i otaczający budynek byli dobrymi, lojalnymi żołnierzami. Groszek nie miał powodu, by w to wątpić. Nie zdradzą go - prawdopodobnie. I urzędnicy, którzy mieli utrzymywać położenie kryjówki w tajemnicy. Na pewno nie świadoma zdrada, ale zwykle niewinne przeoczenie ujawni wrogom jego adres.

Tymczasem Groszek mógł tylko czekać, uwięziony przez swych opiekunów. Byli pajęczyną trzymającą go w miejscu dla pajaka. I nic nie mógł zrobić, aby zmienić tę sytuację. Gdyby Grecja prowadziła wojnę, Groszek i Nikolai opracowywaliby strategię, kreślili plany. Ale gdy chodziło o bezpieczeństwo, obaj byli po prostu dziećmi, które wymagają ochrony i opieki. Nic by nie pomogły tłumaczenia Groszka, że najlepszą ochroną byłby wyjazd stąd i samodzielne życie na ulicach jakiegoś miasta, gdzie mógłby się stać kimś bezimiennym, bez twarzy, zagubionym i bezpiecznym. Bo wyglądał jak zwykły mały chłopiec. A kto słucha małych chłopców?

Małymi chłopcami ktoś musi się opiekować - muszą się opiekować dorośli, którzy nie są w stanie zapewnić tym chłopcom bezpieczeństwa.

Miał ochotę rzucić czymś w okno i wyskoczyć.

Siedział jednak spokojnie. Czytał książki. Wpisał się do sieci, wykorzystując jeden ze swych licznych adresów, i krążył, szukając okruchów informacji, jakie przesączały się przez wojskowe systemy bezpieczeństwa wszystkich krajów. Miał nadzieję, że coś zdradzi, gdzie są Petra i Fly Molo, Wład i Zrzut. Szukał jakiegoś kraju, który okazuje odrobinę większą zarozumiałość, ponieważ sądzi, że ma teraz wszystkie atuty. Albo kraju, który nagle zaczął działać ostrożniej i metodycznie, ponieważ w końcu ktoś obdarzony mózgiem kierował strategią.

To było bez sensu. Wiedział, że niczego w ten sposób nie odkryje. Prawdziwe informacje nigdy nie trafiały do sieci, dopóki nie było już za późno, żeby jakoś je wykorzystać.

Ktoś wiedział... Fakty, potrzebne by znaleźć drogę do przyjaciół, były dostępne na dziesiątku serwerów - wiedział o tym, wiedział na pewno, ponieważ zawsze tak jest. Historycy znajdują je i przez tysiące stron będą się zastanawiać: Dlaczego nikt nie zauważył? Dlaczego nikt

nie skojarzył tego wszystkiego? Ponieważ ludzie, którzy dysponowali informacją, byli zbyt tępi, żeby zrozumieć, co mają, a ludzie, którzy potrafiliby zrozumieć, siedzieli zamknięci w apartamencie w opuszczonym uzdrowisku, gdzie nawet turyści nie chcieli już przyjeżdżać.

Najgorsze, że nawet mama i ojciec działali mu na nerwy. Nigdy nie dawali mu odczuć, że jest intruzem, obcym, nawet gościem. Było tak, jakby zawsze tutaj przynależał. Lubili go. Kochali go. To dziwne, radosne uczucie - być z ludźmi, którzy niczego od niego nie chcą, pragną tylko jego szczęścia. Którzy cieszą się po prostu z tego, że jest przy nich.

Ale kiedy ktoś wariuje w zamknięciu, nieważne, jak bardzo kogoś lubi, jak kocha, jak jest wdzięczny za okazane uczucia. I tak wszyscy doprowadzają go do szału. Wszystko, co robią, irytuje niby natrętna marna piosenka, której nie można zapomnieć. Człowiek ma ochotę wrzasnąć, żeby się zamknęli. Jednak nie robi tego, bo ich kocha i wie, że pewnie sam działa im na nerwy. A póki nie ma nadziei na uwolnienie, trzeba zachować spokój...

I kiedy wreszcie ktoś puka do drzwi, człowiek nagle pojmuję, że w końcu coś się wydarzy.

W drzwiach stanęli pułkownik Graff i siostra Carlotta. Graff tym razem w garniturze, siostra Carlotta w ekstrawaganckiej kasztanowej peruce, w której wyglądała całkiem głupio, ale też w pewien sposób ładnie. Cała rodzina poznała ich natychmiast, z wyjątkiem Nikolaia, który nigdy nie widział Carloty. Ale kiedy Groszek i rodzice chcieli się przywitać, Graff ich powstrzymał gestem. Zakonnica przytknęła palec do warg. Weszli oboje do środka, zamknęli drzwi i dali znak, żeby iść za nimi do łazienki.

Było trochę ciasno, gdy w sześcioro się tam znaleźli - mama i ojciec musieli stanąć pod prysznicem. Graff zawiesił na lampie nieduży aparat. Kiedy zamrugła czerwona lampka, odezwał się cicho:

- Witam. Przyjechaliśmy was stąd zabrać.
- Po co te środki ostrożności? - spytał ojciec.
- Ponieważ jedną z funkcji tutejszego systemu bezpieczeństwa jest słuchanie wszystkiego, co się mówi w tym mieszkaniu.
- Szpiegują nas, żeby nas chronić? - zdziwiła się mama.
- Oczywiście - potwierdził ojciec.
- Wszystko, co powiemy, może przecieknąć do systemu - mówił dalej Graff. - I z całą pewnością szybko wycieknie poza system. Dlatego przyniosłem to niewielkie urządzenie. Słyszy każdy dźwięk, jaki wydajemy, i wytwarza kontrdźwięk. Dzięki temu jesteśmy praktycznie niesłyszalni.
- Praktycznie? - wtrącił Groszek.

- Z tego powodu nie będę wchodził w szczegóły. Zdradzę tylko tyle: jestem ministrem kolonizacji i mamy statek, który odlatuje za parę miesięcy. Dość czasu, żeby zabrać was z Ziemi do ISL, a potem na Erosa. Zdążycie na start.

Ale mówiąc to, Graff kręcił głową, a siostra Carlotta uśmiechała się i też kręciła głową, żeby zrozumieli, że to wszystko kłamstwo. Legenda.

- Groszek i ja byliśmy już w kosmosie, mamó - powiedział Nikolai, wchodząc w rolę. - Nie jest tak źle.

- Dlatego prowadziliśmy tę wojnę - włączył się Groszek. - Formidzi chcieli Ziemi, bo jest taka jak planety, na których żyli. Czyli teraz, kiedy ich już nie ma, my przejmujemy ich światy, które powinny nam odpowiadać. To sprawiedliwe, prawda?

Oczywiście, rodzice zrozumieli, o co chodzi. Ale Groszek znał mamę dostatecznie dobrze, by się nie zdziwić, gdy spróbowała zadać całkiem niepotrzebne i niebezpieczne pytanie. Musiała się upewnić.

- Ale przecież naprawdę... - zaczęła. Ojciec delikatnie zamknął jej usta dłonią.

- To jedyny sposób, żebyśmy byli bezpieczni - powiedział. - Kiedy już osiągniemy prędkość podświetlną, dla nas minie tylko kilka lat, a na Ziemi dziesięciolecia. Zanim dotrzemy do celu, wszyscy, którzy chcą naszej śmierci, sami poumierają.

- Jak Józef i Maria, którzy wywieźli Jezusa do Egiptu - zauważyła mama.

- Właśnie.

- Tyle że oni wrócili potem do Nazaretu.

- Gdyby Ziemia sama siebie zniszczyła w jakiejś głupiej wojnie - podjął ojciec - dla nas nie będzie to już miało znaczenia. Zaczniemy nowe życie w nowym świecie. Ciesz się z tego, Eleno. To znaczy, że możemy zostać razem.

Pocałował ją.

- Pora ruszać. - Graff zerwał tłumik z lampy. - Niech państwo wezmą chłopców.

Żołnierze, którzy czekali w korytarzu, nosili mundury MF - w polu widzenia nie było ani jednego greckiego. I byli uzbrojeni po zęby. Eskortowali ich do schodów - żadnych wind, żadnych drzwi, które mogą rozsunąć się nagle i pasażerowie znajdują się w pułapce, zdani na łaskę wroga, który może cisnąć do kabiny granat albo parę tysięcy pocisków. Groszek zwrócił uwagę, jak prowadzący żołnierz obserwuje wszystko, sprawdza każdy zakamarek, światło pod każdymi drzwiami w korytarzu - nic nie może go zaskoczyć. Widział także, jak ciało tego młodego człowieka porusza się pod ubraniem z hamowaną energią, tak że materiał wydaje się cienki niczym chusteczki higieniczne; żołnierz mógłby rozerwać go lekkim szarpnięciem, ponieważ nic nie mogło go powstrzymać oprócz własnego opanowania. Wydawało się, że jego

pot to czysty testosteron. Taki właśnie powinien być mężczyzna. Żołnierz.

Ja nigdy nie byłem żołnierzem, pomyślał Groszek. Spróbował wyobrazić sobie siebie takiego, jaki był w Szkole Bojowej, kiedy wkładał przycięte fragmenty skafandra, który nigdy porządnie nie pasował. Groszek zawsze wyglądał jak małpka przebrana dla żartu za człowieka. Jak maluch, który włożył ciuchy z szuflady starszego brata. Ten mężczyzna z przodu... Kimś takim chciałby zostać, kiedy dorośnie. Ale choćby nie wiadomo jak się starał, nie potrafił wyobrazić sobie siebie dużego. Nie, nawet siebie normalnego wzrostu. Owszem, jest płci męskiej, jest człowiekiem, ale nigdy nie będzie męski. Nikt nigdy nie spojrzy na niego i nie powie: Oto prawdziwy mężczyzna.

Z drugiej strony ten żołnierz nigdy nie wydał rozkazów, które zmieniły bieg historii. Świetny wygląd w mundurze to nie jedyny sposób, by zyskać swoje miejsce w świecie.

W dół po schodach, trzy poziomy, a potem krótkie oczekiwanie daleko od wyjścia ewakuacyjnego. W tym czasie dwóch żołnierzy wyszło na zewnątrz i zaczęło na sygnał ze śmigłowca MF, stojącego o trzydzieści metrów od drzwi. Sygnał nadszedł. Graff i siostra Carlotta poprowadzili całą grupę, wciąż szybkim marszem. Nie rozglądali się, ale patrzeli wprost na maszynę. Wsiedli, zapięli pasy, śmigłowiec przechylił się, uniósł i poleciał nisko nad wodą.

Mama chciała natychmiast poznać prawdziwy plan, lecz Graff grzecznie, choć krzykiem uciął rozmowę.

- Zaczekajmy, aż będziemy mogli rozmawiać bez wrzasków!

Mamie się to nie podobało, jak zresztą nikomu. Ale obok siedziała siostra Carlotta ze swym najlepszym uśmiechem zakonniczki, „dziewica na szkoleniu”. Jak mogliby jej nie zaufać?

Po pięciu minutach w powietrzu wylądowali na pokładzie okrętu podwodnego. Był duży, a na kiosku miał wymalowaną amerykańską flagę. Groszek pomyślał, że przecież nie wiedzą, jaki kraj porwał inne dzieci. Czy mogą mieć pewność, że nie wchodzi właśnie sami w ręce wroga?

Kiedy jednak zeszli do wnętrza, przekonał się, że chociaż załoga nosi amerykańskie mundury, broń mieli tylko żołnierze MF, którzy ich tu dostarczyli, i jeszcze kilku czekających na okręcie. Ponieważ władza płynie z lufy karabinu, a jedyne karabiny tutaj były pod rozkazami Graffa, uspokoił się trochę.

- Jeśli próbuje nas pan przekonać, że możemy rozmawiać tutaj... - zaczęła mama, ale ku jej zdumieniu Graff uniósł dłoń, a siostra Carlotta gestem nakazała milczenie. Graff ruszył za prowadzącym żołnierzem przez wąski korytarz.

Wreszcie cała szóstka znowu wcisnęła się do ciasnego pomieszczenia - tym razem była

to kajuta oficera - i raz jeszcze zaczekali, aż Graff uruchomi tłumik dźwięku. Kiedy zamrugało światelko, mama odezwała się pierwsza.

- Próbuję odgadnąć, po czym możemy poznać, że nie zostaliśmy porwani tak jak tamci - rzekła oschłym tonem.

- Trafiła pani - stwierdził ironicznie Graff. - Wszystkie te dzieciaki porwała grupa zakonnic terrorystek, wspomaganych przez tłustych i podstarzałych biurokratów.

- On żartuje - wtrącił ojciec, żeby uspokoić rozgniewaną mamę.

- Wiem, tyle że jakoś mnie to nie śmieszy. Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, mamy teraz iść za nimi bez słowa, bez jednego wyjaśnienia, mamy po prostu... zaufać?

- Przykro mi - powiedział Graff - ale w poprzednim miejscu pobytu i tak musieliście ufać greckiemu rządowi. Komuś musicie. Dlaczego nie nam?

- Grecka armia przynajmniej tłumaczyła nam swoje działania i udawała, że ma prawo podejmować decyzje.

Mnie i Nikolaiowi niczego nie tłumaczyli, chciał zawołać Groszek.

- Dajcie spokój, dzieci. Dość tych kłótni - wtrąciła siostra Carlotta. - Plan jest bardzo prosty. Grecka armia nadal strzeże budynku, jakbyście wciąż tam mieszkali. Dostarczają posiłki i dbają o pranie. Prawdopodobnie nikogo w ten sposób nie oszukają, ale dzięki temu grecki rząd będzie się czuł jak uczestnik akcji. Tymczasem czworo pasażerów odpowiadających waszym rysopisom, ale podróżujących pod innymi nazwiskami, polecą na Erosa. Tam wejdą na pokład statku kolonizacyjnego. Dopiero po starcie ogłosi się, że dla własnego bezpieczeństwa rodzina Delphiki wybrała stałą emigrację i nowe życie na nowej planecie.

- A gdzie będziemy naprawdę? - chciał wiedzieć ojciec.

- Nie wiem - odparł krótko Graff.

- Ja też nie - dodała siostra Carlotta.

Rodzice Groszka patrzeli na nich z niedowierzaniem.

- To chyba znaczy, że nie zostaniemy na okręcie - wyjaśnił Nikolai. - Wtedy wiedzieliby bardzo dokładnie, gdzie jesteśmy.

- To podwójna zasłona - dodał Groszek. - Podzielią nas. Ja pójdę w jedną stronę, wy w drugą.

- Wykluczone - zaprotestował ojciec.

- Mamy już dość życia daleko od siebie - poparła go mama.

- To jedyny sposób - tłumaczył Groszek. - Wiedziałem o tym. Ja... Tak będzie lepiej.

- Chcesz nas opuścić?

- To mnie chcą zabić.

- Tego nie wiemy na pewno!

- Ale prawie. Jeśli nie będzie mnie przy was, to nawet gdy was znajdą, prawdopodobnie zostawią w spokoju.

- A jeśli się podzielimy - podjął Nikolai - zmieni się profil poszukiwań. Nie ojciec, matka i dwaj synowie, ale ojciec, matka i syn. Oraz babcia z wnuczką. - Uśmiechnął się do siostry.

- Liczyłam raczej na ciotkę z siostrzeńcem - odpowiedziała.

- Mówicie tak, jakbyście już znali ten plan - poskarżyła się mama.

- To było oczywiste - odparł Nikolai. - Od chwili kiedy przekazali nam tę legendę w łazience. Po co innego pułkownik Graff przywoziłby siostrę Carlottę?

- Dla mnie to wcale nie było oczywiste - stwierdziła mama.

- Ani dla mnie - poparł ją ojciec. - Tak to bywa, kiedy obaj synowie są wojskowymi geniuszami.

- Jak długo? - zapytała mama. - Kiedy to się skończy? Kiedy Groszek do nas wróci?

- Nie wiem - wyznał Graff.

- Nie może tego wiedzieć, mamó - wyjaśnił Groszek. - Dopóki nie odkryjemy, kto stoi za tymi porwaniami i dlaczego. Gdy zrozumiemy, na czym polega zagrożenie, możemy ocenić, kiedy środki ostrożności okażą się dostateczne, żeby pozwolić na częściowe wyjście z ukrycia.

Mama rozplakała się nagle.

- I ty tego chcesz, Julianie?

Groszek ją objął. Nie dlatego że odczuwał taką chęć, ale ona potrzebowała tego gestu. Mieszkanie przez rok z rodziną nie dało mu pełnego zakresu ludzkich reakcji emocjonalnych, ale przynajmniej uświadamiał sobie, jakie powinny być te reakcje. Jedną przeżywał naprawdę - czuł się trochę winien, że tylko udaje zachowanie, jakiego oczekuje mama, że nie kieruje nim serce. Ale takie gesty nigdy nie płynęły mu z serca. Ten język poznał zbyt późno, żeby posługiwać się nim naturalnie. Językiem serca już zawsze będzie mówił z obcym akcentem.

Prawda była taka, że choć kochał swoją rodzinę, nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do miejsca, gdzie będzie mógł wziąć się do pracy. Musiał nawiązać odpowiednie kontakty, które pozwolą mu uzyskać informacje niezbędne do odnalezienia przyjaciół. Poza Enderem pozostał jedynym wolnym członkiem z jeeshu. Potrzebowali go, zmarnował już dość czasu.

Dlatego objął mamę, a ona przytuliła go mocno i szlochała. Uścisnął także ojca, mocno i krótko. Z Nikolaiem tylko trzepnęli się nawzajem w ramię. Dla niego były to obce gesty, ale wiedział, ile dla nich znaczą, więc wykonywał je, jakby przychodziły mu naturalnie.

Okręt podwodny był szybki. Po krótkim rejsie dotarli do zatłoczonego portu. Do Salonik, jak domyślił się Groszek, choć mógł to być dowolny port towarowy na Morzu Egejskim. Okręt właściwie wcale nie wszedł do portu. Wynurzył się na powierzchnię między dwoma statkami płynącymi równoległymi kursami na redę. Mama, ojciec, Nikolai i Graff przepłynęli na jeden z frachtowców w towarzystwie dwóch żołnierzy, przebranych już w cywilne ubrania, jakby mogło to ukryć ich wojskową postawę i zachowanie. Groszek i Carlotta zostali na okręcie. Żadna z grup nie miała wiedzieć, co się dzieje z drugą. Nie będzie żadnych prób kontaktu między nimi. Mama pogodziła się z tym nie bez oporu.

- Dlaczego nie możemy pisać? - spytała.

- Nie ma nic łatwiejszego do prześledzenia niż e-maile - wyjaśnił ojciec. - Nawet gdybyśmy używali fałszywych sieciowych tożsamości. Jeśli ktoś nas znajdzie, a my będziemy regularnie pisać, odkryją wzorzec i wyśledzą Juliana.

Wtedy mama zrozumiała - ale tylko umysłem, nie sercem.

We wnętrzu okrętu Groszek i siostra Carlotta usiedli przy małym stoliku w mesie.

- I co? - zapytał Groszek.

- I nic - odparła.

- Dokąd popłyniemy?

- Nie mam pojęcia - oświadczyła siostra Carlotta. - Przerzucą nas na inny statek w innym porcie, potem zejdziemy na ląd i będziemy mieli fałszywe dokumenty, ale tak naprawdę nie wyobrażam sobie, dokąd powinniśmy się stamtąd skierować.

- Musimy się przemieszczać - stwierdził Groszek. - Nie dłużej niż kilka tygodni w jednym miejscu. I po każdej przeprowadzce muszę wchodzić do sieci z nowego adresu, żeby nikt nie wykrył wzorca.

- Naprawdę sądzisz, że ktoś skataloguje wszystkie e-maile na całym świecie i prześledzi te, w których piszący zmienia miejsce wejścia do sieci?

- Tak. Prawdopodobnie już to robią, więc to tylko kwestia uruchomienia analizy.

- Przecież trzeba by zbadać miliardy wiadomości dziennie!

- Dlatego jest tylu urzędników do sprawdzania adresów e-mailowych w głównej centrali - rzekł Groszek. I uśmiechnął się do siostry Carlotty.

Nie odpowiedziała mu uśmiechem.

- Rzeczywiście jesteś zarozumiałym i bezczelnym dzieciakiem - stwierdziła.

- Naprawdę zostawiasz mi decyzję, dokąd pojedziemy?

- Wcale nie. Czekam tylko z decyzją, dopóki nie dojdziemy do zgody.

- Daj spokój. To tylko pretekst, w dodatku mało wiarygodny, żeby zostać tutaj, przy tylu

przystojnych facetach.

- Poziom twoich żartów mocno się obniżył od czasu, kiedy żyłeś na ulicach Rotterdamu
- zauważyła chłodnym, analitycznym tonem.

- To wojna... - wyjaśnił Groszek. - Wojna zmienia mężczyznę.

Nie potrafiła dłużej zachować powagi. I chociaż parsknęła tylko krótko, a uśmiech przetrwał tylko moment, wystarczyło. Nadal go lubiła. A on, ku swemu zdziwieniu, też ciągle ją lubił, chociaż minęły już całe lata od czasu, kiedy mieszkali razem, a ona uczyła go, by został przyjęty do Szkoły Bojowej. Zdziwił się, ponieważ wtedy nie pozwolił sobie uświadomić, że ją lubi. Po śmierci Buch nie chciał przyznać, że lubi kogokolwiek. Teraz zrozumiał prawdę: tak, lubi siostrę Carlottę.

Pewnie za jakiś czas też zacznie działać mu na nerwy, tak jak rodzice. Ale kiedy to już nastąpi, będą mogli spakować się i wyjechać. Żadni żołnierze nie zakażą im wychodzić z domu ani zbliżać się do okien.

Nawet jeśli zupełnie nie będzie mógł wytrzymać, może odejść i żyć na własną rękę. Nigdy nie powie tego siostrze Carlocie, bo tylko by się zmartwiła. Poza tym na pewno i tak już wie. Ma przecież wszystkie wyniki testów. A testy zaplanowano, żeby mówiły o człowieku wszystko. Siostra Carlotta pewnie zna Groszka lepiej niż on sam.

Oczywiście pamiętał o tym, kiedy do nich przystępował. W całych jego testach psychologicznych z trudem można by znaleźć uczciwą odpowiedź. Poczytał już wtedy dostatecznie dużo o psychologii, żeby wiedzieć, jakie dokładnie odpowiedzi wykażą profil osobowości, który stanie się przepustką do Szkoły Bojowej. Czyli tak naprawdę wcale go nie poznała z tych testów.

Z drugiej strony jednak nie wiedział, wtedy ani teraz, jakie byłyby szczere odpowiedzi. Czyli on sam nie znał siebie ani trochę lepiej.

A że siostra Carlotta obserwowała go i była na swój sposób mądra, prawdopodobnie jednak znała go lepiej niż on sam.

To śmieszne - wierzyć, że istota ludzka może naprawdę poznać inną. Może się do niej przyzwyczaić, może przywyknąć tak, że potrafi przewidywać słowa i wypowiadać je równocześnie. Ale nigdy nie wie, dlaczego inni ludzie mówią to, co mówią, albo robią to, co robią. Bo przecież oni sami siebie nie znają. Nikt nikogo nie rozumie.

A jednak żyjemy jakoś obok siebie, na ogół w pokoju, i załatwiamy różne sprawy z dostatecznie wysokim odsetkiem sukcesów, by ludziom chciało się ciągle próbować. Istoty ludzkie pobierają się i często małżeństwa są udane, mają dzieci i większość wyrasta na przyzwoitych ludzi. Mają szkoły, firmy, fabryki, funkcjonują na pewnym akceptowalnym

poziomie - a wszystko to bez pojęcia, co dzieje się w głowach innych.

Trafiają na ślepo...

Tego aspektu ludzkiego życia Groszek najbardziej nie znosił.

5. Ambicja

To: Locke%espinoza@polnet.gov

From: Graff%%@colmin.gov

Subject: Poprawka

Poproszono mnie o przekazanie wiadomości, że groźba ujawnienia została cofnięta, oraz przeprosin. Nie powinieneś się obawiać, że twoja tożsamość jest szeroko znana. Rozpracowano ją kilka lat temu i chociaż wiele osób pozostających wtedy pod moją komendą dowiedziało się, kim jesteś, jest to grupa, która nie ma powodów, by naruszyć poufność tej informacji. Jedyne wyjątek zrezygnował pod wpływem okoliczności. Prywatnie muszę powiedzieć, że nie wątpię w twoje zdolności realizacji swoich ambicji. Mam tylko nadzieję, że w przypadku sukcesu postarasz się naśladować raczej Waszyngtona, MacArthura i Augusta niż Napoleona, Aleksandra albo Hitlera.

Colmin

Od czasu do czasu Peter z trudem się hamował, żeby komuś nie powiedzieć, co naprawdę dzieje się w jego życiu. Nigdy nie poddał się temu pragnieniu, oczywiście, ponieważ zdradzenie czegokolwiek oznaczałoby zaprzepaszczenie wszystkich wysiłków.

Ale zwłaszcza teraz, kiedy Valentine odeszła, ciężko było siedzieć tak i czytać osobisty list od ministra kolonizacji, i nie wołać innych studentów, żeby przyszli zobaczyć.

Kiedy on i Valentine przebili się wreszcie i umieścili eseje, czy też - w przypadku Valentine - diatryby na kilku głównych sieciach politycznych, poskakali trochę, pośmiali się i uściskali. Ale Valentine nie potrafiła na dłużej zapomnieć obrzydzenia do co drugiej tezy, jakiej broniła w swym wcieleniu Demostenesa. Posępniała, a wtedy on też tracił humor. Teraz tęsknił za nią, oczywiście, ale wcale nie tęsknił za kłótniami, za jej narzekaniem, że musi być czarnym charakterem. Nigdy nie potrafiła dostrzec, że właśnie osoba Demostenesa jest ciekawsza, daje większe możliwości. Cóż, kiedy sam z nim skończy, może jej go oddać - na długo zanim dotrze do tej planety, na którą ona i Ender zmierzali. Wtedy będzie już wiedziała, że nawet w najbardziej oburzających wystąpieniach Demostenes był katalizatorem. Sprawiał, że coś się działo.

Valentine... Głupia, skoro wybrała Endera i wygnanie zamiast Petera i życia. Głupia, że tak się rozżłościła z powodu oczywistej konieczności trzymania Endera z dala od Ziemi. Dla

jego własnego bezpieczeństwa, tłumaczył jej Peter; czy wydarzenia nie dowiodły, że miał rację? Gdyby Ender wrócił do domu, jak z początku chciała Valentine, byłby teraz więźniem - albo by zginął, zależnie od tego, czy porywaczom udało się skłonić go do współpracy. Miałem rację, Valentine, jak zawsze i we wszystkim. Ale ty wolisz być miłą niż prawdomówna, lubiana niż potężna. I raczej odejść na wygnanie z bratem, który cię wielbi, niż dzielić władzę z bratem, który uczynił cię kimś wpływowym.

Ender odszedł, Valentine. Kiedy zabrali go do Szkoły Bojowej, nigdy już nie miał wrócić do domu - nie jako ten twój bezcenny mały Enderek, którego uwielbiałaś, pieściłaś i trzęsałaś się nad nim jak mała dziewczynka, która bawi się w mamę ze swoją lalką. Mieli zrobić z niego żołnierza, zabójcę... Czy w ogóle oglądałaś to wideo, które pokazywali w czasie procesu Graffa? Gdyby nawet to coś o imieniu Andrew Wiggin wróciło do domu, nie byłby to Ender, nad którym rozpyływaś się aż do mdłości. Byłby rozbitym, załamany, bezużytecznym żołnierzem, którego wojna się skończyła. Postarałem się, żeby wysłali go gdzieś na statku kolonizacyjnym i to było najlepsze, co mogłem zrobić dla naszego byłego brata. Nie wiem, czy mogłoby nastąpić coś smutniejszego, niż włączenie do jego biografii ruiny całego życia, jaka czekała go tutaj, na Ziemi, nawet gdyby nikt go nie porwał. Jak Aleksander Wielki, odejdzie w blasku światła i wiecznie żyć będzie w chwale, zamiast niedołączyć i umierać w zapomnieniu, z rzadka tylko prowadzony na parady. To ja byłem tym dobrym!

Szczęśliwej podróży wam obojgu! I tak bylibyście tylko kotwicami mojej łodzi i wrzodami na tyłku.

Ale zabawnie byłoby pokazać Valentine list od Graffa. Sam Graff do niego napisał! Chociaż ukrył swój osobisty kod dostępu, chociaż z wyższością zachęcał do naśladowania raczej miłych facetów z historii - jakby ktokolwiek choćby planował stworzenie takiego ulotnego imperium jak Napoleon czy Hitler - to jednak wiedział, że Peter nie jest poważnym politykiem, który wycofał się z życia publicznego i woli przemawiać anonimowo, ale nieletnim studentem college'u. I nadal uważał, że warto z Peterem rozmawiać, warto udzielać mu rad. Ponieważ Graff wiedział, że Peter Wiggin jest ważną osobą już teraz i będzie kimś ważnym w przyszłości.

Racja, Graff!

Racja, pamiętajcie wy wszyscy. Ender Wiggin uratował wasze tyłki przed robalami, ale to ja ocalę zbiorowy odbyt ludzkości przed jej własną kolostomią. Ponieważ istoty ludzkie zawsze bardziej zagrażały przetrwaniu ludzkiej rasy niż cokolwiek innego, z wyjątkiem całkowitego zniszczenia planety. A teraz zabezpieczamy się nawet przed tym, rozprzestrzeniając nasze nasienie - włącznie z małym nasionkiem Enderkiem - do innych

światów. Czy Graff w ogóle ma pojęcie, jak ciężko pracowałem, żeby powołano to jego smętne Ministerstwo Kolonizacji? Czy ktoś zadał sobie trud prześledzenia historii świetnych pomysłów, które z czasem stały się prawem, by sprawdzić, jak często tropy wiodą od Locke'a?

Oni nawet konsultowali się ze mną, zanim postanowili powierzyć panu tytuł Colmina, którym z taką satysfakcją podpisuje pan swoje listy. Założę się, że nie miał pan o tym pojęcia, panie ministrze. Beze mnie mógłby pan do nich doczepiać najwyżej te głupie smoki na szczęście, jak ostatnio połowa kretynów w sieci.

Przez kilka minut był naprawdę załamany, że o liście nie może wiedzieć nikt prócz niego samego i Graffa.

A potem...

Chwila minęła. Oddech uspokoił się. Rozsądniejsza część osobowości zwyciężyła. Lepiej nie marnować czasu na rozważania o własnej sławie. W odpowiedniej chwili jego tożsamość zostanie ujawniona, a on zajmie pozycję dającą rzeczywistą władzę, nie tylko wpływy. Na razie wystarczy mu anonimowość.

Zapisał list od Graffa, a potem siedział nieruchomo, wpatrzony w ekran.

Dłoń mu drżała.

Przyjrzał jej się, jakby należała do kogoś innego. Co to ma znaczyć, do diabła? - myślał. Czyżbym był takim fanem władzy, że list od jednego z najwyższych urzędników hegemonii budzi drżenie, jak u nastolatka na koncercie popowym?

Nie... Zimny realista znów zatryumfował. Nie trzęsie się z podniecenia. To, jak zawsze, było tylko chwilowe. Już minęło.

Trzęsie się ze strachu.

Ponieważ ktoś kompletuje grupę strategów, najlepsze dzieciaki ze Szkoły Bojowej. Te, które wybrali, żeby dowodziły ostatnią bitwą o ocalenie ludzkości. Ktoś je trzyma i zamierza je wykorzystać. Prędzej czy później ten ktoś stanie się rywalem Petera, jego konkurentem. A Peter będzie musiał przechrzyć nie tylko tego rywala, ale też wszystkie dzieci, które tamten zdołał nagiąć do swojej woli.

Peter nie dostał się do Szkoły Bojowej. Czegoś mu pewnie brakowało. Z takich czy innych powodów został skreślony z programu, choć nawet nie opuścił rodzinnego domu. Zatem każdy dzieciak, który trafił do szkoły, będzie prawdopodobnie lepszym strategiem i taktykiem od niego, a główny rywal w wyścigu do hegemonii zebrał wokół siebie najlepszych.

Z wyjątkiem Endera, naturalnie. Endera, którego mógł przecież sprowadzić na Ziemię, gdyby pociągnął za odpowiednie nitki i trochę inaczej zmanipulował opinią publiczną. Endera, który był absolutnie najlepszy i mógłby stanąć po jego stronie. Ale nie, musiał go

odesłać... Dla jego własnego pieprzonego bezpieczeństwa... A teraz siedzi tu, przed walką, do której szykował się przez całe życie, a jedyne, co może postawić przeciwko najlepszym mózgom Szkoły Bojowej, to... on sam.

Dłoń mu drżała. No i co? Byłby wariatem, gdyby nie bał się choć odrobinę.

Ale kiedy ten kretyn Chamrajnagar zagroził, że go wyda i wszystko zepsuje - tylko dlatego że jest zbyt głupi, by dostrzec, jak niezbędny był Demostenes dla uzyskania rezultatów, których sam Locke nigdy by nie osiągnął. Peter przeżył kilka tygodni w istnym piekle. Obserwował, jak ktoś porywa kolejne dzieci. Nie mógł niczego zrobić, niczego nawet powiedzieć. Oczywiście, odpowiadał na listy, które czasem dostawał. Przeprowadził śledztwo dostatecznie dokładne, by się upewnić, że tylko Rosja miała możliwości przeprowadzenia takiej akcji. Ale nie ośmielił się wykorzystać Demostenesa, by zażądał dochodzenia i wyjaśnienia, dlaczego MF nie potrafiła ochronić dzieci. Demostenes mógł tylko rutynowo sugerować, dlaczego właśnie Układ Warszawski porwał te dzieci - ale przecież wszyscy się spodziewali, że Demostenes powie coś takiego, był znanym rusofobem. Jego wypowiedzi nie miały znaczenia. A wszystko dlatego że jakiś krótkowzroczny, tępy i zarozumiały admirał zechciał stanąć na drodze jedynej osoby na Ziemi, któremu zależało na ocaleniu świata przed kolejną wizytą Attyli. Peter miał ochotę krzyczeć na Chamrajnagara: Ja piszę eseje, a tamten porywa dzieci, ale ty wiesz, kim ja jestem, a nie masz pojęcia, kim jest on, więc mnie powstrzymujesz! To takie rozsądne, jak u tych czubków, którzy oddali Hitlerowi rządy w Niemczech, bo wierzyli, że będzie dla nich „użyteczny”.

Teraz Chamrajnagar ustąpił. Tchórzliwie wysłał przeprosiny przez kogoś innego, żeby Peter nie miał u siebie listu z jego podpisem. Za późno! Zło już się stało. Chamrajnagar nie tylko sam niczego nie zrobił, ale nie dopuścił Petera do działania. I teraz Peter musiał usiąść do gry, gdy po jego stronie szachownicy zostały same pionki, a przeciwnik dysponował podwójnym zestawem koni, wież i gońców.

Dlatego Peterowi drżała ręka. I czasami odkrywał, że nie chciałby tkwić w tym przedsięwzięciu tak absolutnie, całkowicie samotny. Czy Napoleon, sam w swym namiocie, zastanawiał się czasem, co on, u diabła, robi, raz za razem ryzykując wszystko i wierząc, że jego armia zdolna jest dokonać niemożliwego? Czy Aleksander raz na jakiś czas nie chciałby mieć przy sobie kogoś, komu mógłby powierzyć jedną czy drugą decyzję?

Peter skrzywił się niechętnie. Napoleon? Aleksander? Ten drugi miał pełną stajnię takich rumaków. A Petera systemy testujące Szkołę Bojową uznały za kogoś tak utalentowanego militarnie, jak - powiedzmy - John F. Kennedy, ten amerykański prezydent, który przez niedbałość stracił swój ścigacz torpedowy i dostał za to medal, bo miał bogatego i

wpływowego ojca; potem został prezydentem i nieprzerwanie popełniał głupie błędy, które nigdy mu nie zaszkodziły, ponieważ prasa go uwielbiała.

To właśnie ja, pomyślał. Potrafię manipulować prasą. Umiem kierować opinią publiczną, popychać ją, ciągnąć, szturchać, wprowadzać do niej to i owo, ale kiedy przychodzi do wojny... Wyjdę na tym jak Francuzi, kiedy przetoczył się przez nich blitzkrieg.

Peter rozejrzał się po czytelnicy. Nie była to porządna biblioteka, nie była porządna szkoła. Ale podjął naukę w college'u szybko, jako wyjątkowo zdolny uczeń, a że nie przejmował się formalną edukacją, wybrał lokalną filię uniwersytetu stanowego. Po raz pierwszy odkrył, że zazdrości innym tutejszym studentom. Oni martwili się tylko następnym testem, utrzymaniem stypendium albo dziewczętami.

Nie mógłbym żyć tak jak oni.

Właśnie. Popęłniłby chyba samobójstwo, gdyby kiedyś zaczął się przejmować, co ten czy inny wykładowca myśli o jego pracy, co jakaś dziewczyna myśli o jego elegancji albo czy któraś drużyna piłkarska zdoła pokonać inną.

Przymknął oczy i oparł się wygodnie. Wszystkie te wątpliwości i tak nie miały znaczenia. Zdawał sobie sprawę, że nie potrafi się wycofać, jeśli nie zostanie do tego zmuszony. Od dzieciństwa wiedział, że zdoła odmienić świat, jeśli tylko odnajdzie właściwe dźwignie. Inne dzieci wierzyły w głupie bajki, że muszą najpierw dorosnąć, zanim dokonają czegoś ważnego. Peter od początku rozumiał, jak jest naprawdę. Jego nie zdołaliby oszukać, jak Endera, wmówić, że to tylko gra. Dla Petera jedyną grą wartą wysiłku był prawdziwy świat. Ender dał się oszukać tylko z jednego powodu: pozwolił, by inni ludzie kształtowali dla niego rzeczywistość. Dla Petera nigdy nie stanowiło to problemu.

Tyle że osiągnięcie wszelkich wpływów w rzeczywistym świecie było możliwe, ponieważ skrywała go anonimowość sieci. Stworzył osobowość - dwie osobowości - które mogły zmienić świat, ponieważ nikt nie wiedział, że są dziećmi, a zatem można je ignorować. Ale kiedy dochodziło do realnego starcia armii i flot, wpływ politycznych myślicieli znikał. Chyba że uznawano ich za tak mądrych i tak przewidujących - jak Winstona Churchilla - że w chwili kryzysu w ich ręce składano rzeczywistą władzę. Winstonowi się udało; był stary, tłusty, przesiąknięty alkoholem, a jednak, ludzie wciąż traktowali go poważnie. Natomiast Peter Wiggin pozostawał dzieckiem dla każdego, kto go zobaczył.

Mimo to właśnie Winston Churchill zainspirował Petera. Plan był prosty: Locke powinien wydać się tak przewidujący, tak nieomylny we wszystkich sprawach, że kiedy wybuchnie wojna, strach przed nieprzyjacielem i publiczne zaufanie przewyżczy wzgardę dla młodości i pozwoli Peterowi odsłonić twarz. Wtedy, jak Winston, zajmie należne sobie miejsce

przywódcy tych dobrych.

No cóż, przeliczył się. Nie odgadł, że Chamrajnagar już wie, kim jest Locke. List Petera do niego miał być pierwszym krokiem w kampanii politycznej, której celem byłoby przekazanie dzieci ze Szkoły Bojowej pod opiekę floty. To nie znaczy, że zabrano by je z ich krajów - nie oczekiwał, że któryś z rządów się na to zgodzi. Ale gdyby ktoś je zaatakował, wszyscy by pamiętali, że Locke ostrzegał. Niestety, Chamrajnagar zmusił Petera, by uciszyć Locke'a, więc oprócz samego Chamrajnagara i Graffa nikt nie miał pojęcia, że Locke przewidział porwania. Okazja pozostała niewykorzystana.

Peter nie dawał za wygraną. Musiał istnieć jakiś sposób, by powrócić na tor. I siedząc tutaj, w bibliotece w Greensboro, Karolina Północna, oparty wygodnie i z przymkniętymi oczami, pomyśli o tym sposobie.

O czwartej rano wyrwali z łóżek jeesh Endera i zebrali ich w jadalni. Nikt niczego nie tłumaczył, nie pozwolono im rozmawiać. Czekali pięć minut, dziesięć, dwadzieścia... Petra wiedziała, że pozostali muszą myśleć to samo co ona: Rosjanie zauważyli w końcu, że jeńcy sabotują własne plany wojenne. A może ktoś odkrył zakodowaną wiadomość w rysunku smoka. Cokolwiek to było, sytuacja nie wyglądała dobrze.

Trzydzieści minut po pobudce drzwi otworzyły się w końcu. Dwaj żołnierze weszli i stanęli na baczność. A potem, ku całkowitemu zaskoczeniu Petry, wkroczył... dzieciak. Nie starszy od nich. Dwanaście lat? Trzyнадцать? Żołnierze odnosili się do niego z szacunkiem, a chłopak poruszał się ze swobodą i pewnością siebie, jaką daje władza. On tu dowodził. I uwielbiał to.

Czy Petra już go wcześniej widziała? Raczej nie... A jednak patrzył na nich wszystkich, jakby ich dobrze znał. No tak, przecież znał - jeśli tu dowodził, to na pewno obserwował ich przez te tygodnie niewoli.

Dziecko jako dowódca. Musi być ze Szkoły Bojowej - w przeciwnym razie żaden rząd nie dałby takiej władzy komuś tak młodemu. Sądząc po wieku, powinni być w szkole równocześnie. Mimo to nie umiała go jakoś rozpoznać, choć pamięć miała przecież bardzo, ale to bardzo dobrą.

- Nie martwcie się - powiedział chłopak. - Nie znacie mnie, ponieważ trafiłem do Szkoły Bojowej późno i byłem tam tylko przez krótki czas, zanim odlecieliście do Taktycznej. Ale ja was znam. - Uśmiechnął się. - A może jest tu ktoś, kto mnie rozpoznał, kiedy wszedłem? Nie ma sprawy, potem obejrzę sobie nagranie. Poszukam tego lekkiego szoku zdziwienia. Ponieważ jeśli któreś z was mnie zna, to cóż, wtedy dowiem się o nim czegoś więcej. Dowiem

się, że widziałem go już wcześniej, jako czarną sylwetkę w mroku, jak odchodzi i zostawia mnie na śmierć.

Po tych słowach Petra zrozumiała, kim jest ten chłopak. Zrozumiała, ponieważ Zwariowany Tom jej o tym opowiadał - jak to Groszek zastawił pułapkę na chłopca, którego znał jeszcze z Rotterdamu, i z pomocą czterech innych dzieciaków zawiesił go w szybie wentylacyjnym, aż ten się przyznał do parunastu morderstw. Wtedy go zostawili, przekazali nagranie nauczycielom i powiedzieli, gdzie jest.

Achilles.

Z całego jeeshu Endera tylko Zwariowany Tom był wtedy z Groszkiem. Sam Groszek nigdy nie wspominał o sprawie, i nikt go nie pytał. W rezultacie Groszek stał się postacią tajemniczą, przychodzącą ze świata mrocznego i zaludnionego przez takie potwory jak Achilles. Nikt się z pewnością nie spodziewał, że znowu spotkają Achillesa, i to nie w domu wariatów ani w więzieniu, ale tutaj, w Rosji, z żołnierzami pod komendą. I że oni sami będą jego więźniami.

Kiedy Achilles obejrzy nagrania, całkiem możliwe, że zauważy u Zwariowanego Toma jakieś drgnienie. A kiedy opowie swoją historię, z pewnością u wszystkich dostrzeże oznaki rozpoznania. Petra nie miała pojęcia, do czego to doprowadzi, ale bez wątpienia do niczego dobrego. Jednego była pewna: nie pozwoli, żeby Zwariowany Tom samotnie poniósł konsekwencje.

- Wszyscy wiemy, kim jesteś - powiedziała głośno. - Jesteś Achilles. I z tego, co opowiadał Groszek, wynika, że nikt nie zostawił cię na śmierć. Zostawili cię dla nauczycieli. Żeby cię aresztowali i odesłali na Ziemię. Na pewno do jakiegoś domu wariatów. Groszek pokazywał nam twoje zdjęcie. Jeśli ktokolwiek cię rozpoznał, to dlatego.

Achilles przyjrzał się jej z uśmiechem.

- Groszek nigdy by o tym nie opowiedział. Nigdy by nie pokazywał mojego zdjęcia.

- W takim razie wcale go nie znasz - stwierdziła Petra. Miała nadzieję, że inni to rozumieją: przyznanie, że słyszeli o wszystkim od Zwariowanego Toma, może być dla niego niebezpieczne. Nawet śmiertelnie niebezpieczne, jeśli ten czubek rządzi tutaj cynglami. Groszka z nimi nie było, więc rozsądek nakazywał jego wskazać jako źródło informacji.

- No tak, jesteście niezłą grupą - rzekł Achilles. - Przekazujecie sobie sygnały, sabotujecie oddawane plany... Bierzecie nas za durniów, którzy tego nie zauważą. Naprawdę myślicie, że wam, jeszcze nie przekonanym, dalibyśmy do opracowania prawdziwe plany?

Petra jak zwykle nie potrafiła trzymać buzi na kłódkę. Ale tak naprawdę nie chciała.

- Próbowaleś wykryć, kto z nas jest outsiderem, żeby go nawrócić. Niezły dowcip. W

jeeshu Endera nie było outsiderów. Tutaj ty jesteś jedynym.

W rzeczywistości jednak doskonale wiedziała, że Carn Carby, Shen, Vlad i Fly Moło czuli się obco, z różnych zresztą powodów. Ona sama też czasem się tak czuła. Powiedziała to, żeby zachęcić wszystkich do zachowania solidarności.

- A teraz nas podzielisz i zaczniesz nad nami pracować - dodała. - Achilles, znamy twoje posunięcia, zanim jeszcze je wykonasz.

- Nie możesz zranić mojej dumy - oświadczył Achilles. - Bo jej nie mam. Chcę tylko zjednoczyć ludzkość pod wspólnym rządem. Rosja to jedyny kraj, jedyny naród, który ma wolę wielkości i siłę, żeby do niej dążyć. Jesteście tutaj, ponieważ niektórzy mogą być przydatni w tym wysiłku. Jeśli uznamy, że macie w sobie to, co niezbędne, poprosimy, żebyście się do nas przyłączyli. Resztę przetrzymamy w lodówce do końca wojny. A prawdziwych dupków odeślemy do domu z nadzieją, że rządy wykorzystają ich przeciw nam. - Znów się uśmiechnął. - Czemu robicie takie ponure miny? Sami wiecie, żeście w domu świrowali. Nawet nie znaliście swych rodzin. Kiedy odchodziliście, byliście tak mali, że nie umieliście podtrzeć sobie tyłków bez upaprania palców. Co rodzice o was wiedzieli? Co wy wiedzieliście o nich? Że pozwolili was zabrać. Ja nie miałem rodziny. Szkoła Bojowa to były dla mnie trzy posiłki dziennie. Ale wy? Wam zabrali wszystko. Nic im nie jesteście winni. Macie tylko swoje mózgi. Swój talent. Waszym przeznaczeniem jest wielkość. Wygraliście dla nich wojnę z robalami, a oni odesłali was do domów, żeby rodzice znowu mogli was... wychowywać.

Nikt mu nie odpowiedział. Petra była pewna, że wszyscy przyjęli tę mowę z takim samym lekceważeniem. Achilles nic o nich nie wie. Nigdy nie zdoła ich podzielić. Nie zdobędzie ich lojalności - wiedzieli o nim aż za dużo. I nie lubili być przetrzymywani wbrew woli.

On też to zrozumiał. Petra dostrzegła to w jego oczach: wściekłość, kiedy uświadomił sobie, że nie mają dla niego nic prócz pogardy.

A w każdym razie zauważył jej pogardę, gdyż na niej skupił uwagę. Zbliżył się o kilka kroków i uśmiechnął jeszcze łagodniej.

- Petra... Jak miło cię spotkać - powiedział. - Dziewczynę, w której testach wykryli taką agresję, że musieli sprawdzić DNA, by się przekonać, czy nie jest chłopcem.

Poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Nikt przecież nie powinien o tym wiedzieć. Ten test zarządziли psychiatrzy ze Szkoły Naziemnej, kiedy uznali, że wzgarda, jaką im okazuje, jest objawem zaburzeń umysłowych, a nie tym, na co zasługują za zadawanie jej głupich pytań. To nie powinno nawet znaleźć się w jej aktach - ale najwyraźniej przetrwał gdzieś zapis. Oczywiście, tak właśnie brzmiała wiadomość, jaką chciał przekazać Achilles: że wie wszystko.

A przy okazji dodatkowa premia: pozostali zaczęli się zastanawiać, jak to z nią jest naprawdę.

- Dziesiątka - mówił Achilles. - Brakuje tylko dwójki ze świetnego zwycięstwa. Wielki Ender, geniusz, strażnik świętego Graala odleciał, żeby zakładać gdzieś kolonię. Skończymy wszyscy pięćdziesiątkę, zanim dotrze na miejsce, a on wciąż zostanie małym chłopcem. My tutaj będziemy tworzyć historię. On jest historią.

Skrzywił się drwiąco.

Ale Petra wiedziała, że drwiny z Endera w tej grupie nie przyniosą skutku. Achilles na pewno założył, że cała dziesiątka była konkurentami, przeciwnikami, tymi, którzy chcieli zająć miejsce Endera, a musieli siedzieć i patrzeć na jego zwycięstwa. Założył, że wszystkich zżera zazdrość - ponieważ jego zżarłaby żywem. Ale się mylił. Wcale ich nie rozumiał. Oni tęsknili za Enderem. Byli jeeshem Endera. A ten dupek naprawdę sądził, że tak jak Ender może z nich stworzyć zespół.

- Został jeszcze Groszek - podjął Achilles. - Najmłodszy z was, którego wyniki testów sprawiły, że wy wszyscy wyglądaliście jak niedorozwinięci. Mógłby wam robić wykłady z dowodzenia armiami. Tyle że pewnie byście go nie zrozumieli, taki był genialny. Gdzież on mógł się podziać? Ktoś się za nim stęsknił?

Nikt nie odpowiedział. Tym razem jednak Petra wiedziała, że to milczenie skrywa rozmaite uczucia. Groszek budził urazy. Nie z powodu swojej inteligencji, a w każdym razie nikt by się nie przyznał, że właśnie dlatego żywi do niego urazę. Irytowało ich to, jak zawsze zakładał, że zwyczajnie wie wszystko lepiej od pozostałych. I ten przykry okres, zanim Ender dotarł na Erosa. Groszek pełnił obowiązki dowódcy jeeshu i niektórym trudno było przyjmować rozkazy od najmłodszego. Więc może w tej kwestii Achilles dobrze trafił.

Tylko że nikt nie był dumny z takich uczuć, a mówienie o nich otwarcie z pewnością nie wzbudziło sympatii do Achillesa. Oczywiście, może właśnie wstyd próbował w nich wzbudzić... Achilles może być sprytniejszy, niż sądzili.

Raczej nie. Tak daleko wychodził poza swoje możliwości, próbując rozgryźć tę grupę cudownych dzieci, że równie dobrze mógłby się przebrać za klauna i rzucać balonami z wodą. Zyskałby taki sam respekt.

- No tak, Groszek... - powiedział. - Z przykrością muszę was poinformować, że Groszek nie żyje.

Tego było wyraźnie za wiele dla Zwariowanego Toma, który ziewnął szeroko.

- Nie, wcale nie - stwierdził. Achilles wyglądał na rozbawionego.

- Myślisz, że wiesz lepiej ode mnie?

- Byliśmy w sieci - wyjaśnił Shen. - Dowiedzielibyśmy się.

- Odeszłście od swoich konsoli o 22.00. Skąd możecie wiedzieć, co się działo, kiedy spaliliście? - Achilles spojrział na zegarek. - Oj... macie rację. W tej chwili Groszek ciągle żyje. I pożyje jeszcze jakieś piętnaście minut, mniej więcej. A potem... bums!

Śliczna mała rakietka wpadnie prosto do jego małego pokoiku, żeby rozerwać chłopczyka na kawałeczki w jego małym łóżeczku. Nie musieliśmy nawet kupować informacji o nim od greckiej armii. Nasi przyjaciele przekazali ją nam za darmo.

Petrę ogarnęło zwątpienie. Jeśli Achilles mógł zorganizować ich porwanie, to mógł też się postarać, żeby zginął Groszek. Zabijanie zawsze jest łatwiejsze niż wzięcie kogoś żywcem.

Czy Groszek odkrył już wiadomość w smoku, czy ją rozszyfrował i przekazał komuś? Bo jeśli zginie, nie pozostanie nikt, kto potrafiłby to zrobić.

Natychmiast się zawstydzila, że na wieść o śmierci Groszka przede wszystkim pomyślała o sobie. Ale to nie znaczy, że jej nie obchodził. To znaczy, że ufała mu tak bardzo, by wszystkie swoje nadzieje opierać właśnie na nim. Gdy on umrze, nadzieja umrze wraz z nim. To wcale nie jest nieprzyzwoite, że o tym pomyślała.

Powiedzieć to głośno - to by było paskudnie. Ale nie można nic poradzić na myśli, które same przychodzą do głowy.

Może Achilles kłamie. Może Groszek przeżyje i ucieknie. A jeśli zginie, może już zdekodował wiadomość. A może nie. Petra nie mogła zrobić niczego, by jakoś wpłynąć na rozwój sytuacji.

- Co? Żadnych łez? - zdziwił się Achilles. - A myślałem, że jesteście takimi bliskimi przyjaciółmi. Cóż, tak odchodzą bohaterowie. - Parsknął śmiechem. - Na razie z wami skończyłem. - Zwrócił się do żołnierza przy drzwiach: - Pora ruszać.

Strażnik wyszedł. Usłyszeli kilka słów po rosyjsku i do pokoju wkroczyło szesnastu żołnierzy. Podzielili się na pary, po dwóch przy każdym z dzieci.

- Teraz was rozdzielimy - wyjaśnił Achilles. - Nie chcemy przecież, żeby ktoś zaczął myśleć o akcji ratunkowej. Nadal możecie pisać do siebie e-maile. Wasza twórcza synergia nie powinna napotykać przeszkód. Przecież jesteście najlepszymi mózgami wojskowymi, jakie ludzkość potrafiła z siebie wydać w godzinie próby. Jesteśmy z was dumni i spodziewamy się, że w bliskiej przyszłości zobaczymy wasze najlepsze dokonania.

Któryś z dzieciaków głośno puścił baka.

Achilles uśmiechnął się tylko, mrugnął do Petry i wyszedł.

Dziesięć minut później siedzieli już w osobnych pojazdach, odwożeni ku nieznanym celom, gdzieś na rozległych przestrzeniach największego kraju kuli ziemskiej.

CZĘŚĆ 2
PRZYMIERZA

6. Szyfr

To: Graff%pilgrimage@colmin.gov

From: Konstan%Briseis@helstrat.gov

Subject: Przeciek

Wasza Ekscelencjo, piszę do pana osobiście, ponieważ to ja najgłośniej protestowałem przeciwko pańskiemu planowi, aby zabrać młodego Juliana Delphiki spod naszej opieki. Myliłem się, jak się przekonaliśmy z dzisiejszego ataku rakietowego na byłą kryjówkę, w wyniku którego zginęło dwóch żołnierzy. Zgodnie z pańską radą ogłosiliśmy publicznie, że Julian poniósł zgon. Jego pokój był celem późną nocą i na pewno by poległ w miejsce żołnierzy, którzy tam spali. Penetracja naszego systemu jest najwyraźniej bardzo głęboka. Teraz nikomu nie ufamy. Przybył pan w ostatniej chwili i żałuję, że spowodowałem spóźnienie. Duma z greckich sił wojskowych uczyniła mnie ślepym. Jak pan widzi, władam jednak trochę wspólnym - koniec z blefowaniem między mną a prawdziwym przyjacielem Grecji. Dzięki panu, nie mnie, nasz wielki narodowy skarb nie został zniszczony.

Jeśli już Groszek musiał się ukrywać, to mógł trafić w gorsze miejsca niż Araraquara. Miasteczko, nazwane tak od pewnego gatunku papugi, utrzymywano jako coś w rodzaju eksponatu muzealnego z brukowanymi ulicami i starą zabudową. Nie były to jakieś szczególnie piękne budynki czy malownicze domki - nawet katedra wydawała się dość nieciekawa i niezbyt stara, jako że ukończono ją w dwudziestym wieku. Mimo to wyczuwało się tu powszechny niegdyś w Brazylii, spokojny styl życia. Postęp, który zmienił pobliskie Ribeirao Preto w rozległą metropolię, praktycznie ominął Araraquarę. I chociaż mieszkańcy byli dość nowocześni - na ulicach słyszało się wspólny równie często jak portugalski - Groszek poczuł się tutaj jak w domu. Nigdy nie doznawał tego w Grecji, gdzie dążenie, by stać się równocześnie w pełni Europejczykiem i w pełni Grekiem, deformowało życie publiczne i publiczną przestrzeń.

- Nie warto za bardzo się przyzwyczajać - ostrzegła go siostra Carlotta. - Nie możemy tu zostać zbyt długo.

- Achilles to diabeł - odparł Groszek. - Nie Bóg. Nie potrafi sięgnąć wszędzie. Nie zdoła nas odszukać bez jakichś śladów.

- Nie musi sięgać wszędzie. Wystarczy w to miejsce, gdzie jesteśmy.

- Nienawiść do nas czyni go ślepym.
- Strach czyni go nienaturalnie czujnym.

Groszek uśmiechnął się - zaczynała się stara gra między nimi.

- Może to wcale nie Achilles porwał dzieci.
- Może to wcale nie grawitacja trzyma nas na Ziemi - rzekła siostra Carlotta. - To może być jakaś inna nieznana siła o identycznych właściwościach.

Potem ona również się uśmiechnęła.

Siostra Carlotta była miłą towarzyszką podróży. Miała poczucie humoru. Pojmowała jego żarty, a Groszka bawiły jej dowcipy. Ale najbardziej ze wszystkiego lubiła spędzać całe godziny, nie mówiąc ani słowa i wykonując swoją pracę, gdy on zajęty był swoją. Kiedy rozmawiali, używali skrótowego języka - oboje przecież wiedzieli o wszystkim co ważne, musieli więc tylko się do tego odwołać, a rozmówca rozumiał. Nie wynika z tego, że byli pokrewnymi duszami ani że doskonale się zgrali. Ich życie stykało się tylko w kilku zasadniczych punktach: ukrywali się, byli odcięci od przyjaciół i ten sam wróg pragnął ich śmierci. Nie mieli o kim plotkować, ponieważ nikogo nie znali. Rzadko rozmawiali, ponieważ niewiele ich interesowało prócz podstawowych zadań: próbowali odgadnąć, gdzie są porwane dzieci, starali się wykryć, któremu państwu służy Achilles (a które z pewnością w krótkim czasie zaczęło służyć Achillesowi). Usiłowali też zrozumieć, jak przebiegają procesy polityczne świata, by móc się wtrącić i być może, nagiąć linię historii ku szczęśliwшему zakończeniu.

Taki przynajmniej cel miała siostra Carlotta, a Groszek chętnie w tym uczestniczył. Zwłaszcza że badania konieczne dla pierwszych dwóch części projektu były identyczne z niezbędnymi dla trzeciej. Nie był jednak pewien, czy obchodzi go kształt historii przyszłości.

Raz powiedział o tym siostrze Carlocie, ale tylko się uśmiechnęła.

- Czy jedynie światem zewnętrznym się nie zajmujesz? - spytała. - Czy raczej przyszłością jako całością, w tym własną?

- Po co mam szczegółowo określać rzeczy, które mnie nie obchodzą?

- Ponieważ gdyby nie interesowała cię własna przyszłość, nie dbałbyś o to, czy przetrwasz, by ją zobaczyć. I wtedy nie zajmowałbyś się tymi wszystkimi głupstwami, które mają zachować cię przy życiu.

- Jestem ssakiem - odparł Groszek. - Staram się żyć wiecznie, czy naprawdę chcę tego, czy nie.

- Jesteś dzieckiem Bożym, więc zajmujesz się tym, co zdarzy się innym Jego dzieciom. Czy się do tego przyznajesz, czy nie.

Nie jej odpowiedź go zastanowiła; czegoś takiego oczekiwał. Właściwie nawet sam ją sprowokował, pewnie - jak to sobie tłumaczył - chciał zapewnienia, że jeśli istnieje Bóg, przejmuje się losem Groszka. Nie - zmartwił go smutek, który przemknął po jej twarzy i którego wcale by nie zauważył, gdyby nie znał tej twarzy tak dobrze. Rzadko przesuwały się po niej obłoki zasmucenia.

Zmartwiło ją coś, co powiedziałem. Ale próbuje to przede mną ukryć. Co takiego mówiłem? Że jestem ssakiem? Jest przyzwyczajona do moich żartów z religii. Że mogę nie chcieć żyć wiecznie? Może się martwi, że jestem w depresji. Że usiłuję żyć wiecznie wbrew swoim pragnieniom. Albo że umrę młodo. Ale po to przecież tkwili w tym miasteczku - żeby nie dopuścić do przedwczesnej śmierci Groszka. I siostry Carlotty także, skoro o tym mowa. Nie miał wątpliwości, że gdyby ktoś wymierzył w niego z pistoletu, zasłoniłaby go własnym ciałem i przyjęła kulę. Nie rozumiał dlaczego. On nie zrobiłby tego ani dla niej, ani dla nikogo. Próbowaliby ją ostrzec albo odciągnąć z linii strzału, albo jakoś przeszkodzić zabójcy - cokolwiek, co dałoby im obojgu rozsądną szansę przetrwania. Ale nie poświęciłby się świadomie, by ją ocalić.

Może taka reakcja jest typowa dla kobiet. Albo może dorośli robią to dla dzieci: oddają własne życie, żeby ocalić cudze. Oceniają własne przetrwanie i uznają, że jest mniej dla nich ważne niż przetrwanie kogoś innego. Groszek nie mógł pojąć, jak ktokolwiek może tak reagować. Czy tkwiące w każdym człowieku irracjonalne zwierzę nie powinno raczej przejąć kontroli i działać dla własnego ocalenia? On sam nigdy nie usiłował tłumić swojego instynktu przetrwania, ale wątpił, czy by potrafił - nawet gdyby próbował. Może jednak starsi ludzie bardziej są skłonni rozstać się z życiem, skoro zużyli już większą część początkowego kapitału. Oczywiście, sensowne jest, gdy rodzice poświęcają się dla własnych dzieci, zwłaszcza kiedy są już za starzy, żeby spłodzić następne. Ale siostra Carlotta nigdy nie miała dzieci. Groszek nie był jedynym, dla którego skłonna byłaby zginąć. Próbowalaby własnym ciałem zasłonić nawet kogoś nieznanego. Własne życie ceniła mniej niż życie dowolnego innego człowieka, a to czyniło z niej istotę całkowicie obcą.

Przetrwanie nie najlepiej przystosowanego, ale moje własne - ta zasada tkwi w samym jądrze mego istnienia. To jest podstawowy powód, dla którego robię wszystko to, co robię. Bywały chwile, kiedy odczuwałem współczucie - kiedy sam jeden z całego jeeshu Endera świadomie posyłałem ludzi na pewną śmierć. Było mi ich żal. Ale posyłałem ich, a oni szli. Czy ja na ich miejscu postąpiłbym tak samo, czy wykonałbym rozkaz? Zginąłbym, aby ratować nieznane przyszłe pokolenia, które nawet nie poznają mojego nazwiska?

Bardzo wątpił.

Chętnie służył ludzkości, jeśli przypadkiem w ten sposób służył też sobie. Walka z Formidami u boku Endera miała sens, ponieważ ratowanie ludzkości oznaczało także ratowanie Groszka. Jeśli pozostając przy życiu w jakimś zakątku świata tkwił niczym cień w myślach Achillesa, jeśli dzięki temu Achilles był mniej ostrożny, mniej przewidujący, a zatem i łatwiejszy do pokonania - cóż, to miły prezent, który - walcząc o własne życie - sprawiał ludzkości, dając jej szansę pokonania potwora. A ponieważ najlepszym sposobem przetrwania jest znalezienie Achillesa i zabicie go wcześniej, Groszek może się jeszcze okazać jednym z największych dobroczyńców w historii. Choć kiedy się zastanowił, nie pamiętał ani jednego zabójcy wspominanego jak bohater. No, może Brutus. Opinia o nim miała jaśniejsze punkty. Jednak większość skrytobójców zyskiwała w historii tylko pogardę. Może dlatego że udane zamachy dotyczyły tych, którzy dla nikogo nie byli przesadnie groźni. Zanim wszyscy doszli do wniosku, że jakiś konkretny potwór wart jest likwidacji, potwór dysponował już zbyt wielką siłą i był zbyt paranoiczny, by udał się jakiegokolwiek zamach.

Rozmowa o tym z siostrą Carlottą nie prowadziła do niczego.

- Nie potrafię z tobą dyskutować, więc nie wiem, po co w ogóle próbujesz - mówiła. - Wiem tylko, że nie pomogę ci w zabójstwie Achillesa.

- Nie uważasz tego za samoobronę? - dziwił się Groszek. - Co to jest? Jakiś głupi wid, gdzie pozytywny bohater po prostu nie może zabić złego, jeśli ten akurat nie mierzy do niego z pistoletu?

- Taka jest moja wiara - wyjaśniła siostra Carlotta. - Kochaj nieprzyjaciół swoich, czyn dobro tym, którzy cię nienawidzą.

- Ale do czego to prowadzi? Najlepsze, co moglibyśmy zrobić dla Achillesa, to wystawić w sieci nasz adres i zaczekać, aż przyśle kogoś, kto nas załatwi.

- Nie opowiadaj bzdur. Chrystus kazał nam czynić dobro nieprzyjaciółom. Znalezienie nas nie byłoby dobre dla Achillesa, ponieważ wtedy by nas zabił i musiał przed Bogiem odpowiadać za więcej zbrodni. Najlepsze, co możemy dla niego zrobić, to nie dopuścić, by nas pozabijał. A jeśli go kochamy, to przy okazji nie dopuścimy, żeby zawładnął światem, ponieważ taka władza da mu tylko więcej okazji do grzechu.

- A dlaczego nie kochamy setek, tysięcy i milionów ludzi, którzy zginą w wojnach, jakie on planuje?

- Kochamy ich - zapewniła Carlotta. - Ale mieszasz pojęcia, jak zresztą wielu tych, którzy nie pojmują Bożej perspektywy. Uważasz śmierć za najstraszniejsze, co może się komuś przydarzyć, ale dla Boga śmierć to tylko środek, który sprowadza cię do domu nieco wcześniej, niż było zaplanowane. Dla Boga straszne jest co innego: kiedy człowiek pogrąży się w grzechu

i odrzuca radość, jaką Bóg mu oferuje. Więc z tych milionów, które mogą zginąć w wojnie, każde pojedyncze życie jest tragiczne tylko wtedy, kiedy kończy się w grzechu.

- W takim razie dlaczego zadajesz sobie tyle trudu, żeby mnie zachować przy życiu? - zapytał Groszek sądząc, że zna odpowiedź.

- Chcesz, żebym powiedziała coś, co osłabi moją argumentację - odparła Carlotta. - Na przykład że jestem istotą ludzką i chcę ocalić cię przed śmiercią, ponieważ cię kocham. To prawda; nie mam dzieci, a ciebie traktuję prawie jak własne dziecko. Cierpiałabym, gdybyś zginął z ręki tego obłąkanego chłopaka. Ale naprawdę, Julianie Delphiki, tak bardzo się staram, żeby nie dopuścić do twojej śmierci, ponieważ gdybyś dzisiaj zginął, prawdopodobnie poszedłbyś do piekła.

Groszek z zaskoczeniem odkrył, że zabolęła go ta odpowiedź. Dostatecznie pojmował wiarę Carlotty, by przewidzieć takie stanowisko. Ale przykro mu było, że ubrała je w słowa.

- Nie mam zamiaru nawrócić się i ochrzcić, a zatem jestem skazany na piekło. Nieważne, kiedy umrę, i tak będę potępiony.

- Nonsens. Nasze zrozumienie doktryny nie jest doskonałe, ale niezależnie od tego, co mówią papieże, ani przez moment nie wierzę, że Bóg skaże na wieczne potępienie miliardy swych dzieci, którym pozwolił narodzić się i umrzeć bez chrztu. Nie, uważam, że pójdziesz do piekła, ponieważ mimo swojej inteligencji wciąż jesteś całkiem amoralny. Modłę się gorąco, byś przed śmiercią zdążył się przekonać, że istnieją prawa wyższe i ważniejsze niż tylko przetrwanie, że można służyć ważniejszą sprawą. Kiedy poświęcisz się takiej sprawie, wtedy, drogi chłopcze, nie będę się lękać o twoje życie. Będę wiedziała, że Bóg wybaczy ci pomyłkę, jaką było niedostrzeżenie przed śmiercią prawdy chrześcijaństwa.

- Tak naprawdę jesteś heretyczką - stwierdził Groszek. - Żadna z twoich tez nie wytrzymałaby u dowolnego księdza.

- One nie wytrzymują nawet u mnie. Ale nie znam żywej duszy, która nie wyznawałaby dwóch rozłącznych zestawów doktryn: te, w które wierzą, że wierzą, i te, zgodnie z którymi rzeczywiście starają się żyć. Ja jestem po prostu jedną z tych nielicznych, które dostrzegają różnicę. Ty, drogi chłopcze, do tych osób nie należysz.

- Ponieważ nie wierzę w żadne doktryny.

- To jest najlepszym dowodem mojej tezy - rzekła siostra Carlotta z demonstracyjnym zadowoleniem. - Jesteś tak przekonany, że wierzysz jedynie w to, w co wierzysz, że wierzysz, że pozostajesz całkiem ślepy na to, w co naprawdę wierzysz, nie wierząc, że w to wierzysz.

- Urodziłaś się w niewłaściwym stuleciu - oświadczył Groszek. - Przy tobie nawet Tomasz z Akwinu wyrывałby sobie włosy z głowy. Nietzsche i Derrida oskarżyliby cię o

mętniać. Tylko inkwizycja by wiedziała, co z tobą zrobić: przypiec ładnie na brąz.

- Nie mów, że naprawdę czytałeś Nietzschego i Derridę, nie mówiąc już o Akwinacie.
- Nie trzeba zjadać całego gówna, żeby wiedzieć, że nie jest zapiekanką z kraba.
- Jesteś nieznośnym, aroganckim chłopcem.
- Ależ Dżepetto, nie jestem prawdziwym chłopcem.
- Na pewno nie jesteś marionetką, a w każdym razie nie moją. Idź na dwór się pobawić.

Jestem zajęta.

Wysłanie go na dwór nie było karą i siostra Carlotta dobrze to wiedziała. Od chwili, kiedy podłączyli swoje komputery do sieci, oboje prawie cały czas spędzali w domu, zbierając informacje. Carlotta, której tożsamość chroniły blokady systemu Watykanu, mogła utrzymywać dawne kontakty. Dzięki temu miała dostęp do najlepszych źródeł. Unikała tylko wspomniania, gdzie jest w danej chwili ani nawet w jakiej strefie czasowej się znajduje. Groszek jednak musiał tworzyć nową tożsamość od zera, kryjąc się za podwójną zasłoną anonimowych remailerów i nie zachowując żadnego adresu przez czas dłuższy niż tydzień. Nie nawiązywał bliższych kontaktów, a więc nie mógł dotrzeć do źródeł informacji. Kiedy jakiejś potrzebował, musiał prosić o pomoc Carlottę. Wtedy ona decydowała, czy może otwarcie zapytać, czy też chodzi o coś, co zasugeruje, że ma przy sobie chłopca. Na ogół uznawała, że nie ośmieli się pytać, co bardzo ograniczało możliwości Groszka. Dzielili się jednak wszystkimi informacjami i mimo wszelkich kłopotów pozostała mu jedna przewaga: umysł analizujący dane należał do niego. Umysł, który w testach Szkoły Bojowej uzyskiwał wyniki wyższe niż inne.

Niestety, Prawda nie dbała o takie referencje. Nie chciała się odsłonić tylko dlatego, że musiała wiedzieć, iż w końcu i tak ją odkryje.

Po kilku godzinach frustrujących zajęć Groszek musiał wstać od komputera i wyjść. Nie tylko po to, by oderwać się od pracy.

- Klimat idealnie mi odpowiada - oświadczył siostrze Carlocie drugiego dnia, kiedy oczekując potem siedział wziąć trzeci już prysznic. - Urodziłem się, żeby żyć w upale i wilgoci.

Z początku upierała się, żeby wszędzie z nim chodzić. Ale po kilku dniach zdołał jej wytłumaczyć kilka spraw. Po pierwsze, jest już dość duży, żeby czasem iść na spacer bez babci - nazywał ją tutaj „Avó Carlotta”, zgodnie z ich legendą. Po drugie, i tak nie mogłaby go ochraniać, ponieważ nie miała broni ani nie umiała walczyć. Po trzecie, to on umiał przetrwać na ulicy. Choć Araraquara nie przypominała groźnego Rotterdamu z jego wczesnego dzieciństwa, i tak odruchowo zanotował już w pamięci setkę tras ucieczki i kryjówek. Kiedy Carlotta zrozumiała, że sama potrzebowałaby jego obrony, ustąpiła i pozwoliła mu wychodzić samemu - pod warunkiem że postara się nikomu nie rzucić w oczy.

- Nic nie poradzę, że ludzie zwracają uwagę na cudzoziemskiego chłopca.

- Aż tak bardzo się nie wyróżniasz. Tutaj często widuje się typy śródziemnomorskie. Staraj się tylko za często nie odzywać. Zawsze wyglądaj tak, jakbyś szedł coś załatwić, ale się nie spiesz. Zresztą w końcu to ty mnie uczyłeś, jak unikać zwracania na siebie uwagi.

I tak znalazł się dzisiaj na dworze - kilka tygodni po przybyciu do Brazylii. Włączył się po uliczkach Araraquary i myślał, jakaż to wielka sprawa uczyni jego życie wartościowym w oczach Carlotty. Gdyż pomimo jej religii i wszystkich argumentów, to o jej aprobatę, nie boską, warto było się starać - o ile nie zacznie to przeszkadzać w realizacji głównego planu pozostania przy życiu. Czy wystarczy, jeśli będzie zadrą drażniącą Achilleśa, jego wrzodem na tyłku? Jeśli poszuka sposobów, by mu stawić opór? Czy może powinien zająć się czymś innym?

Na szczycie jednego z licznych wzniesień Araraquary znajdował się sklepik z lodami prowadzony przez japońsko-brazylijską rodzinę. Zajmowali się tym od stuleci, jak głosił ich szyld. Groszka bawiło to i wzruszało jednocześnie, zwłaszcza w świetle tego, co mówiła Carlotta. Dla tej rodziny produkcja mrożonych deserów, podawanych w kubku lub w rożku, była właśnie tą wielką sprawą, która od wieków gwarantowała im poczucie ciągłości. Czy może istnieć coś bardziej trywialnego? A jednak przychodził tutaj wielokrotnie, ponieważ lody były rzeczywiście wyśmienite. Kiedy pomyślał, ile osób musiało zaglądać do sklepiku i przez chwilę rozkoszować się słodkim i delikatnym smakiem, uczuciem jedwabistego chłodu w ustach, trudno mu było lekceważyć tę postawę. Dawali klientom coś naprawdę dobrego, a życie tych ludzi stawało się dzięki temu trochę lepsze. Nie była to szlachetna idea, o której mówią podręczniki historii - ale też nie głupstwo. Można gorzej przeżyć swe życie, niż poświęcając je na coś takiego.

Groszek nie był nawet pewien, co to znaczy: poświęcić się sprawie. Czy chodzi o pozwolenie, by ktoś inny podejmował decyzje? Absurdalny pomysł. Najprawdopodobniej na całej Ziemi nie było nikogo bardziej inteligentnego niż on i chociaż oczywiście mógł popełniać błędy, byłby głupcem, słuchając poleceń kogoś, kto tym bardziej może się pomylić.

Sam nie wiedział, po co w ogóle traci czas na tę sentymentalną filozofię Carlotty. To na pewno jeden z tych błędów: emocjonalny aspekt psychiki zyskiwał przewagę nad tą nieludzką, chłodną inteligencją, która - ku jego zmartwieniu - tylko czasem kierowała procesem myślenia.

Kubek lodów był pusty. Najwyraźniej zjadł je, nawet tego nie zauważając. Miał nadzieję, że podniebienie rozkoszowało się każdym odcieniem smaku, ponieważ umysł, zajęty myślami, niczego nie zarejestrował.

Wyrzucił kubek i poszedł dalej. Wyprzedził go rowerzysta i Groszek widział, jak całe ciało mężczyzny podskakuje, dygocze i wibruje od jazdy po nierównym bruku. Oto jest ludzkie

życie, pomyślał. Tak roztrzęsione, że niczego nie widzimy wyraźnie.

Na kolację była fasola i żyłasta wołowina w jadalni pensao. Groszek i Carlotta jedli w milczeniu, słuchając rozmów innych stołowników i brzęku nakryć. Dowolna wymiana zdań między nimi z pewnością ujawniłaby jakiś istotny strzęp informacji, który wzbudziłby pytania i ściągnął uwagę. Na przykład skąd wnuk u kobiety, która mówi jak zakonnica? Jakim cudem chłopak, wyglądający na sześć lat, przemawia niczym profesor filozofii? Dlatego jedli niemal bez słowa, rzucając tylko z rzadka jakieś uwagi na temat pogody.

Po kolacji jak zawsze oboje włączyli się do sieci, żeby sprawdzić pocztę. Poczta Carlotty była ciekawa i rzeczywista. Wszyscy korespondenci Groszka - przynajmniej w tym tygodniu - sądzili, że jest kobietą imieniem Lettie, która pracuje nad doktoratem i potrzebuje informacji, ale nie ma czasu na normalne życie, więc odrzuca natychmiast wszelkie próby przyjaznej czy osobistej rozmowy. Jak dotąd w polityce żadnego kraju nie znalazł oznak działania Achillesa. Większość nie dysponowała środkami pozwalającymi na porwanie w krótkim czasie jeeshu Endera. Z państw, które tymi środkami dysponowały, Groszek żadnego nie mógł wykluczyć ze względu na brak arogancji, agresywności czy pogardy dla prawa. Mogła tego dokonać nawet Brazylia - jego dawni towarzysze z wojny z Formidami mogli tkwić teraz uwięzieni w Araraquarze. Rano mogą usłyszeć warkot śmieciarki zmiatającej z ulicy kubek po lodach, który dzisiaj wyrzucił.

- Nie rozumiem, po co ludzie rosyłają takie rzeczy - oświadczyła Carlotta.

- Co? - zapytał Groszek, wdzięczny za każdą przerwę w tej męczącej wzrok pracy.

- Te głupie, zabobonne smoki na szczęście. Teraz krąży chyba z dziesięć różnych obrazków.

- Ach, te - mruknął Groszek. - Są wszędzie. Ja ich już nie zauważam. A właściwie dlaczego smoki?

- Ten jest chyba najstarszy. W każdym razie tego zobaczyłam jako pierwszego. Z krótkim wierszykiem. Gdyby Dante tworzył dzisiaj, jestem pewna, że w swoim piekle przeznaczyłby specjalne miejsce dla tych, którzy rozpoczynają takie mody.

- Jaki wierszyk?

- „Roześlij smoka” - wyrecytowała Carlotta. - „Jeśli to zrobisz, szczęśliwy koniec i im, i tobie”.

- No tak, smoki zawsze sprowadzają szczęśliwy koniec. Znaczy, co ten wierszyk naprawdę mówi? Że umrzesz szczęśliwie? Że będziesz miała szczęście, jeśli umrzesz?

Carlotta parsknęła.

Znudzony listami, Groszek paplał dalej:

- Smoki nie zawsze przynoszą szczęście. W Szkole Bojowej musieli rozwiązać Armię Smoka, bo była pechowa. Odtworzyli ją dopiero dla Endera. I dali mu ją pewnie tylko dlatego, że wszyscy wierzyli w tego pecha, a oni starali się postawić przeciw niemu, co tylko się dało.

Wtedy jakaś myśl przemknęła mu przez głowę - przelotna myśl, ale obudziła go z letargu.

- Przyślij mi ten obrazek - poprosił.
- Na pewno masz go już na dwudziestu listach.
- Nie chce mi się szukać. Przyślij mi ten.
- Nadal jesteś tą Lettie? Trzymasz się jej już ze dwa tygodnie.
- Pięć dni.

Po kilku minutach wiadomość dotarła do Groszka. Przyjrzał się uważnie obrazkowi.

- Dlaczego właściwie tak cię to zainteresowało? - zdziwiła się Carlotta.

Podniósł głowę i zobaczył, że go obserwuje.

- Sam nie wiem. A dlaczego ciebie interesuje, czemu mnie interesuje? - Uśmiechnął się szeroko.

- Bo sądzisz, że to ważne. Może zwykle nie jestem taka mądra jak ty, ale jeśli chodzi o ciebie, jestem o wiele mądrzejsza. Umiem poznać, kiedy coś cię intryguje.

- To tylko zestawienie wizerunku smoka ze słowem „koniec”. Zakończenia nie są zwykle uważane za szczęśliwe. Dlaczego ten ktoś nie napisał „spotka was szczęście” albo „szczęśliwy los” czy czegoś podobnego? Skąd ten „szczęśliwy koniec”?

- Dlaczego?

- Koniec. Czyli end. A Ender dowodził Armią Smoka.

- To trochę naciągane, nie sądzisz?

- Przyjrzyj się obrazkowi - poradził Groszek. - W samym środku, gdzie bitmapa jest taka skomplikowana, biegnie uszkodzona linia. Piksele nie są wyrównane, ale praktycznie losowe.

- Dla mnie wygląda to na zwykłą niedokładność.

- Gdybyś była trzymana w niewoli i miała dostęp do komputera, ale cała wysyłana wiadomość podlegała kontroli, jak wysłałabyś wiadomość?

- Nie myślisz chyba, że to wiadomość od...?

- Nie mam pojęcia. Ale skoro już o tym pomyślałem, warto się jej przyjrzeć. Nie sądzisz?

Groszek wkleił rysunek smoka do programu graficznego i przyglądał się linii pikseli.

- Tak, wygląda na przypadkową. Cała ta linia. Nie pochodzi z rysunku i nie wynika z

zakłóceń, ponieważ reszta obrazka jest nienaruszona, z wyjątkiem tej drugiej linii, zmienionej tylko częściowo. Zakłócenia byłyby rozrzucone jednolicie.

- No to sprawdź, co to jest. Jesteś przecież geniuszem, a ja tylko zakonnicą.

Po chwili Groszek wyizolował obie linie w osobnym pliku i badał informacje zawarte w czystym kodzie. Interpretowane w standardzie jedno- albo dwubajtowego tekstu nie przypominały żadnego języka. Ale oczywiście nie mogły - inaczej nie wyszłyby nigdy na zewnątrz. Czyli jeśli to naprawdę wiadomość, musi być jakoś zaszyfrowana.

Przez następne kilka godzin pisał programy, które miały mu pomóc w obróbce danych zawartych w dwóch liniach rysunku. Próbował przekształceń matematycznych i reprezentacji graficznych, ale właściwie od razu wiedział, że nie może to być nic tak skomplikowanego. Ktokolwiek stworzył ten przekaz, musiał to robić bez pomocy komputera. Czyli szyfr jest stosunkowo prosty, zaplanowany jedynie tak, żeby nie wykryła go rutynowa kontrola.

Dlatego ciągle powracał do metod reinterpretacji kodu binarnego w postaci tekstowej. W krótkim czasie wpadł na pomysł, który wydał się obiecujący: dwubajtowy zapis, ale przesunięty w prawo o jedną pozycję dla każdego znaku, z wyjątkiem przypadku, kiedy to przesunięcie doprowadzałoby do zbieżności z dwoma rzeczywistymi bajtami w pamięci - wówczas było podwójne. W ten sposób prawdziwy znak nigdy się nie ujawniał, jeśli ktoś badał plik zwykłym programem przeglądającym.

Kiedy Groszek użył tej metody na pierwszej linii, uzyskał wyłącznie znaki tekstowe, co raczej nie mogło się zdarzyć przypadkiem. Ale w drugiej linii otrzymał całkiem losowe śmieci.

Wtedy przesunął drugą linię w lewo - i znowu pojawiły się tylko znaki tekstu.

- Mam - oznajmił. - To rzeczywiście wiadomość.

- A co mówi?

- Nie mam bladego pojęcia.

Carlotta podeszła i zajrzała mu przez ramię.

- To nawet nie jest język. Tekst nie dzieli się na wyrazy.

- Zrobiono tak specjalnie - wyjaśnił Groszek. - Gdyby się dzielił, wyglądałby jak wiadomość i zachęcał do odszyfrowania. Najłatwiejszy sposób, by dowolny amator mógł odszyfrować zapis w jakimś języku, to analiza długości słów i częstotliwość występowania pewnych ciągów liter. Na przykład w angielskim byłyby to „a”, „the” i „and”. Tak to działa.

- A ty nawet nie wiesz, co to za język.

- Nie, ale to musi być wspólny, ponieważ wiedzą, że wysyłają to do kogoś, kto nie zna klucza. A więc informacja musi być możliwa do odkodowania, co oznacza wspólny.

- Starają się, żeby szyfr był łatwy i trudny jednocześnie?

- Tak. Łatwy dla mnie, trudny dla innych.

- Nie, daj spokój. Myślisz, że to wiadomość do ciebie?

- Ender. Smok. Byłem w Armii Smoka, w przeciwieństwie do większości. I do kogo jeszcze mogliby pisać? Ja jestem na swobodzie, oni w niewoli. Wiedzą, że porywacze mają wszystkich oprócz mnie. I jestem jedyną osobą, którą mogą zawiadomić, nikomu się nie zdradzając.

- Jak to? Macie jakiś prywatny szyfr?

- Właściwie nie, ale mamy wspólne doświadczenia, znamy slang Szkoły Bojowej... Takie rzeczy. Zobaczysz. Kiedy to złamię, to dzięki temu, że znam jakieś słowo, którego nikt inny by nie rozpoznał.

- Jeżeli to rzeczywiście od nich.

- Na pewno - stwierdził Groszek. - Sam bym tak zrobił, żeby przekazać wiadomość na zewnątrz. Ten obrazek jest jak wirus. Trafia wszędzie, umieszcza kod w milionach miejsc, ale nikt nie wie, że to szyfr, bo wygląda jak coś, co większość ludzi już zna. Zwykła moda, a nie wiadomość. Tylko dla mnie...

- Niemal mnie przekonałeś - uznała Carlotta.

- Złamię to, zanim pójde do łóżka.

- Jesteś trochę za mały, żeby pić tyle kawy. Uszkodzisz sobie serce.

Wróciła do swojej poczty.

Ponieważ tekst nie dzielił się na słowa, Groszek szukał innych wzorców. W kodzie nie było powtarzalnych ciągów dwu- ani trzyliterowych, które nie prowadziłyby do oczywistych ślepych zaułków. To go nie dziwiło. Gdyby to on układał taki list, gdzie tylko możliwe opuszczałby przedimki, spójniki, przyimki i zaimki. Słowa pisałby też z błędami, żeby uniknąć powtarzalnych ciągów znakowych. Jednak pewne słowa na pewno zapisane są poprawnie, choć pozostają nierozpoznawalne dla większości ludzi, którzy nie wychowywali się w Szkole Bojowej.

Znalazł dwa miejsca, gdzie powtarzała się ta sama litera - po jednym w każdej linii. Może po prostu jedno słowo kończyło się tą samą literą, którą następne się zaczynało, ale Groszek w to wątpił.

W tym przekazie nic nie pozostawiono przypadkowi. Napisał więc mały programik, który podstawiał podwójne litery w słowie - poczynając od „aa” - i pokazywał, jakie mogą być sąsiednie i czy coś nie zaczyna wyglądać sensownie. Zaczął od drugiej linii, ponieważ tam para znaków była objęta drugą parą, w układzie 1221.

Oczywiste niepowodzenia, takie jak „xxdx” i „pffp”, wyeliminował natychmiast, ale

musiał sprawdzić, jak układają się w tekście wszelkie warianty „anna”, „alla”, „effe” czy „inni”. Niektóre wyniki uznał za obiecujące i zachował je do dalszego badania.

- Dlaczego teraz wszystko jest po grecku? - zdziwiła się siostra Carlotta.

Znowu zaglądała mu przez ramię.

- Zmieniłem oryginalny tekst na grecki alfabet, żeby się nie rozpraszać i nie próbować odczytać sensu ze znaków, których jeszcze nie rozszyfrowałem. Litery, nad którymi teraz pracuję, są w alfabecie łacińskim.

W tej właśnie chwili program pokazał układ „iggi”.

- Piggie - powiedziała siostra Carlotta.

- Możliwe, ale z niczym mi się to nie kojarzy. Zaczął przeglądać w słowniku wyrazy z literami „iggi”, ale nie znalazł nic sensownego.

- Czy to musi być zwykłe słowo? - spytała Carlotta.

- Jeśli to liczba, trafiliśmy w ślepy zaułek.

- Nie, chodzi mi o to, czy może to być na przykład nazwisko. Groszek zrozumiał natychmiast.

- Ależ byłem ślepy!

Wstawił „w” i „n” przed i za „iggi”, potem rozszerzył wynik na całą wiadomość. W miejsce nierozszyfrowanych liter program wstawiał myślniki. Teraz tekst wyglądał tak:

-n-----n-g----n----n----g g----wiggin--

- To nie wygląda na wspólny - stwierdziła Carlotta. - Powinno być więcej „i”.

- Zakładam, że piszący specjalnie opuszczał litery, gdzie to tylko możliwe, zwłaszcza samogłoski, żeby tekst nie wyglądał na wspólny.

- Więc skąd będziesz wiedział, że go rozszyfrowałeś?

- Kiedy zaczniesz mieć sens.

- Pora spać. Wiem, nie pójdziesz do łóżka, dopóki nie skończysz.

Prawie nie zauważył, że odeszła. Zajęty był próbami dopasowania znaczenia do drugiego układu dwóch takich samych liter. Zadanie było trudniejsze, bo litery przed i za tą parą różniły się, więc musiał sprawdzić więcej kombinacji. A to, że mógł wyeliminować „g”, „l”, „n” i „w”, niewiele pomagało.

Zapisał sporo możliwości - więcej niż poprzednio - ale nic nie budziło skojarzeń, dopóki nie dotarł do „jees”. Słowo, którego towarzysze Endera używali na określenie swojej grupy: „jeesh”. Takie słowo stanowczo mogłoby posłużyć za klucz.

--n-jeesh--en-sg-s--n----n--s-g g-s-s--wiggin-e-

Jeśli te dwadzieścia pięć liter jest poprawnych, pozostało tylko trzydzieści sześć do

odczytania. Groszek przetarł oczy, westchnął ciężko i wziął się do pracy.

* * *

Było już południe, kiedy obudził go zapach owoców. Siostra Carlotta obierała pomarańczę mexarica.

- Ludzie jedzą je na ulicy i wypluwają miąższ na chodnik. Można ją tak przeżuć, żeby dała się połknąć, ale sam sok to najlepsze, czego w życiu próbowałeś.

Groszek wstał i wziął kawałek. Miała rację. Podała mu miseczkę, żeby mógł wypłuć resztki.

- Niezłe śniadanie.

- Już bliżej obiadu - poprawiła go. Podniosła kartkę papieru. - Domyślam się, że uważasz to za rozwiązanie? Tę kartkę wydrukował, zanim się położył.

pmcndrjeeshrzm en ros grsz pltn 6 arm 40 pn prob sbtg grsz szuk wiggin petr

- Oj... Nie wydrukowałem wersji z podziałem na słowa. Wsadził sobie do ust kolejną cząstkę pomarańczy, podszedł bosy do komputera, otworzył właściwy plik i przesłał do drukarki.

Wrócił do Carlotty, oddał jej kartkę, wypłuł miąższ, wyjął mexaricę z papierowej torby i zaczął obierać.

pmc ndr jeesh rzm en ros grsz pltn 6 arm 40 pn prob sbtg grsz szuk wiggin petr

- Groszku - odezwała się siostra Carlotta - jestem zwykłą śmiertelniczką. Te „grsz” to pewnie „Groszek”, a na początku chyba „pomocy”. To dalej to niby „Ender”?

Groszek wziął od niej papier.

- Opuścili jak najwięcej samogłosek. Są też inne błędy. Ale pierwsza linijka brzmi: „Pomocy. Endera jeesh jest razem w Rosji...”

- „Rzm” to „razem”? No tak. A „en” to „w”? Po francusku?

- Tak. Żeby układ dwóch liter z samogłoską nie był typowy dla języka. - Groszek tłumaczył dalej: - Następny kawałek był trudny, dopóki nie zrozumiałem, że 6 i 40 to liczby. Odgadłem prawie wszystkie litery, zanim to do mnie dotarło. Chodzi o to, że te liczby mają znaczenie, a w żaden sposób nie da się ich odgadnąć z kontekstu. Więc kolejne słowa służą temu, żeby ten kontekst ustalić. Tekst mówi „Groszka pluton był 6”. Ender podzielił Armię Smoka na pięć plutonów zamiast normalnych czterech, a potem dał mi jeszcze taki wydzielony pluton, więc gdyby policzyć, byłby szósty. Ale nie wie tego nikt, kto nie był w Szkole Bojowej. Czyli tylko ktoś taki jak ja zrozumie, o jaką liczbę chodzi. To samo z następną. „Armia to 40”.

Wszyscy w Szkole Bojowej wiedzieli, że w każdej armii jest czterdziestu żołnierzy. Chyba żeby policzyć dowódcę, wtedy wychodzi czterdziestu jeden. Ale to bez znaczenia, rozumiesz, bo ostatnia cyfra jest nieistotna.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Bo następne litery to „pn”. Północ. Próbują przekazać, gdzie się znajdują. Wiedzą, że są w Rosji. I najwyraźniej widzą słońce, a przynajmniej cienie na ścianach, znają datę, więc mogą mniej więcej wyliczyć szerokość geograficzną. Sześć-cztery-zero północna. Sześćdziesiąt cztery stopnie.

- Chyba że tu chodzi o coś innego...

- Nie. Ta wiadomość miała być oczywista.

- Dla ciebie.

- Tak, dla mnie. Końcówka tej Unii to „Próbujemy sabotażu”, gdzie sabotaż znowu napisali jak po francusku. To chyba znaczy, że starają się psuć wszystko, do czego zmuszają ich Rosjanie. Udają, że są posłuszni, ale naprawdę szkodzą. Sprytnie, że to zaznaczyli. Po wygranej wojnie z Formidami Graff stanął przed sądem. To sugeruje, że lepiej jakoś zapisać, że nie współpracują z nieprzyjacielem. Na wypadek gdyby zwyciężyła strona przeciwna.

- Przecież Rosja z nikim nie prowadzi wojny.

- Polemarcha był Rosjaninem, a żołnierze Układu Warszawskiego tworzyli główną grupę jego sił w Wojnie Ligi. Musisz pamiętać, że Rosja najszybciej zyskiwała na znaczeniu, kiedy zjawili się Formidzi, zaczęli wszystko rozwalać i zmusili ludzkość do stworzenia Międzynarodowej Floty i zjednoczenia pod władzą Hegemonia. Rosjanie uważali, że zostali oszukani, że byli przeznaczeni do czegoś więcej. Teraz, kiedy Formidów już nie ma, można chyba założyć, że próbują wrócić na dawną drogę. Nie uważają się za tych złych. Myślą, że są jedynymi, którzy posiadają wolę i możliwości, by zjednoczyć świat naprawdę, już na dobre. Wierzą, że postępują słusznie.

- Ludzie zawsze w to wierzą.

- Nie zawsze. Ale owszem, żeby wydać wojnę, trzeba jakoś sprzedać własnemu narodowi ideę, że albo walczy się w samoobronie, albo że się zasługuje na zwycięstwo, albo że się walczy, by ratować inny naród. Rosjanie ulegają takim altruistycznym hasłom tak samo łatwo jak inni.

- Co z drugą linijką?

- „Groszek szukaj Wiggina Petera”. Sugerują, żebyś znalazł starszego brata Endera. Nie odleciał statkiem kolonizacyjnym z Enderem i Valentine. I prowadził swoją grę, używając sieciowej tożsamości Locke'a. Podejrzewam, że skoro Valentine odleciała, pisze też jako

Demostenes.

- Wiedziałeś o tym?

- Wiedziałem o wielu sprawach. Ale najważniejsze, że mają rację. Achilles poluje na mnie i na ciebie, trzyma całą resztę jeeshu Endera, lecz nawet nie wie, że Ender ma brata. A choćby i wiedział, nic by go to nie obchodziło. Ale ty wiesz i ja wiem, że gdyby nie drobna skaza charakteru, Peter Wiggin trafiłby do Szkoły Bojowej. A ta skaza może być właśnie tym, czego mu trzeba, żeby stać się godnym przeciwnikiem Achillesa.

- A może spowoduje, że jeśli chodzi o ilość cierpienia na świecie, zwycięstwo Petera nie będzie lepsze od zwycięstwa Achillesa.

- Nie dowiemy się, póki go nie znajdziemy.

- Ale żeby go znaleźć, Groszku, musiałbyś zdradzić, kim naprawdę jesteś.

- Owszem - zgodził się Groszek. - To podniecające, prawda? Wykrzywił twarz w demonstracyjnym uśmiechu, niczym dziecko zabrane pierwszy raz do zoo.

- Pamiętaj, że narażasz własne życie.

- Przecież sama chciałaś, żebym znalazł sobie jakąś wielką sprawę.

- Peter Wiggin nie jest sprawą. Jest zagrożeniem. Nie słyszałeś, co o nim mówił Graff.

- Wręcz przeciwnie. Jak myślisz, skąd się o nim dowiedziałem?

- Przecież może się okazać nie lepszy od Achillesa!

- Już teraz widzę, że pod pewnymi względami jest lepszy. Po pierwsze, nie próbuje nas zabić. Po drugie, ma rozległe sieciowe kontakty z ludźmi na całym świecie. Niektórzy wiedzą, jaki jest młody, ale większość nie ma pojęcia. Po trzecie, jest równie ambitny co Achilles, lecz Achilles zebrał już prawie wszystkie dzieci, które uchodzą za najlepszych dowódców wojskowych świata, podczas gdy Peter będzie miał tylko mnie. Sądysz, że jest tak głupi, by mnie nie wykorzystać?

- Wykorzystać - powtórzyła siostra Carlotta. - To jest kluczowe słowo.

- A czy ty nie jesteś wykorzystywana w swojej sprawie?

- Ale przez Boga, nie Petera Wiggina.

- Założę się, że wiadomości od Petera Wiggina są bardziej zrozumiałe niż te od Boga - stwierdził Groszek. - A jeśli nie spodoba mi się to, co robi, zawsze mogę się wycofać.

- Z takimi ludźmi jak Peter nie zawsze możesz.

- Nie zmusi mnie do myślenia o tym, o czym nie chcę myśleć. Jeżeli tylko nie jest wyjątkowo głupim geniuszem, na pewno to zrozumie.

- Ciekawe, czy rozumie to też Achilles, kiedy usiłuje wycisnąć z tych dzieciaków ich inteligencję.

- Właśnie... Mamy do wyboru Petera Wiggina i Achillesa. Jakie są szanse, że Wiggin okaże się gorszy?

- Szczerze mówiąc, trudno to sobie wyobrazić.

- Zastanówmy się więc nad sposobem nawiązania kontaktu z Locke'em, ale tak, żeby nie zdradzić naszej tożsamości ani miejsca pobytu.

- Zanim wyjedziemy z Brazylii, chciałabym najeść się jeszcze pomarańczy - oświadczyła siostra Carlotta.

Dopiero wtedy Groszek zauważył, że we dwójkę zjedli już wszystkie.

- Ja też - przyznał.

Kiedy wychodziła z pustą torbą, zatrzymała się jeszcze w progu.

- Dobrze sobie poradziłeś z tą wiadomością, Julianie Delphiki - powiedziała.

- Dziękuję, babciu Carlotto.

Uśmiechnęła się i wyszła.

Groszek raz jeszcze spojrzał na wydruk. Jedynym fragmentem listu, który nie do końca dla niej zinterpretował, było ostatnie słowo. Nie wierzył, by „petr” oznaczało Petera. To nadmiarowa informacja, „Wiggin” całkiem wystarczało do identyfikacji. Nie, to „petr” na końcu musiało być podpisem. Wiadomość pochodziła od Petry. Mogła pisać bezpośrednio do Petera Wiggina, ale napisała do Groszka i zaszyfrowała list tak, że Peter nigdy by go nie zrozumiał.

Wierzy we mnie.

Groszek wiedział, że inni w jeeshu Endera go nie lubią - nie bardzo, ale trochę. Kiedy przebywali w Szkole Dowodzenia na Erosie, zanim dotarł tam Ender, wojskowi kazali Groszkowi kierować grupą we wszystkich ćwiczebnych bitwach, chociaż był najmłodszy, młodszy nawet od Endera. Wiedział, że dobrze sobie radził i zyskał ich szacunek. Ale nie podobało im się, że muszą słuchać jego rozkazów. Nie kryli radości, kiedy wreszcie przyleciał Ender i Groszek znowu stał się im równy. Nikt nie powiedział „Dobra robota, Groszek” albo „Nieźle ci szło”. Nikt oprócz Petry.

Na Erosie robiła dla niego to, co Nikolai w Szkole Bojowej - od czasu do czasu rzucała jakieś dobre słowo. Był pewien, że ani jedno, ani drugie nie uświadamiało sobie, ile dla niego znaczy ta zdawkowa pochwała. Ale on pamiętał, że kiedy potrzebował przyjaciela, miał ich przy sobie. Nikolai okazał się - wskutek splotu nie całkiem przypadkowych okoliczności - jego bratem. Czy może więc uznać Petrę za siostrę?

I właśnie Petra teraz się do niego zwróciła. Wierzyła, że rozpozna wiadomość, odszyfruje ją i zacznie działać.

Niektóre pliki w bazach danych Szkoły Bojowej sugerowały, że Groszek nie jest człowiekiem. Wiedział, że Graff przynajmniej czasami też tak uważał, ponieważ podsłuchiwał te słowa padające z jego własnych ust. Wiedział, że Carlotta go kocha, ale Jezusa kocha bardziej, a zresztą jest już stara i traktuje go jak dziecko. Mógł na niej polegać, ale ona nie polegała na nim.

W życiu na Ziemi, jeszcze przed Szkołą Bojową, jedynym przyjacielem Groszka była dziewczyna imieniem Buch. Achilles zamordował ją dawno temu. Zamordował w chwilę po tym, jak Groszek ją opuścił, i chwilę przed tym, jak uświadomił sobie swój błąd i popędził, żeby ją ostrzec. Znalazł jej ciało pływające w Renie. Umarła, bo próbowała ratować Groszka i nie mogła na nim polegać - nie zatroszczył się, by ją uratować.

Wiadomość od Petry oznaczała, że znalazł może kolejnego przyjaciela, który na nim polega. I tym razem nie odejdzie. Tym razem przyszła jego kolej, by ratować przyjaciela albo zginąć, próbując. Czy to dostatecznie wielka sprawa, siostró Carlotto?

7. Ujawnienie

To: Demostenes%Tecumseh@freeamerica.org,

Locke%erasmus@polnet.gov

From: nieprobuj@stoifirewall

Subject: Pięta Achillesa

Drogi Peterze Wigginie,

wiadomość przeszmyglowana do mnie od porwanych dzieci potwierdza, że przebywają (a przynajmniej przebywały w chwili, kiedy ją pisały) razem, w Rosji, w okolicy sześćdziesiątego czwartego równoleżnika. Starają się przeszkadzać tym, którzy chcą wykorzystać ich wojskowe talenty. Ponieważ z pewnością będą rozdzielone i często przenoszone z miejsca na miejsce, ich ścisła lokalizacja nie ma znaczenia. A wiedziałeś już, jestem pewien, że tylko Rosja miała ambicję i możliwości, by przechwycić wszystkich członków jeeshu Endera.

Oczywiście rozumiesz, że nie da się uwolnić tych dzieci metodą interwencji wojskowej - przy najmniejszych oznakach takiej próby zostaną zabite, by pozbawić przeciwnika zdobyczy. Możliwe jednak byłoby chyba przekonanie albo rosyjskiego rządu, albo niektórych, jeśli już nie wszystkich osobników przetrzymujących dzieci, że uwolnienie ich leży w dobrze pojętym interesie Rosji. Cel ten można osiągnąć, zdradzając tożsamość tego, który niemal na pewno stoi za tą zuchwałą akcją. Obie twoje tożsamości dają wyjątkową możliwość oskarżenia go tak, by potraktowano to poważnie.

Proponuję zatem, abyś przestudiował dane dotyczące ataku na szpital dla niebezpiecznych psychicznie chorych w Belgii. Nastąpił podczas Wojny Ligi, zginęło trzech strażników, a pacjenci uciekli. Wszystkich prócz jednego szybko potem schwytano. Tym jednym był dawny uczeń Szkoły Bojowej. To on zaplanował porwanie. Ogłoszenie, że ów psychopata ma dzieci w swej władzy, spowoduje niepokój i obawy w rosyjskim systemie dowodzenia. Da im to również kozła ofiarnego, gdyby postanowili zwrócić dzieci.

Nie próbuj nawet wysledzić nadawcy tego e-maila. W tej chwili on już nigdy nie istniał. Jeśli na podstawie swoich badań nie zdołasz się domyślić, kim jestem i jak się ze mną skontaktować, to właściwie i tak nie mamy o czym rozmawiać.

Peterowi zamarło serce, kiedy otworzył list do Demostenesa i przekonał się, że jest

adresowany również do Locke'a. Nagłówek - „Drogi Peterze Wigginie” - tylko potwierdził obawy: ktoś spoza biura Polemarchy odkrył jego tożsamość. Oczekiwał najgorszego, jakiegoś szantażu albo żądania, by wsparł tę czy inną sprawę.

Ku jego zdziwieniu, wiadomość nic takiego nie zawierała. Przyszła od kogoś, kto twierdził, że otrzymał informację od porwanych dzieci, i zaproponował kuszącą ścieżkę badań. Oczywiście Peter natychmiast sprawdził archiwa prasowe i znalazł atak na silnie strzeżony szpital dla psychicznie chorych w pobliżu Genk. Odszukanie imienia więźnia, który zbiegł, okazało się trudniejsze. Peter jako Demostenes musiał poprosić o pomoc swój kontakt w niemieckiej policji, a jako Locke o dodatkowe wsparcie przyjaciela w Komitecie do Zwalczania Sabotażu w biurze Hegemona.

Poszukiwania odsłoniły imię, które go rozbawiło, ponieważ było wpisane w linii tematu anonimowego e-maila. Achilles, wymawiany z francuska „A-sziil”. Sierota, ocalony z ulic Rotterdamu przez - kto by pomyślał - katolicką zakonnicę, pracującą dla sekcji rekrutacji Szkoły Bojowej. Zrobili mu operację, żeby nie kulał, i zabrali do szkoły. Przetrwał tam tylko parę dni, zanim inni uczniowie udowodnili, że jest seryjnym mordercą, choć w szkole nikogo nie zabił.

Lista jego ofiar była całkiem interesująca. Miał obsesję zabijania każdego, przez kogo poczuł się lub wydał bezbronny i słaby. W tym lekarkę, która nastawiała mu nogę. Widocznie wdzięczność nie należała do mocnych stron jego charakteru.

Kiedy Peter połączył wszystkie te informacje, zrozumiał, że jego nieznany korespondent ma słuszość. Jeśli rzeczywiście ten czubek kierował operacją mającą na celu wykorzystanie dzieci w planowaniu strategii, rosyjscy oficerowie, którzy z nim pracowali, prawie na pewno nie mieli pojęcia o tych wyczynach. Instytucja, która go uwolniła, nie podzieliła się wiedzą z wojskowymi. Gdyby ujawnić akta, wybuchnie skandal, który sięgnie najwyższych szczebli władzy w Rosji.

I jeśli nawet rząd nie spróbuje pozbyć się Achillesa i uwolnić dzieci, to przecież rosyjska armia pilnie strzeże swojej niezależności, zwłaszcza od agencji specjalizujących się w wywiadzie i brudnej robocie. Istnieje spora szansa, że kilkoro dzieci „ucieknie”, zanim rząd podejmie jakąś akcję. Co więcej, takie samowolne decyzje mogą zmusić rząd do ich legalizacji i udawania, że „wcześniejsze uwolnienia” miały błogosławieństwo władz.

Oczywiście, jest też możliwe, że kiedy tylko prawda wyjdzie na jaw, Achilles spróbuje zabić jedno lub więcej dzieci. Cóż, przynajmniej z nimi Peter nie będzie musiał się mierzyć w bitwie. A teraz, kiedy dowiedział się czegoś o Achillesie, miał większe szansę, gdyby doszło do starcia. Achilles zabijał własnymi rękoma. To bardzo głupie, a że testy nie wykryły u niego

głupoty, musi to być jakiś nieodparty psychiczny przymus. Ludzie poddający się takim przymusom mogą być strasznymi przeciwnikami - ale można ich również pokonać.

Po raz pierwszy od tygodni Peter dostrzegł nikły promyk nadziei. Jego praca jako Locke'a i Demostenesa zaczynała przynosić korzyści - ludzie dysponujący tajnymi informacjami, które chcieli upublicznić, znajdowali sposoby, by przekazać je właśnie Peterowi. Nie musiał nawet prosić. Jego wpływy opierały się na luźnej sieci informatorów. Nie przejmował się faktem, że ów nieznany korespondent chce go „wykorzystać”. W jego opinii wykorzystywali się nawzajem. Poza tym zasłużył sobie przecież na takie przydatne podarunki.

Mimo to zawsze zaglądał darowanym koniom w zęby. Jako Locke i jako Demostenes pisał do przyjaciół i do swoich kontaktów w różnych agencjach rządowych, by uzyskać potwierdzenie poszczególnych elementów historii, którą zamierzał opisać. Czy ataku na szpital mogli dokonać rosyjscy agenci? Czy obserwacje satelitarne wykryły wokół sześćdziesiątego czwartego równoleżnika jakąkolwiek aktywność, która mogłaby odpowiadać przybyciu lub wyjazdowi dziesięciorga porwanych dzieci? Czy o miejscu pobytu Achillesa wiadomo cokolwiek, co przeczyłoby teorii, że to on kierował całą akcją porwania?

Studia zajęły mu kilka dni. Najpierw spróbował pisać artykuł jako Demostenes, ale szybko sobie uświadomił, że Demostenes stale publikuje ostrzeżenia przed rosyjskimi spiskami, więc czytelnicy mogą nie potraktować go poważnie. Autorem musi być Locke - a to ryzykowne, ponieważ do tej chwili Locke bardzo uważał, by nie stawać przeciwko Rosji. Tym łatwiej więc teraz wszyscy uwierzą, gdy ujawni sprawę Achillesa - ale naraża się na utratę swych najlepszych rosyjskich kontaktów. Nieważne, jak niechętny może być Rosjanin wobec poczynań swoich władz - jest głęboko oddany Matce Rosji. Istnieje granica, której nie wolno przekraczać. Dla sporej liczby jego sieciowych przyjaciół publikacja artykułu będzie oznaczać przekroczenie tej granicy.

W końcu jednak wpadł na oczywiste rozwiązanie. Zanim odda swój tekst do „International Aspects”, prześle kopie znajomym Rosjanom, by ostrzec ich, co się dzieje. Oczywiście, tekst dotrze do wojskowych. Możliwe, że skutki nastąpią, zanim jeszcze jego artykuł pojawi się oficjalnie. A ludzie, z którymi się kontaktuje, rozumieją, że nie próbuje zaszkodzić Rosji - daje im szansę posprzątania domu, a przynajmniej obmyślenia jakiejś wymówki.

Tekst nie był długi, ale zawierał nazwiska i otwierał reporterom drogę do dalszych badań. Na pewno pójdą tą drogą. Od pierwszego akapitu stanowił prawdziwy dynamit.

Umysł, który zaplanował porwanie „jeeshu” Endera, należy do obłąkanego zabójcy imieniem Achilles. Podczas Wojny Ligi uwolniono go ze szpitala dla psychicznie chorych, by

swym mrocznym geniuszem wspomagał rosyjską strategię wojskową. Człowiek ten wielokrotnie mordował własnymi rękoma, a teraz dziesięcioro wybitnie uzdolnionych dzieci, które kiedyś ocaliły naszą planetę, znalazło się całkowicie na jego łasce. Co myśleli Rosjanie, kiedy oddawali władzę takiemu psychopacie? A może krwawe wyczyny Achillesa ukrywano nawet przed nimi?

Udany pomysł. Już w pierwszym akapicie, obok oskarżeń, Locke wielkodusznie podpowiadał wykręt, który pozwoli rosyjskiemu rządowi i generalicji uniknąć odpowiedzialności.

W ciągu dwudziestu minut wysłał listy do swoich rosyjskich kontaktów, uprzedzając przy tym, że mają tylko około sześciu godzin, zanim będzie musiał oddać tekst do „International Aspects”. Redakcyjna kontrola zechce sprawdzić fakty, co wydłuży ten czas o kolejną godzinę czy dwie, ale znajdą potwierdzenie wszystkiego.

Wcisnął raz za razem SEND, SEND, SEND...

Potem zaczął się zastanawiać, w jaki sposób posiadane dane wskazują tożsamość korespondenta. Jeszcze jeden pacjent domu wariatów? Raczej nie - wszyscy zostali schwytani. Pracownik szpitala? Niemożliwe, żeby ktoś taki odkrył, kto kryje się za pseudonimami Locke'a i Demostenesa. Ktoś związany ze śledztwem w sprawie porwania? Bardziej prawdopodobne - ale serwisy wiadomości rzadko wymieniały nazwiska policjantów. Poza tym jak miał zgadnąć, który z nich przekazał mu informację? Nie, jego korespondent sugerował, że istnieje jedyne rozwiązanie tego problemu. Wysyłanie e-maili do wszystkich związanych ze śledztwem zwiększy tylko ryzyko zdradzenia Petera, bez żadnej gwarancji, że jeden z tych ludzi jest właściwym.

Kiedy rozmyślał nad tożsamością swojego anonimowego korespondenta, nie nastąpiła żadna reakcja ze strony rosyjskich przyjaciół. Gdyby błędnie ustalił fakty, gdyby rosyjscy generałowie znali już historię Achillesa i chcieli ją jakoś zatuszować, otrzymałby lawinę e-maili proszących, by zrezygnował w publikacji, żądających, i wreszcie grożących. Fakt, że nikt nic nie pisał, wystarczył mu za potwierdzenie ze strony Rosjan.

Jako Demostenes Peter był mocno antyrosyjski. Jako Locke - rozsądny i bezstronny wobec wszystkich krajów. Jako Peter jednak zazdrościł Rosjanom poczucia narodowej tożsamości, ich wspólnoty, gdy uważali, że krajowi grozi niebezpieczeństwo. Jeśli nawet Amerykanów łączyły kiedyś takie więzy, zniknęły na długo przed narodzinami Petera. Bycie Rosjaninem stanowiło najważniejszą część osobowości człowieka. Bycie Amerykaninem było równie istotne jak bycie rotarianinem - ważne, kiedy wybierali człowieka na wysokie stanowisko, ale prawie niezauważalne dla osobistego poczucia tożsamości. Dlatego planując

przyszłość, Peter nigdy nie myślał o Ameryce. Amerykanie oczekiwali, że wszystko ułoży się po ich myśli, ale brakowało im pasji. Demostenes potrafił w nich wzbudzić gniew albo urazę, lecz skutkiem była tylko złość, nie poczucie celu. Peter będzie musiał szukać wsparcia gdzie indziej. Szkoda, że Rosja jest dla niego niedostępna. Ten naród posiadał wolę, pragnienie wielkości, połączone z najbardziej chyba niezwykłym w historii ciągiem głupich przywódców - z możliwym wyjątkiem królów Hiszpanii. I Achilles dotarł tam pierwszy...

Sześć godzin po wysłaniu artykułu do Rosjan, Peter raz jeszcze wcisnął SEND i przesłał tekst wydawcy. Jak się spodziewał, odpowiedź nadeszła już po trzech minutach.

Jesteś pewien?

Na co odpowiedział: „Sprawdźcie. Moje źródła potwierdzają”.

A potem poszedł do łóżka.

Ocknął się prawie natychmiast, po paru minutach, kiedy zrozumiał, że szukał swojego informatora w niewłaściwym miejscu. To nie ktoś z prowadzących śledztwo w sprawie porwania. To ktoś związany z najwyższym dowództwem MF - ktoś, kto wie, że Peter Wiggin jest Locke'em i Demostenesem. Ale nie Graff ani Chamrajnagar - oni nie zostawiliby wskazówek co do swojej tożsamości. To ktoś inny... Może ktoś, komu się zwierzyli.

Ale nikt z MF nie został wymieniony w informacjach o ucieczce Achillesa. Z wyjątkiem siostry zakonnej, która znalazła Achillesa na ulicy...

Raz jeszcze przeczytał list. Czy mógł pochodzić od zakonniczki? Możliwe, ale dlaczego wysłała go anonimowo? I dlaczego porwane dzieci przemyciły wiadomość właśnie do niej?

Może zwierbowała jedno z nich?

Peter wstał z łóżka, począłpał do komputera i wywołał informacje o porwanych dzieciach. Każde z nich trafiło do Szkoły Bojowej w wyniku normalnej procedury. Żadnego nie odkryła zakonnica i żadne nie miało powodów, żeby wysyłać jej tajny list.

Jakie mogą być inne powiązania? Achilles był sierotą na ulicach Rotterdamu, kiedy siostra Carlotta dostrzegła u niego talent wojskowy - nie miał żadnych krewnych. Chyba że był jak ten grecki dzieciak z jeeshu Endera, który parę tygodni temu zginął w zamachu rakietowym. Też uważano go za sierotę, ale okazało się, że ma rodzinę, co odkryto, gdy przebywał w Szkole Bojowej.

Sierota. Zginął w zamachu rakietowym. Jak się nazywał? Julian Delphiki. Zwany Groszkiem. To przezwisko zyskał, kiedy jeszcze żył na ulicy... gdzie?

W Rotterdamie. Jak Achilles.

Bez trudu mógł sobie wyobrazić, że siostra Carlotta odkryła i Groszka, i Achillesa. Na Erosie Groszek należał do towarzyszy Endera podczas ostatniej bitwy. Tylko on został zabity, a

nie porwany. Wszyscy zakładali, że ponieważ przebywał pod silną ochroną greckiej armii, niedoszli kidnaperzy zrezygnowali z porwania i postanowili raczej nie dopuścić, by wykorzystał go przeciwnik. A może w ogóle nie planowali porwania, ponieważ Achilles już go znał? Co ważniejsze, Groszek znał Achillesa i za dużo o nim wiedział.

A jeśli Groszek wcale nie zginął? Jeśli ukrywa się, chroniony powszechnym przekonaniem o swojej śmierci? Całkiem możliwe, że więzione dzieci właśnie jego wybrały na adresata przemyconego listu - był jedynym z ich grupy, poza samym Enderem, który uniknął niewoli. A kto inny miałby tak silną motywację, by ich uwolnić, a także byłby zdolny do wymyślenia takiej strategii, jaką wyłożył w liście tajemniczy informator?

Peter czuł, że wznosi domek z kart, jedno piętro po drugim - ale każdy intuicyjny przeskok wydawał się całkowicie poprawny. List napisał Groszek - Julian Delphiki. Jak można się z nim skontaktować? Może przebywać w dowolnym miejscu, a próby pisania są skazane na niepowodzenie - ktokolwiek wie, że Groszek żyje, będzie tym bardziej udawał, że jest martwy. Nie przyjmie dla niego wiadomości.

Rozwiązanie powinno być oczywiste na podstawie posiadanych danych... I rzeczywiście było: siostra Carlotta.

Peter miał kontakt w Watykanie - sparringpartnera w wojnach idei, jakie wybuchały czasami na listach dyskusyjnych poświęconych stosunkom międzynarodowym. W Rzymie był już dzień, choć bardzo wczesny. Ale jeśli ktokolwiek we Włoszech siedzi tak wcześnie za biurkiem, jest to z pewnością zapracowany mnich w watykańskim urzędzie spraw zagranicznych.

Rzeczywiście, odpowiedź nadeszła po piętnastu minutach.

Miejsce pobytu siostry Carlotty jest tajne. Można przekazywać wiadomości. Nie będę czytał tego, co prześlesz przeze mnie. (Nie mógłbym tu pracować, gdybym nie umiał zamykać oczu).

Peter ułożył więc list do Groszka i wysłał go do siostry Carlotty. Jeśli ktokolwiek wiedział, jak znaleźć kryjówkę Groszka, to właśnie zakonnica, która pierwsza go odkryła. To jedyne możliwe rozwiązanie zagadki, jaką przedstawił mu anonimowy informator.

W końcu wrócił do łóżka, wiedząc, że nie zaśnie na długo. Na pewno będzie się budził w nocy, by sprawdzić w sieciach reakcję na swój artykuł.

A jeśli nikt się nie przejmie? Jeśli tak fatalnie naraził swoje wcielenie Locke'a i nic na tym nie zyska?

Leżał w łóżku i sam przed sobą udawał, że może zasnąć. Słyszał pochrapywanie rodziców z pokoju po drugiej stronie korytarza - dźwięk był równocześnie dziwny i

uspokajający. Dziwny, ponieważ Peter martwił się właśnie, że coś, co napisał, może nie wywołać międzynarodowego zatargu, a jednak przez cały czas mieszkał z rodzicami - jedyne dziecko, jakie im pozostało. Uspokajający, ponieważ od wczesnego dzieciństwa znał ten dźwięk dający pewność, że wciąż żyją, że są blisko, a jeśli ich słyszy, to i oni usłyszą jego krzyk, gdyby nagle z ciemnych zakamarków pokoju wyskoczyły potwory.

Potwory z czasem zmieniły oblicza i skryły się w zakątkach odległych od jego sypialni, lecz dźwięki dochodzące z pokoju rodziców były dowodem, że świat się jeszcze nie skończył.

Peter nie wiedział czemu, ale był pewien, że list wysłany właśnie do Juliana Delphiki, poprzez siostrę Carlottę i poprzez jego przyjaciela w Watykanie, przerwie tę długotrwałą idyllę, kiedy mógł wpływać na sprawy świata, a jednocześnie matka prąta jego rzeczy. W końcu wchodził do gry - nie jako chłodny, zachowujący dystans komentator Locke albo gorącochrwisty demagog Demostenes, dwa elektroniczne konstrukty, ale jako Peter Wiggin, młody człowiek z krwi i kości, którego można schwytać, można skrzywdzić, można zabić...

Ta myśl przede wszystkim nie powinna dać mu zasnąć. Czuł się jednak spokojny. Rozluźniony. Długie oczekiwanie dobiegało końca.

Wreszcie usnął i nie obudził się, póki matka nie zawołała go na śniadanie.

Przy stole ojciec czytał wydruk gazety.

- O czym piszą, tato? - spytał Peter.

- Twierdzą, że Rosjanie porwali te dzieciaki. I oddali je we władzę znanego mordercy. Trudno uwierzyć, ale wiedzą chyba wszystko o tym Achillesie. Ktoś wyrwał go z domu wariatów w Belgii. Żyjemy w zwariowanym świecie. Mogli złapać Endera... - Pokręcił głową.

Peter zauważył, że matka znieruchomiała na moment, słysząc imię Endera. Tak, mamó, wiem, że był twoim ukochanym dzieckiem i cierpisz, kiedy ktoś wymawia jego imię. I że tęsknisz za swoją ukochaną córeczką Valentine, która opuściła Ziemię i już nigdy nie wróci, w każdym razie nie za twojego życia. Ale masz przecież przy sobie swojego pierworodnego, swojego inteligentnego i przystojnego syna Petera, który pewnego dnia z pewnością spłodzi ci inteligentne i piękne wnuki, a także załatwi parę innych spraw, na przykład - kto wie? - sprowadzi pokój na Ziemię, jednocząc ją pod wspólnym rządem. Czy to by cię choć trochę pocieszyło?

Raczej nie.

- Ten morderca nazywa się... Achilles?

- To nie jest nazwisko. To pseudonim, jak u jakiegoś śpiewaka pop albo kogoś w tym rodzaju.

Peter zadrżał wewnątrz. Nie z powodu słów ojca, ale dlatego że niewiele brakowało,

by inaczej niż ojciec wymówił słowo „Achilles”. Nie był pewien, czy któraś z gazet wspominała o francuskim brzmieniu imienia. Jak by wyjaśnił, że je zna?

- Rosja zaprzecza, naturalnie? - zapytał. Ojciec raz jeszcze przejrzał gazetę.

- W artykule nie ma o tym ani słowa.

- Nieźle - mruknął Peter. - Czyli to może być prawda.

- Gdyby to była prawda - oświadczył ojciec - na pewno by zaprzeczyli. Tacy już są Rosjanie.

Tak jakby ojciec miał pojęcie, jacy są Rosjanie.

Muszę się wynieść, myślał Peter. Zacząć samodzielne życie. Jestem w college'u. Próbuję uwolnić z niewoli dziesięciu więźniów, oddalonych o jedną trzecią świata stąd. Może powinienem sięgnąć do pieniędzy, jakie uzbierałem za artykuły, i wynająć mieszkanie.

Może powinienem zrobić to natychmiast, wtedy jeśli Achilles dowie się, kim jestem, i spróbuje mnie zabić, nie ściągnę niebezpieczeństwa na rodziców.

I tylko on sam wiedział, że w głębi umysłu uformowała się inna, bardziej wstydliva myśl: Może jeśli się wyprowadzę, wysadzą dom, kiedy mnie tu nie będzie, jak to się pewnie zdarzyło z Julianem Delphiki. Pomyślą, że zginąłem i na jakiś czas będę bezpieczny.

Nie, przecież nie chcę, żeby rodzice zginęli! Jakież potwór mógłby o tym myśleć? Nie chcę.

Ale Peter nigdy nie okłamywał sam siebie, a w każdym razie niedługo. Nie chciał, żeby rodzice umarli, a zwłaszcza żeby zginęli gwałtownie w ataku wymierzonym w niego. Wiedział jednak, że jeśli to nastąpi, woli nie być przy nich w krytycznej chwili. Oczywiście lepiej, gdyby nikogo nie było w domu. Ale... najpierw ja.

Tak. Tego właśnie nienawidziła w nim Valentine. Peter już prawie zapomniał. Dlatego Ender był tym synem, którego wszyscy kochali. Pewnie, Ender zlikwidował całą obcą rasę, nie wspominając już o skasowaniu tego chłopaka w łazience w Szkole Bojowej. Ale nie był egoistą...

- Czemu nie jesz? - spytała matka.

- Przepraszam. Oddają nam dzisiaj wyniki testów i trochę się zamyśliłem.

- Na jaki temat?

- Historia świata.

- Czy to nie dziwne, gdy się pomyśli, że kiedy w przyszłości będą pisać podręczniki historii, zawsze będą wymieniać imię twojego brata?

- Wcale nie dziwne - odparł Peter. - To jedna z tych przyjemności, które się zyskuje po ocaleniu świata.

Ale kryjąc się za pozorną wesołością, bezgłośnie złożył matce solenną obietnicę. Zanim umrzesz, mam, przekonasz się, że choć imię Endera pojawi się w jednym czy dwóch rozdziałach, nie będzie można dyskutować o tym ani następnym stuleciu, nie wspominając o mnie praktycznie na każdej stronie.

- Muszę lecieć - oznajmił ojciec. - Powodzenia w testach.
- Już napisałem test, tato. Dzisiaj tylko dowiem się, jaki dostałem stopień.
- O to mi właśnie chodziło. Powodzenia ze stopniami.
- Dzięki.

Wrócił do jedzenia. Matka odprowadziła ojca do drzwi, żeby pocałować go na pożegnanie.

Kiedys i ja będę miał kogoś, kto w progu będzie mnie całował na pożegnanie. A może tylko kogoś, kto założy mi opaskę na oczy, zanim mnie rozstrzelają. Zależy, jak się rozwinie sytuacja.

8. Furgonetka dostawcza

To: Demostenes%Tecumseh@freeamerica.org

From:unready%cincinnatus@anon.set

Subject: satrap

Raporty satelitarne z dnia zamachu na rodzinę Delphiki: Dziewięć pojazdów równoczesny wyjazd z lokalizacji w północnej Rosji, szer. geogr. 64. Rzeczywiste rozproszenie? Manewr dla zmylenia? Jaką wybierzemy strategię, przyjacielu? Eliminacja czy ratunek? Czy to dzieci, czy narzędzia masowej zagłady? Trudno powiedzieć. Dlaczego ten sukinsyn Locke doprowadził do odesłania Endera? Myślę, że właśnie teraz chłopak by nam się przydał. Dlaczego tylko dziewięć, nie dziesięć pojazdów? Może jedno z nich jest martwe albo chore. Czyste domysły. Mam dostęp do surowych danych sat, nie do raportów wywiadu. Gdybyś miał inne źródła, daj znać, co się dzieje.

Custer

Petra wiedziała, że samotność jest bronią, jakiej używają przeciwko niej. Nie pozwólmy dziewczynie rozmawiać z żadnym człowiekiem, a kiedy w końcu jakiś się pokaże, będzie tak wdzięczna, że wygada wszystko, uwierzy w każde kłamstwo, zaprzyjaźni się z najgorszym wrogiem.

Niesamowite, że można dokładnie rozumieć, co z tobą robi nieprzyjaciel, a jednak mu się to udaje. Jak ta sztuka, na którą zabrali ją rodzice w drugim tygodniu po powrocie z wojny do domu. Na scenie występowała czteroletnia dziewczynka, pytająca matkę, czemu ojciec nie wrócił jeszcze do domu. Matka usiłuje znaleźć jakiś sposób, by jej powiedzieć, że ojciec zginął w zamachu bombowym azerbejdzańskich terrorystów - od wtórnej bomby, która wybuchła, żeby pozabijać ludzi ratujących ofiary pierwszej, słabszej eksplozji. Ojciec zginął jak bohater, próbując wyciągnąć dziecko uwięzione w gruzach, chociaż policjanci krzyczeli, żeby się nie zbliżał, że pewnie nastąpi drugi wybuch. W końcu matka mówi o tym dziecku.

Mała dziewczynka tupie gniewnie nogą i mówi: „Przecież to mój tatuś! Nie tatuś tego chłopczyka!”. Matka odpowiada: „Tatusia i mamusi tego chłopczyka nie było przy nim i nie mogli mu pomóc. Twój tatuś zrobił to, co chciałby, żeby ktoś inny zrobił dla ciebie, jeśli sam nie będzie mógł”. Na to dziewczynka zaczyna płakać i woła: „Teraz już nigdy nic dla mnie nie zrobi! A ja nie chcę nikogo innego! Chcę mojego tatusia!”.

Petra oglądała przedstawienie i doskonale pojmowała, jak jest cyniczne. Wykorzystać małe dziecko, połączyć je ze szlachetnością i heroizmem, przerobić na czarne charaktery odwiecznych wrogów i kazać dziecku, płacząc, wypowiadać po dziecięcemu niewinne zdania. Komputer mógłby napisać coś takiego - a jednak działało. Płakała gorzko, razem z resztą publiczności.

Podobnie działała na nią izolacja i Petra zdawała sobie z tego sprawę. Cokolwiek chcieli osiągnąć, zapewne im się uda. Ponieważ istoty ludzkie, wiedziała o tym doskonale, są tylko maszynami, które robią wszystko, czego się od nich oczekuje. Trzeba tylko wiedzieć, jakie pociągać dźwignie. Nieważne, jak skomplikowani się wydają - wystarczy odciąć ich od sieci innych ludzi, którzy nadają kształt ich osobowości, od społeczności, która definiuje ich tożsamość, a redukują się do zestawu dźwigni. Choćby się opierali, choćby rozumieli, że są manipulowani, wystarczy poczekać, a można na nich grać niczym na fortepianie - każda nuta dokładnie tam, gdzie powinna zabrzmieć.

Ja też, myślała Petra.

Całkiem sama, dzień po dniu. Pracowała przy komputerze, odbierała zlecenia od ludzi, którzy niczym nie zdradzali swojej tożsamości. Wysyłała wiadomości do innych z jeeshu Endera, ale wiedziała, że z ich listów też wycinane są wszystkie osobiste zdania. Pozostają tylko dane przetrzucane tam i z powrotem. Koniec z poszukiwaniami w sieci. Teraz musiała zgłosić zapotrzebowanie i czekać na wyniki, filtrowane przez ludzi, którzy jej pilnowali. Całkiem sama.

Próbowała dłużej spać, ale chyba dosypywali czegoś do wody. Była tak pobudzona, że w ogóle nie mogła zasnąć. Przestała więc bawić się w bierny opór; robiła swoje, zmieniając się w tę maszynę, jaką chcieli z niej zrobić. Wmawiała sobie wprawdzie, że tylko udaje maszynę, że wcale nią nie jest... Ale cały czas wiedziała, że człowiek staje się tym, kogo gra.

Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy drzwi się otworzyły i ktoś wszedł do pokoju.

Vlad.

Był z Armii Smoka. Młodszy od Petry. Dobry chłopak, chociaż nie znała go bliżej. Łączyło ich jednak coś wyjątkowego: Vlad był jedynym dzieciakiem w jeeshu Endera, który załamał się tak jak Petra i musieli na jeden dzień odsunąć go od walki. Wszyscy potem byli dla nich mili, lecz oboje wiedzieli, że się litują. Wszyscy dostali potem te same medale i pochwały, ale Petra nie mogła zapomnieć, że medale ich dwojga były mniej warte od pozostałych, a pochwały puste. To oni nie dali sobie rady, choć inni wytrzymali. Oczywiście, nigdy nie rozmawiała o tym z Vladem. Wiedziała jednak, że przeżywał to samo co ona, bo oboje podążali niegdyś tym samym ciemnym tunelem.

I oto stał przed nią.

- Cześć, Petra - odezwał się.

- Cześć, Vlad - odpowiedziała.

Podobało jej się, że słyszy własny głos. Wciąż funkcjonował. I głos Vlada też się jej podobał.

- Można mnie chyba uznać za narzędzie tortur, które chcą na tobie wypróbować - rzekł Vlad.

Mówił z uśmiechem. To zdradziło Petrze, że chce, by uznała jego słowa za żart. A to z kolei zdradziło, że wcale nie żartuje.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Tradycyjnie powinienes mnie tylko pocałować, a torturami zajmie się ktoś inny.

- To właściwie nie jest tortura. To droga wyjścia.

- Skąd?

- Z więzienia. Nie jest tak, jak myślisz, Petro. Hegemonia się sypie. Nadchodzi wojna. Problem polega tylko na tym, czy ta wojna pograży świat w chaosie, czy doprowadzi jeden kraj do władzy nad pozostałymi. A jeśli tak, który to będzie kraj?

- Pozwól mi zgadnąć. Paragwaj?

- Blisko. - Vlad uśmiechnął się lekko. - Wiem, że dla mnie to łatwiejsze. Pochodzę z Białorusi. Robimy dużo hałasu wokół swojej niezależności, ale w głębi serca nie mamy nic przeciw temu, żeby Rosja wspięła się na szczyt. Poza Białorusią nikogo nie obchodzi, że nie jesteśmy Rosjanami. Więc, jak się domyślasz, nietrudno było im mnie przekonać. Ty to co innego; jesteś z Armenii, a tam ludzie byli długo uciskani przez Rosję, jeszcze za czasów komunizmu. Ale pomyśl, Petro, w jakim stopniu jesteś Ormianką? I co tak naprawdę jest dobre dla Armenii? To w każdym razie kazali mi powiedzieć. Pokazać ci, jak skorzysta Armenia, jeśli Rosja zwycięży. Koniec z sabotażem. Pomóż nam przygotować się do nowej wojny. Będziesz współpracować, to Armenia zyska szczególne miejsce w nowym porządku. Poprowadzisz za sobą cały naród. To nie są drobiazgi, Petro. A jeśli odmówisz, nikt na tym nie skorzysta. Nie pomożesz sobie, nie pomożesz Armenii. Nikt się nie dowie, jaka byłaś dzielna.

- To brzmi jak groźba śmierci.

- To brzmi jak groźba samotności i zapomnienia. Nie urodziłaś się, żeby być nikim, Petro. Przysłałaś na świat, żeby błyszczeć. Masz szansę znowu zostać bohaterką. Wiem, wydaje ci się, że o to nie dbasz, ale nie udawaj. Przyznaj sama: świetnie było należeć do jeeshu Endera.

- A teraz to ma być jeesh tego... jak mu tam. Podzieli się z nami sławą.

- Dlaczego nie? Wciąż jest tu szefem. Nie przeszkadza mu, że służą mu bohaterowie.

- Vlad, on dopilnuje, żeby nikt się nie dowiedział o naszym istnieniu. Pozabija nas, kiedy już nie będziemy potrzebni.

Nie miała zamiaru rozmawiać tak szczerze. Wiedziała, że jej słowa dotrą do Achillesa, a to zagwarantuje, że jej przepowiednia się sprawdzi. Ale dźwignia zadziałała. Petra była tak wdzięczna, że spotkała tu przyjaciela - nawet takiego, który najwyraźniej przeszedł na drugą stronę - że nie mogła się powstrzymać i mówiła mu wszystko.

- Petro, co mogę na to odpowiedzieć? Mówiłem im, że jesteś twarda. Powiedziałem ci, jaka jest propozycja. Przemyśl ją sobie. Nie ma pośpiechu. Masz mnóstwo czasu, żeby podjąć decyzję.

- Odchodzisz?

- Takie są zasady - odparł Vlad. - Ty odmawiasz, ja odchodzę. Przykro mi.

Wstał.

Przyglądała się, jak idzie do drzwi. Chciała powiedzieć na pożegnanie coś złośliwego i odważnego. Chciała rzucić za nim jakieś przezwisko, od którego przykro by mu się zrobiło, że związał się z Achillesem. Ale wiedziała, że cokolwiek powie, w ten czy inny sposób zostanie użyte przeciwko niej. Cokolwiek powie, odsłoni manipulatorom kolejną dźwignię. Dość już zdradziła.

Dlatego w milczeniu patrzyła, jak zamykają się drzwi. Leżała na łóżku, a kiedy zadźwięczał komputer, podeszła do niego i czekało na nią kolejne zadanie, więc wzięła się do pracy, rozwiązała je i wprowadziła błędy jak zwykle. Uznała, że poszło jej całkiem dobrze: nie załamała się przecież ani nic takiego.

A później poszła do łóżka i usnęła z płaczem. Jednak przez kilka minut, tuż przed zaśnięciem, czuła, że Vlad jest jej najszczerzym, najdroższym przyjacielem i że zrobiłaby dla niego wszystko, byle tylko znów mieć go przy sobie.

Po chwili uczucie odpłynęło i zapamiętała jeszcze jedną ulotną myśl: gdyby naprawdę byli tacy sprytni, wiedzieliby, co przeżywam właśnie w tej chwili. Vlad by wrócił, a ja wyskoczyłabym z łóżka, rzuciła mu się na szyję i mówiła: Tak, będę z tobą pracować, dzięki, że do mnie przyszedłeś, Vlad, dzięki...

Stracili tę szansę.

Jak powiedział kiedyś Ender, większość zwycięstw wynika z natychmiastowego wykorzystania głupich błędów przeciwnika, nie z jakiejś szczególnej mądrości własnego planu. Achilles był bardzo sprytny. Ale nie doskonały. Nie wszechwiedzący. Może nie zwyciężyć.

Może nawet wydostaną się stąd żywa.

Wreszcie spokojna, zasnęła mocno.

Obudzili ją w ciemności. - Wstawaj.

Żadnego powitania. Nie widziała, kto do niej przyszedł. Słyszała zza drzwi ciężkie buty - żołnierze.

Pamiętała rozmowę z Vladem. Odrzuciła jego propozycję. Powiedział, że nie ma pośpiechu, ma dużo czasu na podjęcie decyzji. A teraz nagle budzą ją w środku nocy. Po co?

Nikt jej nawet nie dotknął. Ubierała się po ciemku - nie poganiali jej. Gdyby miała iść na przesłuchanie albo tortury, nikt by nie czekał, aż się ubierze. Chcieliby, żeby była zdenerwowana, wytrącona z równowagi.

Lepiej nie zadawać pytań, bo wezmą to za oznakę słabości. Ale z drugiej strony, nie pytając, wyda się bierna.

- Gdzie idziemy?

Żadnej odpowiedzi. To zły znak. Ale czy na pewno? Wszystko, co wiedziała o takich sprawach, pochodziło z kilku fabularnych widów wojennych, jakie oglądała w Szkole Bojowej, i paru szpiegowskich filmów, które widziała w Armenii. Żaden nie wydał jej się wiarygodny, ale teraz znalazła się w rzeczywistej sytuacji jak na ekranie, a jedynym źródłem informacji były dla niej właśnie te głupie widy i filmy. Gdzie się podziały jej wybitne zdolności do logicznego myślenia? Gdzie talent, który doprowadził ją do Szkoły Bojowej? Wyraźnie działał tylko wtedy, kiedy sądziła, że prowadzi grę. W rzeczywistym świecie atakuje strach i człowiek wraca do tych kulawych opowieści, wymyślonych przez ludzi, którzy nie mają pojęcia, jak naprawdę to wszystko działa.

Tyle że ludzie, którzy po nią przyszli, oglądali te same durne widy i filmy, więc skąd Petra może wiedzieć, że swoich działań, zachowań, nawet słów nie wzorują na tym, co widzieli? W końcu nikogo chyba nie szkolą, żeby wydawał się twardy i bezlitosny, kiedy w środku nocy budzi jakiegoś podlotka.

Petra spróbowała sobie wyobrazić instrukcję. „Jeżeli ma być przeniesiona w inne miejsce, powiedz, żeby się pospieszyła, wszyscy na nią czekają. Jeśli ma być torturowana, rzucaj złośliwe uwagi, jak to masz nadzieję, że dobrze wypoczęła. Jeśli mają jej coś wstrzyknąć, powiedz, że to nie będzie bolało, ale śmieć się drwiąco, żeby myślała, że kłamiesz. Jeśli idzie na egzekucję, milcz”.

Nieźle, powiedziała sobie. Strasz się tak, jakby czekało cię najgorsze. Doprowadź się jak najbliżej stanu totalnej paniki.

- Muszę się wysikać - oświadczyła. Milczenie.

- Mogę to zrobić tutaj. Mogę to zrobić w ubraniu. Mogę nago. Mogę to zrobić w ubraniu albo nago wszędzie, gdzie pójdziemy. Mogę sączyć przez całą drogę. Mogę sikami wypisać

swoje imię na śniegu. Dziewczynom jest trudniej, wymaga to bardziej intensywnej gimnastyki, ale radzimy sobie.

Wciąż żadnej odpowiedzi.

- Albo możecie mnie puścić do łazienki.

- Dobrze - powiedział ktoś.

- Która z możliwości?

- Łazienka.

I wyszedł.

Ruszyła za nim. Rzeczywiście, na korytarzu stali żołnierze. Dziesięciu. Zatrzymała się przed jednym z nich, potężnie zbudowanym, i spojrzała mu w oczy.

- Dobrze, że cię tu ściągnęli. Gdyby przyszli tylko tamci, stawiałabym opór i broniłabym się do końca. Ale z tobą nie mam szansy i muszę się poddać. Dobra robota, żołnierzu.

Odwróciła się i ruszyła do toalety. Zastanawiała się, czy rzeczywiście dostrzegła najlżejszy ślad uśmiechu na jego wargach. Tego nie było w filmowych scenariuszach, prawda? Chociaż zaraz... Bohater powinien być wygadany. Doskonale mieściła się w schemacie. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że wszystkie te dowcipne uwagi, które rzucają bohaterowie, mają tylko ukryć ich porażający strach. Bohaterowie, którzy tak swobodnie się zachowują, wcale nie są odważni ani spokojni. Starają się tylko nie skompromitować w ostatnich chwilach przed śmiercią.

Weszła do toalety i oczywiście tamten wcisnął się za nią. Ale była w Szkole Bojowej i gdyby poczucie wstydu jej w czymś przeszkadzało, już dawno umarłaby od zatrucia organizmu moczem. Spuściła spodnie, usiadła na sedesie. Facet wyskoczył za drzwi, zanim skończyła siusiać.

Miała tu okno. W suficie były wyloty przewodów wentylacyjnych. Ale tkwiła pośrodku pustkowia i właściwie nie miała gdzie uciekać. Jak to robili na widach? Aha... Przyjaciół powinien ukryć już gdzieś broń, bohater znajdował ją, składał i wybiegał strzelając. To właśnie nie pasowało w całej tej sytuacji - brak przyjaciół.

Spuściła wodę, poprawiła ubranie, umyła ręce i wyszła na spotkanie swych miłych towarzyszy.

Wyprowadzili ją na zewnątrz, gdzie czekało coś w rodzaju konwoju. Dwie czarne limuzyny i cztery pojazdy eskorty. Na tylnych siedzeniach obu wozów zauważyła dziewczynki mniej więcej jej wzrostu i o podobnym kolorze włosów. Petrę jednak prowadzono blisko muru, pod okapami, aż stanęła obok furgonetki dostawczej piekarni. Weszła do środka. Żaden ze

strażników jej nie towarzyszył. W samochodzie czekało już dwóch mężczyzn, obaj w cywilnych ubraniach.

- Mam robić za chleb? - spytała.

- Rozumiemy twoją potrzebę świadomości, że panujesz nad sytuacją, co osiągasz przez humor - odpowiedział jeden z mężczyzn.

- Co? Psychiatra? To gorsze niż tortury. Czy już nikt nie przestrzega konwencji genewskich? Psychiatra uśmiechnął się.

- Wracasz do domu, Petro.

- Do Boga? Czy do Armenii?

- W tej chwili ani tam, ani tam. Sytuacja wciąż jest... niepewna.

- Owszem, jest niepewna, skoro wracam do miejsca, gdzie nigdy jeszcze nie byłam.

- Nie wykryliśmy jeszcze wszystkich powiązań. Ta gałąź rządu, która odpowiada za porwanie ciebie i pozostałych dzieci, działała bez wiedzy armii ani legalnie wybranych władz...

- A przynajmniej tak mówią - dokończyła Petra.

- Widzę, że doskonale rozumiesz moją sytuację.

- A wobec kogo ty sam jesteś lojalny?

- Wobec Rosji.

- Czy oni wszyscy nie mówią tego samego?

- Nie ci, którzy powierzyli naszą politykę zagraniczną i strategię wojskową morderczemu, obłąkanemu dzieciakowi.

- Czy te trzy oskarżenia mają równą wagę? - spytała Petra. - Ponieważ ja również jestem winna bycia dzieckiem. I zabójstwa też, w opinii niektórych.

- Zabicie robali nie było zabójstwem.

- To raczej dezynsekcja.

Psychiatra zdziwił się chyba. Najwyraźniej nie znał wspólnego tak dobrze, by rozumieć żarty, które dziewięciolatki ze Szkoły Bojowej uważały za niesamowicie śmieszne.

Furgonetka ruszyła.

- Dokąd jedziemy, jeśli nie do domu?

- Przenosimy cię do kryjówki, żeby cię wyrwać z rąk tego dziecka-potwora, dopóki nie zostanie określony zasięg spisku, a winni nie trafią do aresztu.

- Albo odwrotnie - rzuciła Petra.

Psychiatra znowu się zdziwił. Po chwili zrozumiał.

- Sądzę, że to również możliwe. Ale nie jestem ważną osobą. Skąd mogliby wiedzieć, że mają mnie szukać?

- Jesteś dostatecznie ważny, żeby słuchali cię żołnierze.
- Oni nie mnie słuchają. Wykonują polecenia kogoś innego.
- A kto to taki?
- Jeśli wskutek jakiegoś nieszczęścia znowu wpadniesz w ręce Achillesa i jego sponsorów, nie będziesz potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.
- Będziecie martwi, zanim zdołają się do mnie dostać, więc wasze nazwiska i tak nie mają znaczenia. Prawda? Przyjrzał się jej z uwagą.
- Dość cynicznie traktujesz sytuację. Ryzykujemy życie, żeby cię uratować.
- Ryzykujecie też moje. Wolno pokiwał głową.
- Wolisz wrócić do swojego więzienia?
- Chcę tylko wam uświadomić, że dać się porwać drugi raz to jednak nie to samo, co wyjść na wolność. Jesteście pewni, że macie dość sprytu, a wasi ludzie są dostatecznie lojalni, żeby wyszedł ten numer. Ale jeżeli się mylicie, mogę zginąć. Czyli owszem, sporo ryzykujecie... Ale ja też, a mnie nikt o zdanie nie pytał.
- Ja cię pytam teraz.
- Wypuście mnie z samochodu. Tutaj - powiedziała Petra. - Spróbuję sama sobie poradzić.
- Nie - odparł psychiatra.
- Rozumiem. Czyli nadal jestem więźniem.
- Jesteś pod strażą dla własnego bezpieczeństwa.
- Jestem dyplomowanym geniuszem strategicznym i taktycznym. Wy nie. Więc dlaczego to ja mam was słuchać? Nie znalazł odpowiedzi.
- Powiem wam dlaczego - oznajmiła Petra. - Ponieważ nie chodzi tu o ocalenie małych dzieci, które zostały wykradzione przez złe i zepsute dziecko. Tu chodzi o zaoszczędzenie wstydu Matce Rosji. A zatem nie wystarczy, żebym była bezpieczna. Musicie odesłać mnie do Armenii w odpowiednich okolicznościach, z odpowiednią legendą, aby ta frakcja rosyjskiego rządu, której służycie, została oczyszczona z wszelkiej winy.
- Nie jesteśmy winni.
- Nie twierdzę, że kłamięcie w tej kwestii, ale że ma ona priorytet o wiele wyższy niż moje ocalenie. Ponieważ zapewniam was, że jadąc tą furgonetką, w każdej chwili oczekuję ponownego schwytania przez Achillesa i jego... jak ich nazwałeś? Sponsorów.
- A dlaczego sądzisz, że coś takiego nastąpi?
- Czy to ważne dlaczego?
- Jesteś geniuszem - przypomniał psychiatra. - Najwyraźniej dostrzegłaś już jakąś lukę

w naszym planie.

- Luka jest oczywista: zbyt wielu ludzi o nim wie. Obie limuzyny - przynęty, żołnierze, eskorta. Jesteście pewni, że nikt nie jest wtyczką? Bo jeśli ktokolwiek z nich jest posłuszny sponsorom Achillesa, to już wiedzą, którym samochodem odjechałam i dokąd zmierzamy.

- Nie wiedzą, dokąd zmierzamy.

- Wiedzą, jeśli kierowca został podstawiony przez drugą stronę.

- Kierowca nie wie, dokąd zmierzamy.

- I co? Jeździ w kółko?

- Zna tylko pierwszy punkt spotkania, nic więcej. Petra pokręciła głową.

- Wiedziała, że jesteś głupi, skoro zostałeś psychiatrą. To jak zostać kapłanem religii, w której sam jesteś Bogiem.

Psychiatra poczerwieniał. Petrze się to spodobało. Był głupi i nie lubił, kiedy mu się o tym mówiło. A trzeba było powiedzieć, gdyż najwyraźniej całe swe życie opierał na przekonaniu, że jest sprytny. Teraz bawił się ostrą amunicją i wiara we własny spryt mogła go kosztować życie.

- Rzeczywiście masz rację. Kierowca wie, dokąd jedziemy najpierw, nawet jeśli nie ma pojęcia, gdzie ruszymy potem. - Demonstracyjnie wzruszył ramionami. - Ale na to nic nie można poradzić. Komuś trzeba zaufać.

- I postanowiliście zaufać kierowcy, ponieważ...

Psychiatra odwrócił wzrok.

Petra spojrzała na drugiego z mężczyzn.

- Gadatliwy jesteś.

- Ja być myśleć - odpowiedział łamanym wspólnym - że swoim mówieniem ty doprowadzać nauczycieli w Szkole Bojowej do obłędu.

- Aha - mruknęła Petra. - To ty jesteś mózgiem tego numeru.

Chyba nie zrozumiał, ale zrobił urażoną minę. Nie był pewien, w jaki sposób go obraziła, ponieważ prawdopodobnie nie znał zakresu znaczeń słowa „numer”. Wiedział jednak, że chciała go obrazić.

- Petro Arkanian - odezwał się znowu psychiatra. - Ponieważ zgadłaś, że nie znam kierowcy zbyt dobrze, powiedz, co powinienem zrobić. Masz lepszy plan niż mu zaufać?

- Oczywiście - przyznała Petra. - Trzeba mu zdradzić punkt spotkania i bardzo dokładnie zaplanować trasę przejazdu.

- Tak zrobiłem.

- Wiem. A potem, w ostatniej chwili, kiedy już zapakujecie mnie do wozu, ty sam

siadasz za kierownicą, a jemu każesz prowadzić jedną z limuzyn. Po czym jedziesz w całkiem inne miejsce. Albo jeszcze lepiej, bierzesz mnie do najbliższego miasta i wypuszczasz, żebym sama sobie radziła.

Znowu odwrócił wzrok. Petra z rozbawieniem obserwowała jego całkowicie wyraźną mowę ciała. Psychiatra powinien lepiej się maskować.

- Ludzie, którzy cię porwali - rzekł - stanowią nieliczną mniejszość nawet w agencjach wywiadowczych, dla których pracują. Nie mogą być wszędzie.

Petra pokręciła głową.

- Jesteś Rosjaninem, uczyli cię historii Rosji i naprawdę wierzysz, że tajne służby nie mogą być wszędzie i słyszeć wszystkiego? Przez całe dzieciństwo oglądałeś tylko amerykańskie widy?

Psychiatra miał tego dosyć. Przybrał najdumniejszy lekarski wyraz twarzy i przedstawił ostateczny argument:

- A ty jesteś dzieckiem, którego nikt nie nauczył szacunku dla starszych. Masz pewnie duże wrodzone zdolności, ale to jeszcze nie znaczy, że rozumiesz sytuację polityczną, o której nie masz pojęcia.

- Aha - mruknęła Petra. - Wracamy do argumentu: jesteś jeszcze dzieckiem, masz za mało doświadczenia.

- Co nie oznacza, że nie jest prawdziwy.

- Jestem przekonana, że doskonale odczytujesz niuanse mów politycznych i politycznych manewrów. Ale to jest operacja wojskowa.

- To operacja polityczna - sprostował psychiatra. - Żadnej strzelaniny.

Po raz kolejny Petra nie mogła uwierzyć w bezmyślność tego człowieka.

- Strzelanina to coś, co się zdarza, kiedy operacja wojskowa nie osiąga założonych celów poprzez manewry. Każda operacja, której celem jest fizyczne pozabawienie przeciwnika cennych aktywów, jest operacją wojskową.

- W tej operacji chodzi o uwolnienie niewdzięcznej, kłótlivej dziewczynki i oddanie jej w ręce mamusi i tatusia.

- Chcesz mojej wdzięczności? Otwórz drzwi i wypuść mnie stąd.

- Koniec dyskusji - oświadczył psychiatra. - Od tej chwili możesz się zamknąć.

- Czy tak kończysz sesje z pacjentami?

- Nie mówiłem, że jestem psychiatrą - powiedział psychiatra.

- Studiowałaś psychiatrię - odparła Petra. - I wiem, że prowadziłeś praktykę, bo prawdziwi ludzie nie mówią w ten sposób, kiedy próbują uspokoić przestraszone dziecko.

Nawet jeśli zmieniłeś zawód i zająłeś się polityką, to nadal pozostałeś tępakiem, który chodzi do szkoły szamanów i uważa się za naukowca.

Ledwie powstrzymywał furję. Petra poczuła rozkoszny dreszcz strachu. Uderzy ją? Raczej nie. Jako psychiatra odwoła się pewnie do tego, czym dysponuje w nieograniczonych ilościach: zawodowej arogancji.

- Laicy zwykle lekceważą nauki, których nie rozumieją - stwierdził.

- O to właśnie mi chodzi - przypomniała mu Petra. - W kwestiach operacji wojskowych jesteś całkowitym nowicjuszem. Laikiem. Tępakiem. A ja jestem ekspertem. Tylko że nie masz dość rozumu, żeby wysłuchać mnie nawet teraz.

- Wszystko idzie gładko. A tobie zrobi się bardzo przykro i będziesz przeproszać i dziękować, kiedy wsiądziesz do samolotu do Armenii.

Petra uśmiechnęła się wzgardliwie.

- Zanim ruszyliśmy, nie zajrzeliście nawet do kabiny furgonetki, żeby się upewnić, czy to ten sam kierowca.

- Ktoś by zauważył zamianę...

Petra zrozumiała, że wreszcie wzbudziła w nim niepokój.

- A tak. Zapomniałam, że ufamy współspiskowcom, którzy wszystko zauważą i niczego nie przeoczą, bo w końcu oni nie są psychiatrami.

- Jestem psychologiem.

- Auu! - jęknęła Petra. - Musi boleć takie wyznanie, że jesteś tylko na wpół wykształcony.

Psycholog odwrócił się od niej. Jakiego terminu używali psychiatrzy ze Szkoły Bojowej na określenia takiego zachowania? Uchylenie się? Zaprzeczenie? Już miała go spytać, ale uznała, że nie ma co poprawiać tego, co już jest dobre.

A ludzie uważają, że nie panuje nad językiem...

Przez chwilę jechali w gniewnym milczeniu.

Jednak wszystko, co powiedziała, musiało z wolna do niego docierać, musiało go drażnić - ponieważ po chwili wstał, przeszedł do przodu i otworzył drzwiczki między skrzynią ładunkową a szoferką.

Wystrzał zabrzmiał ogłuszająco w zamkniętej przestrzeni. Psycholog runął na plecy. Petra poczuła na twarzy gorące strzępy mózgu i ostre odpryski kości. Mężczyzna siedzący naprzeciwko próbował sięgnąć pod płaszcz po pistolet, ale dostał dwa strzały i osunął się na trupa. Nie zdążył nawet dotknąć broni.

Drzwi szoferki otworzyły się szeroko. Stał w nich Achilles z pistoletem w dłoni.

Powiedział coś.

- Nie słyszę cię - oświadczyła Petra. - Nie słyszę nawet własnego głosu.

Achilles spróbował jeszcze raz, głośniejszym, wyraźniej formując słowa. Nie patrzyła na niego.

- Nawet nie będę próbowała cię usłyszeć - oświadczyła - dopóki jestem cała zachlapana krwią.

Achilles odłożył pistolet - poza jej zasięgiem - i ściągnął koszulę. Podał jej, a kiedy nie chciała wziąć, zaczął wycierać jej twarz. W końcu wyrwała mu tkaninę i dokończyła sama.

Dzwonienie w uszach cichło powoli.

- Dziwię się, że nie zaczekałeś, dopóki nie zdążyłeś im pokazać, jaki jesteś sprytny.

- Nie musiałem - odparł Achilles. - Ty już ich przekonałaś, jakimi byli durniami.

- Czyli słuchałeś?

- Oczywiście. Cała skrzynia ma podsłuch. Podgląd też.

- Nie musiałeś ich zabijać - stwierdziła Petra.

- Ten facet sięgał po broń.

- Dopiero kiedy zginął jego przyjaciel.

- Daj spokój. - Achilles wzruszył ramionami. - Myślałem, że na tym polega metoda Endera: na uprzedzającym użyciu całej dostępnej siły. Robię to, czego się nauczyłem od twojego bohatera.

- Zaskoczyłeś mnie, że ten numer wykonałeś osobiście.

- Co to znaczy: ten?

- Zakładałem, że pozostałych też zatrzymałeś.

- Zapominasz, że miałem całe miesiące, by cię ocenić. Po co mi inni, kiedy mogę zatrzymać najlepszą?

- Próbujesz ze mną flirtować? - Petra powiedziała to z całą wyższością, jaką zdołała wyrazić. Te słowa zwykle wystarczały, by zamknąć usta zbyt pewnemu sobie chłopcu. Ale Achilles tylko się roześmiał.

- Nie flirtuję - oświadczył.

- Zapomniałam - odparła Petra. - Najpierw strzelasz, a potem flirt nie jest już potrzebny.

To go trochę ruszyło. Znieruchomiał na moment i miała wrażenie, że minimalnie przyspieszył mu się oddech. Przyszło jej do głowy, że niewyparzony język naprawdę w końcu doprowadzi ją do zguby. Nigdy jeszcze na własne oczy nie widziała zastrzelonego człowieka - tylko na filmach i w widach. To, że uważała się za główną bohaterkę tego akurat biograficznego widu, w którym się znalazła, nie oznaczało przecież, że jest bezpieczna. Skąd

mogła wiedzieć, czy Achilles nie zamierza jej także zabić?

A zamierza? Czy mówił poważnie, że zatrzymał tylko ją jedną z całego zespołu? Vlad będzie rozczarowany...

- Jak to się stało, że akurat mnie wybrałeś? - spytała, zmieniając temat.

- Już mówiłem. Jesteś najlepsza.

- To zwykłe kuso - stwierdziła Petra. - W ćwiczeniach, które dla ciebie robiłam, nie byłam lepsza od pozostałych.

- Och, te plany wojenne służyły tylko temu, żeby czymś was zająć, kiedy trwały prawdziwe testy. A raczej pozwolić wam wierzyć, że wy nam dajecie zajęcie.

- Na czym więc polegał prawdziwy test, skoro zdałam go lepiej niż ktokolwiek?

- Ten twój obrazek ze smokiem - wyjaśnił Achilles.

Poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Zauważył to i parsknął śmiechem.

- Nie martw się - powiedział. - Nie będziesz ukarana. Test polegał na tym, komu z was uda się przemycić wiadomość na zewnątrz.

- A nagrodą jest to, że zostanę z tobą? - spytała z głęboką pogardą.

- Nagrodą - rzekł Achilles - jest to, że zostaniesz przy życiu. Serce jej zadrżało.

- Nawet ty nie zabiłbyś ich wszystkich bez powodu.

- Jeśli są zabici, to był jakiś powód. Jeśli jest jakiś powód, zostaną zabici. Podejrzewaliśmy, że twój smok ma dla kogoś znaczenie. Ale nie mogliśmy znaleźć w nim kodu.

- Nie ma w nim kodu - zapewniła go Petra.

- Owszem, jest. Zaszyfowałaś jakoś przekaz tak, żeby ktoś był w stanie go rozpoznać i odczytać. Wiem o tym, bo wszystkie artykuły, jakie nagle się pojawiły, zawierały pewne specyficzne informacje, mniej lub bardziej prawdziwe. Jedna z wiadomości, którą próbowaliście przesłać, musiała się jakoś przebić. Sprawdziliśmy wszystkie wasze e-maile i tylko twojego smoka nie mogliśmy wykluczyć.

- Jeżeli zdołasz odczytać w nim wiadomość, to jesteś mądrzejszy ode mnie.

- Wręcz przeciwnie - odparł Achilles. - Ty jesteś mądrzejsza ode mnie, przynajmniej jeśli chodzi o taktykę i strategię, w unikaniu wroga i zachowywaniu ścisłego kontaktu ze sprzymierzeńcami. No, może nie tak ścisłego, skoro długo trwało, zanim opublikowali informacje, które im przekazałaś.

- Obstawieś złego konia - nie ustępowała Petra. - To nie był przekaz, a więc informacje pochodziły od kogoś innego. Achilles zaśmiał się tylko.

- Jesteś upartą kłamczuchą, wiesz?

- Nie skłamię, kiedy ci powiem, że jeśli jeszcze trochę posiedzę z trupami w tej skrzyni, to się porzygam.

- Wymiotuj do woli. - Uśmiechnął się.

- Czyli w twojej dewiacji mieści się dziwna potrzeba przebywania ze zmarłymi - stwierdziła Petra. - Musisz uważać. Wiesz, do czego to prowadzi. Najpierw zaczynasz się z nimi spotykać, aż pewnego dnia sprowadzasz martwą osobę do domu, żeby ją przedstawić matce i ojcu. Ojej... Zapomniałam, że jesteś sierotą.

- Dlatego postanowiłem przedstawić ich tobie.

- Więc dlaczego tak długo czekałeś, zanim ich zastrześliłeś?

- Chciałem wszystko dobrze ustawić. Tak żebym mógł strzelać, kiedy jeden z nich stanie w drzwiach. Wtedy jego ciało osłoni mnie przed ogniem drugiego. Poza tym podobało mi się, jak rozdzielasz ich na strzępki. Brzmiało to, jakbyś nie znosiła psychiatrów prawie tak jak ja, a przecież nigdy cię nie zamknęli w domu wariatów. Oklaskiwałbym twoje najlepsze bon moty, ale bałem się, że usłyszą.

- Kto prowadzi furgonetkę? - spytała Petra, ignorując pochlebstwa.

- Ja nie. Może ty?

- Jak długo zamierzasz mnie trzymać?

- Ile będzie trzeba.

- Ile będzie trzeba, żeby zrobić co?

- Podbić razem świat, ty i ja. Czy to nie romantyczne? W każdym razie będzie romantyczne, kiedy już się stanie.

- To nigdy nie będzie romantyczne. Poza tym nie pomogłabym ci walczyć nawet z łupieżem, a co dopiero z całym światem.

- Och, w końcu zgodzisz się na współpracę - zapewnił Achilles. - Będę zabijał pozostałych z jeeshu Endera, dopóki nie ustąpisz.

- Nie masz ich - przypomniała Petra. - I nie wiesz, gdzie są. Z twojej strony nic im nie grozi.

Achilles uśmiechnął się z udawanym zakłopotaniem.

- Nie da się oszukać geniusza, co? Ale widzisz, kiedyś przecież muszą się ujawnić. A kiedy to nastąpi, zginą. Ja nie zapominam.

- To niezły sposób na zawładnięcie światem. Zabijać wszystkich po kolei, aż tylko ty zostaniesz.

- Twoje pierwsze zadanie - mówił spokojnie Achilles - będzie polegać na rozszyfrowaniu tej wiadomości, którą wysłałaś.

- Jakiej wiadomości?

Achilles wymierzył w nią pistolet.

- Zabij mnie - powiedziała - a do końca życia będziesz się zastanawiał, czy naprawdę wysłałam wiadomość.

- Ale przynajmniej nie będę musiał słuchać, jak beczelnie powtarzasz kłamstwa. W tym znajdę pocieszenie.

- Zapominasz chyba, że nie byłam ochotniczką w tej wyprawie. Nie lubisz mnie słuchać, to mnie wypuść.

- Jesteś tak pewna siebie - westchnął Achilles. - Ale ja znam cię lepiej niż ty sama.

- A co ci się wydaje, że o mnie wiesz? - spytała Petra.

- Wiem, że w końcu się poddasz i mi pomożesz.

- Cóż, ja także znam ciebie lepiej niż ty sam.

- Naprawdę?

- I wiem, że w końcu mnie zabijesz. Bo zawsze to robisz. Więc może pomińmy całą tę nudną akcję pomiędzy. Zastrzel mnie od razu. Skończ z tym napięciem.

- Nie - odparł Achilles. - Takie rzeczy lepiej wychodzą jako niespodzianka. Nie sądzisz? Bóg zawsze załatwia sprawy w taki sposób.

- Po co ja w ogóle z tobą rozmawiam?

- Bo czujesz się taka samotna po tych kilku miesiącach, że dla ludzkiego towarzystwa zrobisz wszystko. Jesteś skłonna rozmawiać nawet z mną.

Niechętnie, ale musiała przyznać, że prawdopodobnie ma rację.

- Towarzystwo ludzi... Wyraźnie żywisz złudzenia, że się do nich zaliczasz.

- Ostra jesteś. - Achilles parsknął śmiechem. - Popatrz, ja krwawię.

- Masz krew na rękach, owszem.

- A ty masz na całej twarzy. No, zgódź się, będzie zabawnie.

- Wiesz, myślałam, że nie ma nic nudniejszego niż samotność w więzieniu.

- Jesteś najlepsza, Petra - zapewnił Achilles. - Oprócz jednej osoby.

- Groszka...

- Endera. Groszek się nie liczy. Groszek nie żyje. Petra milczała. Achilles przyjrzał się jej badawczo.

- Żadnych złośliwych hasełek?

- Groszek nie żyje, a ty żyjesz - rzuciła. - Nie ma sprawiedliwości.

Furgonetka zwolniła i zatrzymała się.

- Koniec - stwierdził Achilles. - Przy rozmowie czas leci błyskawicznie.

Przeleciał... Usłyszała w górze samolot. Lądował czy startował?

- Polecimy? - spytała.

- Kto powiedział, że dokądś lecimy?

- Myślę, że uciekamy z Rosji. - Petra mówiła niemal bez zastanowienia wszystko, co jej przyszło do głowy. - Zdałeś sobie sprawę, że stracisz ciepłą posadkę, więc znikasz z kraju.

- Naprawdę jesteś dobra - pochwalił ją Achilles. - Ustalasz nowe standardy sprytu.

- A ty nowe standardy zawałania spraw. Zawahał się przez moment, po czym podjął, jak gdyby w ogóle się nie odzywała:

- Spróbuję wystawić przeciwko mnie pozostałe dzieciaki. Ty już je znasz. Poznałaś ich słabości. Z kimkolwiek przyjdzie mi się zmierzyć, ty będziesz mi doradzać.

- Nigdy.

- Razem w tym siedzimy. Jestem miłym chłopakiem. W końcu mnie polubisz.

- Na pewno. Czegóż można w tobie nie lubić?

- Twoja wiadomość - przypomniał Achilles. - Napisałaś ją do Groszka, prawda?

- Jaka wiadomość?

- Dlatego nie wierzysz, że zginął.

- Wierzę, że zginął - zapewniła Petra. Ale wiedziała, że wcześniejsze wahanie ją zdradziło.

- Albo się zastanawiasz. Jeśli otrzymał twoją wiadomość, zanim go zabiłem, dlaczego tak długo po jego śmierci trafiła do prasy? Istnieje oczywiste wyjaśnienie, Pet. Ktoś inny ją odczytał. Ktoś ją rozszyfrował. I to naprawdę mnie wkurza. Dlatego nie mów mi, co tam napisałaś. Sam ją zdekoduję. To nie może być aż tak trudne.

- Bardzo łatwe - zapewniła Petra. - W końcu jestem dostatecznie głupia, żeby skończyć jako twój więzień. Wręcz tak głupia, że nie wysłałam nikomu żadnej wiadomości.

- Ale kiedy już ją odczytam, mam nadzieję, że nie znajdę tam niczego niemiłego na swój temat. Bo wtedy będę musiał spuścić ci porządne lanie.

- Miałaś rację - przyznała Petra. - Rzeczywiście jesteś czarujący.

Piętnaście minut później siedzieli już wewnątrz małego prywatnego odrzutowca, jak na niewielkie rozmiary wyposażonego luksusowo. Petra zastanawiała się, czy jest własnością jednej z agencji służb specjalnych, którejś z frakcji w sztabie armii, czy może mafijnego bossa. A może wszystkie trzy odpowiedzi naraz były trafne.

Chciałaby obserwować Achilleśa, jego mimikę, mowę ciała. Ale wolała, by nie zauważył, że się nim interesuje. Dlatego patrzyła w okno i myślała, czy nie kopiuje zachowania zamordowanego psychologa: odwraca wzrok, żeby uniknąć spojrzenia w twarz gorzkiej

prawdzie.

Kiedy brzęczyk poinformował, że mogą już odpiąć pasy, Petra natychmiast poszła do łazienki - małej, ale w porównaniu z toaletami w samolotach rejsowych wręcz przestronnej. Znalazła prawdziwe, nie papierowe ręczniki i prawdziwe mydło.

Spróbowała mokrym ręcznikiem zetrzeć z ubrania krew i strzępki ciała. Nie mogła zmienić brudnych rzeczy, ale mogła chociaż usunąć widoczne kawałki. Zanim skończyła, ręcznik był już tak obrzydliwy, że wyrzuciła go i wzięła świeży, by zająć się twarzą i dłońmi. Szorowała je, aż zaczerwieniła się skóra, ale zdołała się oczyścić. Namydliła nawet włosy i jak najlepiej umyła nad maleńką umywalką. Trudno było je spłukiwać, lejąc wodę kubkiem.

Przez cały czas myślała o tym, że w ostatnich minutach życia psycholog wysłuchiwał jej tłumaczeń, jak bardzo jest głupi i jak bezwartościowa jest jego praca. Owszem, miała rację, jak tego dowiodła jego śmierć... Ale nie zmieniało to faktu, że niezależnie od swych motywów - być może nie całkiem czystych - naprawdę próbował ocalić ją przed Achillem. I oddał życie, by ten cel zrealizować, choćby i źle zaplanował całą akcję. Wszystkie inne uwolnienia przeprowadzono bez komplikacji, a pewnie były zaplanowane równie głupio. Każdy przecież głupiej w pewnych sytuacjach. Petra na przykład nie potrafiła się powstrzymać i mówiła przykre rzeczy ludziom, którzy mieli nad nią władzę. Drażniła ich. Wyzywała, żeby spróbowali ją ukarać. I robiła to stale, choć rozumiała, że to głupota. Czy nie głupszy jest człowiek, który postępuje głupio i wie, że to głupie?

Jak on ją nazwał? Niewdzięczną dziewczynką?

Miał rację.

Ale chociaż czuła się paskudnie, myśląc o jego śmierci, choć była przerażona, pozostając we władzy Achillesa, choć wciąż pamiętała samotnie spędzone tygodnie, nie potrafiła się rozplakać. Ponieważ w głębi, pod tym wszystkim, tkwiło coś o wiele potężniejszego: cały czas szukała sposobu, by przekazać komuś wiadomość o swoim położeniu. Raz jej się udało, więc dlaczego nie ma się udać drugi raz? Czuła się fatalnie, owszem, była może żalosnym egzemplarzem ludzkiego gatunku, doznawała traumatycznych wstrząsów, ale nie zamierzała poddawać się Achillesowi ani chwili dłużej, niż to konieczne.

Samolot szarpnął nagle i wstrząs rzucił ją na muszlę. Petra upadła niemal, choć brakowało miejsca, żeby się całkiem przewrócić. Nie mogła wstać, gdyż samolot przeszedł w strome nurkowanie. Przez chwilę z trudem łapała oddech, gdy bogatą w tlen atmosferę zastąpiło chłodne i rozrzedzone powietrze.

Naruszenie powłoki... Ktoś nas zestrzelił.

I chociaż opanowała ją niepokonana chęć życia, nie zdołała powstrzymać myśli: I

bardzo dobrze. Jeśli zabiją Achilleśa teraz, nieważne, kto jeszcze jest na pokładzie, będzie to wielki dzień całej ludzkości.

Ale maszyna szybko wyrównała lot. Powietrze znów nadawało się do oddychania i Petra nie straciła przytomności. Nie byli chyba wysoko, kiedy nastąpiło przebicie.

Otworzyła drzwi toalety i wyszła do głównej kabiny.

Boczny luk był częściowo odsunięty. A kilka metrów od niego czekał Achilles - wiatr szarpał jego włosy i ubranie. Pozował pewnie, wiedząc, jak imponująco wygląda, stojąc tak na krawędzi zguby.

Podeszła, zerkając na otwarty luk, żeby nie zbliżyć się za bardzo, ale sprawdzić, jak wysoko się znajdują. Niezbyt wysoko w porównaniu z pułapem rejsowym, lecz wyżej niż dowolny budynek, most czy tama. Każdy, kto wypadłby z samolotu, na pewno by zginął.

Czy uda się przejść za Achilleśa i go pchnąć?

Uśmiechnął się szeroko, kiedy podeszła bliżej.

- Co się stało? - wrzasnęła, przekrzykując szum powietrza.

- Przyszło mi do głowy - odpowiedział krzykiem - że zrobiłem błąd, zabierając cię ze sobą.

Otworzył ten luk celowo - dla niej.

Kiedy spróbowała się cofnąć, błyskawicznie wyciągnął rękę i chwycił ją za przegub.

Zdumiała ją koncentracja jego spojrzenia. Nie wyglądał jak szaleniec, raczej jak... zafascynowany. Niemal jakby odkrył w niej nagle szokujące piękno. Ale oczywiście nie chodziło mu o Petrę. To władza go fascynowała. To siebie kochał z taką mocą.

Nie próbowała się wyrwać. Przekręciła tylko dłoń i chwyciła go także.

- Chodź, skoczmy razem - zawołała. - To najbardziej romantyczne rozwiązanie.

Pochylił się ku niej.

- Żeby nie widzieć całej tej historii, jaką razem stworzymy? - Parsknął śmiechem. - Podejrzewałaś, jak widzę, że chcę cię wyrzucić z samolotu. Nie, Pet. Chwyciłem cię za rękę, żeby cię przytrzymać, kiedy będziesz zamykać luk. Nie chcemy chyba, żeby cię wyssało, prawda?

- Mam lepszy pomysł. Ja cię przytrzymam, a ty zamknij luk.

- Ale trzymać powinien ktoś cięższy, silniejszy. Czyli ja.

- W takim razie zostawmy go otwarty.

- Nie możemy lecieć z otwartym lukiem do Kabulu.

Co wynika z faktu, że zdradził cel podróży? Czy trochę jej zaufał? Czy może to już nie ma znaczenia, co wie, ponieważ uznał, że musi umrzeć?

A potem uświadomiła sobie, że jeśli Achilles zechce ją zabić, to zginie. Prosta sprawa. Po co się tym martwić? Jeśli spróbuje się jej pozbyć, wypychając przez otwarty luk, czym to się różni od kuli w głowę? A jeśli nie chce jej zabić, to luk trzeba zamknąć i wykorzystanie Achillesa jako punktu zaczepienia to plan wprowadzie nie najlepszy, ale prawie.

- Czy ktoś z załogi nie mógłby tego załatwić? - spytała.

- Jest tylko pilot. Potrafisz wylądować? Pokręciła głową.

- W takim razie on zostanie w kabinie, a my zajmiemy się lukiem - rzekł.

- Nie chciałabym narzekać, ale otwieranie tej kłapy to był naprawdę głupi pomysł.

Uśmiechnął się tylko.

Trzymając go mocno za rękę, przesunęła się wzdłuż ściany do luku. Kłapa, która odsuwała się w górę, była otwarta tylko częściowo. Petra nie musiała sięgać daleko na zewnątrz, ale lodowaty wiatr szarpał jej rękę, trudno było złapać uchwyt i pociągnąć go na miejsce. Nawet kiedy jej się udało, nie miała dość sił, by pokonać opór powietrza i zatrzaskać blokadę.

Achilles zauważył to i teraz, kiedy szczelina była zbyt wąska, by pęd powietrza wyssał kogoś na zewnątrz, zaczął pomagać. Puścił jej rękę i grodz, której się trzymał.

Gdybym pchnęła, zamiast ciągnąć, pomyślała Petra, wiatr by mi pomógł i może oboje byśmy wypadli.

Zrób to, mówiła sobie. Zrób to. Zabij go. Nawet jeśli sama też zginiesz. Warto. To jest Hitler, Stalin, Dżyngis Chan i Attyła w jednej osobie.

Ale mogłoby się przecież nie udać. Mogłby nie wypaść. Mogłaby umrzeć sama, bezsensownie. Nie, musi szukać innego sposobu, by go zniszczyć - później, kiedy już zyska pewność, że będzie skuteczny.

Lecz na innym poziomie umysłu zdawała sobie sprawę, że zwyczajnie nie jest gotowa, by zginąć. Nieważne, jak pomogłaby w ten sposób reszcie ludzkości ani jak bardzo Achilles zasłużył na śmierć - nie ona będzie jego katem, nie teraz, nie wtedy, kiedy musi poświęcić własne życie. Jeśli czyni to z niej tchórzliwą egoistkę, trudno.

Ciągnęli i szarpali, aż wreszcie kłapa przekroczyła próg oporu powietrza i zamknęła się z sykiem. Achilles szarpnął dźwignię i zablokował właz.

- Podróż z tobą to ciągle nowe przygody - stwierdziła Petra.

- Nie musisz już krzyczeć. Bardzo dobrze cię słyszę.

- Dlaczego nie możesz zwyczajnie gonić się z bykami w Pampelunie, jak każdy normalny człowiek z instynktem samobójczym?

Zignorował zaczepkę.

- Muszę cię cenić bardziej, niż mi się wydawało - oświadczył takim tonem, jakby go to zaskoczyło.

- Chcesz powiedzieć, że została ci jeszcze odrobina pokory? Naprawdę potrzebujesz kogoś oprócz siebie?

- Lepiej wyglądasz bez tej krwi na twarzy - pochwalił, nie zwracając uwagi na jej słowa.

- Ale nigdy nie będę taka ładna jak ty.

- Mam pewną zasadę co do broni - rzekł. - Kiedy ktoś zostaje zastrzelony, zawsze stawaj za strzelcem. Tam jest o wiele czystiej.

- Chyba że tamten też strzeli.

- Pet... - Achilles roześmiał się głośno. - Nigdy nie strzelam, jeśli ktoś może odpowiedzieć tym samym.

- I jesteś bardzo dobrze wychowany: zawsze otwierasz drzwi przed damą.
Jego uśmiech zniknął.

- Czasami miewam takie impulsy - wyjaśnił. - Ale potrafię im się oprzeć.

- Szkoda. Tak dobrze mógłbyś się bronić chorobą psychiczną.

Oczy błysnęły mu przez moment. Po chwili spokojnie wrócił na fotel.

Petra przeklinała samą siebie. Drażnienie go w ten sposób niczym się przecież nie różni od wyskoczenia z samolotu.

Chociaż z drugiej strony może właśnie to, że rozmawiała z nim bez lęku, sprawiło, że zaczął ją cenić?

Głupia jesteś, powiedziała sobie. Nie masz szans na zrozumienie tego chłopaka. Nie jesteś dostatecznie szalona. Nie próbuj zgadywać, dlaczego robi to, co robi, ani co czuje do ciebie czy kogokolwiek innego. Obserwuj go, żeby odkryć, jak opracowuje plany, jak prawdopodobnie postąpi - a pewnego dnia będziesz mogła go pokonać. Ale nie staraj się rozumieć. Skoro trudno ci zrozumieć nawet samą siebie, jakie masz szansę z kimś tak skrzywionym jak Achilles?

Nie wylądowali w Kabulu. Wylądowali w Taszkencie, wzięli paliwo i polecili nad Himalajami do Nowego Delhi.

Czyli okłamał ją, mówiąc o celu podróży. Wcale jej nie ufał. Ale póki nie próbował jej zabić, mogła znieść odrobinę nieufności.

9. Zmarłych obcowanie

To: Carlotta%agape@vatican.net/orders/sisters/ind

From: Locke%erasmus@polnet.gov

Subject: Odpowiedź dla pani zmarłego przyjaciela

Jeśli wie pani, kim naprawdę jestem, i ma pani kontakt z pewną osobą uważaną za zmarłą, proszę jej przekazać, że zrobiłem, co mogłem, by spełnić oczekiwania. Uważam, że możliwa jest dalsza współpraca, ale nie przez pośredników. Jeśli jednak nie ma pani pojęcia, o czym mówię, proszę mnie o tym poinformować, abym mógł na nowo zacząć poszukiwania.

Groszek wrócił do domu. Siostra Carlotta pakowała bagaże.

- Przenosimy się? - zapytał.

Ustalili, że każde z nich może zdecydować o przeprowadzce bez uzasadniania decyzji. To jedyny sposób, by korzystać z podświadomych przeczuć, że zbliża się prześladowca. Nie chcieli spędzić ostatnich chwil życia na słuchaniu wymówek: „Wiedziałam, że powinniśmy się wynieść trzy dni temu!”. „To dlaczego nic nie mówiłaś?”. „Bo nie miałam żadnego powodu!”.

- Mamy dwie godziny do odlotu.

- Chwileczkę - zaprotestował Groszek. - Ty postanowiłaś, że wyjeżdżamy. Ja wybieram cel.

Ta metoda powinna zagwarantować przypadkowość. Carlotta wręczyła mu wydruk e-maila. List pochodził od Locke'a.

- Greensboro, Karolina Północna, Stany Zjednoczone - wyjaśniła.

- Może nie kontaktuję - rzekł Groszek - ale nie widzę tu zaproszenia.

- Nie chce pośredników. Nie możemy wiedzieć, czy jego list nie był śledzony.

Groszek sięgnął po zapalki i spalił wydruk w umywalce. Potem rozkruszył popiół i splukał wodą.

- Co z Petrą?

- Wciąż ani słowa. Uwolniono siedmiu z jeeshu Endera. Rosjanie twierdzą, że miejsce jej uwięzienia nie zostało jeszcze odkryte.

- Kuso - mruknął Groszek.

- Wiem - zgodziła się Carlotta. - Ale co możemy zrobić, skoro nie chcą nam powiedzieć? Obawiam się, Groszku, że ona nie żyje. Musisz zdawać sobie sprawę, że to

najbardziej prawdopodobny powód ich milczenia.

Groszek wiedział, ale nie wierzył.

- Nie znasz Petry.

- A ty nie znasz Rosji.

- W każdym kraju większość ludzi jest przyzwoita.

- Achilles wystarczy, żeby zachwiać ten układ, gdziekolwiek się znajdzie.

Groszek pokiwał głową.

- Rozumowo muszę się z tobą zgodzić. Irracjonalnie jednak spodziewam się, że pewnego dnia znów ją zobaczę.

- Gdybym nie znała cię tak dobrze - stwierdził Carlotta - mogłabym to interpretować jako dowód twojej wiary w zmartwychwstanie.

Groszek sięgnął po walizkę.

- Jestem większy, czy ona zmaląła?

- Walizka jest taka sama.

- Wydaje mi się, że rosnę.

- Oczywiście, że rośniesz. - Carlotta uśmiechnęła się. - Popatrz na swoje spodnie.

- Ciągle je noszę.

- Popatrz na swoje kostki.

- Aha...

Więcej skóry wystawało spod nogawek, niż kiedy te spodnie kupował.

Groszek nigdy nie widział, jak rośnie dziecko, ale niepokoił się trochę. W ciągu tygodni, które spędzili w Araraquarze, urósł przynajmniej pięć centymetrów. Jeśli to dojrzewanie, co się dzieje z innymi zmianami, które powinny nastąpić?

- W Greensboro kupimy ci nowe ubranie - obiecała siostra Carlotta.

Greensboro...

- Tam wychował się Ender.

- I tam zabił po raz pierwszy.

- Nie możesz mu tego darować, co?

- Ty miałeś w swej mocy Achillesa, a jednak go nie zabiłeś. Groszek nie lubił słuchać, jak porównują go do Endera, zwłaszcza jeśli wypadało to na niekorzyść byłego dowódcy.

- Siostró Carlotto, gdybym go wtedy zabił, mielibyśmy w tej chwili o wiele mniej kłopotów.

- Okazałeś litość. Nadstawiłeś drugi policzek. Dałeś mu szansę, żeby nadał swemu życiu jakąś wartość.

- Dopilnowałem, żeby trafił do domu wariatów.
- Tak bardzo chcesz wierzyć w swój brak zalet?
- Owszem - przyznał Groszek. - Wolę prawdę od kłamstw.
- No właśnie - ucieszyła się Carlotta. - Mam kolejną twoją zaletę, którą dopiszę do listy.

Groszek parsknął śmiechem.

- Cieszę się, że mnie lubisz - powiedział.
- Boisz się tego spotkania?
- Z kim?
- Z bratem Endera.
- Nie, nie boję się.
- Więc co odczuwasz?
- Sceptycyzm.
- W swoim e-mailu okazał pokorę - przypomniała siostra Carlotta. - Nie był pewien, czy prawidłowo rozwiązał problem.
- Tak, to interesująca myśl. Pokorny Hegemon.
- Nie jest jeszcze Hegemonem.
- Uwolnił siedmiu z jeeshu Endera. Wystarczyło, że napisał artykuł. Ma wpływy. Ma ambicje. A teraz odkrywam, że zna też pokorę... Nie, to dla mnie za dużo.
- Śmieję się, ile chcesz. Chodźmy, poszukamy taksówki.

* * *

Nie pozostawiali żadnych niezakończonych spraw. Za wszystko płacili gotówką, nie mieli żadnych długów. Mogli zwyczajnie wyjść.

Korzystali z pieniędzy pobieranych z kont, które założył dla nich Graff. To, z którego korzystał teraz Groszek, w żaden sposób nie łączyło się z Julianem Delphiki. Na tamtym leżały jego żołd oraz premie za udział w walkach i odprawa. MF przekazała wszystkim członkom jeeshu Endera duże kwoty złożone w funduszach powierniczych; nie mogli ich tknąć, póki nie osiągną pełnoletności. Zakumulowany żołd i premie miały tylko ułatwić im życie w dzieciństwie. Graff zapewnił go, że żyjąc w ukryciu, nie zużyje swoich pieniędzy.

Pieniądze dla siostry Carlotty pochodziły z Watykanu. Tylko jeden człowiek tam wiedział, czym Carlotta się w tej chwili zajmuje. Ona także miała pewność, że wystarczy jej na wszystkie potrzeby.

Żadne nie miało skłonności, by wykorzystywać tę sytuację. Siostra Carlotta wydawała

niedużo, gdyż więcej nie potrzebowała, Groszek zaś ponieważ wiedział, że rozrzutność czy ostentacja pozwolą obcym łatwiej go zapamiętać. Zawsze starał się wyglądać raczej jak dziecko, które załatwia sprawunki dla swojej babci, niż jak niedorosły bohater wojenny, który wydaje swój żołd.

Paszporty także nie sprawiały problemów - Graff znowu pociągnął za odpowiednie sznurki. Uwzględniając ich wygląd zdradzający śródziemnomorskie korzenie, zaopatrzył ich w paszporty katalońskie. Carlotta dobrze знаła Barcelonę, a kataloński był językiem jej dzieciństwa. Teraz prawie nim nie mówiła, ale to nieistotne - mało kto go używał. I nikt nie będzie zdziwiony faktem, że jej wnuk w ogóle nie zna tej mowy. Zresztą ilu Katalończyków mogą spotkać w czasie swych podróży? Kto zechce sprawdzić ich legendę? Jeśli trafią na kogoś nazbyt wścibskiego, po prostu przeniosą się do innego miasta w innym kraju.

Lądowali w Miami, potem w Atlancie i wreszcie w Greensboro. Byli zmęczeni i spędzili noc w hotelu obok lotniska. Następnego dnia załogowali się w sieci i wydrukowali mapkę miejskiego transportu; system komunikacji był dość nowoczesny, zamknięty i elektryczny, ale plan wydał się Groszkowi bez sensu.

- Dlaczego żadne autobusy nie jeżdżą tędy? - zapytał siostrę Carlottę.
 - W tej okolicy mieszkają ludzie bogaci - wyjaśniła.
 - Każą im wszystkim żyć w jednym miejscu?
 - W ten sposób czują się bezpiecznie. A że mieszkają razem, mają większą szansę, że dzieci znajdą sobie partnerów w innych bogatych rodzinach.
 - Ale dlaczego nie chcą autobusów?
 - Jeżdżą własnymi pojazdami. Mogą sobie pozwolić na opłaty. Mają więcej swobody, jeśli sami decydują o rozkładzie jazdy. No i wszyscy mogą zobaczyć, jacy są bogaci.
 - To i tak bez sensu - uznał Groszek. - Popatrz, jak autobusy muszą nakładać drogi.
 - Pewnie bogaci nie chcieli, żeby komunikacja publiczna korzystała z ich ulic.
 - I co z tego?
- Siostra Carlotta roześmiała się głośno.
- Groszku, w armii też często widzi się głupotę.
 - Ale na dłuższą metę decyzje powierza się tym, którzy wygrywają bitwy.
 - No cóż, ci ludzie wygrali bitwy ekonomiczne. A może raczej ich przodkowie. Dlatego teraz zwykle dostają to, na czym im zależy.
 - Czasami mam wrażenie, że nic nie wiem o świecie.
 - Pół życia tkwiłeś w rurze zawieszanej w kosmosie, a przedtem na ulicach Rotterdamu.
 - Ale mieszkałem też w Grecji, z rodziną. I w Araraquarze. Powinienem się tego

domyślić.

- To było w Grecji. I w Brazylii. Tutaj jest Ameryka.

- Czyli w Ameryce pieniądze rządzą, a gdzie indziej nie?

- Nie, Groszku. Pieniądze rządzą wszędzie. Ale różne kultury w różny sposób demonstrują bogactwo. Na przykład w Araraquarze dbano o to, żeby linie tramwajowe docierały do bogatych dzielnic. Dlaczego? Żeby służba mogła dojechać do pracy. W Ameryce ludzie bardziej obawiają się przestępców i złodziei, więc oznaką bogactwa jest, żeby można było się do nich dostać tylko prywatnym samochodem albo pieszo.

- Czasami tęsknię za Szkołą Bojową.

- Dlatego że w Szkole Bojowej byłeś jednym z najbogatszych ludzi, w jedynej walucie, jaka się tam liczyła.

Groszek zastanowił się. Kiedy inne dzieciaki zrozumiały, że choć jest najmłodszy i najmniejszy, potrafi ich pokonać niemal na każdych zajęciach, zyskał swego rodzaju władzę. Wszyscy go znali. Nawet ci, co z niego drwili, okazywali niechętny szacunek. Ale...

- Nie zawsze działało się tak, jak chciałem.

- Graff wspominał mi o twoich karygodnych występach w Szkole - powiedziała Carlotta. - Wchodziłeś do przewodów wentylacyjnych, żeby podsłuchiwać. Włamałeś się do systemu komputerowego.

- Ale mnie złapali.

- Nie tak prędko, jak by chcieli. A ukarali cię? Nie. Dlaczego? Bo byłeś bogaty.

- Pieniądze i talent to naprawdę nie to samo.

- Bo pieniądze można odziedziczyć po przodkach. Poza tym wszyscy dostrzegają wartość pieniędzy, podczas gdy tylko wybrane grupy widzą wartość talentu.

- No więc gdzie mieszka Peter?

Carlotta miała adresy wszystkich Wigginów. Nie było ich wielu - bardziej typowa wersja nazwiska miała „s” na końcu.

- Ale to nam chyba nie pomoże - stwierdziła. - Nie chcemy spotykać się z nim w domu.

- Dlaczego nie?

- Bo nie mamy pojęcia, czy jego rodzice wiedzą, czym się zajmuje. Graff uważa, że nie. Jeśli nagle odwiedzi go para cudzoziemców, zaczną się zastanawiać, co takiego ich syn robi w sieci.

- W takim razie gdzie?

- Powinien chodzić do szkoły średniej. Ale biorąc pod uwagę jego inteligencję, założę się, że jest już w college'u. - Mówiąc, przywoływała na ekran kolejne informacje. - College,

college... Mnóstwo ich w tym mieście. Zaczniemy od największych, gdzie łatwiej mu wtopić się w tłum.

- Dlaczego miałby się wtopiać? Przecież nikt nie wie, kim jest.

- Na pewno nie chce, żeby ktoś zauważył, jak mało czasu poświęca na naukę. Musi sprawiać wrażenie normalnego chłopca w swoim wieku. Powinien wszystkie wolne chwile spędzać z kolegami. Albo z dziewczętami. Albo z kolegami szukać dziewcząt. Albo z kolegami, próbując jakoś zapomnieć o tym, że nie mogą znaleźć żadnych dziewcząt.

- Nieźle się na tym znasz, jak na zakonnicę.

- Nie urodziłam się zakonnicą.

- Ale urodziłaś się dziewczyną.

- Nikt nie potrafi lepiej obserwować obyczajów dorastających samców niż dorastające samice.

- A dlaczego przypuszczasz, że nie robi tego wszystkiego?

- Bycie Locke'em i Demostenesem to praca na pełny etat.

- To po co w ogóle chodzi do college'u, twoim zdaniem?

- Bo rodzice by się denerwowali, gdyby całymi dniami siedział w domu i tylko czytał albo odpisywał na e-maile.

Groszek nie miał pojęcia, co może denerwować rodziców. Swoich poznał dopiero po wojnie i nigdy nie znaleźli u niego wady tak poważnej, by ją krytykować. A może nigdy nie uznali, że jest naprawdę ich dzieckiem? Nikolaiovi też rzadko zwracali uwagę. Ale... częściej niż Groszkowi. Zwyczajnie spędzili razem za mało czasu, by czuli się swobodnie w obecności swego nowego syna Juliana.

- Ciekawe, co słychać u moich rodziców.

- Gdyby coś było nie tak, na pewno byśmy się dowiedzieli - uspokoiła go Carlotta.

- Wiem - mruknął Groszek. - Ale to nie znaczy, że nie mogę się zastanawiać.

Nie odpowiedziała. Pracowała przy swoim monitorze, ściągając na ekran kolejne strony.

- Tu go mam - oznajmiła w końcu. - Student, nie korzysta z internatu. Bez adresu. Jest tylko e-mail i skrzynka na uczelni.

- A jego rozkład zajęć?

- Nie umieszczają na stronach takich rzeczy. Groszek zaśmiał się głośno.

- I to niby ma być kłopot?

- Nie, nie chcę, żebyś włamywał się do ich systemu. Nie znam lepszego sposobu zwrócenia na siebie uwagi, niż uruchomienie jakiejś pułapki i ściągnięcie kreta, który polezie

za tobą do domu.

- Krety nigdy za mną nie łążą.

- Nigdy nie widzisz tych, które cię śledzą.

- Przecież to college, nie jakaś agencja wywiadowcza.

- Czasami ci, którzy najmniej mają rzeczy wartych kradzieży, najbardziej się starają wywołać wrażenie, że dysponują wielkim ukrytym skarbem.

- To z Biblii?

- Nie. Z obserwacji.

- No to co zrobimy?

- Masz za młody głos - stwierdziła Carlotta. - Ja tam zadzwonię. Dość szybko dotarła do sekretariatu uczelni.

- To bardzo miły chłopak; przeniósł moje rzeczy, kiedy pękło mi koło w wózku, więc jeśli to jego klucze, chcę mu je oddać jak najszybciej, zanim zacznę się martwić. Nie, nie wyślę ich pocztą; to ma być „jak najszybciej”? Ani nie zostawię ich pani, mogą przecież nie należeć do niego i co wtedy zrobić? Jeśli to naprawdę jego klucze, ucieszy się, że podała mi pani plan zajęć, a jeśli nie, komu to zaszkodzi? Dobrze, zaczekam.

Siostra Carlotta oparła się wygodnie. Groszek parsknął śmiechem.

- Jak zakonnica może być tak wprawiona w kłamstwach? Wcisnęła guzik MUTE.

- Nie jest kłamstwem opowiedzenie biurokratce takiej historii, jaka jest niezbędna, żeby dobrze wykonała swoją pracę.

- Ale jeśli dobrze wykona swoją pracę, nie udzieli żadnych informacji o Peterze.

- Gdyby dobrze wykonywała swoją pracę, rozumiałaby powód obowiązywania tych reguł, a zatem wiedziałaby, kiedy należy zrobić wyjątek.

- Ludzie, którzy rozumieją powody obowiązywania reguł, nie zostają biurokratami - przypomniał Groszek. - To coś, czego w Szkole Bojowej nauczyłem się bardzo szybko.

- No właśnie - odparła Carlotta. - Dlatego musiałam jej opowiedzieć historyjkę, która pomoże przezwyciężyć to kalectwo. Nagle znowu zaczęła słuchać głosu w telefonie.

- Och, jaka pani miła. Tak, doskonale. Tam go spotkam. Odłożyła słuchawkę i zaśmiała się.

- Wysłali do niego e-maila. Peter miał włączony komputer. Przyznał, że istotnie zgubił klucze i chętnie spotka się z miłą starszą panią w Yum - Yum.

- Co to takiego? - zdumiał się Groszek.

- Nie mam pojęcia, ale z jej tonu wnioskuję, że gdybym była starszą panią mieszkającą w pobliżu kampusu, to bym wiedziała. - Szukała już w informatorze miejskim. - Aha, to taka

restauracja niedaleko college'u. No, mamy wszystko. Ruszajmy na spotkanie chłopca, który chce zostać królem.

- Chwileczkę - powstrzymał ją Groszek. - Nie możemy zaraz tam iść.

- Dlaczego?

- Musimy zdobyć jakieś klucze.

Carlotta spojrzała na niego jak na wariata.

- Przecież wymyśliłam sobie tę opowieść o kluczach.

- Sekretarka wie, że spotykasz się z Peterem, by oddać mu klucze. A jeśli przypadkiem akurat pójdziesz do Yum-Yum na obiad? Jeśli zobaczy nas z Peterem i nikt nikomu nie przekaze kluczy?

- Nie mamy czasu.

- Dobra, zrobmy inaczej. Udawaj zakłopotaną i wytłumacz, że w pośpiechu, aby zdążyć na spotkanie, zapomniałaś je zabrać. I że powinien iść z tobą do domu.

- Masz talent do takich rzeczy, Groszku.

- Oszustwo jest moją drugą naturą.

Autobus zjawił się punktualnie i jechał prędko, jak pewnie zwykle poza szczytem. Wkrótce znaleźli się na terenie kampusu. Groszek lepiej sobie radził z tłumaczeniem mapy na rzeczywisty teren, więc to on prowadził do Yum-Yum.

Lokal wyglądał jak spelunka. A raczej starał się wyglądać jak spelunka z wcześniejszej epoki. Tyle że naprawdę był zaniedbany i zapuszczony - spelunka, która usiłowała wyglądać jak przyzwoita restauracja udająca spelunkę. Dość skomplikowane i pełne ironii, uznał Groszek, wspominając, co ojciec mówił o restauracji w pobliżu ich domu na Krecie: Porzućcie wszelką nadzieję na posiłek, wy, którzy tu wchodzicie.

Potrawy przypominały jedzenie w restauracjach dla klas pracujących na całym świecie: bardziej chodziło o tłuszcz i cukier niż o smak i wartości odżywcze. Ale Groszek nie był wybredny. Pewne dania lubił bardziej od innych, wiedział też to i owo o różnicy między wykwinłą kuchnią a prostym jedzeniem. Jednak po latach spędzonych na ulicach Rotterdamu, po latach liofilizowanej i obrabianej chemicznie żywności w kosmosie, odpowiadało mu wszystko, co zawierało kalorie. Popęłił jednak błąd i zamówił lody. Dopiero co przyleciał z Araraquary, gdzie lody były warte polecenia. Lody amerykańskie okazały się za tłuste, a w smaku zbyt landrynkowe.

- Mmm, deliciosa - powiedział.

- Fecha a boguinha, menino - odparła siostra Carlotta. - E nao fala portugues aqui.

- Nie chciałem krytykować lodów w języku, który rozumieją.

- Czy wspomnienie głodu nie czyni cię cierpliwym?
- Czy wszystko musi być problemem moralnym?
- Pisałam doktorat z Akwinaty i Tillicha - wyjaśniła. - Wszystkie pytania są filozoficzne.

- W takim razie wszystkie odpowiedzi są bełkotliwe.
- Pomyśleć, że nie jesteś nawet w szkole średniej... Wysoki młody człowiek wsunął się na ławę obok Groszka.

- Przepraszam, spóźniłem się - powiedział. - Ma pani moje klucze?
- Ogromnie mi wstyd - odparła siostra Carlotta. - Przyjechałam aż tutaj i dopiero wtedy zauważyłam, że zostawiłam je w domu. Może kupię ci lody, a potem pojedziemy do mnie?

Groszek obserwował profil Petera. Podobieństwo do Endera było wyraźne, ale nie tak bliskie, by ktokolwiek mógł ich pomylić.

Więc to jest ten chłopak, który doprowadził do zawieszenia broni kończącego Wojnę Ligi. Chłopak, który chce zostać Hegemonem. Przystojny, choć nie w stylu gwiazdy filmowej - ludzie mogą go lubić i nadal mu ufać. Groszek oglądał widy o Hitlerze i Stalinie. Różnica była wyraźna - Stalin nigdy nie został wybrany, Hitler tak. Mimo tego głupiego wąsika, dostrzegał w jego oczach zdolność do spojrzenia w głąb słuchacza, wzbudzenia uczucia, że cokolwiek mówi, gdziekolwiek patrzy, mówi do niego i patrzy właśnie na niego, że mu na nim zależy. A Stalin wyglądał po prostu na kłamcę, którym był. Peter należał stanowczo do kategorii ludzi charyzmatycznych. Jak Hitler.

Może to niesprawiedliwe porównanie, ale ci, którzy walczą o władzę, budzą takie myśli. A najgorsze, że siostra Carlotta ulegała jego wpływowi. Owszem, grała swoją rolę, ale kiedy się do niego odezwała, kiedy spoczął na niej ten wzrok, wdzięczyła się trochę. Peter wzbudził jej sympatię. Nie za bardzo, nie tak, by zaczęła się zachowywać niemądrze, ale pozostawała świadoma obecności Petera na jakimś wyższym poziomie intensywności, co wcale się Groszkowi nie podobało. Peter posiadał dar uwodziciela. Był niebezpieczny.

- Przejdę się z panią do domu - powiedział Peter. - Nie jestem głodny. Zapłaciliście już?
- Oczywiście - zapewniła siostra Carlotta. - Przy okazji, to jest mój wnuk. Delfino.

Peter odwrócił głowę, jakby dopiero teraz zauważył Groszka - choć Groszek był pewien, że przyjrzał mu się uważnie, zanim jeszcze usiadł.

- Miły chłopczyk - stwierdził Peter. - Ile ma lat? Chodzi już do szkoły?
- Jestem mały - oświadczył z uśmiechem Groszek. - Ale przynajmniej nie jestem yelda.
- Och, te widy ze Szkoły Bojowej - westchnął Peter. - Nawet małe dzieci zaczynają używać tego głupiego międzynarodowego slangu.

- Spokojnie, chłopcy. Musicie się pogodzić. Koniecznie. - Siostra Carlotta ruszyła do wyjścia. - Mój wnuk jest w tym kraju po raz pierwszy, młodzieńcze, więc nie rozumie amerykańskich odzywek.

- Owszem, rozumiem - zapewnił Groszek tonem upartego dziecka, co przyszło mu z łatwością, bo naprawdę się zirytował.

- Bardzo dobrze mówi po angielsku - pochwalił Peter. - Ale proszę trzymać go za rękę, kiedy przechodzimy przez jezdnię. Tramwaje w kampusie jeżdżą jak w Daytona.

Groszek skrzywił się, ale grzecznie pozwolił Carlotcie przeprowadzić się przez ulicę. Peter wyraźnie starał się go sprowokować. Dlaczego? Przecież nie był tak prymitywny, by wierzyć, że poniżenie Groszka da mu przewagę. Może to, że inni wyglądają na niedojrzałych, sprawiało mu satysfakcję.

Wreszcie jednak wydostali się z kampusu i pokonali dostatecznie wiele zakrętów, by wiedzieć, że nikt ich nie śledzi.

- Więc to ty jesteś słynnym Julianem Delphiki - rzekł Peter.

- A ty jesteś Locke'em. Widzą w tobie Hegemona, kiedy skończy się kadencja Sakaty. Szkoda, że istniejesz tylko wirtualnie.

- Planuję wkrótce się ujawnić.

- Aha... To dlatego załatwiłeś sobie operację plastyczną, żeby tak ślicznie wyglądać.

- Ta stara buźka? Noszę ją tylko wtedy, kiedy nie zależy mi na wyglądzie.

- Chłopcy - wtrąciła siostra Carlotta - czy musicie się popisywać jak małe szympansy? Peter roześmiał się swobodnie.

- Ależ mamusiu, to tylko zabawa. Czy możemy iść do kina?

- Do łóżka bez kolacji. Obaj. Groszek miał tego dosyć.

- Gdzie jest Petra? - zapytał.

Peter spojrzał na niego jak na wariata.

- Ja jej nie trzymam.

- Masz kontakty - powiedział Groszek. - Wiesz więcej, niż mówisz.

- Ty też wiesz więcej, niż mówisz. Myślałem, że postaramy się nawzajem zdobyć swoje zaufanie, a potem otworzymy śluzy mądrości.

- Czy ona nie żyje? - Groszek nie pozwolił zbić się z tropu. Peter rzucił okiem na zegarek.

- W tej chwili nie wiem.

Groszek zatrzymał się. Zniechęcony, spojrzał na siostrę Carlotkę.

- Marnujemy czas - oznajmił. - Bez powodu narażaliśmy życie.

- Jesteś pewien?

Groszek zerknął na Petera, który wydawał się szczerze zaskoczony.

- On chce być Hegemonem - wyjaśnił Groszek. - Ale jest nikim.

I odszedł. Oczywiście, zapamiętał drogę i wiedział, jak bez pomocy siostry Carlotty trafić na przystanek. Ender jeździł tymi autobusami jako dziecko młodsze jeszcze od Groszka. To było jedyne pocieszenie wobec gorzkiego odkrycia, że Peter jest tylko głupcem bawiącym się w bezsensowne rozgrywki.

Nikt Groszka nie wołał, a on również się nie oglądał.

* * *

Groszek wszedł nie do autobusu do hotelu, ale do takiego, który jechał najbliżej szkoły, do której uczęszczał Ender, zanim wzięli go do Bojowej. Cała historia życia Endera została ujawniona w ramach śledztwa dotyczącego Graffa. Pierwszy raz Ender zabił właśnie tutaj: chłopca nazwiskiem Stilson, który zaczął się na niego ze swoim gangiem. Groszek był niemal naocznym świadkiem drugiego zabójstwa Endera, w prawie identycznej sytuacji. Ender - samotny, otoczony, bez pomocy - doprowadził do starcia jeden na jednego, a potem zrobił wszystko, by zniszczyć przeciwnika, by nie pozostał nawet ślad woli walki. Ale odkrył tę metodę już tutaj, w wieku sześciu lat.

W tym wieku też wiedziałem to i owo, myślał Groszek. Nie jak zabijać - to przekraczało moje możliwości, byłem za mały - lecz jak przeżyć. To jest naprawdę trudne.

Trudne dla mnie, ale nie dla Endera. Groszek maszerował przez dzielnicę skromnych starych domów i liczniejszych nowych, równie skromnych. Dla niego były niczym cuda świata. To nie znaczy, że nie miał okazji - mieszkając po wojnie z rodziną w Grecji - przekonać się, jak dorasta większość dzieci. Ale tutaj było inaczej. To miejsce zrodziło Endera Wiggina.

Miałem więcej zdolności wojskowych niż Ender. Mimo to on był lepszym dowódcą. Skąd ta różnica? On dorastał i nigdy nie musiał się martwić, skąd wziąć następny posiłek. Ludzie podziwiali go i opiekowali się nim. Ja dorastałem tam, gdzie jeśli już znalazłem coś do jedzenia, martwiłem się, czy jakiś inny dzieciak z ulicy nie zabije mnie, żeby to zdobyć. Może w rezultacie to ja powinienem się nauczyć, jak walczyć do końca, a on - jak się wycofywać?

Tu nie chodzi o miejsce. Dwaj ludzie w identycznej sytuacji nigdy nie podejmą całkiem takiej samej decyzji. Ender jest tym, kim jest, a ja tym, kim jestem. On zniszczył Formidów. Ja chciałem przeżyć.

A o co chodzi mi teraz? Jestem komendantem bez armii, mam misję do wykonania, ale

brak mi wiedzy, jak ją wykonać. Petra, jeśli nadal żyje, jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie i liczy, że ją uwolnię. Pozostali są już na wolności. Tylko ona nadal przebywa w niewoli. Co Achilles jej zrobił? Nie pozwolę, żeby Petra skończyła jak Buch.

To jest to: różnica między Enderem a Groszkiem. Ender wyszedł z najgorszej walki swego dzieciństwa niepokonany. Zrobił to, co było konieczne. Ale Groszek nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, co grozi jego przyjaciółce Buch - dopóki nie było za późno. Gdyby wcześniej zrozumiał, w jakim znalazła się niebezpieczeństwie, mógłby ją ostrzec, mógłby pomóc. Ocalić ją. A tak jej ciało spadło do Renu i tam je znaleziono, kołyszące się wśród śmieci przy brzegu.

I to miało się znowu powtórzyć.

Groszek stanął przed domem Wiggina. Ender nigdy o nim nie opowiadał, nie pokazywano zdjęć podczas procesu. Dom był właśnie taki, jakiego Groszek się spodziewał. Drzewo na podwórzu, z przybitymi do pnia deskami tworzącymi drabinę do platformy w rozwidleniu konarów. Czysty, zadbane ogród. Co Ender mógł wiedzieć o strachu?

Gdzie jest ogród Petry? A gdzie jest mój? - zamyślił się Groszek.

Wiedział, że jest nierozsądny. Gdyby Ender wrócił na Ziemię, z pewnością też by się ukrywał - chyba że Achilles zabiłby go od razu. Ale nawet w tej sytuacji Groszek musiał się zastanawiać, czy Ender nie wolałby takiego życia - na Ziemi i w ukryciu - od tego, które było jego przeznaczeniem: w kosmosie, w drodze ku innym światom, wieczny wygnaniec ze swej ojczystej planety.

Jakaś kobieta stanęła przed frontowymi drzwiami. Pani Wiggin?

- Zgubiłeś się? - spytała.

Groszek uświadomił sobie, że w swym rozczerwaniu - nie, raczej w rozpacz - zapomniał o czujności. Dom mógł być obserwowany. A jeśli nawet nie, to sama pani Wiggin może go zapamiętać: chłopca, który stanął przed jej furtką w godzinach zajęć szkolnych.

- Czy tutaj wychowywał się Ender Wiggin? Cień przemknął po jej twarzy i zniknął szybko, ale Groszek zauważył, jak posmutniała, nim uśmiechnęła się znowu.

- Tak - przyznała. - Ale nie oprowadzamy wycieczek. Z przyczyn, których do końca nie rozumiał, powodowany raczej impulsem, powiedział:

- Byłem przy nim w ostatniej bitwie. Walczyłem pod jego komendą.

Jej uśmiech zmienił się znowu, z uprzejmego i dobrotliwego na bardziej ciepły, ale i smutny.

- Aha - szepnęła. - Weteran. - I natychmiast na jej twarzy pojawił się niepokój. - Znam twarze wszystkich towarzyszy Endera z ostatniej bitwy. Ty jesteś tym, który nie żyje. Julian

Delphiki.

Zdradził się. I to sam, mówiąc, że był w jeeshu Endera. O czym myślał? W końcu było ich tylko jedenaścioro.

- Owszem, istnieją ludzie, którzy chcą mnie zabić - przyznał. - Jeśli powie pani komuś, że tu byłem, bardzo im pani pomoże.

- Nie powiem. Ale przychodząc tutaj, postąpiłeś nierozsądnie.

- Musiałem zobaczyć.

Groszek sam nie był pewien, czy to prawda.

Ona była pewna.

- To absurd - orzekła. - Nie ryzykowałbyś życia, przychodząc tu bez ważnego powodu.

- I nagle skojarzyła wszystko. - Petera nie ma w domu.

- Wiem - odparł Groszek. - Przed chwilą rozmawiałem z nim na uniwersytecie.

I wtedy zdał sobie sprawę: nie mogła podejrzewać, że przyszedł zobaczyć się z Peterem, gdyby nie miała pojęcia, czym Peter się zajmuje.

- Pani wie...

Przymknęła oczy, pojmując, że i ona się zdradziła.

- Albo oboje jesteśmy głupcami - powiedziała - albo zaufaliśmy sobie nawzajem od razu, skoro tak łatwo się odkryliśmy.

- Jesteśmy głupcami tylko wtedy, jeśli to drugie nie jest godne zaufania.

- Przekonamy się, prawda? - Uśmiechnęła się znowu. - Nie powinienes tak stać na ulicy. Ludzie zaczną się zastanawiać, dlaczego taki chłopczyk nie jest w szkole.

Ruszył za nią do drzwi. Kiedy Ender stąd odchodził, czy też szedł tą dróżką? Groszek spróbował sobie wyobrazić tę scenę. Ender nigdy nie wrócił do domu. Jak Bonzo, inna ofiara tej wojny... Bonzo zginął, Ender zaginął podczas akcji. A teraz Groszek wkraczał do tego domu. Ale nie była to sentymentalna wizyta u zrozpaczonych krewnych. Toczyła się wojna - inna, lecz jednak wojna, a ta kobieta ryzykowała stratę drugiego syna.

Nie powinna wiedzieć, co Peter robi. Przecież o to mu chodziło, kiedy ukrywał swoją działalność i udawał studenta.

Bez pytania zrobiła Groszkowi kanapkę, jakby zakładała, że dziecko musi być głodne. Była to typowo amerykańska kromka pszennego chleba z masłem orzechowym - czy takie same kanapki szykowała Enderowi?

- Tęsknię za nim - oświadczył Groszek, gdyż wiedział, że wzbudzi tym jej sympatię.

- Gdyby tu został - odparła pani Wiggin - prawdopodobnie by go zabili. Kiedy przeczytałam, co... Locke... napisał o tym chłopcu z Rotterdamu, nie mogłam sobie nawet

wyobrazić, że zostawiłby Endera przy życiu. Ty też go znałeś, prawda? Jak miał na imię?

- Achilles,

- Ukrywasz się. Ale wydajesz się bardzo mały.

- Podróżuję z zakonnicą, siostrą Carlottą - wyjaśnił Groszek. - Udajemy babcię z wnukiem.

- To dobrze, że nie jesteś sam.

- Ender też nie jest sam. Łzy błysnęły jej w oczach.

- Przypuszczam, że bardziej niż my potrzebował Valentine.

Pod wpływem impulsu - znowu impulsywna reakcja zamiast przemyślanej decyzji - Groszek wsunął rękę w jej dłoń. Uśmiechnęła się do niego.

Chwila minęła. Uświadomił sobie, jak niebezpiecznie było tu przychodzić. A jeśli dom jest obserwowany? W MF wiedzieli o Peterze - mogli kogoś postawić.

- Powinienem już iść - oświadczył.

- Cieszę się, że przyszedłeś - zapewniła. - Chyba bardzo chciałam porozmawiać z kimś, kto znał Endera, ale mu nie zazdrości.

- Wszyscy mu zazdrościliśmy. Ale wiedzieliśmy, że jest z nas najlepszy.

- A dlaczego mielibyście zazdrościć, gdybyście nie uważali go za lepszego?

Groszek parsknął śmiechem.

- Kiedy się komuś zazdrości, człowiek sam siebie przekonuje, że tamten wcale nie jest lepszy.

- A więc... Czy inne dzieci zazdrościły mu zdolności? - spytała pani Wiggin. - Czy tylko uznania?

Groszkowi nie spodobało się to pytanie, ale pamiętał, kto je zadał.

- Spróbuję odwrócić tę kwestię. Czy Peter zazdrości mu zdolności? Czy tylko uznania?

Stała nieruchomo, jakby nie wiedząc, czy powinna odpowiadać. Groszek wiedział, że lojalność wobec rodziny nakazuje jej raczej milczeć.

- Nie pytam ze zwykłej ciekawości - dodał. - Nie wiem, jak dalece jest pani zorientowana w działaniach Petera...

- Czytamy wszystko, co publikuje. A potem bardzo się staramy udawać, że nie mamy pojęcia, co się dzieje na świecie.

- Próbuję podjąć decyzję, czy powinienem z nim współpracować - wyjaśnił Groszek. - I nie wiem, co o nim myśleć. Jak dalece można mu zaufać.

- Chciałabym ci pomóc - zapewniła pani Wiggin. - Ale Peter maszeruje w rytm innego werbla. Nigdy tak naprawdę nie wychwyciłam tego rytmu.

- Nie lubi go pani? - Groszek wiedział, że jest zbyt brutalny. Ale zdawał sobie sprawę, że nie powtórzy się już okazja rozmowy z matką potencjalnego sprzymierzeńca... albo rywala.

- Kocham go - odparła pani Wiggin. - Nie odsłania się zbyt przed nami. Ale to sprawiedliwe: my też nie odsłanialiśmy się przed dziećmi.

- Dlaczego? - zdziwił się Groszek.

Pamiętał całkowitą otwartość swoich rodziców, to, jak dobrze znali Nikolaia, a Nikolai ich oboje. Szczerość ich rozmów niemal zapierała mu dech. Najwyraźniej rodzina Wigginów nie miała takiego zwyczaju.

- To skomplikowana historia...

- Chce pani powiedzieć, że to nie moja sprawa?

- Wręcz przeciwnie. Wiem, że to również twoja sprawa. - Westchnęła i usiadła przy stole. - Przestańmy udawać, że to zwykła uprzejma rozmowa. Przyszedłeś dowiedzieć się czegoś o Peterze. Najłatwiej byłoby odpowiedzieć, że nic nie wiemy. Nigdy nie zdradza innym tego, czego chcieliby się dowiedzieć, chyba że uzna, że ta ich wiedza będzie dla niego użyteczna.

- A trudniejsza odpowiedź?

- Wiele ukrywaliśmy przed dziećmi. Od samego początku. Trudno być zdziwionym albo oburzoną, że już w młodym wieku nauczyły się skrytości.

- Co państwo ukrywali?

- Nie mówimy o tym dzieciom, więc dlaczego miałabym powiedzieć tobie? - Ale natychmiast sama sobie odpowiedziała: - Gdyby byli tu Valentine i Ender, myślę, że z nimi byśmy rozmawiali. Próbowałam nawet wyjaśnić Valentine pewne sprawy, zanim odeszła, by dołączyć do Endera w... w kosmosie. Marnie mi poszło, bo nigdy jeszcze nie próbowałam ująć tego w słowa. Może... Może zacznę od... Planowaliśmy trzecie dziecko, nawet gdyby MF nas o to nie poprosiła.

Tam, gdzie dorastał Groszek, prawa ograniczające populację nie miały wielkiego znaczenia - dzieci z ulic Rotterdamu wszystkie były nadmiarowe i doskonale wiedziały, że zgodnie z prawem żadne nie powinno przyjść na świat. Ale kiedy człowiek głoduje, nie dba o to, czy pozwoli mu podjąć naukę w najlepszych szkołach. Kiedy jednak cofnięto zakazy, czytał o tych prawach i rozumiał teraz, co oznaczała decyzja urodzenia trzeciego dziecka.

- Dlaczego? - zapytał. - Skrzywdzilibyście w ten sposób wszystkie swoje dzieci. Wasze kariery zawodowe byłyby skończone.

- Bardzo uważaliśmy, żeby nie robić żadnej kariery - wyjaśniła pani Wiggin. - Nie taką, z której trudno byłoby zrezygnować. Mieliliśmy tylko posady. Widzisz, jesteśmy ludźmi

religijnymi.

- Na świecie jest wielu ludzi religijnych.

- Ale nie w Ameryce. Nie fanatyków, którzy zaryzykują czyn tak egoistyczny i aspołeczny, jak spłodzenie trzeciego dziecka z powodu jakichś pomyłonych zasad religijnych. Kiedy Peter osiągnął w dzieciństwie tak wysokie wyniki, zaczęli go monitorować... To była dla nas katastrofa. Chcieliśmy być... niewidoczni. Zniknąć. Rozumiesz, oboje byliśmy bardzo inteligentni.

- Zastanawiałem się, czemu rodzice takich geniuszy sami nie zrobili kariery - przyznał Groszek. - Dlaczego przynajmniej nie osiągnęli znaczącej pozycji w gronie intelektualistów.

- Intelektualiści... - powtórzyła wzgardliwie pani Wiggin. - Amerykańscy intelektualiści nigdy nie byli przesadnie inteligentni. Ani uczciwi. Są jak owce i podążają za każdą intelektualną modą, jaka akurat obowiązuje, żądając przy tym, żeby wszyscy inni maszerowali z nimi. Każdy powinien mieć otwarty umysł, być tolerancyjny, ale Boże ucho, żeby któryś choć raz przyznał, że ktoś, kto się z nimi nie zgadza, może mieć choćby odrobinę racji.

Mówiła gorzkim tonem.

- Jestem zgorzkniała - stwierdziła.

- Przeżyła pani swoje życie. Zatem uważa pani, że jest mądrzejsza od tamtych.

Trochę się wzburzyła.

- Takie właśnie komentarze wyjaśniają, dlaczego z nikim nie dyskutujemy o naszej wierze.

- Nie zamierzałem pani atakować - zapewnił Groszek. - Ja na przykład uważam, że jestem inteligentniejszy od wszystkich ludzi, jakich spotkałem, bo rzeczywiście jestem. Musiałbym być głupszy, niż jestem, żeby tego nie rozumieć. Państwo szczerze wierzą w swoją religię i są rozgoryczeni, ponieważ muszą ją ukrywać. Tyle tylko chciałem powiedzieć.

- Nie religię, ale religie - poprawiła. - Mój mąż i ja nie wyznajemy nawet tej samej doktryny. Posiadanie liczego potomstwa, zgodnie z Bożymi nakazami, to jedyne, w czym doszliśmy do porozumienia. I nawet wtedy oboje mieliśmy skomplikowane intelektualne usprawiedliwienia faktu, że chcemy złamać prawo. Przede wszystkim nie uważaliśmy, że to by zaszkodziło naszym dzieciom. Chcieliśmy wychować je w wierze, jako wyznawców.

- I dlaczego państwo zrezygnowali?

- Bo jednak okazaliśmy się tchórzami. Wobec obserwacji MF. Ciągłe by nam przeszkadzali. Nie pozwoliliby, żebyśmy nauczyli dzieci czegokolwiek, co by im przeszkodziło w podjęciu roli, którą w końcu wypełniście ty i Ender. Wtedy zaczęliśmy ukrywać naszą wiarę. Właściwie nawet nie przed dziećmi, ale przed ludźmi ze Szkoły Bojowej.

Tak się ucieszyliśmy, kiedy usunęli monitor Peterowi. A potem Valentine. Myśleliśmy, że już po wszystkim. Chcieliśmy się przeprowadzić gdzieś, gdzie by nas źle nie traktowano, tam urodzić trzecie dziecko, a potem czwarte... Ile zdążymy, zanim nas aresztują. Ale wtedy oni wrócili i zamówili trzecie dziecko. Zatem nie musieliśmy się wyprowadzać. Rozumiesz? Byliśmy leniwi i wystraszeni. Skoro Szkoła Bojowa dawała nam pretekst, by mieć trzecie dziecko, to czemu nie?

- Ale potem zabrali Endera...

- A zanim go zabrali, było już za późno. Za późno, żeby Petera i Valentine wychować w naszej wierze. Jeśli nie uczy się dzieci od małego, wiara nigdy nie sięgnie do ich wnętrza. Można tylko liczyć, że kiedyś dojdą do niej same, na własną rękę. Nie przejmą jej od rodziców, jeśli bardzo wcześnie nie zaczniesz się...

- Indoktrynacji.

- Na tym polega wychowanie - odparła pani Wiggin. - Indoktrynuje się dzieci, wszczepia im pewne normy społeczne, do których naszym zdaniem powinny się stosować. Intelktualiści nie mają oporów, wykorzystując szkołę do indoktrynowania naszych dzieci na swoją modłę.

- Nie próbowałem pani prowokować - zapewnił Groszek.

- A jednak użyłeś słowa, które sugeruje krytycyzm.

- Przepraszam.

- Wciąż jesteś dzieckiem - westchnęła pani Wiggin. - Nieważne, jak inteligentnym. Nadal wchłaniasz i naśladujesz postawy klas rządzących. Nie podoba mi się to, ale co można poradzić? Kiedy zabrali Endera, wreszcie mogliśmy żyć bez ciągłego nadzoru, nie uważając na każde słowo, jakie wypowiadamy do dzieci. I wtedy uświadomiliśmy sobie, że Peter został już całkowicie zindoktrynowany przez te ich wymysły. Nigdy by nie przystał na nasz wcześniejszy plan. Doniosłby na nas. Stracilibyśmy go. Czy można odepchnąć pierworodnego syna, aby urodzić czwarte, piąte czy szóste dziecko? Czasami miałam wrażenie, że Peter w ogóle nie ma sumienia. Jeżeli ktoś kiedyś potrzebował wiary w Boga, to właśnie Peter. A on nie wierzył.

- Chyba i tak by nie uwierzył - mruknął Groszek.

- Nie znasz go - zaprotestowała pani Wiggin. - Dla niego najważniejsza jest duma. Gdybyśmy sprawili, by poczuł się dumny, ponieważ jest potajemnym wyznawcą, stałby się bohaterem tej sprawy. A tak... nie jest.

- Czyli nigdy państwo nawet nie próbowali go nawrócić na swoją wiarę?

- Na którą? Zawsze sądziliśmy, że najważniejszym problemem w naszej rodzinie będzie, jakiej religii mamy nauczać dzieci, mojej czy męża. Zamiast tego musieliśmy uważać

na Petera i szukać sposobów, by pomóc mu odnaleźć... przyzwoitość. Nie, coś o wiele ważniejszego. Prawość. Honor. Monitorowaliśmy go tak, jak Szkoła Bojowa monitorowała całą trójkę. Wielkiej cierpliwości wymagało powstrzymanie się od reakcji, kiedy zmusił Valentine, by stała się Demostenesem. To było wbrew jej naturze. Ale szybko się przekonał, że ta rola Valentine nie zmieniła, że opór wobec Petera wzmocnił nawet jej szlachetne serce.

- Nie próbowała pani jakoś mu przeszkodzić? Roześmiała się szorstko.

- A podobno jesteś taki inteligentny... Czy tobie ktoś mógłby przeszkodzić? Peter nie dostał się do Szkoły Bojowej, bo był zbyt ambitny, zbyt buntowniczy, niechętny do wypełniania zadań i słuchania rozkazów. A my mieliśmy na niego wpływać, zakazując mu albo blokując jego działania?

- Rozumiem, to niemożliwe - zgodził się Groszek. - Czyli nic państwo nie zrobili?

- Uczyliśmy go, jak potrafiliśmy najlepiej - odparła pani Wiggin. - Komentarze przy posiłkach... Widzieliśmy, jak się od nas odsuwa, jak lekceważy nasze opinie. Nie pomagało też, że tak bardzo staraliśmy się ukryć naszą wiedzę o wszystkim, co napisał jako Locke. Nasze rozmowy stawały się więc... abstrakcyjne. Pewnie nudne. No i brakowało nam świadectwa intelektualizmu. Dlaczego właściwie miałby nas szanować? Ale słyszał nasze opinie: czym jest szlachetność, dobro, honor. I choć nie wiem, czy nam wierzył na pewnym poziomie umysłu, czy znalazł to wszystko w sobie, jednak widzieliśmy, że dojrzewał. Teraz pytasz mnie, czy można mu zaufać, a ja nie potrafię odpowiedzieć, bo... Zaufać w czym? Że będzie się zachowywał tak, jak oczekujesz? Nigdy. Że będzie działał według jakiegoś przewidywalnego wzorca? Śmiechu warte. Ale dostrzegliśmy u niego przejawy honoru. Widzieliśmy, że robi rzeczy trudne, i to chyba nie na pokaz, lecz dlatego że naprawdę w nie wierzy. Oczywiście, mógł to robić tylko po to, by Locke wydał się szlachetny i godny podziwu. Skąd mamy wiedzieć, jeśli nie możemy go spytać?

- Czyli nie możecie z nim rozmawiać o tym, co jest dla was ważne, bo wiecie, że was lekceważy. A on nie może rozmawiać o tym, co ważne dla niego, bo nigdy nie okazaliście, że potraficie zrozumieć.

Łzy stanęły jej w oczach.

- Czasami bardzo tęsknię za Valentine. Była tak nieprawdopodobnie uczciwa i dobra.

- Powiedziała, że jest Demostenesem?

- Nie. Miała dość rozumu, by wiedzieć, że jeśli nie dotrzyma tajemnicy Petera, doprowadzi do rozbicia rodziny już na zawsze. Nie... Ukrywała to przed nami. Ale zadbała, żebyśmy się dowiedzieli, jakim człowiekiem jest Peter. I o wszystkim innym w swoim życiu, o

wszystkim, co Peter pozostawił jej decyzji. O tym nam mówiła i słuchała nas także. Przejmowała się tym, co myślimy.

- Czyli powiedzieli jej państwo o swojej wierze?

- Nie rozmawialiśmy o wierze. Ale pokazaliśmy jej skutki tej wiary. Staraliśmy się jak najlepiej.

- Jestem pewien.

- Nie jestem głupia - oświadczyła pani Wiggin. - Wiem, że nami gardzisz, tak samo jak wiem, że gardzi nami Peter.

- Ja nie - zapewnił Groszek.

- Słyszałam już dość kłamstw, żeby rozpoznać je u ciebie.

- Nie gardzę wami, bo... W ogóle wami nie gardzę. Ale musi pani rozumieć, że tak naprawdę wszyscy nawzajem się przed sobą ukrywacie, Peter wychowuje się w rodzinie, gdzie nikt nie mówi nikomu niczego istotnego... Nie budzi to we mnie optymizmu co do naszej ewentualnej współpracy. Mam właśnie złożyć w jego ręce własne życie. A teraz dowiaduję się, że w całym swoim życiu nigdy nie miał z nikim uczciwych związków.

Jej oczy stały się dalekie i zimne.

- Widzę, że dostarczyłam ci potrzebnych informacji. Chyba powinienes już iść.

- Nie osądzam pani...

- Bzdura. Oczywiście, że osądzasz.

- Ale nie skazuję.

- Nie rozśmieszaj mnie. Skazujesz nas i wiesz co? Przyznaję ci rację. Ja także mam ochotę nas skazać. Postanowiliśmy czynić wolę Bożą, a w rezultacie zaszkodziliśmy jednemu dziecku, które nam pozostało. On postanowił zostawić swój ślad w historii świata. Ale jaki to będzie ślad?

- Trwały. Chyba że wcześniej zabije go Achilles.

- W pewnych sprawach postępowaliśmy słusznie - mówiła dalej pani Wiggin. - Daliśmy mu swobodę, by sprawdził swoje zdolności. Wiesz, mogliśmy zablokować jego publikacje. Uważa, że nas przechytrył. A myśmy udawali wyjątkowych durniów. Ilu rodziców pozwoliłoby swojemu nastoletniemu synowi mieszać się w światową politykę? Kiedy wystąpił przeciwko... przeciwko powrotowi Endera na Ziemię... Nie wiesz, jak trudno mi było się powstrzymać, żeby mu nie wydrapać tych bezczelnych oczu!

Po raz pierwszy Groszek zobaczył ślady gniewu i frustracji, które musiały ją dręczyć. Takie uczucia ma wobec Petera jego matka, pomyślał. Może sieroctwo nie jest jednak takie złe?

- Ale tego nie zrobiłam - dokończyła pani Wiggin.

- Czego?

- Nie powstrzymałam go. I okazało się, że miał rację. Bo gdyby Ender przebywał teraz na Ziemi, byłby albo martwy, albo porwany, albo by się ukrywał tak jak ty. Lecz nadal... Peter wypędził brata z Ziemi na zawsze. I nie mogę zapomnieć, jak strasznie mu groził, kiedy Ender był jeszcze mały i mieszkał z nami. Mówił jemu i Valentine, że kiedyś zabije Endera i upozoruje wypadek.

- Ender żyje.

- Niekiedy usiłujemy nadać jakiś sens temu, co spotkało naszą rodzinę. Mąż i ja zastanawiamy się nocami, czy Peter skazał Endera na wygnanie, bo go kochał i wiedział, co mu grozi, jeśli wróci na Ziemię... Czy może obawiał się, że jeśli Ender wróci, on go zabije, tak jak kiedyś groził. Wtedy wygnanie Endera można uznać za coś w rodzaju... sama nie wiem, jakiejś elementarnej wersji samokontroli. Owszem, bardzo egoistycznej, jednak zdradzającej jakiś niejasny szacunek dla przyzwoitości. To już byłby postęp.

- A może wszystko to nieprawda.

- A może Bóg kieruje naszymi losami i to Bóg cię tutaj sprowadził.

- Tak mówi siostra Carlotta.

- Może ma rację.

- Niespecjalnie mnie to obchodzi - wyznał Groszek. - Jeśli Bóg istnieje, uważam, że marnie wykonuje swoją robotę.

- Albo zwyczajnie nie rozumiesz, na czym ta robota polega.

- Proszę mi wierzyć, siostra Carlotta jest żeńskim odpowiednikiem jezuity. Nie bawmy się w wymianę sofizmatów. Jestem przeszkolony przez eksperta, a pani, sama pani stwierdziła, wyszła z wprawy.

- Julianie Delphiki - rzekła pani Wiggin. - Kiedy zobaczyłam cię przed domem, wiedziałam, że nie tylko mogę, ale muszę powiedzieć ci to, o czym dotąd rozmawiałam tylko z mężem. A powiedziałam nawet to, o czym jemu nigdy nie mówiłam. Powiedziałam o tym, czego Peter nawet nie podejrzewał, że wiem, myślę, widzę albo czuję. Jeśli o moich kwalifikacjach macierzyńskich masz niską opinię, pamiętaj, że dowiedziałeś się o wszystkim wyłącznie dlatego, że ja ci opowiedziałam. A opowiedziałam, ponieważ sądzę, iż pewnego dnia przyszłość Petera będzie zależeć od tego, czy wiesz, co on ma zamiar zrobić i jak można mu pomóc. Z tego powodu odsłoniłam przed tobą serce. Dla Petera. I dla Petera przyjmuję twoją wzgardę. Nie wiń mojej miłości do syna. Choćby wydawało mu się to nieważne, został wychowany przez rodziców, którzy go kochają i zrobili dla niego wszystko, co tylko mogli. W tym również okłamali go co do swej wiary i wiedzy. Dzięki temu może teraz iść przez świat jak

Aleksander, śmiało sięgając krańców Ziemi, z absolutną swobodą, jaka bierze się z posiadania rodziców zbyt głupich, by mogli go powstrzymać. Dopóki sam nie będziesz miał dziecka, dopóki dla niego nie skreślisz własnego życia w precel, w supeł, nawet nie próbuj osądzać mnie ani moich uczynków.

- Nie osądzam pani - oświadczył Groszek. - Naprawdę. Jak sama pani stwierdziła, usiłuję tylko zrozumieć Petera.

- A wiesz, co myślę? - dodała jeszcze pani Wiggin. - Myślę, że zadawałeś niewłaściwe pytania. „Czy mogę mu zaufać?” - powtórzyła wzgardliwie. - Czy komuś ufasz, czy nie, zależy przede wszystkim od tego, jakim ty sam jesteś człowiekiem, nie on. Powinieneś sobie postawić inne pytanie: Czy naprawdę chcę, żeby Peter Wiggin władał światem? Bo jeśli mu pomożesz, a on jakoś przeżyje, na tym się skończy. On nie spocznie, póki tego nie osiągnie. Spopieli twoją przyszłość i każdą inną, jeśli uzna, że w ten sposób dotrze do celu. Dlatego zapytaj sam siebie: Czy świat będzie lepszy z Peterem Wigginem jako Hegemonem? I to nie jakimś dobrotliwym, ceremonialnym figurantem, jak ta bezradna ropucha, która teraz zajmuje stanowisko. Mówię o Peterze Wigginie jako Hegemonie, który kształtuje świat w odpowiadającą mu formę.

- Zakłada pani, że interesuje mnie, czy świat będzie lepszy. A jeśli dbam tylko o własne przetrwanie albo karierę? Wtedy jedyne istotne pytanie brzmi: Czy zdołam wykorzystać Petera tak, by zrealizować własne plany?

Zaśmiała się i pokręciła głową.

- Naprawdę wierzysz w coś takiego? Rzeczywiście jesteś jeszcze dzieckiem.

- Przepraszam, ale nigdy nie udawałem, że jestem kimś innym.

- Udajesz kogoś na tyle ważnego, że może mówić o „sprzymierzeniu” z Peterem Wigginem. Jakbyś prowadził za sobą armię.

- Nie prowadzę armii. Ale daję zwycięstwo każdej, którą mi powierzy.

- Czy gdyby wrócił, Ender byłby podobny do ciebie? Arogancki? Obojętny?

- Wcale nie. Ale ja nigdy nikogo nie zabiłem.

- Oprócz robali - przypomniała pani Wiggin.

- Dlaczego się kłócimy?

- Powiedziała ci wszystko o swoim synu, o swojej rodzinie, a ty niczego nie dałeś w zamian. Oprócz... wyższości.

- Nie patrzę na panią z wyższością - sprzeciwił się Groszek. - Lubię panią.

- Och, dziękuję ci uprzejmie.

- Widzę w pani matkę Endera Wiggina. Rozumie pani Petera tak, jak Ender rozumiał swoich żołnierzy. Jak rozumiał swoich wrogów. I ma pani dość odwagi, by działać

natychmiast, gdy nadarzy się okazja. Staję na progu, a pani opowiada mi to wszystko. Nie, wcale panią nie pogardzam. Wie pani, co myślę? Że może nawet nie zdając sobie z tego sprawy, całkowicie wierzy pani w Petera. Chce pani, żeby mu się udało. Uważa pani, że powinien rządzić światem. A powiedziała mi pani to wszystko nie dlatego, że jestem takim miłym chłopczykiem, ale dlatego, że mówiąc mi o tym, usiłuje pani pomóc Peterowi zrobić kolejny krok do ostatecznego zwycięstwa.

Potrząsnęła głową.

- Nie każdy myśli jak żołnierz.

- Mało kto tak myśli. Żołnierze też tylko nieliczni.

- Coś ci powiem, Julianie. - Pani Wiggin westchnęła ciężko. - Nie miałeś rodziców, więc musi to zrobić ktoś inny. Wiesz, czego się najbardziej obawiam? Że Peter będzie realizował te swoje ambicje tak uparcie, że w ogóle nie będzie miał życia.

- Zdobywanie świata nie jest życiem? - zdziwił się Groszek.

- Aleksander Wielki - rzekła pani Wiggin. - On prześladowa mnie w koszmarach snach o Peterze. Wszystkie jego podboje, wszystkie wspaniałe zwycięstwa to wyczyny dorastającego chłopca. Zanim pomyślał o małżeństwie, o spłodzeniu dziecka, było już za późno. Zginął. Zresztą chyba nie byłby dobrym ojcem. Był zbyt potężny, zanim w ogóle pomyślał, żeby znaleźć miłość. Takiego losu boję się dla Petera.

- Miłość? Więc tylko o to chodzi?

- Nie, nie tylko. Mówię o cyklu życia. Mówię o znalezieniu jakiejś obcej istoty i decyzji, by ją poślubić, zostać z nią na zawsze, nieważne, czy za parę lat w ogóle będziecie się lubić, czy nie. A po co? Żebyście mogli razem mieć dzieci, pilnować, by dorosły, uczyć tego, co powinny wiedzieć o świecie, i żeby pewnego dnia one też miały dzieci i podtrzymały ten cykl. I nigdy nie odetchniesz spokojnie, dopóki nie doczekasz się wnuków, i to sporej gromadki, bo tylko wtedy wiesz, że twój ślad nie wygaśnie, że twój znak w historii przetrwa. Egoizm, prawda? Ale to nie egoizm, to właśnie sens życia. Wszystko inne: zwycięstwa, osiągnięcia, zaszczyty, wielkie sprawy dają tylko przelotne błyski rozkoszy. Ale związać się z inną osobą i dziećmi, które się wam urodzą, to właśnie życie. Nie osiągniesz tego, jeśli koncentrujesz się na własnych ambicjach. Nigdy nie będziesz szczęśliwy. Zawsze będzie ci czegoś brakowało, choćbyś nawet władał całym światem.

- Mnie to pani mówi? Czy Peterowi? - upewnił się Groszek.

- Mówię tobie, czego naprawdę pragnę dla Petera - wyjaśniła pani Wiggin. - Ale jeśli jesteś choćby w dziesiątej części tak sprytny, za jakiego się uważasz, weźmiesz tę radę do siebie. Albo nigdy w życiu nie zaznasz prawdziwej radości.

- Przepraszam, ale chyba czegoś nie rozumiem. O ile mogę to stwierdzić, małżeństwo i dzieci były u pani jedynie powodem zmartwienia. Straciła pani Endera, straciła Valentine, a przez całe życie albo jest pani wściekła na Petera, albo się nad nim trzęsie.

- Zgadza się. Widzę, że zaczynasz pojmować.

- Gdzie jest ta radość? Tego jakoś nie widzę.

- Zmartwienie jest radością - wyjaśniła pani Wiggin. - Mam kogoś, o kogo mogę się martwić. A kogo ty masz?

Tak był pogrążony w tej rozmowie, że nie zdążył postawić bariery, zablokować sensu tego, co powiedziała. Słowa poruszyły czymś w głębi, przywołały wspomnienia wszystkich ludzi, których kochał, mimo że nie chciał pokochać nikogo. Buch. Nikolai. Siostra Carlotta. Ender. Rodzice, kiedy już ich odnalazł.

- Mam kogoś, o kogo mogę się martwić - oświadczył.

- Tak ci się wydaje. Każdy tak uważa, dopóki nie odda serca dziecku. Dopiero wtedy człowiek rozumie, co to znaczy być zakładnikiem miłości. Mieć kogoś, czyje życie jest cenniejsze od własnego.

- Może wiem więcej, niż się pani wydaje.

- Może nie wiesz niczego.

Patrzeli na siebie nawzajem ponad stołem; między nimi jak wybuch zapadła cisza. Groszek nie był pewien, czy się kłócili. Mimo gorącej wymiany zdań cały czas miał wrażenie, że właśnie otrzymał od pani Wiggin silną dawkę tej wiary, którą dzieliła z mężem.

A może przekazała mu obiektywną prawdę, której zwyczajnie nie mógł pojąć, ponieważ nie był żonaty.

I nigdy nie będzie. Jeśli w ogóle istniał ktoś, kto z absolutną pewnością byłby fatalnym ojcem, to właśnie Groszek. Nigdy wprawdzie nie ujął tego w słowa, ale wiedział, że się nie ożeni i nie będzie miał dzieci.

Ale słowa kobiety wywarły pewien skutek: po raz pierwszy w życiu niemal żałował, że tak jest.

W ciszy usłyszał, jak otwierają się drzwi wejściowe, usłyszał głosy Petera i siostry Carlotty. Natychmiast on i pani Wiggin poderwali się na nogi, czując się i wyglądając jak przyłapani na sekretnej schadzce. Zresztą tak właściwie było.

- Mamo, spotkałem wędrowca - rzekł Peter, wchodząc do pokoju.

Dla Groszka te pierwsze słowa kłamstwa były jak uderzenie w twarz - bo osoba, do której kłamstwo było skierowane, wiedziała, że to fałsz, ale sama by kłamała, udając, że w nie wierzy.

Tym razem jednak kłamstwo miało krótki żywot.

- Siostra Carlotta - powiedziała pani Wiggin. - Wiele o pani słyszałam od młodego Juliana. Twierdzi, że jest pani jedyną na świecie zakonnicą jezuitą.

Peter i siostra Carlotta spojrzeli zdumieni na Groszka. Co tu robił? Niemal parsknął śmiechem, widząc ich konsternację - po części dlatego, że sam nie umiałby na to pytanie odpowiedzieć.

- Przybył tutaj jak pielgrzym do kaplicy - wyjaśniła pani Wiggin. - I odważnie wyjawiał mi, kim jest. Peter, musisz bardzo uważać; nikomu nie wolno zdradzić, że to jeden z towarzyszy Endera, Julian Delphiki. Nie zginął jednak w tym zamachu. Czy to nie cudowne? Musimy powitać go serdecznie, przez pamięć Endera. Ale wciąż grozi mu niebezpieczeństwo, więc trzeba zachować wszystko w tajemnicy.

- Oczywiście, mam - rzucił odruchowo Peter.

Patrzył na Groszka, lecz jego oczy nie zdradzały żadnych uczuć, jak zimne oczy nosorożca - obojętne, choć za nimi kryła się śmiertelna groźba.

Za to siostra Carlotta była wyraźnie wzburzona.

- Po tylu środkach ostrożności - zawołała - tak po prostu wszystko wygadujesz? Przecież ten dom na pewno jest obserwowany.

- Odbiliśmy szczerą rozmowę - wyjaśnił Groszek. - A to niemożliwe, kiedy zaczyna się od kłamstwa.

- Przypominam ci, że ryzykujesz także moje życie. Pani Wiggin położyła jej dłoń na ramieniu.

- Zatrzymajcie się u nas, dobrze? Mamy tu dość miejsca dla gości.

- Nie możemy - odparł Groszek. - Carlotta ma rację. Przychodząc tutaj, naraziliśmy się na niebezpieczeństwo. Chyba odlecimy z Greensboro zaraz rano.

Zerknął na siostrę Carlottę. Wiedział, że rozumie: chciał przez to powiedzieć, że powinni wyjechać jeszcze tej nocy, pociągiem. Albo autobusem pojutrze. Albo pod fałszywym nazwiskiem wynająć mieszkanie i zostać tutaj przez tydzień. Kłamstwa zaczęły się znowu - dla bezpieczeństwa.

- Zostańcie przynajmniej na kolację - zapraszała pani Wiggin. - Poznacie mojego męża. Na pewno zdziwi się tak jak ja, kiedy spotka chłopca zabitego z takim hukiem.

Groszek zauważył, jak zaszklily się oczy Petera. Wiedział czemu - dla niego kolacja z rodzicami będzie morderczym przeżyciem, w czasie którego nie można rozmawiać o niczym ważnym. Czy wasze życie nie byłoby prostsze, gdybyście zwyczajnie wyznali sobie prawdę? Ale pani Wiggin twierdziła, że Peter musi się czuć samodzielny. Gdyby wiedział, że rodzice

poznali jego sekret, pewnie uznalby się za niedorosłego. Chociaż jeśli naprawdę był człowiekiem, który może rządzić światem, powinien chyba pogodzić się z faktem, że rodzice znają jego tajemnicę.

Nie moja decyzja. Dałem słowo.

- Bardzo chętnie - zapewnił. - Ale istnieje ryzyko, że dom wyleci w powietrze, ponieważ w nim przebywamy.

- Więc zjemy na mieście - zaproponowała pani Wiggin. - Widzicie, jak łatwo można znaleźć radę? Jeśli już coś ma wylecieć w powietrze, to lepiej restauracja. Oni są ubezpieczeni od takich wypadków.

Groszek roześmiał się. Peter nie. Ponieważ, uświadomił sobie Groszek, nie orientuje się, ile wie matka. Zatem przyjął jej uwagę jako idiotyzm, nie ironię.

- Byle nie włoska kuchnia - zastrzegła siostra Carlotta.

- Ależ skąd. W Greensboro nigdy nie było przyzwoitej włoskiej restauracji.

Potem przeszli na bezpieczne, nieważne tematy. Groszek z pewną satysfakcją obserwował, jak Peter wije się wobec tak oczywistej straty czasu. Wiem o twojej matce więcej niż ty, pomyślał. Mam dla niej więcej szacunku.

Ale ona ciebie kocha.

Z irytacją zauważył zazdrość we własnym sercu. Wiedział, że nikt nie jest wolny od prymitywnych emocji. On jednak musiał się nauczyć rozróżniać wnioski z obserwacji od tego, co podpowiada zazdrość. Peter musi się nauczyć tego samego. Zaufanie, które Groszek bez wahania ofiarował pani Wiggin, między nim a Peterem będzie budowane krok po kroku. Dlaczego?

Ponieważ on i Peter są tak podobni. Ponieważ on i Peter są naturalnymi rywalami. Ponieważ on i Peter łatwo mogą się stać śmiertelnymi wrogami.

Czy w jego oczach jestem drugim Enderem, a on w moich drugim Achillesem? Gdyby na świecie nie było Achillesa, czy uznałbym Petera za zło, które muszę zniszczyć?

A jeśli wspólnie pokonamy Achillesa, czy będziemy musieli zwrócić się przeciwko sobie i walczyć, niwecząc nasze tryumfy, niszcząc wszystko, co zbudujemy?

10. Towarzysze broni

To: RusFriend%BabaYaga@MosPub.net

From: VladDragon@slavnet.com

Subject: Wierność

Jedno chcę powiedzieć wyraźnie: nigdy nie „przylączyłem” się do Achillesa. Z mojego punktu widzenia, Achilles przemawiał w imieniu Matki Rosji. Matce Rosji zgodziłem się służyć i tej decyzji nie żałowałem - ani wtedy, ani nie żałuję teraz. Uważam, że sztuczne podziały między narodami Wielkiej Słowiańszczyzny służą jedynie temu, by nie pozwolić nam zrealizować swego potencjału w polityce świata. W chaosie, jaki wyniknął z odkrycia prawdziwego charakteru Achillesa, z radością przyjmę każdą możliwość służby. To, czego nauczyłem się w Szkole Bojowej, może być istotne dla przyszłości naszego narodu. Jeśli wcześniejsze związki z Achillesem uniemożliwiają wykorzystanie moich umiejętności, niech tak będzie. Ale szkoda by było, gdybyśmy wszyscy mieli ucierpieć wskutek tego ostatniego aktu sabotażu ze strony psychopaty. Właśnie teraz jestem najbardziej potrzebny. Matka Rosja nie znajdzie bardziej ode mnie lojalnego syna.

Dla Petera kolacja w Leblonie z rodzicami, Groszkiem i Carlottą oznaczała długie okresy morderczej nudy przerywane krótkimi chwilami paniki. Nic, co mówiono przy stole, nie miało najmniejszego znaczenia. Ponieważ Groszek udawał zwykłego turystę odwiedzającego kaplicę Endera, wszyscy mówili tylko o Enderze, Enderze, Enderze. Nie dało się jednak uniknąć poruszania bardzo delikatnych tematów - spraw, które mogłyby zdradzić, co Peter naprawdę robi i jaką rolę może w efekcie odegrać Groszek.

Najgorsze, kiedy siostra Carlotta - która, choć zakonnica, gdy tylko przyszła jej ochota, potrafiła się zachowywać jak złośliwa jędrza - zaczęła wypytywać Petera o jego studia. A przecież doskonale wiedziała, że to tylko przykrywka dla ważniejszych zajęć.

- Dziwię się, że tracisz czas na normalne zajęcia, kiedy wyraźnie posiadasz zdolności, które powinieneś wykorzystać na większą skalę - powiedziała.

- Potrzebuję dyplomu, jak każdy - wyjaśnił Peter, wijąc się ze złości.

- Dlaczego nie studiujesz czegoś, co by cię przygotowało do odegrania poważniejszej roli w sprawach światowych? Zabawne, ale to Groszek przyszedł mu z pomocą.

- Daj spokój, babciu - wtrącił. - Ktoś tak utalentowany jak Peter Wiggin jest

przygotowany do wszelkiej działalności, jaką sobie wybierze i kiedy tylko sobie wybierze. Studia to dla niego i tak tylko formalność. Studiuję, by pokazać innym, że jeśli trzeba, potrafi się dostosować do reguł. Prawda, Peter?

- Blisko - przyznał Peter. - Studia interesują mnie nawet mniej niż was, a was wcale nie powinny interesować.

- Jeśli tak ich nie znosisz, po co płacimy chesne? - spytał ojciec.

- Nie płacimy - przypomniała mu matka. - Peter ma przyzwoite stypendium. To oni mu płacą, żeby chodził na zajęcia.

- Ale nie jest to opłacalna inwestycja, prawda?

- Dostają to, na czym im zależy - stwierdził Groszek. - Cokolwiek Peter osiągnie przez resztę życia, będzie wiadomo, że studiował na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Greensboro. Stanie się dla nich żywą reklamą. Moim zdaniem to bardzo sensowna inwestycja.

Dzieciak opanował język zrozumiały dla ojca... Peter musiał Groszkowi przyznać, że kiedy mówi, pamięta, kim są słuchacze.

Mimo to irytowało go, że tak szybko odkrył, jaką parą idiotów są rodzice i jak łatwo można nimi kierować. Całkiem jakby ratując go z konwersacyjnych raf, chciał dać do zrozumienia, że Peter jest jeszcze dzieckiem i mieszka w domu, gdy on, Groszek, zmaga się z życiem. A to denerwowało Petera jeszcze bardziej.

Dopiero wieczorem, kiedy wyszli już z brazylijskiej restauracji i ruszyli na przystanek Market/Holden, Groszek rzucił swoją bombę.

- Wiecie, że skoro tak się odsłoniliśmy, musimy natychmiast zacząć się znowu ukrywać.

Rodzice Petera pokiwali głowami ze współczuciem.

- Zastanawiam się - mówił dalej Groszek - czy Peter nie mógłby pojechać z nami. Na jakiś czas opuścić Greensboro. Co ty na to, Peter? Masz paszport?

- Nie, nie ma - odparła matka w tej samej chwili, gdy Peter potwierdził:

- Pewnie, że mam.

- Masz? - zdziwiła się.

- Na wszelki wypadek - wyjaśnił Peter. Nie dodał, że ma sześć paszportów z czterech krajów, a poza tym dziesięć rachunków bankowych na różne nazwiska, gdzie trzyma dochody z felietonów.

- Przecież to środek semestru - przypomniał ojciec.

- Mogę wyjechać, kiedy tylko zechcę - zapewnił Peter. - To brzmi ciekawie. Dokąd pojedziecie?

- Nie wiemy - odparł Groszek. - Decydujemy dopiero w ostatniej chwili. Ale możemy wysłać e-mail i powiedzieć, gdzie jesteśmy.

- Campusowe adresy nie są bezpieczne - przypomniał ojciec.

- Żaden e-mail nie jest naprawdę bezpieczny, prawda? - dodała matka.

- Wiadomość będzie zaszyfrowana, oczywiście - uspokoił ich Groszek.

- To chyba nie jest rozsądne posunięcie - stwierdził ojciec. - Peter może uważać, że studia to tylko formalność, ale trzeba zdobyć ten dyplom, żeby jakoś zacząć. Powinienesz znaleźć sobie jakiś dalekosiężny cel i się go trzymać, synu. Jeśli w dokumentach zapiszą, że kończyłeś studia skokami, nie będzie to dobrze wyglądało w najlepszych firmach.

- Jak myślisz, jaką karierę planuję? - spytał zirytowany Peter. - Nudnego faga w jakiejś korporacji?

- Nie lubię, kiedy używasz tego ersatzu slangu Szkoły Bojowej - oświadczył ojciec. - Nie byłeś tam i zachowujesz się jak nastoletni fan.

- Przesadza pan - wtrącił Groszek, zanim Peter zdążył, wybuchnąć. - Ja tam byłem i moim zdaniem to część języka. Przecież nawet „fan” był kiedyś wyrażeniem slangowym, prawda? Słowa wrastają w język, kiedy ludzie ich używają.

- Ale brzmi to, jakby mówił dzieciak - mruknął ojciec, lecz to był tylko końcowy strzał, żalosna próba zachowania ostatniego słowa.

Peter milczał. Nie był wdzięczny Groszkowi, że stanął po jego stronie. Wręcz przeciwnie, dzieciak go wkurzał. Całkiem jakby mu się wydawało, że może wkroczyć w życie Petera i udawać zbawcę, interweniując w sporach z rodzicami. To pomniejszało Petera we własnych oczach. Nikt z tych, z którymi korespondował, którzy czytali teksty Locke'a i Demostenesa, nie traktował go z wyższością - bo nie wiedzieli, że jest dzieckiem. Ale zachowanie Groszka było ostrzeżeniem przed tym, co może nadejść. Jeśli Peter wystąpi pod prawdziwym nazwiskiem, natychmiast będzie musiał radzić sobie z taką wyższością. Ludzie, którzy kiedyś drżeli na samą myśl, że padnie na nich spojrzenie Demostenesa, którzy usilnie chcieli zdobyć imprimatur Locke'a, teraz będą lekceważyć wszystko, co pisał Peter. Będą powtarzać: Oczywiście, dziecko może tak sądzić... Albo bardziej uprzejmie, ale nie mniej zabójczo: Kiedy zdobędzie więcej doświadczenia, zrozumie... Dorośli zawsze tak mówią. Jakby doświadczenie rzeczywiście miało jakiś związek z mądrością, jakby większości idiotyzmów na świecie nie popełniali dorośli.

Poza tym Peter nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Groszek nieźle się bawi, że podoba mu się podkreślanie swojej przewagi. Po co ten szcurek w ogóle przyszedł do jego domu? O, przepraszam: do domu Endera. Ale wiedział, że to również dom Petera. Zastać go

rozmawiającego z matką, to jak przyłapać włamywacza na gorącym uczynku. Groszek nie podobał mu się od samego początku - zwłaszcza od chwili, kiedy odszedł obrażony, bo Peter nie odpowiedział natychmiast na jego pytanie. Owszem, Peter trochę się z nim drażnił i był w tym element poczucia wyższości - pobawić się z maluchem, zanim się mu powie, co chce wiedzieć. Ale reakcja Groszka była przesadna. A jeszcze smężna kolacja...

Mimo to...

Groszek był rzeczywisty. Najlepszy produkt Szkoły Bojowej. Peter mógłby go wykorzystać. Mógłby nawet go potrzebować, właśnie dlatego że nie może wystąpić publicznie we własnej osobie. Groszek budził szacunek mimo swojego wieku, ponieważ walczył w wojnie. Mógł realnie działać, zamiast pociągać za sznurki za kulisami albo wpływać na decyzje rządowe przez manipulowanie opinią publiczną. Jeśli Peter by zawarł z nim jakiś pakt, umowę, mógłby zrekompensować sobie własną niemożność działania. Gdyby tylko Groszek nie był tak nieznosnie zarozumiały...

Peter uznał, że nie może pozwolić, by osobiste uczucia przeszkodziły mu w realizacji planów.

- Wiecie co? - odezwał się. - Mama i tato mają coś do zrobienia na jutro, ale moje zajęcia zaczynają się w południe. Może pójde z naszymi gośćmi tam, gdzie nocują, i porozmawiam o ewentualnej wyprawie w ich towarzystwie?

- Nie chcę, żebyś tak sobie wyjechał i żeby mama się o ciebie martwiła - rzekł ojciec. - Jest chyba jasne dla wszystkich, że młody pan Delphiki ściąga kłopoty jak magnes. Mama straciła już dwójkę dzieci i nie powinna się zadręczać, że ciebie spotka coś jeszcze gorszego.

Peter zjeżył się - ojciec zawsze mówił tak, jakby tylko mama się martwiła, tylko mama przejmowała, co się z nim dzieje. A jeśli to nawet prawda - z ojcem nigdy nic nie wiadomo - to jeszcze gorzej. Albo ojciec nie dbał, co się stanie z Peterem, albo był takim mięczakiem, że nie potrafił się do tego przyznać.

- Nie wyjadę z miasta, nie meldując się wcześniej u mamy - obiecał.

- Niepotrzebna ironia - burknął ojciec.

- Kochanie - upomniała go matka - Peter nie ma już pięciu lat, żeby mu zwracać uwagę w towarzystwie.

Co oczywiście sprawiło, że Peter poczuł się jak sześciolatek. Dzięki za wsparcie, mamo.

- Czy rodzina nie jest skomplikowana? - rzuciła siostra Carlotta.

Dzięki, świątobliwa suko, pomyślał Peter. To ty i Groszek skomplikowaliście sytuację, a teraz wygłaszasz te uszczypliwe uwagi, jak to niby lepiej jest ludziom samotnym. A rodzice

to moja przykrywka. Nie wybierałem ich, ale muszę z nich korzystać. Twoje kpiny ze mnie dowodzą tylko ignorancji. I prawdopodobnie zazdrości, bo wiesz, że nigdy w życiu nie będziesz miała własnych dzieci i nigdy nie pójdziesz z facetem do łóżka, pani Jezus.

- Biedny Peter dostał to, co najgorsze - powiedziała matka. - Jest najstarszy, więc zawsze najwięcej się od niego oczekuje, ale też jedyny nam został, więc troszczymy się o niego bardziej, niż potrafi wytrzymać. To okropne, że rodzice są tylko ludźmi i stale popełniają błędy. Myślę, że czasami Peter by wołał, żeby wychowywały go roboty.

Peter miał ochotę zapaść się pod chodnik i resztę życia spędzić jako niewidoczna betonowa kostka. Dyskutuję ze szpiegami i wyższymi oficerami, z przywódcami politycznymi i ludźmi u władzy - a moja matka wciąż potrafi mnie poniżyć, gdy tylko zechce!

- Rób, co chcesz - rzekł ojciec. - Nie jesteś już dzieckiem. Nie możemy cię powstrzymać.

- Nie mogliśmy go powstrzymać, nawet kiedy był jeszcze dzieckiem - przypomniała mama. Słusznie, przyznał Peter.

- Przekleństwo posiadania dzieci mądrzejszych od siebie - oświadczył ojciec - polega na tym, że ich zdaniem bardziej zaawansowane procesy myślowe rekompensują brak doświadczenia.

Gdybym był takim gówniarzem jak Groszek, to hasło przepełniłoby czarę. Pewnie bym sobie poszedł i nie wracał do domu przez tydzień. Może nigdy. Ale nie jestem dzieckiem i potrafię zapanować nad osobistą urazą, by zrobić to, co konieczne. Dla takiego głupstwa nie zrezygnuję ze swojego kamuflażu.

Równocześnie nie można przecież mieć do mnie pretensji, że się zastanawiam, czy ojciec przypadkiem nie mógłby dostać wylewu i na zawsze stracić zdolność mówienia.

Dotarli na przystanek. Po zwykłych pożegnaniach rodzice wsiedli do autobusu na północ, a Peter z Groszkiem i Carlottą do jadącego na wschód.

Tak jak Peter oczekiwał, wysiedli na pierwszym przystanku i przeszli przez ulicę, by złapać autobus do zachodniej części miasta. Ze swojej paranoi zrobili religię.

Nawet kiedy dotarli wreszcie do hotelu obok lotniska, nie weszli do budynku. Zamiast tego ruszyli przez pasaż handlowy, który kiedyś - gdy ludzie jeszcze przyjeżdżali na lotnisko samochodami - był publicznym parkingiem.

- Nawet jeśli mają tu podsłuch - wyjaśnił Groszek - wątpię, czy wystarcza im ludzi, żeby słuchać wszystkiego, o czym tutaj rozmawiają.

- Jeśli założyli ci podsłuch w pokoju - zauważył Peter - to znaczy, że już cię znaleźli.

- Hotele rutynowo zakładają podsłuch w pokojach - odparł Groszek. - Żeby łapać

przestępców i wandali na gorącym uczynku. To skan komputerowy, ale nic nie przeszkadza słuchać pracownikom.

- Jesteśmy w Ameryce.

- Za dużo czasu poświęcasz sprawom globalnym. Gdybyś kiedyś musiał zejść do podziemia, nie miałbyś pojęcia, jak przetrwać.

- To ty mnie zaprosiłeś do wspólnej podróży. Co to za bzdura? Nigdzie nie jadę. Mam za dużo pracy.

- A tak - mruknął Groszek. - Zza zasłony pociągać za sznurki światowej polityki. Problem polega na tym, że świat przechodzi od polityki do wojny. Te sznurki zostaną odcięte.

- To nadal polityka.

- Ale decyzje będą podejmowane na polach bitew, nie w salach konferencyjnych.

- Wiem - zgodził się Peter. - Dlatego powinniśmy pracować wspólnie.

- Nie widzę powodu. Jedyną rzecz, o jaką cię poprosiłem, czyli informację, gdzie przebywa Petra, próbowałeś mi sprzedać, zamiast zwyczajnie przekazać. Nie wygląda to, jakbyś szukał sprzymierzeńca. Raczej klienta.

- Chłopcy - wtrąciła siostra Carlotta - klótnią niczego nie osiągniecie.

- Jeśli mamy coś osiągnąć - odparł Peter - to tylko tak, jak się teraz z Groszkiem dogadamy. Między sobą.

Siostra Carlotta zatrzymała się nagle, chwyciła Patera za ramię i przyciągnęła do siebie.

- Lepiej wbij sobie coś do głowy, arogancki smarkaczu. Nie jesteś jedyną inteligentną osobą na świecie, a tym bardziej nie jedyną, która wierzy, że pociąga za sznurki. Dopóki nie znajdziesz dość odwagi, żeby wyjść z za zasłony tych swoich ersatzów tożsamości, niewiele możesz zaoferować tym z nas, którzy działają w prawdziwym świecie.

- Nigdy więcej mnie tak nie traktuj - powiedział groźnie Peter.

- Och, gwiazda się wystraszyła? Tak naprawdę to żyjesz na Planecie Petera, co? Wredna baba!

- Posłuchaj - wtrącił się Groszek, zanim Peter zdążył odpowiedzieć - daliśmy ci przecież wszystko, co wiedzieliśmy o jeeshu Endera. Bez żadnych warunków.

- A ja to wykorzystałem. I uwolniłem większość z nich.

- Ale nie tę, która przysłała wiadomość. Chcę Petry.

- A ja chcę pokoju na świecie. Myślisz w małej skali.

- Może za małej dla ciebie. Ale ty myślisz w skali za małej dla mnie. Prowadzisz te swoje gry komputerowe, zonglujesz historyjkami... Petra to przyjaciel. Zaufała mi i poprosiła o pomoc. Jest uwięziona przez psychopatycznego mordercę, a wszystkich oprócz mnie szczerze

gównie obchodzi, co się z nią stanie.

- Ma przecież rodzinę - mruknęła siostra Carlotta. Peter ucieszył się słysząc, że zwraca uwagę także Groszkowi. Wredna baba uniwersalnego stosowania...

- Chcesz ratować świat - mówił dalej Groszek. - Ale zamierzasz to załatwić po kolei, jedna bitwa po drugiej, jeden kraj po drugim. Potrzebujesz takich jak ja, którzy ubrudzą sobie ręce.

- Oszczędź mi swoich iluzji na własny temat - zadrwił Peter. - Jesteś małym chłopcem, który się ukrywa.

- Jestem generałem, który chwilowo nie ma armii. Inaczej byś ze mną nie rozmawiał.

- I chcesz dostać armię, żeby ratować Petrę?

- Więc ona żyje?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Nie mam pojęcia skąd. Ale wiesz więcej, niż mi mówisz. I jeżeli nie przekażesz mi wszystkiego, ty zarozumiały oomay, to kończę z tobą. Zostawię cię, żebyś bawił się tymi swoimi gierkami w sieci. Poszukam kogoś, kto nie boi się opuścić domu mamusi i podjąć ryzyka.

Wściekłość niemal przesłoniła Peterowi wzrok.

Na chwilę.

Natychmiast jednak uspokoił się, zmusił, by spojrzeć na sytuację z boku. Co Groszek mu pokazał? Że bardziej dba o osobistą lojalność niż o długoterminową strategię. A to dawało Peterowi punkt zaczepienia: wiedział, na czym Groszkowi zależy bardziej niż na własnej karierze.

- O Petrze wiem tyle - powiedział - że kiedy zniknął Achilles, ona zniknęła także. Moje źródła w Rosji informują, że jedyny zespół ratunkowy, którego akcja zakończyła się porażką, to właśnie ten, który miał ją uwolnić. Kierowca, ochroniarz i dowódca grupy zostali zastrzeleni. Nie ma dowodów, że Petra jest ranna, choć była obecna podczas przynajmniej jednego z zabójstw.

- Skąd to wiedzą? - spytał Groszek.

- Sylwetka mniej więcej jej rozmiarów zasłoniła ścianę furgonetki przed odpryskami po strzale w głowę. Zachlapała ją krew jednego z mężczyzn. Ale nie ma śladów krwi Petry.

- To na pewno nie wszystko.

- Mały prywatny odrzutowiec, należący kiedyś do jednego z władców podziemia, ale skonfiskowany przez agencję, która finansowała Achillesa, wystartował z pobliskiego lotniska i dotarł do Indii, z jednym międzylądowaniem i tankowaniem paliwa. Ktoś z obsługi lotniska

powiedział, że wyglądało to jak podróż poślubna: tylko pilot i para młodych. Ale żadnego bagażu.

- Czyli zabrał ją ze sobą - podsumował Groszek.

- Do Indii - dokończyła siostra Carlotta.

- Wszystkie moje kontakty w Indiach nagle zamilkły - dokończył Peter.

- Martwi? - zapytał Groszek.

- Nie, tylko ostrożni. Państwo o największej liczbie ludności na świecie. Starożytne tradycje wrogości. Narodowa uraza, bo wszyscy traktują ich jak kraj drugiej kategorii.

- Polemarcha jest Hindusem...

- Są powody, by podejrzewać, że przekazywał dane MF do indyjskiego sztabu. Niczego nie można udowodnić, ale Chamrajnagar nie jest tak bezstronny, za jakiego chciałby uchodzić.

- Czyli uważasz, że Indie potrzebowały Achillesa, żeby im pomógł rozpocząć wojnę?

- Nie. Myślę, że Achilles potrzebuje Indii, żeby rozpocząć budowę imperium. A oni chcieli Petry, żeby rozpocząć wojnę.

- Czyli Petra jest przepustką, jakiej użył Achilles, żeby osiągnąć odpowiednią pozycję w Indiach?

- Tak sądzę. To wszystko, co wiem i czego się domyślam. Mogę ci też powiedzieć, że szansę, by się tam przedostać i ją wyciągnąć, są znikome.

- Wybacz - odparł Groszek - ale nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny.

- Jeśli chodzi o wywiad i zbieranie danych, Hindusi nie grają w tej samej lidze co Rosjanie. Nie sądzę, żeby twoja paranoja wciąż była konieczna. W tej chwili Achilles nie jest w stanie zbyt ci zaszkodzić.

- To, że Achilles jest w Indiach, nie znaczy, że jest ograniczony do tego, co dla niego odkryje indyjski wywiad.

- Agencja, która pomagała Achillesowi w Rosji, została przejęta i będzie prawdopodobnie zlikwidowana - poinformował Peter.

- Znam Achillesa - rzekł Groszek. - Mogę ci obiecać, że jeżeli naprawdę jest w Indiach i dla nich pracuje, to jest absolutnie pewne, że już ich zdradził, że ma kontakty i pozycje rezerwowe przynajmniej w trzech innych krajach. I przynajmniej jeden z nich dysponuje świetną służbą wywiadowczą o zasięgu ogólnosiwiatowym. Achilles zniszczy cię, jeśli popełnisz błąd i uwierzysz, że ograniczają go granice państwowe albo lojalność.

Peter spojrzał na Groszka uważnie. Chciał powiedzieć: Już o tym wiedziałem - ale to byłoby kłamstwo. Nie wiedział, chyba że w ogólnym sensie, ponieważ starał się nigdy nie lekceważyć przeciwnika. Groszek lepiej od niego znał Achillesa.

- Dziękuję - rzekł. - Nie brałem tego pod uwagę.

- Wiem - odparł niezbyt uprzejmie Groszek. - To jedna z przyczyn, dla których uważam, że zmierzasz prostą drogą do porażki. Sądziś, że wiesz więcej, niż naprawdę wiesz.

- Ale słucham. I uczę się. A ty? Siostra Carlotta zaśmiała się głośno.

- Moim zdaniem właśnie spotkali się dwaj najbardziej arogancy chłopcy na świecie. I wcale im się nie podoba to, co zobaczyli.

Peter nawet na nią nie spojrzał. Groszek także nie.

- Właściwie - stwierdził Peter - całkiem mi się podoba to, co zobaczyłem.

- Chciałbym móc powiedzieć to samo - odparł Groszek.

- Ruszmy się - zaproponował Peter. - Za długo stoimy w jednym miejscu.

- Przynajmniej zaraziłeś się naszą paranoją - ucieszyła się zakonnica.

- Jaką akcję podejmą Indie? - zastanowił się Peter. - Oczywistym posunięciem byłaby wojna z Pakistanem.

- Znowu? - Groszek skrzywił się. - Mogliby się udławić, próbując połknąć Pakistan. Próba zawładnięcia islamistami zablokowałaby możliwość dalszej ekspansji. Wybuchłaby wojna partyzancka i terror, przy którym dawna wojna z Sikhami przypominałaby imprezę urodzinową w przedszkolu.

- Ale nie mogą nigdzie się ruszyć, dopóki mają na karku Pakistan.

- Birma - podpowiedział Groszek. - Ale czy warto ją zajmować?

- Leży na drodze do cenniejszych zdobyczy, jeśli tylko Chiny się nie sprzeciwią - przyznał Peter. - A dlaczego ignorujesz problem Pakistanu?

- Mołotow i Ribbentrop...

Ludzie, którzy negocjowali pakt o nieagresji między Rosją i Niemcami w latach trzydziestych XX wieku; podzielili między siebie Polskę, co pozwoliło Niemcom rozpocząć drugą wojnę światową...

- Myślę, że to musi sięgać głębiej. Raczej, na pewnym poziomie, współpracy.

- A gdyby Indie obiecały Pakistanowi wolną rękę w konflikcie z Iranem? Pakistan mógłby próbować sięgnąć po ropę, a Indie ruszyłyby na wschód. Zgarnąć kraje pozostające od dawna pod ich wpływami kulturowymi. Birmę. Tajlandię. To nie są kraje islamskie, więc Pakistan miałby czyste sumienie.

- A Chiny będą siedzieć i patrzeć?

- Mogą, jeśli Indie rzucą im Wietnam - stwierdził Groszek. - Świat dojrzał do podziału między mocarstwa. Indie chcą stać się jednym z nich. Z Achillesem planującym strategię, Chamrajnagarem dostarczającym informacji i Petrą dowodzącą armią, mogą zagrać na wielkiej

scenie. A kiedy Pakistan wykrwawi się w wojnie z Iranem...

Nieunikniona zdrada. O ile Pakistan nie uderzy pierwszy.

- Trochę za bardzo do przodu staramy się przewidywać - stwierdził Peter.

- Ale tak właśnie myśli Achilles. Dwie zdrady do przodu. Wykorzystywał Rosję, ale może miał już gotowy układ z Indiami. Dlaczego nie? Na dłuższą metę cały świat jest tylko ogonem, a Indie psem.

Ważniejsze od konkretnych wniosków Groszka było to, że miał dobre oko. Brakowało mu ścisłych danych - skąd miał je wziąć? - ale dostrzegał szerszy obraz. Myślał jak ekspert od globalnej strategii.

Warto z nim rozmawiać.

- No dobra, Groszku - rzekł Peter. - Chyba jestem w stanie ustawić cię tak, żebyś pomógł zablokować Achillesa. Ale nie ufam ci, że nie zrobisz czegoś głupiego.

- Nie rozpocznę operacji uwolnienia Petry, dopóki nie będę pewien, że się uda.

- To bez sensu. Nigdy nie wiadomo, jak się skończy operacja wojskowa. I nie to mnie martwi. Jestem pewien, że jeśli podejmiesz akcję ratunkową, będzie starannie zaplanowana i dobrze przeprowadzona.

- Więc co cię martwi? - spytał Groszek.

- Zakładasz, że Petra chce być uratowana.

- Chce.

- Achilles to uwodziciel - przypomniał Peter. - Czytałem jego akta. Chłopak ma złoty głos. Wzbudza zaufanie nawet u tych, którzy wiedzą, że to żmija. Myślą: Mnie nie zdradzi, łączy nas coś wyjątkowego...

- A potem ich zabija. Wiem o tym.

- Ale czy wie Petra? Ona nie zna jego akt. Nie знаła go na ulicach Rotterdamu. Nie poznała go nawet w tym krótkim okresie, kiedy przebywał w Szkole Bojowej.

- Teraz już poznała - stwierdził krótko Groszek.

- Jesteś pewien?

- Mogę ci jednak obiecać: nie będę próbował jej ratować, dopóki nie nawiążę z nią kontaktu.

Peter zastanawiał się przez chwilę.

- Może cię zdradzić - zauważył.

- Nie.

- Zaufanie do ludzi w końcu cię zabije. Nie chcę, żebyś pociągnął mnie w dół za sobą.

- Rozumujesz całkiem na odwrót - wyjaśnił Groszek. - Nikomu nie ufam, wierzę tylko,

że zrobi to, co uważa za konieczne. Co sądzi, że musi zrobić. Ale znam Petrę i wiem, o czym pomyśli, że musi to zrobić. Ufam raczej sobie niż jej.

- A Groszek nie może cię pociągnąć w dół - wtrąciła siostra Carlotta - bo nie jesteś na górze.

Peter zerknął na nią, nie starając się nawet maskować pogardy.

- Jestem, gdzie jestem - stwierdził. - I nie powiedziałbym, że na dole.

- Locke jest tam, gdzie jest Locke - przypomniała Carlotta. - I Demostenes. Ale Peter Wiggin tkwi w pustce. Jest nikim.

- O co pani chodzi? - spytał zirytowany Peter. - Denerwuje się pani, że marionetka może odciąć parę nitek, za które pani pociąga?

- Nie ma żadnych nitek. A ty jesteś wyraźnie zbyt głupi, by zrozumieć, że to mnie zależy na tym, co robisz. Nie Groszkowi. Jego wcale nie obchodzi, kto rządzi światem. Mnie tak. Jesteś arogancki i zarozumiały, ale uznałam już, że jeśli ktokolwiek może powstrzymać Achillesa, to tylko ty. Ciebie natomiast fatalnie osłabia fakt, że dojrzałeś do szantażu groźbą ujawnienia. Chamrajnagar wie, kim jesteś. Przekazuje informacje Indiom. Naprawdę wierzysz, że Achilles nie odkryje, jeśli już nie odkrył, kto się ukrywa pod pseudonimem „Locke”? Kto doprowadził do wyrzucenia go z Rosji? Sądzisz, że nie opracowuje już planu, jak cię zabić?

Peter zarumienił się ze wstydu. To poniżające, że zakonnica tłumaczyła mu coś, na co sam powinien wpaść już dawno. Ale miała rację: nie nauczył się myśleć o fizycznym zagrożeniu.

- Dlatego chcieliśmy, żebyś z nami jechał - wyjaśnił Groszek. - Twój kamuflaż jest już bezwartościowy.

- Kiedy ujawnię, że jestem dzieckiem, większa część moich źródeł wyschnie.

- Nie - sprzeciwiła się Carlotta. - To zależy od tego, w jaki sposób się ujawnisz.

- Myślicie, że nie przemyślałem tego już z tysiąc razy? - spytał Peter. - Dopóki nie będę dorosły...

- Nie - powtórzyła Carlotta. - Zastanów się przez chwilę, Peter. Rządy kilku krajów właśnie mają za sobą paskudne starcie o dziesięcioro dzieci, którym chciały powierzyć dowodzenie swoimi armiami. Ty jesteś starszym bratem najlepszego z tych dzieci. Twoja młodość jest zaletą. A jeśli będziesz kontrolował informacje, które dotrą do publiczności, zamiast czekać, aż ktoś inny cię zdradzi...

- Nastąpi skandal - oświadczył Peter. - Nieważne, jak się ujawni moją tożsamość. Pojawią się komentarze, a potem będę już starą historią. Tyle że stracę wszystkie swoje felietony. Ludzie przestaną odbierać moje telefony i odpowiadać na listy. I wtedy naprawdę

stanę się studentem college'u.

- Brzmi to jak coś, co wymyśliłeś lata temu. I od tego czasu nie patrzyłeś na sprawę świeżym okiem.

- Ponieważ i tak mamy dzień tłumaczenia Peterowi, że jest głupi, może zdradzi mi pani wasz plan.

Siostra Carlotta uśmiechnęła się do Groszka.

- Nie miałam racji. On naprawdę umie słuchać innych.

- Mówilem - rzucił Groszek.

Peter podejrzewał, że ta wymiana zdań została zaplanowana wyłącznie po to, by uwierzył, że Groszek stoi po jego stronie.

- Powiedzcie, jaki macie plan i darujcie sobie fazę wstępną.

- Kadencja obecnego Hegemona kończy się za osiem miesięcy - zaczęła Carlotta. - Niech kilka wpływowych osób spróbuje wskazać Locke'a jako następcę.

- To niby ma być ten plan? Urząd Hegemona jest bez znaczenia.

- Błąd. I błąd. Urząd nie jest bez znaczenia. W końcu będziesz musiał go objąć, żeby zostać prawomocnym przywódcą świata i poprowadzić go przeciwko zagrożeniu, jakim jest Achilles. Ale to potem. W tej chwili rzucamy tylko imię Locke'a. Nie po to, żebyś objął urząd. Chcemy dać ci pretekst, by publicznie ogłosić, że nie możesz przyjąć takiego stanowiska, bo jesteś przecież zaledwie nastolatkiem. To ty powiesz ludziom, że jesteś starszym bratem Endera Wiggina, że ty i Valentine przez lata pracowaliście, by utrzymać jedność Ligi i przygotować się do wojny, żeby zwycięstwo twojego małego braciszka nie doprowadziło do samozagłady ludzkości. Ale wciąż jesteś za młody, by objąć urząd publicznego zaufania. Teraz widzisz, jak to działa? Twoje oświadczenie nie będzie przyznaniem się ani skandalem. Będzie kolejnym dowodem, jak szlachetnie przedkładasz światowy pokój nad osobiste ambicje.

- I tak stracę niektóre kontakty...

- Ale niewiele. Opinie będą raczej pozytywne. Z odpowiednim nastawieniem. Przez wszystkie te lata Locke był bratem geniusza, Endera Wiggina. Cudownym dzieckiem.

- Ale nie ma czasu do stracenia - dodał Groszek. - Musisz zadziałać, zanim uderzy Achilles. Bo twoja tożsamość w ciągu kilku miesięcy i tak zostanie ujawniona.

- Tygodni - poprawiła go Carlotta.

Peter był wściekły.

- Dlaczego o tym nie pomyślałem? Przecież to oczywiste!

- Zajmowałeś się tym od lat - rzekł Groszek. - Opracowałeś system, który działał. Ale Achilles odmienił wszystko. Nigdy jeszcze nikt na ciebie nie polował. Dla mnie ważne jest nie

to, czego sam nie wymyśliłeś. Ważne jest to, że kiedy wskazaliśmy ci sposób, byłeś skłonny nas wysłuchać.

- Czyli zdałem ten wasz egzamin?

- A ja mam nadzieję, że zdam twój. Jeśli mamy razem pracować, musimy mówić sobie prawdę. Teraz wiem, że mnie wysłuchasz. Musisz uwierzyć na słowo, że i ja wysłucham ciebie. Ale Carlotty słucham, prawda?

Peter dygotał z lęku. Mieli rację; czas nadszedł, dawny system się skończył. A to przerażające. Bo teraz musi zaryzykować wszystko - i może przegrać.

Lecz jeśli nie zaczniesz działać natychmiast, jeśli nie zaryzykuje wszystkiego, wtedy przegra na pewno. Obecność Achillesa w równaniu nie dopuszczała innego wyniku.

- No więc jak rozpoczniemy te wstępne działania, żebym mógł zrezygnować z zaszczytu kandydowania do Hegemonii?

- Och, to proste - zapewniła Carlotta. - Jeśli się zgodzisz, już jutro w wiadomościach pojawią się doniesienia, jak to pewne wysoko postawione źródło w Watykanie potwierdza, że Locke'a wymieniana się jako potencjalnego następcę obecnego Hegemona.

- A potem - podjął Groszek - pewien wysoko postawiony urzędnik Hegemonii, ściślej mówiąc minister kolonizacji, ale tego nikt oficjalnie nie powie, oświadczy, i to będzie zacytowane, że Locke jest nie tylko dobrym kandydatem, ale najlepszym kandydatem. A wobec poparcia Watykanu wydaje się mieć największe szansę.

- Zaplanowaliście to wszystko!

- Wcale nie - zaprzeczyła Carlotta. - Po prostu jedyni odpowiedni ludzie, jakich znamy, to mój wysoko postawiony przyjaciel w Watykanie i nasz wspólny dobry przyjaciel, były pułkownik Graff.

- Wkładamy w tę akcję wszystkie swoje aktywa - dodał Groszek. - Ale powinny wystarczyć. Już w chwili, kiedy te wiadomości się pojawią, będziesz gotów, by odpowiedź opublikować następnego ranka. Kiedy wszyscy będą pisać o pierwszych reakcjach na twoją kandydaturę, świat przeczyta twoje oświadczenie, że odmawiasz, ponieważ młody wiek utrudniłby ci zdobycie autorytetu, jakiego wymaga stanowisko Hegemona.

- I właśnie to da ci moralną podstawę, by je przyjąć, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

- Odmawiając, zwiększani szansę, że otrzymam urząd, tak?

- Nie w czasie pokoju. W czasie pokoju odmowa usuwa cię z wyścigu. Ale czeka nas wojna. A wtedy ktoś, kto dla powszechnego dobra rezygnuje z osobistych ambicji, wygląda coraz lepiej. Zwłaszcza gdy nosi nazwisko Wiggin.

Czy muszą stale podkreślać, że moje pokrewieństwo z Enderem jest ważniejsze niż lata pracy?

- Nie jesteś chyba przeciwny wykorzystywaniu powiązań rodzinnych? - upewnił się Groszek.

- Zrobię, co będzie trzeba - oświadczył Peter. - I wykorzystam wszystko, co może pomóc. Ale... już jutro?

- Achilles dotarł do Indii wczoraj, tak? Każdy dzień, kiedy powstrzymujemy się od działania, to dla niego dzień, kiedy może ujawnić prawdę o tobie. Myślisz, że będzie czekał? Ty się nie wahałeś. On pragnie zemsty, a Chamrajnagar nie będzie miał oporów przed powiedzeniem mu, kim jesteś. Prawda?

- Nie. Chamrajnagar pokazał już, co o mnie myśli. Nie zrobi nic, żeby mnie chronić.

- Czyli sytuacja się powtarza - zauważył Groszek. - Dajemy ci coś, a ty chcesz to wykorzystać. Ale czy ty zamierzasz mi jakoś pomóc? W jaki sposób mógłbym dostać żołnierzy, których będę trenował i którymi dowodził? Znaczą, oprócz powrotu do Grecji?

- Nie, nie do Grecji. Oni ci się nie przydadzą, a w końcu i tak będą robić tylko to, na co pozwoli Rosja. Żadnej swobody działania.

- Więc dokąd? - spytała siostra Carlotta. - Gdzie masz duże wpływy?

- Z całą skromnością - odparł Peter - dzisiaj mam wpływy wszędzie. Pojutrze mogą ich nie mieć już nigdzie.

- Zatem działajmy dzisiaj - rzekł Groszek. - Gdzie?

- Tajlandia - stwierdził Peter. - Birma nie ma szans powstrzymania indyjskiego ataku ani zmontowania koalicji, która by taką szansę miała. Ale Tajlandia jest historycznym liderem Azji Południowo-Wschodniej. To jedyny kraj, który nie został skolonizowany. Naturalny przywódca wszystkich tajskich narodów w sąsiednich państwach. I mają silną armię.

- Nie znam ich języka - przypomniał Groszek.

- Żaden problem. Tajowie od wieków są wielojęzyczni i w historii wielokrotnie pozwalali cudzoziemcom na zdobywanie władzy i wpływów, byle tylko byli lojalni wobec tajskich interesów. Musisz do nich przystać. Musisz zdobyć ich zaufanie. Ale wydaje się całkiem oczywiste, że potrafisz być lojalny.

- Wcale nie. Jestem egoistą. Próbuję przeżyć, to wszystko.

- Ale przeżywasz, demonstrując absolutną lojalność wobec tych kilku osób, na których polegasz. Czytałem o tobie nie mniej niż o Achillesie.

- To, co o mnie pisano, to wyłącznie fantazje dziennikarzy.

- Nie mówię o prasie. Czytałem przesłane do MF raporty Carlotty o twoim dzieciństwie

w Rotterdamie.

Oboje zatrzymali się nagle. Aha, czyżby ich zaskoczył? Peter nie mógł powstrzymać uczucia satysfakcji, że i on wie coś na ich temat.

- Te raporty były przeznaczone dla ścisłego grona osób - powiedziała Carlotta. - Nie powinny istnieć żadne kopie.

- Ale ktoś mógł je czytać - odparł Peter. - Nie ma sekretów przed ludźmi mającymi odpowiednich przyjaciół.

- Ja nie czytałem tych raportów - oznajmił Groszek. Carlotta zerknęła badawczo na Petera.

- Niektóre informacje są bezwartościowe. Mogą tylko niszczyć - oświadczyła.

Teraz Peter zaczął się zastanawiać, jakie tajemnice ukrywa przed Groszkiem. Bo kiedy mówił o „raportach”, miał na myśli notatkę znalezioną w aktach Achillesa. Odwoływała się do tych raportów jako źródła informacji o życiu na ulicach Rotterdamu. Uwagi o Groszku były tylko wtrącone. Nie dotarł do samych raportów. Ale teraz chciałby, bo wyraźnie było w nich coś, co Carlotta wołała ukryć przed Groszkiem.

I Groszek też o tym wiedział.

- Co takiego jest w tych raportach, o czym nie chcesz, żeby Peter mi mówił? - zapytał.

- Musiałam przekonać Szkołę Bojową, że jestem co do ciebie obiektywna. Dlatego musiałam wygłaszać o tobie pewne negatywne opinie, by uwierzyli w te pozytywne.

- Uważasz, że to zrani moje uczucia?

- Tak myślę. Ponieważ nawet jeśli zrozumiesz powód, dla którego mówiłam pewne rzeczy, nigdy nie zapomnisz, że je powiedziałam.

- Nie mogą być gorsze niż to, co sobie wyobrażam.

- To nie jest kwestia tego, co źle albo gorsze. Nie mogą być za bardzo złe, bo nigdy by cię nie przyjęli do Szkoły Bojowej, prawda? Byłeś za mały, nie wierzyli w wyniki twoich testów, wiedzieli, że nie starczy czasu, żeby cię wyszkolić, chyba że naprawdę jesteś... taki, jak napisałam. Po prostu nie chcę, żebyś zachował te słowa w pamięci. I jeśli masz choć odrobinę rozsądku, Groszku, nigdy ich nie przeczytasz.

- Toguro - burknął Groszek. - Osoba, której ufam najbardziej, obgadywała mnie, i to tak paskudnie, że teraz prosi, żebym nie próbował tego sprawdzić.

- Dość tych bzdur - wtrącił Peter. - Na każde z nas spadły dzisiaj jakieś ciosy. Ale zawiązaliśmy przymierze, zgadza się? Dziś wieczorem podejmiecie akcję w moim interesie, zaczniecie rozpowszechniać odpowiednie pogłoski, żebym mógł się ujawnić na scenie światowej polityki. A ja mam ustawić cię w Tajlandii na pozycji kogoś obdarzonego zaufaniem

i wpływowego. I to zanim ktoś się dowie, że jestem nastolatkiem. Kto z nas szybciej dzisiaj zaśnie, jak sądzicie?

- Ja - odparła siostra Carlotta. - Bo nie mam na sumieniu żadnych grzechów.
- Kuso - parsknął Groszek. - Cierpisz z powodu wszystkich grzechów tego świata.
- Mylisz mnie z kimś innym.

Peterowi ta rozmowa przypominała typowe rodzinne pogawędki - znane żarty, powtarzane, bo poprawiały samopoczucie.

Dlaczego we własnej rodzinie nie zdarzały mu się takie pogawędki? Owszem, rozmawiał swobodnie z Valentine, ale ona nigdy się przed nim nie otworzyła, nie podjęła tej gry. Nie lubiła go, bała się nawet. A rodzice byli beznadziejni. Z nimi nie warto nawet zaczynać inteligentnej rozmowy, nie istniały wspólne żarty czy wspomnienia.

Może naprawdę wychowywały mnie roboty, pomyślał.

- Przekaż rodzicom, że jesteśmy wdzięczni za to zaproszenie - powiedział Groszek.
- A teraz do domu i spać - dodała Carlotta.
- Nie będziecie dziś spali w swoim hotelu, prawda? - zapytał Peter.
- Przyślemy ci e-mail, żebyś wiedział, jak się z nami skontaktować - odparł Groszek.
- Wiesz, że sam też musisz wkrótce opuścić Greensboro - przypomniała Carlotta. -

Kiedy już ujawnisz swoją tożsamość, Achilles będzie wiedział, gdzie jesteś. I chociaż Indie nie mają powodu, żeby cię zabijać, Achilles ma. Morduje każdego, kto go choćby widział bezradnego. A ty go takim uczyniłeś. Jesteś właściwie martwy, gdy tylko zdoła cię dosięgnąć.

Peter przypomniał sobie zamach na życie Groszka.

- Nie przeszkadzało mu, że razem z tobą zginą twoi rodzice, prawda?
- Możliwe - zgodził się Groszek. - Powinieneś wyjawić mamie i tacie, kim jesteś, zanim dowiedzą się tego z sieci. I pomóc im wydostać się z miasta.

- W pewnym momencie będziemy musieli przestać się ukrywać i otwarcie stawić czoło Achillesowi.

- Nie, dopóki jakiś rząd nie postanowi chronić twojego życia - odparł Groszek. - Do tego czasu powinieneś się ukrywać. Twoi rodzice też.

- Oni mi chyba nie uwierzą, kiedy powiem, że naprawdę jestem Locke'em - westchnął Peter. - Jacy rodzice by uwierzyli? Spróbują raczej wysłać mnie do psychiatry.

- Zaufaj im - uspokoił go Groszek. - Myślę, że uważasz ich za głupich. Mogę cię zapewnić, że niesłusznie. Przynajmniej twoja mama nie jest głupia. Po kimś odziedziczyłeś ten mózg. Dogadacie się.

Dlatego Peter, kiedy o dziesiątej wrócił do domu, zastukał do drzwi pokoju rodziców.

- O co chodzi? - zawołał ojciec.

- Nie śpicie jeszcze?

- Wejdź.

Przez kilka minut paplali bez sensu o kolacji, siostrze Carolcie, o tym niezwykle młodym Julianie Delphiki, to zadziwiające, prawda, że takie dziecko mogło dokonać tego wszystkiego w tak krótkim życiu. I tak dalej, aż Peter przerwał tę rozmowę.

- Muszę wam coś powiedzieć - oznajmił. - Jutro pewni przyjaciele Groszka i Carlotty zaczną pozorne działania, by nominować Locke'a na Hegemon. Wiecie, jakiego Locke'a? Tego komentatora politycznego.

Przytaknęli.

- A następnego ranka - ciągnął Peter - Locke opublikuje oświadczenie, że nie może przyjąć tego zaszczytu, ponieważ w rzeczywistości jest nastoletnim chłopcem mieszkającym w Greensboro, w Karolinie Północnej.

- Tak?

Ojciec chyba czekał na dalszy ciąg. Czy naprawdę jeszcze nie zrozumieli?

- To ja, tato - wyznał Peter. - Ja jestem Locke. Spojrzeli na siebie nawzajem. Peter czekał, aż powiedzą coś głupiego.

- Czy zamierzasz też wyjawiać, że Valentine była Demostenesem? - spytała matka.

Przez moment wydawało mu się, że to żart, że jej zdaniem tylko Valentine jako Demostenes jest bardziej absurdalnym pomysłem niż Peter jako Locke.

I wtedy uświadomił sobie, że w pytaniu nie było śladu ironii. Poruszyła ważną kwestię, którą powinien rozwiązać - należy wyjaśnić sprzeczności między Demostenesem i Locke'em, inaczej Chamrajnagarowi i Achillesowi wciąż pozostanie coś, co mogą ujawnić. I ważne jest, żeby od samego początku obciążyć Valentine grzechami Demostenesa.

Ale nie tak ważne jak fakt, że mama wiedziała.

- Od dawna wiecie? - spytał.

- Jesteśmy bardzo dumni z tego, co zdołałeś osiągnąć - stwierdził ojciec.

- Tak dumni, jak wcześniej z Endera - dodała mama.

Peter zachwiał się niemal od emocjonalnego wstrząsu. Właśnie powiedzieli mu to, co chciał usłyszeć przez całe swoje życie, chociaż sam przed sobą się do tego nie przyznawał. Łzy stanęły mu w oczach.

- Dzięki - wymamrotał.

Potem zamknął drzwi i uciekł do swojego pokoju. Jakies piętnaście minut później zapanował nad sobą na tyle, by napisać listy, które musiał wysłać do Tajlandii, i zacząć pracę

nad esejem, w którym ujawniał, kim jest naprawdę.

Wiedzieli. I nie uważali go za gorszego. Przeciwnie, byli z niego tak dumni. Jak z Endera.

Cały jego świat miał się zmienić, a dawne życie odchodziło w niepamięć. Mógł wszystko stracić albo wszystko zdobyć. Ale tej nocy, kiedy wreszcie poszedł do łóżka i odpływał w sen, był tylko absolutnie i bezsensownie szczęśliwy.

CZEŚĆ 3
MANEWRY

Bangkok

Post na Forum Historii Wojskowości

From: HectorVictorious@firewall.net

Subject: Kto pamięta Briseis?

Kiedy czytam „Iliadę”, widzę to samo co wszyscy: poezję, oczywiście, oraz opowieść o heroicznej walce z epoki brązu. Ale dostrzegam też coś innego. Być może do Heleny należała twarz, co tysiąc okrętów wyprawiało w morze, ale to Briseis niemal doprowadziła je do katastrofy. Była bezsilną branką, niewolnicą, a jednak niewiele brakowało, by Achilles rozbił greckie przymierze, gdyż jej pragnął.

Kwestia, która mnie intryguje, to czy Briseis była wyjątkowo piękna? Czy raczej jej umysł wzbudził uczucia Achillesa? A poważnie: czy długo byłaby szczęśliwa jako branka Achillesa? Czy poszłaby za nim z własnej woli? Czy pozostałaby posępną, oporną niewolnicą?

Dla Achillesa nie miałyby to znaczenia. Wykorzystywałby swoją brankę niezależnie od jej uczuć. Ale można sobie wyobrazić, że Briseis słyszy opowieść o pięcie Achillesa i jakoś przekazuje tę informację komuś wewnątrz murów Troi... Briseis, gdybym tylko dostał od ciebie wiadomość!

Hektor Zwycięski

Groszek zabijał czas, zostawiając wiadomości dla Petry rozrzucone po wszystkich listach dyskusyjnych, jakie mogłaby odwiedzić - jeśli żyła, jeśli Achilles pozwalał jej na dostęp do sieci, jeśli zrozumiała, że temat w rodzaju „Kto pamięta Briseis?” jest odwołaniem do niej, i jeśli zdoła odpowiedzieć, o co prosił ją niemal wprost. Wzywał ją także pod imionami innych kobiet, kochanych przez wielkich wodzów: Guinewry, Józefiny, Roksany... nawet Barsine, perskiej żony Aleksandra, którą Roksana zamordowała wkrótce po jego śmierci. Podpisywał się imieniem nemesis, głównego rywala albo następcy: Mordred, Hektor, Wellington, Kasander.

Podjął ryzyko i pozwolił, by tożsamości te istniały przez dłuższy czas. Każda była tylko instrukcją forwardowania listów na inny anonimowy serwer, gdzie cała poczta czekała zaszyfrowana i z otwartym dostępem, z protokołami nie rejestrującymi wejść. Mógł tam zaglądać, czytać listy i nie zostawiać śladów. Ale firewallle można przebić, protokoły przełamać...

Mógł jednak sobie pozwolić na pewną nieostrożność w sieci, choćby dlatego, że jego rzeczywiste położenie stało się znane ludziom, których wiarygodności nie potrafił ocenić. Kto się martwi o piąty zamek w drzwiach kuchennych, skoro frontowe są otwarte?

W Bangkoku powitali go z otwartymi ramionami. Generał Naresuan obiecał, że nikt się nie dowie, kim Groszek jest naprawdę, że dostanie żołnierzy do szkolenia i dane wywiadu do analizy. Że oficerowie tajskiej armii będą go stale prosić o radę, gdyż przygotowują się do zmiany sytuacji strategicznej.

- Poważnie traktujemy hipotezę Locke'a, że Indie staną się zagrożeniem dla bezpieczeństwa Tajlandii. Potrzebna nam będzie twoja pomoc przy opracowaniu planów na takie sytuacje.

Wszyscy uprzejmi i przyjaźni... Groszek i Carlotta otrzymali apartament na poziomie wyższych oficerów w bazie wojskowej, nieograniczone przywileje dotyczące zakupów i posiłków, po czym... zostali zignorowani. Nikt ich nie odwiedzał. Nikt się nie konsultował. Obiecane dane nie nadchodziły. Obiecani żołnierze nie trafili pod jego komendę.

Groszek wiedział, że nie warto nawet pytać. Obietnice nie zostały zapomniane. Gdyby próbował się czegoś dowiedzieć, Naresuan by był zakłopotany, potraktowałby pytanie jak zarzut. To w niczym nie pomoże. Coś się stało. Groszek mógł tylko zgadywać, co takiego.

Naturalnie, z początku obawiał się, że Achilles dotarł jakoś do tajskiego rządu, że jego agenci dokładnie wiedzą, gdzie Groszek teraz przebywa, a jego śmierć jest nieunikniona.

Wtedy właśnie odesłał Carlottę.

Nie było to serdeczne rozstanie.

- Powinieneś lecieć ze mną - powiedziała. - Nie zatrzymają cię. Odejdź.

- Nie odejdę - odparł Groszek. - Cokolwiek się dzieje, prawdopodobnie dotyczy lokalnej polityki. Komuś tutaj nie podoba się, że jestem na miejscu. Może samemu Naresuanowi, może komuś innemu.

- Jeżeli uważasz, że możesz bezpiecznie tu zostać, to nie ma powodów, żebym ja wyjeżdżała.

- Tutaj nie możesz udawać mojej babci. To, że mam opiekunkę, osłabia moją pozycję.

- Oszczędź mi sceny, którą wyraźnie próbujesz odegrać. Wiem, że są powody, dla których nie powinnam być przy tobie. I wiem, że potrafię ci bardzo pomóc w wielu sprawach.

- Jeśli Achilles wie, gdzie jestem, to znaczy, że głęboko spenetrował Bangkok i nie uda mi się odlecieć. Ty możesz. Informacja, że towarzyszy mi starsza kobieta, może jeszcze do niego nie dotarła. Ale wkrótce dotrze. On pragnie twojej śmierci tak samo jak mojej. Nie chcę się o ciebie martwić.

- Dobrze, odejdę - zgodziła się Carlotta. - Ale jak mam do ciebie pisać, jeśli nigdy nie zachowujesz tego samego adresu?

Podał jej nazwę swojego katalogu na anonimowym serwerze i klucz szyfru. Zapamiętała je.

- I jeszcze jedno - dodał. - W Greensboro Peter wspomniał, że czytał twoje raporty.

- Sądzę, że kłamał.

- A ja sądzą, że niezależnie od tego, czy kłamał, czy nie, twoja reakcja dowodziła, że istniały jakieś raporty i nie chcesz, żebym je poznał.

- Istniały i nie chcę - potwierdziła Carlotta.

- I to jest drugi powód, żebyś wyjechała. Po jej twarzy poznał, że się rozzłościła.

- Nie możesz mi zaufać, kiedy mówię, że w tych raportach nie ma nic, co musiałbyś teraz wiedzieć?

- Muszę wiedzieć o sobie wszystko. O swoich mocnych i słabych stronach. Wiesz o mnie coś, co zdradziłaś Graffowi, ale ukryłaś przede mną. I wciąż nie chcesz powiedzieć. Uważasz się za mojego właściciela, który może za mnie decydować. A to znaczy, że jednak nie jesteśmy partnerami.

- Doskonale - odparła Carlotta. - Działam w twoim najlepszym interesie, ale rozumiem, że dla ciebie wygląda to inaczej.

Zachowywała się chłodno, lecz Groszek znał ją dobrze i wiedział, że starała się opanować nie gniew, ale smutek i frustrację. Potraktował ją paskudnie. Dla jej dobra musiał ją stąd odesłać i zniechęcić do zbyt częstych kontaktów - dopóki nie odkryje, co się dzieje w Bangkoku. Spór o te raporty skłonił ją do wyjazdu. A poza tym Groszek naprawdę był zły.

Po piętnastu minutach była już w drodze na lotnisko. Dziewięć godzin później znalazł w swoim zaszyfowanym katalogu wiadomość: dotarła do Manili, gdzie mogła zniknąć w licznej tam katolickiej społeczności. Ani słowa o ich kłótni, jedynie krótkie nawiązanie do „wyznania Locke'a”, jak określali to dziennikarze. Carlotta pisała: „Biedny Peter, tak długo się ukrywał, że trudno mu będzie się przyzwyczaić do realnego doświadczania skutków własnych słów”.

Groszek odpowiedział na jej bezpieczny adres w Watykanie: „Mam nadzieję, że miał dość rozumu, by się wynieść z Greensboro. W tej chwili potrzebny mu mały kraj do rządzenia, żeby zyskać trochę doświadczenia w administracji i polityce. A przynajmniej miejskie wodociągi”.

A mnie potrzebni są żołnierze, by nimi dowodzić, pomyślał. Po to tutaj przyjechałem.

Milczenie trwało przez długie tygodnie po wyjeździe Carloty. Wkrótce jednak stało się jasne, że cokolwiek się dzieje, nie ma nic wspólnego z Achillesem - w przeciwnym wypadku

Groszek byłby już martwy. Obojętność nie mogła też wynikać z faktu, że Locke okazał się Peterem Wigginem - zamrożenie kontaktów nastąpiło, zanim Peter opublikował swoją deklarację.

Groszek zajmował się wszystkim, co wydało mu się sensowne. Nie miał wprawdzie dostępu do map wojskowych, ale mógł analizować znalezione w publicznej sieci zdjęcia satelitarne obszaru pomiędzy Indiami a sercem Tajlandii - trudne, górskie tereny północnej i wschodniej Birmy, wybrzeża Oceanu Indyjskiego. Indie posiadały silną flotę - jak na Ocean Indyjski. Czy mogą zaryzykować rejs przez cieśninę Malakka i uderzenie na Tajlandię z zatoki? Trzeba się przygotować na wszystkie możliwości.

W sieci dostępne były podstawowe dane o armii Indii i Tajlandii. Tajlandia dysponowała potężnym lotnictwem; istniała realna szansa uzyskania przewagi w powietrzu, jeśli tylko uda się chronić lotniska. Kluczowa zatem jest zdolność kładzenia awaryjnych pasów startowych w tysiącach różnych miejsc. Ten wyczyn techniczny mieścił się w granicach możliwości tajskiej armii - jeśli zacznie ćwiczyć już teraz i jeśli rozproszy paliwo, części i obsługę po całym kraju. To, razem z minami, będzie najlepszą ochroną przed atakiem z morza.

Innym słabym punktem indyjskiej ofensywy będą linie zaopatrzenia i trasy przerzutowe. Ponieważ ich strategia z pewnością będzie polegać na rzuceniu do walki ogromnych, niepowstrzymanych armii, obrona powinna zadbać, by te ogromne armie były głodne, i nękać je bez przerwy z powietrza i z ziemi. A jeśli - co prawdopodobne - indyjskie wojska dotrą do żyznej równiny Czau Phraja albo do płaskowyżu Aoray, tereny te muszą być całkowicie ogołoczone: zapasy żywności rozproszone i ukryte, reszta zniszczona.

Była to brutalna strategia, gdyż Tajowie będą cierpieli wraz z Hindusami, a nawet bardziej. Dlatego niszczenie zapasów trzeba tak zaplanować, żeby nastąpiło dopiero w ostatniej chwili. I jeśli to tylko możliwe, należy ewakuować kobiety i dzieci na tereny niedostępne, może nawet do obozów w Laosie i Kambodży. Granice wprawdzie nie powstrzymają armii indyjskiej, ale trudności terenowe mogą. Istnienie wielu izolowanych celów zmusi Indie do rozdzielania sił. Wtedy i dopiero wtedy tajskie wojska mogą z wiązać mniejsze części armii indyjskiej w walkach podjazdowych albo nawet - jeśli to możliwe - wydać bitwę w miejscu, gdzie uzyskają chwilową równowagę sił lądowych i wyraźną przewagę w powietrzu.

Rzecz jasna, Groszek nie wiedział, czy to wszystko nie jest już dawno elementem tajskiej doktryny wojennej. Jeśli zasugeruje coś takiego, tylko ich zirytuje - albo wyjdzie na zarozumialca.

Dlatego bardzo starannie układał treść listu. Wstawiał liczne wyrażenia w stylu: „Bez wątplenia przygotowania już trwają” albo „Jestem pewien, że od dawna przewiduje się...”.

Oczywiście, nawet te zdania mogły zaszkodzić - gdyby sami na to nie wpadli, brzmiałyby protekcyjnie. Musiał jednak przełamać jakoś tego pata.

Czytał i zmieniał notatkę raz za razem. Odczekał jeszcze dzień, żeby zobaczyć ją z nowej perspektywy. Wreszcie - pewien, że jest tak retorycznie nieagresywna, jak to tylko możliwe - dołączył ją do poczty i wysłał do biura Chakriego, najwyższego dowódcy wojskowego. Był to najbardziej publiczny i potencjalnie kłopotliwy sposób jej przekazania, ponieważ adiutanci z pewnością czytali i sortowali wszystkie e-maile przychodzące na ten adres. Nawet gdyby wydrukował tę notatkę i zaniósł ją osobiście, byłoby to posunięcie bardziej subtelne. Ale chodziło przecież o to, żeby trochę zamieszać - gdyby Naresuanowi zależało na subtelności, dałby Groszkowi prywatny adres kontaktowy.

Piętnaście minut po wysłaniu notatki ktoś bezceremonialnie otworzył drzwi do jego mieszkania. W progu stało czterech żandarmów.

- Proszę z nami - odezwał się dowodzący nimi sierżant.

Groszek wiedział, że nie warto się opierać ani zadawać pytań. Ci ludzie o niczym nie wiedzieli, znali tylko rozkazy, jakie im wydano. Przekona się, jak one brzmią, jeśli zaczeka i zobaczy, co zrobią żandarmi.

Nie zabrali go do biura Chakriego. Trafiał do jednego z tymczasowych baraków wzniesionych na dawnym placu defiladowym - tajska armia dopiero niedawno zrezygnowała z marszów jako stałego elementu szkolenia wojskowego i demonstracji potęgi militarnej. Zaledwie trzysta lat od amerykańskiej wojny domowej, która ostatecznie wykazała, że czas maszerowania do bitwy w ciasnych formacjach dobiegł końca. Trzysta lat - dla organizacji wojskowych to standardowe opóźnienie. Groszek by się chyba nie zdziwił, gdyby znalazł gdzieś armię, gdzie wciąż szkoli się żołnierzy w walce na szable z siodła.

Na drzwiach, gdzie go wprowadzili, nie było wywieszki ani nawet numeru. A kiedy weszli, żaden z pochyłonych nad biurkami żołnierzy nie podniósł głowy. Ich zachowanie mówiło wyraźnie, że przybycie Groszka jest równocześnie oczekiwane i bez znaczenia. Stąd płynął oczywisty wniosek, że jest bardzo znaczące - inaczej nie staraliby się tak pracownicy go nie zauważać.

Doprowadzili go do drzwi gabinetu. Wszedł do środka, ale żandarmi zostali za progiem. Drzwi się zamknęły.

Za biurkiem siedział major. To bardzo wysoki stopień dla kogoś, kto pełni funkcję sekretarki, ale przynajmniej dzisiaj takie miał zadanie. Wcisnął klawisz interkomu.

- Przesyłka dotarła - powiedział.

- Przyślijcie ją.

Głos brzmiał młodo. Tak młodo, że Groszek natychmiast zrozumiał sytuację.

Oczywiście. Tajlandia oddała do Szkoły Bojowej swoją grupę wojskowych geniuszy. I chociaż nikt z jeeshu Endera stąd nie pochodził, Tajowie byli nadreprezentowani wśród studentów - jak zresztą przedstawiciele wielu państw wschodniej i południowej Azji.

Trzech tajskich żołnierzy służyło razem z Groszkiem w Armii Smoka. Groszek dokładnie pamiętał wszystkich, razem z ich pełnymi aktami - to przecież on stworzył listę tych, którzy powinni trafić pod dowództwo Endera. Ponieważ większość krajów oceniała powracających absolwentów Szkoły Bojowej według ich bliskości z Enderem, najprawdopodobniej jeden z tej trójki zdobył takie wpływy, że mógł szybko przechwycić notatkę adresowaną do Chakriego. A tym, którego Groszek najbardziej spodziewał się zobaczyć na takim stanowisku, najbardziej agresywnym był...

Surrey. Suriyawong. „Szurak”, jak go nazywali za plecami, bo zawsze wyglądał na zirytowanego.

I rzeczywiście - czekał za stołem zawalonym mapami.

Groszek ku swemu zdziwieniu odkrył, że jest prawie wzrostu Suriyawonga. Surrey nie był wysoki, ale w Szkole Bojowej Groszek zawsze był najniższy. Teraz zaczynał odrabiać dystans. Może nie na całe życie zostanie taki beznadziejnie mały... Pocieszająca myśl.

Ale w zachowaniu Surreya nie było nic pocieszającego.

- A zatem mocarstwa kolonialne postanowiły wykorzystać Indie i Tajlandię, żeby toczyć tu swoje zastępcze wojny - powiedział.

Groszek od razu zrozumiał, co go tak rozdrażniło. Achilles był z pochodzenia belgijskim Wallonem, a Groszek oczywiście Grekiem.

- Oczywiście - zgodził się. - Belgia i Grecja chcą rozstrzygnąć swe odwieczne spory na krwawych polach bitew w Birmie.

- To, że byłeś w jeeshu Endera, nie znaczy jeszcze, że tak dobrze rozumiesz sytuację militarną Tajlandii.

- Ta notatka miała pokazać, jak ograniczona jest moja wiedza, ponieważ Chakri Naresuan nie dał mi dostępu do danych wywiadu, które obiecał, kiedy tu przybyłem.

- Jeśli będziemy potrzebować twojej rady, dostarczymy ci dane.

- Jeśli dostarczycie tylko te dane, których waszym zdaniem potrzebuję, to moja rada zawierać będzie to, co już wiecie. W takim razie mogę od razu wracać do domu.

- Tak - zgodził się Suriyawong. - To najlepsze rozwiązanie.

- Suriyawong - powiedział Groszek. - Tak naprawdę wcale mnie nie znasz.

- Wiem, że byłeś zarozumiałym małym szpanerem, który zawsze udawał sprytniejszego

od innych.

- Bo byłem sprytniejszy od innych, a wyniki testów są najlepszym dowodem. Co z tego? Nie zostałem dowódcą Armii Smoka, a Ender nie dał mi plutonu. Wiem, że sam spryt jest bez wartości w porównaniu ze zdolnością dowodzenia. I wiem też, że tutaj, w Tajlandii, jestem ignorantem. Nie dlatego przyjechałem, że moim zdaniem Tajlandia będzie bezbronna bez mojego genialnego umysłu kierującego żołnierzami w bitwie. Przyjechałem, bo najbardziej niebezpieczny człowiek na tej planecie kieruje sprawami w Indiach i według mojej wiedzy, Tajlandia stanie się jego głównym celem. Przyjechałem, bo jeśli nie chcemy dopuścić, by Achilles sięgnął po władzę nad światem, trzeba go zatrzymać tutaj. I sądziłem, że jak Waszyngton podczas rewolucji amerykańskiej, chętnie przyjmiesz pomoc Lafayette'a czy Steubena.

- Jeśli ta głupia notatka miała być przykładem twojej „pomocy”, to możesz wracać do domu.

- Czyli potraficie już kłaść tymczasowe pasy, w czasie kiedy samolot przebywa w powietrzu? Żeby mógł lądować na takim, który w chwili startu jeszcze nie istniał?

- To rzeczywiście interesujący pomysł. Nasi inżynierowie ocenią jego przydatność. Groszek kiwnął głową.

- Dobrze. To właśnie chciałem wiedzieć. Zostaję.

- Nie, nie zostajesz!

- Zostaję, bo chociaż moja obecność tak bardzo cię wkurza, potrafisz jednak dostrzec dobry pomysł i wprowadzić go w życie. Nie jesteś idiotą, a zatem warto z tobą pracować.

Suriyawong uderzył pięścią w stół, wyraźnie wściekły.

- Ty zarozumiały oomay! Nie jestem twoim moose!

- Suriyawong - odparł spokojnie Groszek - nie chcę twojego stanowiska. Nie chcę tutaj dowodzić. Chcę tylko być użyteczny. Dlaczego nie spróbujesz mnie wykorzystać tak jak Ender? Daj mi paru żołnierzy do przeszkolenia. Pozwól wymyślać dziwaczne zagrania i sposoby ich realizacji. Pozwól się przygotować. Kiedy wybuchnie wojna, wezwiesz mnie kiedyś i powiesz: „Groszek, musisz coś zrobić, żeby opóźnić ich marsz o jeden dzień, a nie mam tam żadnych żołnierzy”. A ja na to: „Czy biorą wodę z rzeki? Dobrze, więc niech cała ich armia na tydzień dostanie dyzenterii. To spowolni ich marsz”. Po czym lecę tam, wprowadzam bioagent do wody, omijam ich system filtracyjny i wracam. A może macie już specjalny zespół biegunkowy?

Suriyawong jeszcze przez chwilę zachowywał na twarzy wyraz wściekłości, ale nie wytrzymał długo. Parsknął śmiechem.

- Powiedz, Groszek, wymyśliłeś to przed chwilą, czy naprawdę planowałeś taką operację?

- Wymyśliłem - przyznał Groszek. - Ale to zabawny pomysł, nie sądzisz? Biegunka niejednemu raz zmieniała bieg historii.

- Wszyscy szczepią swoich żołnierzy przeciwko znanym bioagentom. I nie ma sposobu, żeby powstrzymać szkody ludności cywilnej w dole rzeki.

- Ale Tajlandia z pewnością prowadzi intensywne i zaawansowane badania biologiczne. Zgadza się?

- Czysto defensywne - zapewnił Suriyawong. Potem uśmiechnął się i usiadł. - Siadaj, siadaj - zaprosił Groszka. - Naprawdę wystarczy ci niższe stanowisko?

- Nie tylko mi wystarczy, ale na takim mi właśnie zależy. Gdyby Achilles odkrył, że tu jestem, znalazłby sposób, by mnie zabić. Naprawdę wolę nie rzucać się w oczy. Dopóki nie dojdzie do walki, kiedy powiadomienie Achillesa, że ja tu dowodzę, może posłużyć jako niezły atak psychologiczny. To nie będzie prawda, ale on zeświruje jeszcze bardziej, gdy pomyśli, że walczy przeciwko mnie. Już raz udało mi się go wymanewrować. Boi się mnie.

- To nie swoje stanowisko starałem się chronić - zapewnił Suriyawong. Groszek zrozumiał natychmiast, że owszem, chodziło właśnie o to stanowisko. - Ale Tajlandia zachowała niepodległość, kiedy wszystkimi krajami w tym regionie rządzą Europejczycy. Jesteśmy dumni, że nie dopuszczamy tu cudzoziemców.

- Tajlandia ma także długą tradycję wpuszczania tu cudzoziemców. I efektywnego ich wykorzystywania.

- Dopóki znają swoje miejsce.

- Daj mi miejsce, a będę pamiętał, żeby się go trzymać.

- Z jakim kontyngentem chcesz pracować?

Groszek nie prosił o liczny oddział, chciał jednak korzystać ze wszystkich rodzajów wojsk. Tylko dwa myśliwce bombardujące, dwie łodzie patrolowe, garstkę saperów, kilka lekkich transporterów opancerzonych oraz kilkaset ludzi i tyle śmigłowców, żeby to wszystko - z wyjątkiem samolotów i kutrów - przenieść.

- I upoważnienie, żeby żądać innego dziwnego sprzętu, jaki nam przyjdzie do głowy. Na przykład łodzie wiosłowe. Materiały wybuchowe dużej mocy, żeby trenować zawalanie urwisk i niszczenie mostów. Cokolwiek wymyślę.

- Ale nie przystąpisz do walki bez pozwolenia.

- Pozwolenia? - zdziwił się Groszek. - Czyjego pozwolenia?

- Mojego - odparł Suriyawong.

- Przecież nie jesteś Chakrim...

- Chakri służy tylko po to, żeby dostarczać mi wszystkiego, o co poproszę. Całe planowanie spoczywa w moich rękach.

- Dobrze wiedzieć, kto tu rządzi. - Groszek wstał. - Cokolwiek to warte. Najlepiej pomagałem Enderowi, kiedy miałem dostęp do wszystkiego, co wiedział.

- Chyba w marzeniach - mruknął Suriyawong. Groszek uśmiechnął się.

- Marzę o dobrych mapach - powiedział. - I o precyzyjnej ocenie obecnego stanu tajskiej armii. Suriyawong zamyślił się.

- Ilu swoich żołnierzy posyłasz w bój z zawiązanymi oczami? - spytał Groszek. - Mam nadzieję, że jestem jedynym.

- Póki nie będę pewien, że naprawdę jesteś moim żołnierzem, opaska zostaje. Ale mapy dostaniesz.

- Dzięki.

Groszek wiedział, czego obawia się Suriyawong: że wykorzysta wszelkie informacje, by zaproponować alternatywne rozwiązania, i w końcu przekona Chakriego, że lepiej od kolegi nadaje się na głównego stratega. Ponieważ stwierdzenie, że Suriyawong tu rządzi, było oczywiście nieprawdziwe. Chakri Naresuan ufał mu i najwyraźniej powierzył bardzo odpowiedzialne funkcje, ale to on zachował władzę, a Suriyawong mu służył. I dlatego obawiał się Groszka - wiedział, że może być zastąpiony.

Szybko się przekona, że Groszka nie interesują pałacowe intrygi. Jeśli dobrze pamiętał, Suriyawong pochodził z królewskiego rodu. Co prawda ostatnich kilku poligamicznych władców Syjamu miało tyle dzieci, że aż trudno sobie wyobrazić, by wielu Tajów nie było w tym czy innym stopniu spokrewnionych z rodem królewskim. Chulalongkorn przed wiekami wprowadził zasadę, że książęta mają obowiązek służyć krajowi, ale nie prawo do wysokich urzędów. Honor nakazywał Suriyawongowi oddać życie w służbie Tajlandii, lecz stanowisko w sztabie zachowa tak długo, jak długo zwierzchnicy będą uważać go za najlepszego.

Teraz, kiedy Groszek już wiedział, kto odcinał go od kontaktów, z łatwością mógłby usunąć Surreya i zająć jego miejsce. W końcu to Surrey odpowiadał za spełnienie obietnic, jakie złożył Naresuan. Zatem świadomie nie wykonał polecenia Chakriego. Wystarczyło użyć jakiegoś niestrzeżonego kanału - na przykład wykorzystać kontakty Petera - by przekazać Naresuanowi, że Suriyawong nie pozwalał Groszkowi otrzymywać tego, co niezbędne. Zacznie się śledztwo i zasiane zostaną pierwsze ziarna wątplenia.

Ale Groszkowi nie zależało na stanowisku.

Chciał stworzyć grupę bojową, którą wyszkoli, by działała płynnie, pomysłowo i

sprawnie. A kiedy nawiąże kontakt z Petrą i dowie się, gdzie przebywa, będzie mógł dotrzeć tam i wydostać ją żywą. Za zgodą Szuraka albo bez niej. Pomoże tajskiej armii, oczywiście, ale miał własne cele. Kariera w Bangkoku na pewno do nich nie należała.

- Jeszcze coś - powiedział. - Muszę tu mieć jakieś imię. Żeby nikt poza Tajlandią nie odgadł, że jestem dzieckiem i cudzoziemcem. To mogłoby Achillesowi wystarczyć; odgadłby resztę.

- O jakie imię ci chodzi? Może Sua? To znaczy tygrys.

- Mam lepszy pomysł. Borommakot.

Suriyawong zdziwił się nieco, ale zaraz przypomniał sobie to imię z historii Ayudhyi, starożytnego tajskiego miasta-państwa, którego Syjam był spadkobiercą.

- To był przydomek uzurpatora, który odebrał tron Aphai, prawowitemu następcy.

- Myślałem raczej o tym, co ono oznacza - wyjaśnił Groszek. - W urnie. Oczekując na kremację. - Uśmiechnął się szeroko. - Z punktu widzenia Achillesa jestem przecież chodzącym trupem.

Suriyawong rozluźnił się wyraźnie.

- Jak chcesz. Myślałem, że jako cudzoziemiec będziesz wołał coś krótszego.

- Czemu? Raczej nie będę się przedstawiał.

- Musisz się podpisywać.

- Nie wydaję rozkazów, a raporty będę składał tylko tobie. Poza tym Borommakot zabawnie brzmi.

- Znasz historię Tajów - zauważył Suriyawong.

- Fascynowała mnie jeszcze w Szkole Bojowej. To naród, który potrafi przetrwać. Starożytny lud Tajów zdołał opanować rozległe terytoria imperium Kambodży i rozprzestrzenić się w całej południowo - wschodniej Azji, zanim ktokolwiek coś zauważył. Podbici przez Birnę, wyszli z tego silniejsi niż przedtem. Kiedy kolejne państwa ulegały władzy Europejczyków, Tajlandia zdołała poszerzyć swe granice, i to na czas zaskakująco długi. I chociaż straciła Kambodżę i Laos, zachowała serce kraju. Myślę, że Achilles szybko odkryje to, o czym przekonali się wszyscy inni: że trudno jest podbić Tajów, a nawet podbitymi bardzo trudno rządzić.

- Masz zatem pojęcie o tajskiej duszy - pochwalił Suriyawong. - Ale choćbyś nie wiem jak długo nas badał, nigdy nie będziesz jednym z nas.

- Mylisz się. Już jestem jednym z was. Umiem przetrwać. Niezależnie od wszystkiego, jestem wolny. Suriyawong z powagą przyjął jego słowa.

- Więc jak jeden człowiek wolny drugiego, witam cię w służbie Tajlandii.

Rozstali się przyjaźnie i jeszcze tego samego dnia Groszek się przekonał, że Suriyawong zamierza dotrzymać słowa. Dostarczył mu listę żołnierzy - cztery istniejące już pięćdziesięcioosobowe kompanie z przyzwoitymi wynikami, czyli nie dali mu samych ofermów. Miał dostać śmigłowce, samoloty i kutry, żeby mogli na nich trenować.

Powinien się chyba denerwować, skoro miał stanąć przed żołnierzami, którzy z pewnością sceptycznie przyjmą nowego dowódcę. Ale bywał już w takich sytuacjach w Szkole Bojowej. Przekona tych żołnierzy metodą najprostszą z możliwych. Nie pochlebstwami, nie wyróżnieniami, nie sztuczną serdecznością. Zyska ich lojalność pokazując, że wie, co zrobić z wojskiem - przekona ich, że kiedy ruszą do bitwy, ich życie nie będzie zmarnowane w jakimś wariackim, skazanym na niepowodzenie przedsięwzięciu. Od samego początku powie: „Nie poprowadzę was do akcji, jeśli nie będę pewien, że możemy wygrać. Wasze zadanie polega na stworzeniu tak znakomitej grupy bojowej, że nie będzie akcji, do jakiej wahałbym się was poprowadzić. Nie walczymy dla chwały. Walczymy, by niszczyć wrogów Tajlandii w każdy możliwy sposób”.

Szybko się przyzwyczajają, że dowodzi nimi mały chłopiec z Grecji.

12. Islamabad

To: GuillaumeLeBon%Egalite@Haiti.gov

From: Locke%erasmus@polnet.gov

Subject: Warunki konsultacji

Panie LeBon, doceniam, jak trudno panu było się do mnie zwrócić. Sądzę, że mogę panu zaoferować interesujące opinie i sugestie. Co ważniejsze, wierzę, że jest pan skłonny działać odważnie w imieniu obywateli, którymi pan rządzi, a zatem wszelkie moje sugestie będą miały znakomitą szansę realizacji.

Jednak warunki, które pan proponuje, są nie do przyjęcia. Nie przybędę na Haiti w mroku nocy ani udając turystę czy studenta, by nikt się nie dowiedział, że konsultuje się pan u nastoletniego chłopca z Ameryki. Wciąż jestem autorem każdego słowa, jakie napisał Locke, i jako ta powszechnie znana postać, której imię figuruje na propozycjach kończących Wojnę Ligi, przybędę otwarcie, by objąć funkcję konsultanta. Jeśli moja dotychczasowa reputacja nie jest dostatecznym argumentem, by zaprosił mnie pan jawnie, to fakt, że jestem bratem Endera Wiggina, na którego barkach tak niedawno spoczęła odpowiedzialność za losy całej ludzkości, powinien stworzyć precedens, z którego bez skrupowania może pan skorzystać. Nie wspominając już o obecności dzieci ze Szkoły Bojowej w praktycznie każdym sztabie wojskowym na Ziemi. Honorarium, jakie pan proponuje, jest istotnie królewskie. Nie zostanie jednak wypłacone, gdyż na warunkach, jakie pan sugeruje, nie przybędę. A jeśli zaprosi mnie pan otwarcie, zjawię się z pewnością, ale nie przyjmę żadnego wynagrodzenia, nawet zwrotu wydatków, jakie poniosę w pańskim kraju. Jako cudzoziemiec nie mogę dorównać pańskiej głębokiej i trwałej miłości do ludu Haiti, lecz zależy mi, by każdy naród i lud na Ziemi miał swój udział w dobrobycie i wolności, które są ich przyrodzonym prawem. Za pomoc w tej sprawie nie przyjmę żadnej zapłaty.

Sprowadzając mnie otwarcie, zmniejsza pan własne ryzyko. Jeśli bowiem moje sugestie okażą się niepopularne, na mnie może pan zrzucić odpowiedzialność. A ryzyko, jakie ja podejmuję, przyjmując pańskie zaproszenie, jest o wiele większe. Jeśli bowiem świat uzna moje propozycje za nierozsądne albo jeśli - wprowadzając je w życie - przekona się pan, że są nierealne, winą spadnie na mnie. Mówię szczerze, gdyż takie są okoliczności, z jakimi obaj musimy się godzić. Tak wielkie jest też moje przekonanie, że sugestie okażą się znakomite, a pan

skutecznie je zastosuje. Kiedy zakończymy nasze dzieło, pan może niczym Cincinnatus wycofać się na swoją farmę, a ja niczym Solon opuścić brzegi Haiti, obaj spokojni, że daliśmy ludowi tej wyspy uczciwą szansę zajęcia godnego miejsca w świecie.

Łączę wyrazy szacunku, Peter Wiggin

Petra nawet na chwilę nie zapominała, że jest więźniem i niewolnicą. Ale jak wszyscy więźniowie i wszyscy niewolnicy w historii, żyjąc z dnia na dzień, przyzwyczajała się do niewoli i znajdowała sposoby, by pozostać sobą wewnątrz narzuconych jej ograniczeń.

Była bez przerwy pod strażą. Jej komputer miał ograniczone możliwości i nie mogła wysłać żadnych listów. Nie uda się powtórzyć tej wiadomości do Groszka. I nawet kiedy widziała, że ktoś - czy mógł to być Groszek, który jednak nie zginął? - próbuje się z nią skontaktować, zostawia wiadomości na wszystkich listach wojskowych, historycznych i geograficznych, wspomina o kobietach w niewoli tego czy innego wojownika, nie pozwalała, by wytrącało ją to z równowagi. Nie może odpowiedzieć, więc nie będzie traciła czasu na próby.

W końcu praca, do jakiej ją zmuszano, sama w sobie stała się wyzwaniem. Jak zrealizować kampanię przeciwko Birmie, Tajlandii, a w końcu Wietnamowi, tak by zmieść wszelki opór, a przy tym nie prowokować interwencji Chin. Petra od razu spostrzegła, że wielkość indyjskiej armii jest jej największą słabością, gdyż nie da się ochraniać linii zaopatrzenia. Dlatego, w przeciwieństwie do innych strategów, których wykorzystywał Achilles - w większości indyjskich absolwentów Szkoły Bojowej - w ogóle nie zajmowała się logistyką kampanii polegającej na masowych atakach. W końcu siły indyjskie i tak będą musiały się podzielić, chyba że armie Birmy i Tajlandii ustawią się w rzędzie i pozwolą wybić do nogi. Planowała kampanię nieprzewidywalną - błyskawiczne uderzenia niewielkich, ruchliwych oddziałów, które wyżyją z tego, co znajdą w terenie. Kilka ugrupowań pancernych powinno pędzić do przodu, korzystając z zaopatrzenia w paliwo drogą powietrzną.

Wiedziała, że jedynie jej plan ma sens, i nie tylko z powodu wewnętrznych problemów, które pozwala rozwiązać. Po prostu każdy plan, który wymagał przerzucenia dziesięciu milionów żołnierzy w pobliże chińskiej granicy, musiał sprowokować Chińczyków. W jej wersji przy chińskiej granicy nigdy nie stanie tylu ludzi, by stanowili zagrożenie. Jej plan nie prowadził też do wojny na wyczerpanie, która osłabia obie strony. Większa część sił indyjskich pozostałaby w rezerwie, gotowa do uderzenia w chwili, gdy przeciwnik odsłoni jakiś słaby punkt.

Achilles przekazał innym kopie jej opracowań - nazywał to „współpracą”, ale

przypominała raczej ćwiczenie w rozgrywkach personalnych. Wszyscy pozostali szybko zaczęli jeść mu z ręki i starali się go zadowolić. Wyczuwali naturalnie, że Achilles chce poniżenia Petry, i posłusznie się dostosowywali. Wykpiwali jej plan, jak gdyby każdy dureń widział, że jest beznadziejny, choć ich uwagi krytyczne dotyczyły szczegółów, a o głównych założeniach nikt nawet nie wspominał. Petra znosiła to, bo była niewolnicą; wiedziała zresztą, że prędzej czy później niektórzy zrozumieją, jak Achilles nimi manipuluje i jak ich wykorzystuje. Była pewna, że doskonale wykonała zadanie; byłoby cudownie ironiczne, gdyby armia indyjska - nie, uczciwie mówiąc, armia Achillesa - nie używając jej planu pomaszerowała wprost ku klęsce.

Nie czuła wyrzutów sumienia, że zaproponowała skuteczną strategię indyjskiej ekspansji na Azję Południowo-Wschodnią. Wiedziała, że jej propozycje nie zostaną wprowadzone w życie. Nawet jej plan wykorzystania niewielkich i szybkich oddziałów uderzeniowych nie zmieniał faktu, że Indie nie mogły sobie pozwolić na wojnę na dwóch frontach. Gdyby przystąpiły do wojny na wschodzie, Pakistan nie przepuściłby okazji.

Achilles wybrał niewłaściwy kraj, by poprowadzić go do wojny. Tikal Chapekar, indyjski premier, był człowiekiem ambitnym i ulegał iluzji słuszności swej sprawy. Mógł uwierzyć zapewnieniom Achillesa i pewnie tęsknił za szansą „zjednoczenia” Azji Południowo-Wschodniej. Mógł nawet rozpocząć wojnę. Ale ta szybko wygaśnie, kiedy Pakistan zacznie szykować uderzenie na zachodzie. Indyjskie awanturnictwo wyparuje, tak jak zawsze.

Powiedziała to nawet Achillesowi, kiedy odwiedził ją pewnego ranka, gdy jej plany zostały tak brutalnie i bezlitośnie odrzucone przez innych strategów. „Realizuj plan, jaki chcesz, nic nie pójdzie tak, jak ci się wydaje”.

Achilles zwyczajnie zmienił temat; kiedy ją odwiedzał, wolał wracać do dawnych dni, jakby byli parą staruszków wspominających wspólne dzieciństwo. Pamiętasz, w Szkole Bojowej to? Pamiętasz tamto? Miała ochotę wykrzyczeć mu prosto w twarz, że był tam zaledwie kilka dni, zanim Groszek zawiesił go w szybie wentylacyjnym i zmusił do wyznania swych zbrodni. Nie miał prawa do nostalgii. Potrafił tylko zatruć jej własne wspomnienia, gdyż teraz, kiedy w rozmowie pojawiała się Szkoła Bojowa, Petra chciała tylko zmienić temat i całkiem o niej zapomnieć.

Kto by uwierzył, że będzie myśleć o swym pobycie w Szkole jako okresie swobody i szczęścia? Wtedy wyglądało to całkiem inaczej.

Trzeba przyznać, że niewola nie była przesadnie uciążliwa. Póki Achilles przebywał w Hajdarabadzie, mogła swobodnie chodzić po całej bazie, choć nigdy bez straży. Mogła

zaglądać do biblioteki i szukać informacji - jeden z wartowników zawsze naciskał kciukiem płytkę identyfikacyjną, by potwierdzić, że załogowała się pod własnym nazwiskiem, ze wszystkimi ograniczeniami; dopiero wtedy zyskiwała dostęp do sieci. Mogła biegać po pylistych równinach, wykorzystywanych jako poligon, i czasem nawet nie słyszała cudzych kroków rozbrzmiewających w synkopowym rytmie obok jej własnych. Jadła, co chciała, spała, kiedy miała ochotę. Zdarzały się chwile, kiedy niemal zapominała, że nie jest wolna. O wiele częściej zdarzały się takie, kiedy wiedząc, że nie jest wolna, postanawiała niemal zrezygnować z nadziei, że ta niewola kiedyś się skończy.

Listy Groszka podtrzymywały jej nadzieję. Nie mogła mu odpowiedzieć, przestała więc myśleć o tych wiadomościach jako środka komunikacji. Stały się czymś więcej niż zwykłą próbą nawiązania kontaktu. Były dowodem, że Petra Arkanian, szczeniak ze Szkoły Bojowej, wciąż ma przyjaciela, który szanuje ją i przejmuje się na tyle, by nie rezygnować. Każda wiadomość była jak chłodny pocałunek w czoło.

Aż pewnego dnia zjawił się u niej Achilles i oświadczył, że wyrusza w podróż.

Natychmiast uznała, że czas do jego powrotu spędzi w swoim pokoju, zamknięta i pod strażą.

- Tym razem nie będzie zamykania - wyjaśnił. - Jedziesz ze mną.
- Czyli chodzi o jakieś miejsce w Indii?
- W pewnym sensie tak. W innym nie.
- Nie interesują mnie twoje gierki. - Ziewnęła. - Nie jadę.
- Na pewno nie chciałabyś tego przegapić - zapewnił. - A nawet gdyby, to i tak nieważne. Jesteś mi potrzebna, więc będziesz na miejscu.
- Do czego możesz mnie potrzebować?
- Skoro tak to sformułowałaś, sądzę, że powinienem wyrażać się jaśniej. Potrzebuję cię, żebyś widziała, co się dzieje podczas spotkania.
- Po co? Jeśli nie liczyć udanej próby zamachu, nie interesuje mnie twoja działalność.
- Spotkanie - powiedział Achilles - ma miejsce w Islamabadzie.

Na to Petra nie znalazła odpowiedzi. Stolica Pakistanu? Niemożliwe. Jakie interesy może tam mieć Achilles? I po co chce ją zabrać?

Polecieli - co oczywiście przywołało wspomnienia z tego nerwowego lotu, kiedy Achilles sprowadził ją jako więźnia do Indii. Otwarte drzwi... czy powinnam wtedy pociągnąć go za sobą i brutalnie sprowadzić na ziemię?

Podczas lotu Achilles pokazał jej list, jaki wysłał do Ghaffara Wahabiego, „premiera” Pakistanu - w rzeczywistości, naturalnie, był wojskowym dyktatorem... Albo Mieczem Islamu,

jeśli ktoś wolał taki tytuł. List był prawdziwym cudem sprytnej manipulacji. Nie zwróciłby niczyjej uwagi w Islamabadzie, gdyby nie nadszedł z Hajdarabadu, bazy sztabu wojsk indyjskich. I chociaż Achilles nigdzie nie wspomniał o tym wprost, w Islamabadzie z pewnością uznają, że przybywa jako oficjalny reprezentant indyjskiego rządu.

Ile razy indyjski samolot wojskowy lądował w tej bazie niedaleko Islamabadu? Ile razy umundurowanym indyjskim żołnierzom - w dodatku z bronią osobistą - pozwalano postawić stopę na pakistańskiej ziemi? A wszystko po to, by belgijski chłopiec i armeńska dziewczyna mogli porozmawiać z jakimś urzędnikiem niższego szczebla, którego Pakistańczycy wydelegują na spotkanie.

Grupa pakistańskich urzędników o kamiennych twarzach odprowadziła ich do budynku w pobliżu miejsca, gdzie samolot tankował paliwo. Wewnątrz, na piętrze, jeden z nich oświadczył:

- Pańska eskorta musi pozostać na zewnątrz.

- Oczywiście - zgodził się Achilles. - Ale moja asystentka pójdzie ze mną, na wypadek gdyby pamięć mnie zawiodła.

Indyjscy żołnierze stanęli na baczność pod ścianą. Achilles i Petra przeszli przez otwarte drzwi.

W pokoju czekało tylko dwóch ludzi, a jednego z nich natychmiast rozpoznała ze zdjęć. Uprzejmym gestem wskazał im krzesła.

Petra szła na miejsce w milczeniu, nie odrywając wzroku od Ghaffara Wahabiego, premiera Pakistanu. Usiadła obok Achillesa, trochę z tyłu, tak jak pakistański adiutant siedział po prawej ręce Wahabiego. To nie był urzędnik niższego szczebla. List Achillesa otworzył im drogę na sam szczyt.

Nie potrzebowali tłumacza - wspólny, choć nie był ich ojczystą mową, znali od dzieciństwa i posługiwali się nim bez obcego akcentu. Wahabi sprawiał wrażenie czujnego i sceptycznego, ale przynajmniej nie próbował ich poniżyć: nie kazał im czekać, sam wprowadził ich do pokoju, nie zachowywał się wyzywająco wobec Achillesa.

- Zaprosiłem cię, bo chcę wysłuchać, co masz do powiedzenia - rzekł. - Zacznij, proszę.

Petra zapragnęła, żeby Achilles zrobił coś potwornie niewłaściwego: uśmiechnął się tryumfalnie albo zaczął się puszyć i demonstrować swoją inteligencję.

- Panie premierze, obawiam się, że z początku może to wyglądać, jakbym pana, eksperta w tej dziedzinie, próbował uczyć historii ludów subkontynentu indyjskiego. To w pańskiej książce znalazłem wszystko, co zamierzam powiedzieć.

- Łatwo jest przeczytać moją książkę. Co z niej wywnioskowałeś, o czym jeszcze bym

nie wiedział?

- Następny krok - odparł Achilles. - Krok tak oczywisty, że byłem zdumiony widząc, iż go pan nie wykonał.

- Chodzi więc o recenzję książki? - spytał Wahabi. Ale uśmiechnął się przy tym lekko, by słowa nie zabrzmiały wrogo.

- Raz za razem ukazuje pan wielkie osiągnięcia ludów indyjskich i to, że są usuwane w cień, wchłaniane, ignorowane i pogardzane. Cywilizacja Indusu traktowana jest jak ubogi krewny wobec Mezopotamii i Egiptu, a nawet opóźnionych Chin. Aryjscy najeźdźcy przynieśli swoją mowę i religię, by narzucić ją ludom indyjskim. Mogulowie, Brytyjczycy... a wszyscy z własnymi wierzeniami, własnymi instytucjami. Muszę pana zapewnić, że książka ta traktowana jest z wielkim szacunkiem w najwyższych kręgach rządowych Indii z powodu bezstronności, z jaką traktuje pan religie przyniesione Indiom przez najeźdźców.

Petra wiedziała, że nie jest to czcze pochlebstwo. Dla pakistańskiego uczonego, zwłaszcza mającego ambicje polityczne, niemałej odwagi wymagało napisanie historii subkontynentu bez wychwalania wpływów islamskich i wyszydzania hinduizmu jako religii prymitywnej i destruktywnej.

Wahabi podniósł dłoń.

- Wtedy pisałem jako uczony. Teraz jestem głosem mego ludu. Mam nadzieję, że książka nie skłoniła cię do podjęcia donkiszotowskiej misji reunifikacji Indii. Pakistan zawsze pozostanie czysty.

- Proszę nie wyciągać wniosków zbyt pośpiesznie - poprosił Achilles. - Zgadzam się, że reunifikacja nie jest możliwa. Zresztą to termin pozbawiony sensu. Hindu i islam nigdy nie były zjednoczone, chyba że wobec najazdu, więc jak mogłyby się zjednoczyć ponownie?

Wahabi skinął głową i czekał.

- Dostrzegłem w pańskim dziele głębokie poczucie wielkości przynależnej ludom indyjskim - mówił Achilles. - Tutaj zrodziły się wielkie religie. Stąd wyszli wielcy myśliciele, którzy zmienili świat. A jednak od dwustu lat, kiedy ludzie mówią o mocarstwach, Indii ani Pakistanu nie ma na liście. Nigdy nie było. To budzi w panu gniew. I budzi smutek.

- Raczej smutek niż gniew - wyjaśnił Wahabi. - Ale też jestem już starym człowiekiem i mój charakter złagodniał.

- Chiny brzękną mieczem i świat drży, ale na Indie zaledwie zerka. Świat islamu dygocze, gdy Irak, Turcja, Iran albo Egipt przesunie się w tę czy inną stronę, ale Pakistan, nieodmiennie wierny, nie jest traktowany jak przywódca. Dlaczego?

- Gdybym znał odpowiedź, z pewnością napisałbym inną książkę.

- Wiele jest przyczyn w odległej przeszłości, ale wszystkie sprowadzają się do jednego. Ludy subkontynentu nigdy nie potrafiły działać wspólnie.

- I znowu język zjednoczenia...

- Ależ nie. Pakistan nie może zająć należnego mu miejsca, poczesnego w świecie islamu, ponieważ gdy tylko spojrzy ku zachodowi, słyszy za plecami ciężki krok Indii. I Indie nie mogą zająć należnego im poczesnego miejsca na wschodzie, bo za plecami wyrasta im pakistańskie zagrożenie. Duch Boży jest bardziej u siebie w Indiach i Pakistanie niż w dowolnym innym miejscu. To nie przypadek, że wielkie religie zrodziły się tutaj albo znalazły swą najczystsza formę. Ale Pakistan nie pozwala Indiom osiągnąć wielkości na zachodzie, a Indie Pakistanowi na wschodzie.

- To prawda, lecz problem nie ma rozwiązania - zauważył Wahabi.

- Wcale nie - sprzeciwił się Achilles. - Jeśli wolno, przypomnę panu inny fragment historii, zaledwie o kilka lat wyprzedzający powstanie Pakistanu jako państwa. W Europie stanęły naprzeciw siebie dwie wielkie potęgi: stalinowska Rosja i hitlerowskie Niemcy. Ci dwaj przywódcy byli potworami. Ale zrozumieli, że wzajemna wrogość skłania ich razem. Żaden nie mógł niczego osiągnąć, dopóki ten drugi groził, że wykorzysta najmniejszą szansę ataku.

- Porównujesz Indie i Pakistan do Hitlera i Stalina?

- Ależ skąd. Ponieważ jak do tej pory Indie i Pakistan okazały mniej rozsądku i mniej opanowania niż obaj ci zbrodniarze. Wahabi odwrócił się do swego adiutanta.

- Jak zwykle Indie znalazły nowy sposób, by nas obrażać. Adiutant poderwał się, by pomóc mu wstać.

- Panie premierze, sądziłem, że jest pan mądrym człowiekiem - powiedział szybko Achilles. - Nie ma tu nikogo, kto widziałby pańskie zachowanie. Nikogo, kto powtórzy to, co mówiłem. Nic pan przecież nie ryzykuje, wysłuchując mnie do końca, a wszystko, odchodząc.

Petra była oszołomiona, słysząc tak ostry ton Achillesa. Czy nie przesadzał? Unikanie pochlebstw to jedno, obraza to co innego. Każdy normalny człowiek przeprosiłby za to nieszczęśliwe porównanie do Hitlera i Stalina. Ale nie Achilles. No cóż, tym razem posunął się za daleko. Jeśli rozmowa nie przyniesie oczekiwanych rezultatów, cała jego strategia nie zda się na nic. Napięcie, w jakim się znajdował, pchnęło go do błędnego kroku.

Wahabi nie usiadł.

- Powiedz, co masz do powiedzenia, byle szybko - nakazał.

- Hitler i Stalin wysłali swoich ministrów spraw zagranicznych, Ribbentropa i Mołotowa. Ci dwaj mimo ohydnych oskarżeń, jakie na siebie wzajemnie rzucali, podpisali pakt

o nieagresji i podzielili między siebie Polskę. To prawda, że kilka lat później Hitler złamał ten pakt, co doprowadziło do milionów ofiar i jego upadku. Ale nie ma to znaczenia dla pańskiej sytuacji. Ponieważ, w przeciwieństwie do Hitlera i Stalina, pan i Chapekar jesteście ludźmi honoru, ludźmi Indii, którzy wiernie służą Bogu.

- Powiedzieć, że ja i Chapekar obaj służymy Bogu, to bluźnierstwo wobec jednego, drugiego albo obu - zauważył Wahabi.

- Bóg kocha tę krainę i ofiarował jej ludom wielkość - oświadczył Achilles z taką pasją, że gdyby Petra go nie знаła, mogłaby uwierzyć, że ma w sobie wiarę. - Czy naprawdę wierzy pan, że z woli Boga Pakistan i Indie mają pozostać słabe i pozbawione znaczenia tylko dlatego, że nie wszyscy jeszcze zbudzili się do woli Allacha?

- Nie obchodzi mnie, co ateista i szaleniec ma do powiedzenia o woli Allacha!

I słusznie, pomyślała Petra.

- Mnie również - zapewnił Achilles. - Ale mogę powiedzieć tyle: jeśli pan i Chapekar podpiszecie traktat nie o jedności, ale o nieagresji, możecie podzielić między siebie Azję. A kiedy miną dziesięciolecia i wciąż przetrwa pokój między tymi dwoma wielkimi narodami indyjskimi, czy wtedy hinduista nie będzie dumny z muzułmanina, a muzułmanin z hinduisty? Czy nie będzie możliwe, że hinduista wysłucha nauk Koranu nie jako księgi swego śmiertelnego wroga, ale jako księgi braci, którzy z Indiami dzielą przywództwo Azji? Jeśli nie podoba się panu przykład Hitlera i Stalina, proszę spojrzeć na Hiszpanię i Portugalię, ambitnych kolonizatorów żyjących wspólnie na Półwyspie Iberyjskim. Portugalia na zachodzie była mniejsza i słabsza, ale była także śmiałym odkrywcą i otworzyła morza. Hiszpania wysłała tylko jednego odkrywcę, który był Włochem, ale znalazł nowy świat.

Petra dostrzegła subtelna manipulację. Nie mówiąc tego wprost, Achilles porównał Portugalię - naród słabszy, lecz mężniejszy - do Pakistanu, a naród, który zatryumfował tylko dzięki szczęściu - do Indii.

- Kraje te mogły przystąpić do wojny i wyniszczyć się wzajemnie, a przynajmniej nieodwracalnie osłabić. Posłuchały jednak papieża, który narysował linię na Ziemi, wszystko na wschód od niej oddał Portugalii, a na zachód Hiszpanii. Narysuj linię przez całą planetę, Ghaffarze Wahabi. Ogłoś, że nie wydasz wojny wielkiemu ludowi Indii, który nie usłyszał jeszcze głosu Allacha, a zamiast tego całemu światu pokażesz jaśniejący przykład czystości Pakistanu. A tymczasem Tikal Chapekar zjednoczy pod indyjskim przywództwem całą wschodnią Azję, o czym od dawna marzył. Wtedy, owego radosnego dnia, kiedy ludy hindu wysłuchają Księgi, islam rozprzestrzeni się od Nowego Delhi po Hanoi.

Wahabi powoli usiadł.

Achilles milczał.

A Petra zrozumiała, że jego zuchwałość zwyciężyła.

- Hanoi - powtórzył Wahabi. - Dlaczego nie do Pekinu?

- W dniu, gdy indyjscy muzułmanie z Pakistanu staną się strażnikami świętego miasta, tego dnia Hindus może sobie wyobrazić, że wkracza do miasta zakazanego.

- Jesteś niemożliwy - zaśmiał się Wahabi.

- Owszem - przyznał Achilles. - Ale mam rację. We wszystkim. W tym, że takie rozwiązanie wskazuje pańska książka. To oczywisty wniosek, pod warunkiem że Bóg równocześnie pobłogosławi Indie i Pakistan przywódcami o takiej wizji i odwadze.

- A dlaczego tobie na tym zależy?

- Ja marzę o pokoju na Ziemi.

- Dlatego zachęcasz Pakistan i Indie do wojen?

- Zachęcam do zgody, do decyzji, że nie przystąpicie do wojny przeciwko sobie.

- Czy sądzisz, że Iran bez oporu zaakceptuje przywództwo Pakistanu? Sądzisz, że Turcy powitają nas z otwartymi ramionami? Jedynie podbojem stworzymy tę jedność.

- Ale stworzycie ją - rzekł Achilles. - A kiedy islam zostanie zjednoczony pod indyjskim przywództwem, inne narody nie będą go więcej poniżać. Jeden wielki naród islamski, jeden wielki naród hindu, żyjące w pokoju i zbyt potężne, by ktokolwiek ośmielił się je zaatakować. W taki sposób pokój zapanuje na Ziemi. Z wolą Bożą.

- Inszallah - powtórzył za nim Wahabi. - Ale teraz pora, bym się dowiedział, jakie masz uprawnienia, by mówić to, co powiedziałeś. Nie zajmujesz w Indiach żadnego stanowiska. Skąd mam wiedzieć, czy nie posłano cię, żebyś uspił moją czujność, gdy tymczasem indyjskie armie grupują się do kolejnego niesprovokowanego ataku?

Petra zastanowiła się, czy Achilles planował skłonić Wahabiego, by powiedział coś dającego okazję do tak dramatycznego gestu, czy może to zwykły przypadek. Bo zamiast odpowiedzieć, Achilles wyjął z teczki pojedynczą kartkę papieru z niewielkim, złożonym niebieskim atramentem podpisem u dołu.

- Co to takiego? - spytał Wahabi.

- Moje uprawnienia - odparł Achilles. Wręczył kartkę Petrze, która wstała i przeszła na środek pokoju, gdzie odebrał ją adiutant Wahabiego. Wahabi przeczytał, kręcąc głową.

- I on to podpisał?

- Nie tylko podpisał. Proszę spytać swojego zespołu obserwacji satelitarnych, co robi indyjska armia już w tej chwili, zanim skończyliśmy rozmawiać.

- Cofają się znad granicy?

- Ktoś musi jako pierwszy okazać dobrą wolę. To okazja, na jaką czekał i pan, i pańscy poprzednicy. Indyjska armia się wycofuje. Może pan wysłać swoich żołnierzy. Może pan zmienić ten pokojowy gest w krwawą łaźnię. Albo może pan wydać rozkaz, by przenieść wojska na zachód i północ. Iran czeka, żeby ktoś mu zademonstrował czystość islamu. Kalifat Istambułu czeka, aż ktoś ich uwolni z pięćdziesięciu lat sekularnego rządu tureckiego. Za sobą będzie pan miał tylko indyjskich braci życzących panu szczęścia, gdy postara się pan zademonstrować wielkość tej krainy, którą Bóg wybrał i która wreszcie gotowa jest, by powstać.

- Daruj sobie te mowy - mruknął Wahabi. - Muszę sprawdzić, jak pewnie rozumiesz, czy ten podpis jest prawdziwy i czy hinduscy żołnierze naprawdę przemieszczają się w kierunku, o jakim zapewniasz.

- Zrobi pan to, co musi - rzekł Achilles. - Ja teraz powrócę do Indii.

- Nie czekając na moją odpowiedź?

- Nie zadałem panu pytania. Pytanie zadał Tikal Chapekar i jemu udzieli pan odpowiedzi. Ja jestem tylko posłańcem.

Achilles wstał, śmiało podszedł do Wahabiego i wyciągnął rękę.

- Mam nadzieję, że mi pan wybaczy, ale nie zniósłbym powrotu do Indii, gdybym nie mógł się pochwalić, że dłoń Ghaffara Wahabiego dotknęła mojej.

Wahabi uściśnął rękę Achillesa.

- Wścibski cudzoziemiec - mruknął, ale oczy mu błyszczały, a Achilles uśmiechnął się w odpowiedzi.

Czyżby to zadziałało? - myślała Petra. Przecież Mołotow i Ribbentrop negocjowali tygodniami. Achilles załatwił sprawę w czasie jednego spotkania.

Jakie są te magiczne słowa?

Ale kiedy wyszli z pokoju, znów eskortowani przez czterech hinduskich żołnierzy - jej strażników - uświadomiła sobie, że nie padły żadne magiczne słowa. Achilles studiował obu przywódców i odkrył ich ambicje, ich pragnienie wielkości. Powiedział im to, co najbardziej chcieli usłyszeć. Ofiarował im pokój, o którym w tajemnicy marzyli.

Nie była obecna na spotkaniu z Chapekarem, kiedy Achilles uzyskał podpisany pakt o nieagresji i obietnicę wycofania wojsk.

Ale mogła je sobie wyobrazić. „Pan pierwszy musi zrobić gest”, tłumaczył pewnie Achilles. „To prawda, muzułmanie mogą to wykorzystać i zaatakować. Pan jednak dysponuje największą armią na świecie, pan rządzi najwspanialszym narodem. Niech atakują; potrafi pan przyjąć cios, a w odpowiedzi przetoczyć się po nich niczym woda z pękniętej tamy. A nikt nie będzie pana krytykował za to, że chciał pan osiągnąć pokój”.

Teraz wreszcie rozumiała wszystko. Plany, jakie tworzyli dla inwazji na Birmę i Tajlandię, nie były tylko zabawą. Zostaną wykorzystane. Jej plany albo kogoś innego. Popłynie krew. Achilles dostanie swoją wojnę.

Nie wprowadziłam błędów w swoje plany, uświadomiła sobie nagle. Byłam pewna, że nie da się ich zrealizować, więc nie chciało mi się ukrywać w nich słabych punktów. Mogą być rzeczywiście skuteczne.

Co ja zrobiłam!

Teraz rozumiała, dlaczego Achilles zabrał ją ze sobą. Chciał się przed nią popisać, oczywiście - z jakiegoś powodu uznał, że potrzebuje świadka swojego tryumfu. Ale chodziło o coś więcej: chciał jej pokazać, że zamierza dokonać tego, o czym tyle razy twierdziła, że jest niemożliwe.

A co najgorsze, przecież chciałaby, żeby wykorzystano jej plany. Nie dlatego żeby Achilles wygrał tę wojnę, ale żeby dać nauczkę innym szczeniakom ze Szkoły Bojowej, które drwiły z niej bezlitośnie.

Muszę jakoś przekazać wiadomość Groszkowi, myślała. Muszę go ostrzec, żeby zawiadomił rządy Birmy i Tajlandii. Muszę coś zrobić, żeby uniemożliwić realizację mojego własnego planu ataku. Inaczej ich klęska spadnie na moje sumienie.

Zerknęła na Achillesa. Drzemał w fotelu, nie zważając na przesuwające się w dole kilometry. Wracał do miejsca, gdzie rozpocznie się jego wojna o władzę nad światem. Gdyby tylko potrafiła usunąć z równania te jego zabójstwa, okazałoby się, że jest naprawdę niezwykłym chłopcem. Wyrzucili go ze Szkoły Bojowej z etykietką psychopaty, a jednak skłonił nie jeden, ale trzy rządy dużych państw, by spełniały jego życzenia.

Byłam świadkiem jego ostatniego tryumfu, a mimo to wciąż nie rozumiem, jak do niego doprowadził.

Przypomniała sobie opowieść z dzieciństwa - historię Adama i Ewy w ogrodzie oraz mówiącego węża. Już jako mała dziewczynka powiedziała głośno, budząc zakłopotanie całej rodziny: Jaką idiotką musiała być ta Ewa, że uwierzyła wężowi. Ale teraz rozumiała, gdyż słyszała głos węża i widziała, jak ulega jego czarowi człowiek mądry i potężny.

Zjedz ten owoc, a uzyskasz to, czego pragniesz. To nie jest złe - jest dobre i szlachetne. Będą cię za to podziwiał.

A owoc jest pyszny.

13. Ostrzeżenia

To: Carlotta%agape@vatican.net/orders/sisters/ind

From: Graff%bonpassage@colmin.gov

Subject: Znaleziona?

Myślę, że znaleźliśmy Petrę. Przyjaciół z Islamabadu, który wie o moich poszukiwaniach, zawiadomił, że dziwny poseł przybył wczoraj z Nowego Delhi na krótkie spotkanie z Wahabim. To nastoletni chłopiec, który mógł być tylko Achillesem, i nastoletnia dziewczyna pasująca do rysopisu. Nic nie mówiła. Petra? Prawdopodobnie.

Groszek musi się dowiedzieć o tym, co mi przekazano. Po pierwsze, przyjaciel informuje, że niemal natychmiast po tym spotkaniu wydano rozkazy, by armia pakistańska wycofała się z granicy z Indiami. Gdy to połączyć z zauważonym wcześniej wycofaniem wojsk indyjskich, jesteśmy świadkami rzeczy niemożliwej: po dwustu latach sporadycznych, ale chronicznych walk widzimy rzeczywistą próbę osiągnięcia pokoju. I wydaje się, że dokonał tego lub pomógł dokonać Achilles. (Ponieważ tak wielu naszych kolonistów pochodzi z Indii, niektórzy w ministerstwie obawiają się, że nagły wybuch pokoju na subkontynencie może zagrozić naszej pracy).

Po drugie, fakt, że Achilles zabrał Petrę na tak istotną misję, oznacza, że nie jest wrogo nastawiona do jego projektów. Pamiętajmy, że w Rosji Wład także dał się skusić do krótkiej wprawdzie, ale jednak współpracy. Jest więc możliwe, że nawet ktoś tak sceptyczny jak Petra mógł w niewoli zmienić się w prawdziwego wyznawcę. Groszek musi być świadom tej możliwości, gdyż może się okazać, że próbuje uwolnić kogoś, kto wcale nie chce zostać uwolniony.

Po trzecie, proszę Groszkowi przekazać, że mogę nawiązać kontakty w Hajdarabadzie, wśród byłych studentów Szkoły Bojowej zatrudnionych w indyjskim sztabie. Nie będę wystawiał na próbę ich lojalności wobec ojczyzny. Zapytam o Petrę i dowiem się, co widzieli albo słyszeli. Mam nadzieję, że lojalność wobec starej szkoły przezwycięży ich patriotyczne podejście do sekretów.

Mała grupa uderzeniowa Groszka była wszystkim, na co mógł liczyć. Nie składała się z elity żołnierzy, tak jak studenci Szkoły Bojowej - tych ludzi nie dobierano ze względu na ich zdolności dowódcze. Ale pod pewnym względem właśnie dlatego łatwiej było ich szkolić. Nie analizowali wszystkiego, nie próbowali bez przerwy odgadywać ukrytych zamiarów. Poza tym w Szkole Bojowej wielu uczniów starało się popisywać, żeby poprawić swoją pozycję. Dowódcy stale musieli pilnować, by żołnierze koncentrowali się na zadaniu stawianym przed

armią.

Groszek studiował armie w prawdziwym świecie. Wiedział, że problem jest zwykle odwrotny - żołnierze starają się niczym nie wyróżniać, nie uczyć się za szybko, z obawy że koledzy uznają ich za lizusów albo zarozumialców. Lekarstwo w obu przypadkach było takie samo. Groszek ciężko pracował, by zyskać reputację człowieka surowego, ale sprawiedliwego.

Nie miał faworytów, z nikim się nie przyjaźnił, lecz zawsze zauważał i podkreślał perfekcję. W pochwałach nie przesadzał. Zwykle stwierdzał tylko publicznie: „Sierzancie, wasz zespół nie popełnił błędów”. Dopiero kiedy wyczyn był rzeczywiście wyjątkowy, chwalił go bezpośrednio, ale także jedynie krótkim „Dobrze”.

Tak jak się spodziewał, oszczędność pochwał i sprawiedliwość szybko zmieniła je w najcenniejszą walutę. Żołnierze, którzy dobrze pracowali, nie zyskiwali żadnych specjalnych przywilejów ani władzy, więc nie budzili niechęci pozostałych. Pochwały nie były wylewne, więc nigdy nie budziły zakłopotania. Ci wyróżniający się byli jednak podziwiani i naśladowani przez kolegów. W ten sposób celem żołnierzy stało się zdobycie pochwały Groszka.

To była prawdziwa władza. Teza Fryderyka Wielkiego, że żołnierze powinni bać się swoich oficerów bardziej niż przeciwnika, była zwyczajnie głupia. Żołnierze musieli wierzyć, że oficerowie ich szanują, i ten szacunek cenić bardziej niż samo życie.. Więcej - powinni wiedzieć, że ów szacunek jest zasłużony, że naprawdę są tak dobrymi żołnierzami, za jakich uważają ich oficerowie.

W Szkole Bojowej wykorzystał krótki okres, kiedy dowodził armią, by sam się czegoś nauczyć. Za każdym razem prowadził swoich ludzi do porażki. To demoralizowało żołnierzy, ale nie przejmował się, bo wiedział, że nie zostanie z nimi długo, że czas Szkoły Bojowej dobiega już końca. Tutaj, w Tajlandii, był świadom, że czekają ich prawdziwe bitwy, że stawka jest wysoka, że narazi życie swoich ludzi. Celem więc jest zwycięstwo, nie informacja.

A gdzieś pod tym oczywistym motywem krył się inny. Kiedyś podczas nadchodzącej wojny - albo nawet wcześniej, jeśli będzie miał szczęście - wykorzysta część swojej grupy, by podjąć śmiałą próbę ratunku, prawdopodobnie z głębi Indii. Będzie miał zerowy margines błędu. Uwolni Petrę. Uda mu się.

Siebie traktował równie surowo jak innych. Zawsze trenował z ludźmi - dziecko wykonujące te same ćwiczenia co dorośli. Biegał z nimi, a jeśli plecak miał trochę lżejszy, to dlatego że musiał zabierać mniej kalorii, by przeżyć. Nosił też mniejszą, lżejszą broń, ale nikt nie czuł o to urazy. Widzieli, że jego kule trafiają w cel równie często jak ich. Nie kazał im robić niczego, czego sam by nie zrobił. A kiedy nie radził sobie tak dobrze jak jego ludzie, nie wahał się najlepszych prosić o opinię i rady - do których się potem stosował.

To było niesłychane, by dowódca ryzykował, że wobec swoich ludzi okaże brak umiejętności. Groszek także by tak nie postępował, ponieważ zyski zwykle nie usprawiedliwiały możliwych strat. Jednak planował wyruszać wraz z nimi na trudne manewry, a do tej pory jego szkolenie było raczej teoretyczne i koncentrowało się na grach wojennych. Musiał stać się żołnierzem, żeby być na miejscu akcji, radzić sobie z problemami i nieprzewidywanymi wypadkami. Dlatego musiał dotrzymywać im kroku - najkrócej mówiąc, żeby móc skutecznie włączyć się do walki.

Z początku, widząc jego młodość i drobną budowę, niektórzy żołnierze próbowali mu pomagać. Odmowa była zawsze spokojna, ale stanowcza. „Ja też muszę się tego nauczyć”, mówił i to kończyło dyskusję. Naturalnie, żołnierze obserwowali go tym uważniej, chcąc sprawdzić, czy sam spełnia wymagania, jakie im stawiał. Przekonali się, że bez litości ćwiczy swe ciało. Przekonali się, że nie cofa się przed niczym, że wychodzi z błota brudniejszy niż wszyscy, pokonuje przeszkody równie wysokie co pozostali, że ma takie racje jak oni i na manewrach śpi na skrawku ziemi nie lepszym od innych.

Nie wiedzieli jednak, jak silnie wzoruje swój oddział na armiach Szkoły Bojowej. Mając dwustu żołnierzy, podzielił ich na pięć kompanii po czterdziestu ludzi. Każda kompania, jak armia Endera, dzieliła się na pięć ośmioosobowych plutonów. Każdy pluton powinien mieć zdolność samodzielnego wykonywania zadań, każda kompania miała działać całkowicie niezależnie. Równocześnie dbał o to, żeby jego ludzie stali się uważnymi obserwatorami i ćwiczył ich, by widzieli to, co chciał, żeby widzieli.

- Jesteście moimi oczami - tłumaczył. - Musicie zauważać wszystko, czego ja bym szukał, i pamiętać wszystko, co zobaczycie. Zawsze wam powiem, co planuję i dlaczego, żebyście wiedzieli, kiedy pojawia się problem, którego nie przewidziałem i który wymaga zmiany planu. A potem macie dopilnować, żebym ja też się dowiedział. Żeby zachować was przy życiu, powinienem wiedzieć o wszystkim, co macie w głowie podczas bitwy. A wy, żeby przeżyć, powinniście wiedzieć o wszystkim, co ja mam w głowie.

Wiedział, oczywiście, że nie może im mówić wszystkiego. Oni z pewnością także to rozumieli. Ale wyjątkowo dużo czasu - w porównaniu do standardowej doktryny ćwiczeń - poświęcał na tłumaczenie im powodów wydania każdego rozkazu. Oczekiwał, że dowódcy kompanii i plutonów będą postępować tak samo ze swoimi ludźmi.

- W ten sposób, kiedy wydamy wam rozkaz, niczego nie tłumacząc, będziecie wiedzieć, że powodem jest brak czasu na wyjaśnienia, że musicie działać natychmiast. Ale będziecie też wiedzieć, że istnieje wytłumaczenie i powiedzielibyśmy wam, gdybyśmy mogli.

Kiedyś Suriyawong przyszedł obejrzeć ćwiczenia żołnierzy Groszka. Zapytał, czy tak

jego zdaniem powinno wyglądać szkolenie w całej armii.

- Nie ma szans - odparł Groszek.

- Jeśli u ciebie to skutkuje, dlaczego nie może wszędzie?

- Zwykle nie jest to potrzebne i nie możesz sobie pozwolić na stratę czasu.

- Ale ty możesz?

- Ci żołnierze będą wysyłani, by dokonywać rzeczy niemożliwych. Nie będą bronić placówek ani szturmować pozycji nieprzyjaciela. Będą wysyłani, by wykonywać trudne i skomplikowane zadania niemal na oczach wroga, w sytuacjach kiedy nie mogą prosić o nowe instrukcje, ale muszą się dostosować i zwyciężać. To niemożliwe, jeśli nie zrozumieją celu wszystkich rozkazów. Muszą doskonale wiedzieć, jak myślą ich dowódcy, by zaufanie było pełne. I żeby mogli kompensować nieuniknione błędy swoich dowódców.

- Twoje błędy?

- Trudno w to uwierzyć, Suriyawong, ale tak, ja też popełniam błędy.

Uzyskał błady uśmiech Szuraka. Cenna nagroda.

- Cierpienia dorastania? - spytał Suriyawong.

Groszek spojrzał w dół, na swoje kostki. Już dwa razy musiał zamawiać nowy mundur i właśnie przyszła pora na trzeci. Był już prawie tak wysoki jak Suriyawong tego dnia, gdy Groszek przybył do Bangkoku. Dorastanie nie powodowało żadnych cierpień fizycznych, ale niepokój, ponieważ wydawało się nie mieć związku z żadną inną oznaką dojrzewania. Czyżby po tylu latach, kiedy był najniższy z rówieśników, ciało postanowiło nagle nadrobić straty?

Nie doświadczał żadnych zwykłych problemów - ani niezręczności, gdy kończyny nagle sięgają dalej niż zwykle, ani napływu hormonów, który przyćmiewa umysł i utrudnia koncentrację. Jeśli urośnie na tyle, żeby nosić lepszą broń, tym lepiej.

- Pewnego dnia mam nadzieję być takim dorodnym chłopem jak ty - powiedział.

Suriyawong parsknął tylko. Groszek wiedział, że potraktuje te słowa jak żart. Ale wiedział też, że w głębi, poniżej poziomu świadomości, przyjmie je jak prawdę - ludzie zawsze się tak zachowują. Dla Suriyawonga ważne było ciągle przypominanie, że Groszek akceptuje jego stanowisko i nie robi niczego, żeby mu je odebrać.

To było trzy miesiące temu. Teraz Groszek przekazał Suriyawongowi długą listę możliwych misji, do których jego ludzie zostali przeszkoleni i które mogli podjąć w dowolnym momencie. Deklaracja gotowości.

Potem nadszedł list od Graffa. Carlotta przekazała go natychmiast, gdy tylko do niej dotarł. Petra żyje. Przebywa prawdopodobnie z Achillesem w Hajdarabadzie.

Groszek od razu zawiadomił Suriyawonga, że źródło informacji jego przyjaciela

potwierdza zawarcie paktu o nieagresji między Pakistanem a Indiami i wycofanie żołnierzy obu krajów z nad wspólnej granicy. Dołączył też własną opinię, że gwarantuje to inwazję na Birnę w ciągu najbliższych trzech tygodni.

Co do innych spraw poruszanych w liście, przypuszczenie, że Petra mogłaby przejść na stronę Achillesa, było absurdalne - jeśli Graff w to wierzył, nie znał Petry. Groszka zaniepokoił raczej fakt, że Petra została tak całkowicie zneutralizowana, iż mogła sprawiać wrażenie, że stoi po stronie Achillesa. Ta dziewczyna zawsze mówiła, co myślała, choćby miało jej to bardzo zaszkodzić. Jeśli umilkła, to znaczy, że popadła w rozpacz.

Czy nie dostaje moich listów? Czy Achilles tak dokładnie odciął ją od wszelkich źródeł informacji, że nie może nawet przeglądać sieci? To by wyjaśniało brak odpowiedzi. Jednak Petra była przyzwyczajona do samotnej walki. Coś takiego nie tłumaczyło jej milczenia.

Na pewno chodzi tu o jej osobistą strategię. Milczenie, by Achilles zapomniał, jak bardzo go nienawidzi. Chociaż z pewnością znała go dość dobrze, by wiedzieć, że nigdy niczego nie zapomina. Milczenie, by uniknąć jeszcze ściślejszej izolacji? Tak, to możliwe. Nawet Petra potrafiłaby zamknąć buzię na kłódkę, gdyby za każdym razem, kiedy coś powie, odcinał ją od kolejnych informacji i możliwości.

Wreszcie jednak Groszek musiał rozważyć możliwość, że Graff ma rację. Petra jest istotą ludzką. Boi się śmierci jak każdy.

I jeśli istotnie była świadkiem zabójstwa dwóch jej strażników w Rosji, jeśli Achilles popełnił tę zbrodnię własnymi rękoma - co Groszek uważał za prawdopodobne - to musiała się zmierzyć z czymś, co spotkało ją pierwszy raz w życiu. Mogła pyskować głupim dowódcom i nauczycielom w Szkole Bojowej, bo najgorszym, co ją mogło za to spotkać, była nagana. Przy Achillesie musiała obawiać się śmierci.

A strach przed śmiercią zmienia sposób postrzegania świata, Groszek wiedział o tym. Swe pierwsze lata przeżył w ciągłym strachu. Co więcej, sporo czasu spędził właśnie we władzy Achillesa. Chociaż nigdy nie zapominał, jakim zagrożeniem jest Achilles, zaczął jednak uważać go za całkiem porządnego faceta, za dobrego przywódcę, który dokonywał mężnych i zuchwałych wyczynów dla swej „rodziny” uliczników. Groszek podziwiał go i uczył się od niego - aż do chwili, kiedy Achilles zamordował Buch.

Petra, bojąc się Achillesa, poddając się jego władzy, musiała pilnie go obserwować tylko po to, by pozostać przy życiu. A obserwując, zaczęła go podziwiać. To cecha naczelnych, że zachowują się posłusznie, a nawet służalczo wobec kogoś, kto ma siłę, by ich zabić. Nawet jeśli walczyła z tym uczuciem, ono w niej tkwiło.

Dziewczyna przebudzi się jednak, gdy tylko wyjdzie spod jego mocy. Groszkowi się

udało. Jej także się uda. Czyli nawet gdyby Graff miał rację i Petra stała się kimś w rodzaju apostoła Achillesa, znów będzie heretyczką, kiedy tylko ją stamtąd wyrwę, myślał Groszek.

Fakt jednak pozostał - musi się przygotować do ratowania Petry, nawet gdyby się opierała albo próbowała go zdradzić.

Dodał więc do arsenału i cyklu szkolenia swojej armii pistolety na strzałki usypiające i narkotyki osłabiające wolę.

Oczywiście potrzebował więcej pewnych danych, by rozpocząć operację ratunkową. Napisał do Petera z prośbą, by ten wykorzystał dawne kontakty Demostenesa w Stanach Zjednoczonych i uzyskał dostęp do danych wywiadu na temat Hajdarabadu. Groszek poza Peterem nie mógł właściwie szukać innych źródeł informacji, nie zdradzając swego miejsca pobytu. Wiedział na pewno, że nie może prosić Suriyawonga. Nawet gdyby był w dobrym nastroju - a ostatnio rzeczywiście przekazywał Groszkowi więcej danych niż do tej pory - Groszek nie zdołałby wytłumaczyć, po co mu dane na temat bazy indyjskiego sztabu w Hajdarabadzie.

Dopiero po kilku dniach, gdy czekał na odpowiedź Petera i szkolił żołnierzy w używaniu pistoletów strzałkowych i narkotyków, uświadomił sobie jeszcze jedną ważną konsekwencję faktu, że Petra może współpracować z Achillesem. Żaden element ich strategii nie przewidywał kampanii, jaką mogła zaplanować Petra.

Zażądał spotkania z Chakrim i Suriyawongiem równocześnie. Po tylu miesiącach, kiedy nie oglądał Chakriego osobiście, zdziwił się, że wyrażono zgodę, i to bez zwłoki. Wysłał prośbę, kiedy tylko wstał, o piątej rano. O siódmej był już w gabinecie Chakriego, wraz z Suriyawongiem.

Suriyawong miał tylko czas, by szepnąć bezgłośnie, z widoczną irytacją:

- O co chodzi?

- O co chodzi? - zapytał głośno Chakri.

Uśmiechnął się do Suriyawonga - wiedział, że powtarza jego pytanie. Ale Groszek widział, że w tym uśmiechu czai się drwina. A więc jednak nie potrafisz kontrolować tego małego Greka...

- Właśnie otrzymałem informację, którą obaj panowie powinniście poznać - oznajmił Groszek. Oczywiście, słowa te sugerowały, że sam Suriyawong mógłby nie dostrzec jej wagi, więc Groszek musiał przekazać ją Chakriemu Naresuanowi bezpośrednio.

- Nie chcę nikogo urazić. Chodzi tylko o to, że musiałem o tym zawiadomić natychmiast.

- Jaką informację mogłeś zdobyć, której już byśmy nie znali? - zapytał Naresuan.

- To coś, czego dowiedziałem się od dobrze poinformowanego przyjaciela. Wszystkie nasze przygotowania opierały się na rozsądnym założeniu, że armia indyjska wykorzysta oczywistą strategię i spróbuje samą liczbą wojsk zdusić opór Birmy i Tajlandii. Ale właśnie się dowiedziałem, że dla Indii może pracować Petra Arkanian, jedna z jeeshu Endera. Nie podejrzewam, by przeszła na stronę Achillesa, jednak taka możliwość istnieje. A jeśli ona pokieruje kampanią, nie będzie to lawina wojska.

- Interesujące - przyznał Chakri. - Jakiej strategii użyje?

- Nadal spróbuje nas przytłoczyć liczbą, ale nie zmasowanym atakiem. Zamiast tego nastąpią punktowe uderzenia, rajdy mniejszych oddziałów. Każdy z nich będzie miał za zadanie zaatakować, ściągnąć naszą uwagę i zniknąć. Nie muszą się nawet wycofywać. Mogą rozproszyć się w terenie i później przegrupować. Każdy taki oddział łatwo rozbić, tyle że nie będzie czego rozbijać. Zanim dotrzemy na miejsce, ich nie będzie. Żadnych linii zaopatrzenia. Żadnych słabych punktów. Tylko jeden atak po drugim, aż nie będziemy potrafili zareagować na wszystkie. Wtedy staną się silniejsze. Kiedy z naszymi niewystarczającymi siłami dotrzemy na miejsce, przeciwnik będzie czekał. Zniszczy jedną z naszych grup, potem następną.

Chakri zerknął na Suriyawonga.

- To, co mówi Borommakot, jest możliwe - przyznał Suriyawong. - Oni mogą ciągnąć taką kampanię w nieskończoność. Nie zaszkodzimy im, gdyż dysponują nieograniczonymi rezerwami, a w każdym ataku ryzykują niewiele. Ale dla nas każda strata jest nie do zastąpienia, a każdy odwrót oddaje im teren.

- Dlaczego więc Achilles sam nie wpadł na taki pomysł? - zapytał Chakri. - Podobno jest bardzo inteligentny.

- To ostrożna strategia - odparł Groszek. - Oszczędzająca życie żołnierzy. I powolna.

- A Achilles nie dba o życie żołnierzy?

Groszek przypomniał sobie dawne dni w „rodzinie” Achillesa na ulicach Rotterdamu. Achilles troszczył się o życie pozostałych dzieci. Bardzo się starał, żeby nie narażać ich na żadne ryzyko. Ale jego władza zależała od tego, czy żadnego nie straci. Gdyby któreś z dzieci doznało krzywdy, reszta by go opuściła. W przypadku armii indyjskiej sytuacja wygląda inaczej. Achilles poświęci żołnierzy - będą padać jak jesienne liście.

Tyle że celem Achillesa nie jest władza w Indiach. Jego celem jest władza nad światem. Będzie się więc starał zyskać reputację odpowiedzialnego przywódcy. Sprawiać wrażenie, że ceni życie swoich ludzi.

- Czasami dba, kiedy służy to jego interesom. Dlatego zrealizuje taki plan, jeżeli Petra mu go przedstawi.

- A jakie wnioski byś wyciągnął - zapytał Naresuan - gdybym ci teraz powiedział, że właśnie zaczęła się inwazja na Birmę i że jest to masowy frontalny atak potężnych sił indyjskich, dokładnie taki, jaki przewidywałeś w swojej pierwszej notatce?

Groszek się zdumiał. Już? Przecież pakt o nieagresji ma zaledwie kilka dni. Nie mogli tak szybko przegrupować wojsk.

Za zdziwieniem spostrzegł, że Suriyawong także nie wiedział o wybuchu wojny.

- To perfekcyjnie zaplanowana kampania - mówił dalej Chakri. - Birmańscy dowiedzieli się dzień przed atakiem. Indyjscy żołnierze przesuwali się jak dym. Czy zaplanował to twój niedobry przyjaciel Achilles, czy twoja genialna przyjaciółka Petra, czy zwykli prostaczkowie z dowództwa, udało im się znakomicie.

- To oznacza, że nie słuchają Petry - rzekł Groszek. - Albo że ona świadomie sabotuje plany kampanii. Przyjmuję to z ulgą i proszę o wybaczenie, że przekazałem ostrzeżenie, które okazało się zbędne. Wolno spytać, panie generale, czy Tajlandia przystępuje do wojny?

- Birma nie prosiła nas o pomoc.

- Zanim Birma poprosi Tajlandię o pomoc, armia indyjska stanie na naszej granicy.

- W tym przypadku nie będziemy czekać na zaproszenie - odparł Chakri.

- Co z Chinami? - zapytał Groszek.

Chakri zamrugał dwa razy, nim odpowiedział:

- A co z Chinami?

- Czy ostrzegły Indie? Czy w ogóle jakoś zareagowały?

- Sprawami Chin zajmuje się inna agencja rządowa.

- Indie mają dwa razy więcej ludności niż Chiny - przypomniał Groszek. - Ale armia chińska jest lepiej wyposażona. Indie dwa razy się zastanowią, nim zaryzykują sprowokowanie chińskiej interwencji.

- Lepiej wyposażona, owszem - zgodził się Naresuan. - Ale czy sensownie rozmieszczona? Ich żołnierze stoją wzdłuż granicy z Rosją. Trzeba tygodni, żeby ich ściągnąć tutaj. Jeżeli Indie zaplanowały kampanię błyskawiczną, nie muszą się obawiać Chin.

- Dopóki MF nie pozwala latać pociskom - dodał Suriyawong. - A że Chamrajnagar jest Polemarchą, można mieć pewność, że żadne pociski balistyczne nie trafią w Indie.

- Nastąpiła jeszcze jedna zmiana sytuacji - poinformował Chakri. - Dziesięć minut po rozpoczęciu inwazji na Birmę Chamrajnagar złożył rezygnację. Powróci na Ziemię, do Indii, by przyjąć urząd szefa koalicyjnego rządu, który pokieruje nowo poszerzonym indyjskim imperium. Ponieważ, naturalnie, zanim jego statek dotrze do Ziemi, wojna będzie rozstrzygnięta w tę czy w tamtą stronę.

- Kto został nowym Polemarchą?

- To poważny problem. Niektórzy zastanawiają się, kogo mógłby nominować Hegemon, skoro w tej chwili nikt do końca nikomu nie ufa. Niektórzy pytają, po co w ogóle Hegemon ma wskazywać Polemarchę. Od czasu Wojny Ligi radzimy sobie bez Strategosa. Po co w ogóle potrzebna nam MF?

- Żeby nie latały pociski - odparł Suriyawong.

- To jedyny poważny argument przemawiający za jej utrzymaniem - przyznał Chakri. - Ale liczne rządy uważają, że funkcje MF należy zredukować do strzeżenia przestrzeni ponad atmosferą. Nie ma powodów, by zachować więcej niż minimalną część sił Floty. A co do programu kolonizacji, wielu uważa, że to strata pieniędzy, gdy tutaj, na Ziemi, zanoszą wojnę. No, dość już tych szkolnych zajęć. Dorosłych czeka praca. Skonsultujemy się z wami, kiedy będziecie potrzebni.

Suriyawong nie pozwolił Chakriemu zakończyć spotkania.

- W jakich okolicznościach będziemy wezwani? - zapytał. - Plany, które stworzyłem, albo okażą się skuteczne, albo nie. Jeśli tak, nie wezwie mnie pan. Jeśli nie, uzna pan to za dowód, że nie wiedziałem, co robię, i tym bardziej mnie pan nie wezwie.

Chakri rozważał to przez chwilę.

- Właściwie to nie myślałem o tym w ten sposób - przyznał. - Chyba masz rację.

- Nie, to pan jej nie ma - odparł Suriyawong. - Na wojnie nic nigdy nie idzie zgodnie z planami. Musimy się przystosowywać. Ja i pozostali absolwenci Szkoły Bojowej zostaliśmy tego nauczeni. Powinniśmy być informowani o wszelkich zmianach sytuacji. A pan odciął mnie od źródeł danych. Wiadomość o wojnie powinna być pierwszą rzeczą, jaką zobaczę na ekranie zaraz po przebudzeniu. Dlaczego mnie pan odcina?

Z tego samego powodu, z jakiego ty odciąłeś mnie, pomyślał Groszek. By po zwycięstwie cała chwała przypadła Chakriemu. „Dzieci ze Szkoły Bojowej doradzały nam na etapie planowania, ale oczywiście prawdziwej wojny nie mogliśmy zostawić dzieciom”. A jeśli sytuacja rozwinie się niepomyślnie - „Ściśle realizowaliśmy plany nakreślone przez dzieci ze Szkoły Bojowej, ale najwyraźniej lekcje nie przygotowały ich do walki w prawdziwym świecie”. Chakri stara się chronić swój tyłek.

Suriyawong chyba również to zrozumiał, gdyż zrezygnował z dalszych argumentów. Wstał.

- Proszę o zgodę na odejście - powiedział.

- Wyrażam zgodę. Tobie też, Borommakot. Aha, prawdopodobnie zabierzemy tych żołnierzy, których Suriyawong oddał ci do zabawy. Wróć do swoich macierzystych jednostek.

Przygotuj ich do natychmiastowego przeniesienia.

Groszek także powstał.

- A więc Tajlandia przystępuje do wojny?

- O wszystkim, co powinieneś wiedzieć, zostaniesz poinformowany wtedy, kiedy powinieneś się tego dowiedzieć.

Gdy tylko wyszli z gabinetu Chakriego, Suriyawong przyspieszył kroku. Groszek musiał podbiec, żeby się z nim zrównać.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - oznajmił Suriyawong.

- Nie bądź dzieckiem - skarcił go Groszek. - On robi tobie tylko to, co ty wcześniej mnie. Czy ja uciekłem, żeby się dąsać? Suriyawong zatrzymał się nagle.

- Ty i to twoje głupie spotkanie! - zawołał.

- On cię odciął już wcześniej. Zanim w ogóle poprosiłem o spotkanie.

Suriyawong wiedział, że Groszek ma rację.

- Czyli zostałem pozbawiony wpływów.

- A ja ich nigdy nie miałem. Co z tym zrobimy?

- Zrobimy? Jeśli Chakri zabroni, nikt nie będzie słuchał moich poleceń. Bez jego upoważnienia jestem zwykłym chłopcem. Zbyt młodym, żeby zaciągnąć się do wojska.

- Najpierw musimy się zastanowić, co to wszystko znaczy - rzekł Groszek.

- Znaczy, że Chakri jest oomay karierowiczem.

- Chodź, powinniśmy wyjść na zewnątrz.

- Jeśli zechcą, mogą nas podsłuchiwać nawet pod gołym niebem - mruknął Suriyawong.

- Ale muszą się o to postarać. A tutaj cokolwiek powiemy, jest rejestrowane automatycznie.

Wyszli więc z budynku, gdzie mieściło się najwyższe dowództwo tajskej armii, i razem ruszyli spacerem w kierunku bloku, gdzie mieszkali żonaci oficerowie. Zatrzymali się w parku, na placu zabaw dla dzieci. Kiedy usiedli na huśtawkach, Groszek zauważył, że jest już na to trochę za duży.

- Twoja grupa uderzeniowa... - westchnął Suriyawong. - Akurat kiedy byłaby najbardziej potrzebna, zostanie rozproszona.

- Nie, wcale nie - sprzeciwił się Groszek.

- Niby czemu?

- Ponieważ wzięłeś tych żołnierzy z garnizonu chroniącego stolicę. Zostaną w Bangkoku. Najważniejsze, to trzymać cały nasz sprzęt w jednym miejscu, łatwo dostępny. Myślisz, że dasz radę to załatwić?

- Jeśli nazwę to zwykłym przekazaniem do magazynu... Chyba tak.
 - Trzeba, żebyś wiedział, gdzie trafią nasi żołnierze. W ten sposób możemy ich znowu wezwać w razie konieczności.
 - Jeśli spróbuję czegoś takiego, odetną mnie od sieci.
 - Jeśli tego spróbujemy, to dlatego że sieć nie będzie już miała znaczenia.
 - Bo przegramy wojnę.
 - Zastanów się - rzekł Groszek. - Tylko głupi karierowicz próbowałby cię tak otwarcie lekceważyć. On chciał cię poniżyć i zniechęcić. Czymś go uraziłeś?
 - Zawsze urażam ludzi - burknął Suriyawong. - Dlatego w Szkole Bojowej za plecami nazywali mnie Szurakiem. Ty jesteś jedyną znaną mi osobą, która wydaje się bardziej arogancka ode mnie.
 - Czy Naresuan jest głupi? - spytał Groszek.
 - Nigdy tak nie myślałem.
 - Czyli dzisiaj jest dzień, kiedy niegłupi ludzie głupio postępują.
 - Chcesz powiedzieć, że ja też jestem głupi? - obruszył się Suriyawong.
 - Chcę powiedzieć, że Achilles jest głupi.
 - Bo naciera zmasowanymi siłami? Mówiłeś, że tego powinniśmy się spodziewać.
- Najwyraźniej Petra nie przedstawiła mu lepszego planu.
- Albo z niego nie skorzystał.
 - Byłby głupi, gdyby nie skorzystał...
 - Czyli: jeśli Petra przedstawiła mu lepszy plan, a on z niego zrezygnował, to obaj, on i Chakri, są dzisiaj głupcami. Jak wtedy, gdy Chakri udawał, że nie ma wpływu na politykę zagraniczną.
 - W sprawie Chin, znaczy? - Suriyawong zastanowił się szybko. - Racja, oczywiście, że ma wpływ. Ale może zwyczajnie nie chciał, żebyśmy się dowiedzieli, co robią Chiny. Może dlatego był taki pewny, że już nas nie potrzebuje, że nie musimy wkraczać do Birmy. Bo wie, że wejdą Chińczycy,
 - Zatem, kiedy siedzimy tak sobie i obserwujemy wojnę, wiele możemy się dowiedzieć z rozwoju wydarzeń. Jeśli Chiny interweniują, by powstrzymać Indie, zanim jeszcze Achilles dotrze do Tajlandii, będziemy wiedzieć, że Chakri jest sprytnym karierowiczem, niegłupim. Ale jeśli Chiny nie interweniują, musimy rozważyć, dlaczego Naresuan, który nie jest przecież głupcem, postanowił zachować się jak głupiec.
 - O co go podejrzewasz?
 - Co do Achillesa - ciągnął Groszek - niezależnie od tego, jak zinterpretujemy

wydarzenia, i tak postąpił głupio.

- Nie. Tylko wtedy, gdy Petra rzeczywiście zaproponowała mu lepszy plan, a on go zlekceważył.

- Wręcz przeciwnie. Jest głupcem niezależnie od okoliczności. Rozpocząć tę wojnę, gdy istnieje choćby możliwość chińskiej interwencji, to czysta głupota.

- Więc może wie, że Chiny nie będą interweniować - zgadywał Suriyawong. - Wtedy jedynym głupcem pozostaje Chakri.

- Patrzmy, to się przekonamy.

- Ja będę patrzył i zgrzytał zębami.

- Popatrzmy razem - zaproponował Groszek. - Słuchaj, zostawmy tę głupią rywalizację. Tobie chodzi o Tajlandię. Mnie chodzi o to, żeby zrozumieć, co planuje Achilles i jak go powstrzymać. W tej chwili oba te cele pokrywają się niemal idealnie. Powiedzmy sobie wszystko, co wiemy.

- Przecież ty nic nie wiesz.

- Nie wiem nic z tego, co wiesz ty. A ty nie wiesz, co wiem ja.

- Co możesz wiedzieć? - spytał Suriyawong. - Ja jestem tym eemo, który cię odciął od sieci danych wywiadu.

- Wiedziałem o układzie między Indiami i Pakistanem.

- My też.

- Nie mówiłeś mi o tym. A jednak wiedziałem. Suriyawong kiwnął głową.

- Nawet jeśli informacje popłyną tylko w jedną stronę, ode mnie do ciebie, i tak są mocno spóźnione, nie sądzisz?

- Nie interesuje mnie, co jest za wcześnie, a co za późno. Tylko to, co się zdarzy.

W oficerskiej mesie zjedli lunch. Potem wrócili do baraku Suriyawonga, zwolnili wszystkich na resztę dnia i - mając cały barak dla siebie - oglądali w WorldNecie postępy inwazji. Birmańczycy bronili się mężnie, ale bezskutecznie.

- Jak Polska w 1939 roku - stwierdził Groszek.

- A tutaj, w Tajlandii, jesteśmy tak strachliwi jak Francja i Anglia - dodał Suriyawong.

- Przynajmniej Chiny nie najechały na Birmę od północy, jak wtedy Rosja na Polskę od wschodu.

- Niewielka pociecha.

Ale Groszek zaczął się zastanawiać. Dlaczego właściwie Chiny trzymają się z boku? Pekin nie przekazał żadnych komentarzy. Nie mają nic do powiedzenia w sprawie wojny, która wybuchła im pod bokiem? Co chowają w rękawie?

- Może Pakistan to nie jedyny kraj, który podpisał z Indiami pakt o nieagresji...
- Dlaczego? - zdziwił się Suriyawong. - Co Chiny by na tym zyskały?
- Wietnam?
- Niewiele wart wobec zagrożenia, jakim są Indie przyczajone z potężną armią u wrót Chin.

Wkrótce, by oderwać się jakoś od wiadomości - i zapomnieć o utracie wpływów - przestali wpatrywać się w widy i zaczęli wspominać Szkołę Bojową. Żaden nie przywoływał złych doświadczeń, jedynie zabawne i śmieszne. Śmiali się więc, aż nadszedł wieczór.

To popołudnie z Suriyawongiem - teraz, kiedy byli już przyjaciółmi - przypomniało Groszkowi dom na Krecie, rodziców i Nikolaia. Na ogół starał się o nich nie myśleć, ale teraz, kiedy śmiali się i wspominali, poczuł nagle gorzko-słodką tęsknotę. Miał za sobą jeden rok czegoś, co przypominało normalne życie, a teraz się skończyło. Rozpadło się na strzępy, jak ten domek, w którym spędzali wakacje. Jak apartament chroniony przez greckich żołnierzy, skąd Graff i Carlotta zabrali ich w ostatniej chwili.

I nagle po plecach przebiegł mu dreszcz strachu. Odgadł coś, choć nie umiałby wytłumaczyć, w jaki sposób. Umysł dokonał jakiegoś skojarzenia i choć Groszek nie wiedział jak, był pewien, że się nie myli.

- Czy z budynku jest jakieś wyjście, niewidoczne z zewnątrz? - zapytał szeptem tak cichym, że sam ledwie siebie słyszał.

Suriyawong, który był właśnie w środku opowieści o skłonności majora Andersona do dłubania w nosie, kiedy sądził, że nikt nie widzi, spojrzał na niego jak na wariata.

- Co, chcesz się bawić w chowanego?

- Wyjście - powtórzył z naciskiem Groszek, wciąż szeptem. Suriyawong zrozumiał sugestię i odpowiedział także szeptem:

- Nie wiem. Zawsze używam drzwi. Jak większość drzwi, są widoczne z obu stron.

- Kanał ściekowy? Tunel grzewczy?

- To Bangkok. Nie mamy tuneli grzewczych.

- Jakakolwiek droga na zewnątrz!

Głos Suriyawonga znów zabrzmiał normalnie.

- Przejrzę plany. Ale jutro, chłopie, jutro. Już wieczór i przegadaliśmy kolację.

Groszek złapał go za ramię, odwrócił i spojrzał prosto w oczy.

- Nie żartuję - szepnął jeszcze ciszej. - Natychmiast. Musimy wyjść z budynku. Niezauważeni.

Suriyawong w końcu zrozumiał, że Groszek jest naprawdę wystraszony. Ściszył głos.

- Dlaczego? Co się dzieje?

- Powiedz jak.

Suriyawong przymknął oczy.

- Rów melioracyjny. Dawny wykop. Postawili tymczasowe baraki na dawnym placu defiladowym. Dokładnie pod naszym biegnie płytki wykop. Trudno go nawet zauważyć, ale jest szczelina.

- Gdzie możemy dostać się pod spód ze środka? Suriyawong przewrócił oczami.

- Te baraki są zbudowane z dykty.

Na dowód podniósł róg dużego dywanu, zwinął go, po czym bez większego wysiłku podważył kawałek podłogi. Pod spodem była ziemia pokryta bladą trawą, która zwiędła z braku światła.

- Gdzie jest wykop? - spytał Groszek. Suriyawong pomyślał chwilę.

- Chyba przecina korytarz. Ale tam podłoga jest obita wykładziną.

Groszek podkręcił głośność widu, wyszedł z gabinetu i przebiegł przez biuro na korytarz. Oderwał róg wykładziny i szarpnął mocno. Poleciały strzępki dywanu, a Groszek ciągnął, dopóki nie zatrzymał go Suriyawong.

- Myślę, że gdzieś tutaj - powiedział.

Oderwali część podłogi. Tym razem odkryli w poźółklej ziemi zagłębienie.

- Przeciśniesz się? - spytał Groszek.

- Przecież to ty masz dużą głowę.

Groszek rzucił się na ziemię. Była wilgotna - w końcu to Bangkok - więc już po chwili pokrył go lepki brud. Czołgał się z wysiłkiem. Każda belka podłogowa stanowiła wyzwanie i kilka razy musiał kopać swym wojskowym nożem, żeby przecisnąć pod nimi głowę. Ale sunął naprzód i po kilku minutach wynurzył się w ciemności. Nie wstawał. Suriyawong, chociaż nie wiedział, co się dzieje, także nie podniósł głowy, kiedy wyłonił się spod baraku.

Czołgali się aż do miejsca, gdzie dawny rów melioracyjny zniknął pod następnym barakiem.

- Tylko mi nie mów, że mamy znów włączyć pod podłogę...

Groszek przyjrzał się, jak pada światło księżyca, lamp na werandzie i latarni. Musiał założyć, że wrogowie są przynajmniej trochę niedokładni. Jeśli używają czujników podczerwieni, cała ich ucieczka nie miała sensu. Ale jeśli tylko obserwują okolicę, pilnując drzwi, on i Suriyawong dotarli już do miejsca, gdzie spokojny spacer nie zwróci niczyjej uwagi.

Zaczął wytaczać się z zagłębienia.

Suriyawong chwycił go za nogę. Groszek obejrzał się. Suriyawong wykonał gest, jakby

nacierał policzki, czoło i uszy.

Groszek całkiem zapomniał, że jego skóra jest jaśniejsza. Byłby bardziej widoczny.

Wilgotną ziemią spod trawy natarł twarz, uszy i ręce. Suriyawong kiwnął głową.

Wypełzli z wykopu i poczołgali wzdłuż ściany baraku za róg - rosnące tu krzaki dawały osłonę. Na chwilę stanęli w cieniu, po czym odeszli swobodnym krokiem, jakby właśnie wyszli z baraku. Groszek miał nadzieję, że nie są widoczni dla nikogo, kto obserwuje barak Suriyawonga. Ale gdyby nawet, i tak nie powinni zwrócić niczyjej uwagi - dopóki ktoś by nie zauważył, że są trochę za niscy.

Dopiero pół kilometra dalej Suriyawong wreszcie się odezwał.

- Czy zechciałbyś mi zdradzić, w co właściwie gramy?

- W przeżycie.

- Nie podejrzewałem, że schizofrenia paranoidalna może zaatakować tak szybko.

- Próbowali już dwa razy - wyjaśnił Groszek. - I nie mieli oporów przed zabiciem przy okazji całej mojej rodziny.

- Ale przecież zwyczajnie sobie gadaliśmy. Co takiego zobaczyłeś?

- Nic.

- Coś usłyszałeś?

- Nic - powtórzył Groszek. - Miałem przeczucie.

- Błagam, nie mów mi tylko, że jesteś jasnowidzem.

- Nie, nie jestem. Ale w wypadkach ostatnich paru godzin coś musiało mi się podświadomie skojarzyć. Słucham moich lęków. Działam, opierając się na nich.

- I to skutkuje?

- Ciągle żyję. Potrzebny mi publiczny komputer. Możemy wydostać się z bazy?

- To zależy, jak wszechobecny jest ten spisek przeciwko tobie - odparł Suriyawong. - A przy okazji, potrzebujesz też kąpiel.

- Jest tu jakieś miejsce ze zwykłym komputerem z publicznym dostępem?

- Jasne. Sala dla gości, niedaleko wyjścia na przystanek tramwajowy. Ale czy nie byłoby zabawne, gdyby twoi zabójcy z niej korzystali?

- Moi zabójcy nie są gośćmi. To zaniepokoiło Suriyawonga.

- Nie wiesz nawet, czy ktoś naprawdę usiłuje cię zabić, ale jesteś pewien, że to ktoś z tajskiej armii?

- To Achilles - odparł Groszek. - A on nie siedzi w Rosji. Indie nie mają tak sprawnej służby wywiadowczej, żeby przeprowadzić tego typu operację w bazie tajskiego dowództwa. Czyli musi to być ktoś, kogo Achilles przeciągnął na swoją stronę.

- Nikt tutaj nie jest na żołdzie Indii - oburzył się Suriyawong.

- Prawdopodobnie - zgodził się Groszek. - Ale Indie to nie jedyne miejsce, gdzie Achilles ma przyjaciół. Przez dłuższy czas przebywał w Rosji. Musiał też nawiązać inne kontakty.

- Trudno traktować to poważnie - rzekł Suriyawong. - Jeśli teraz zaczniesz się śmiać i powiesz, że mnie nabrałeś, to sam cię zabiję.

Dotarli do sali gości. Nikt tam nie korzystał z komputerów. Groszek załogował się, korzystając z jednej ze swych licznych fałszywych tożsamości. Napisał list do Graffa i siostry Carloty.

Wiecie, kim jestem. Uważam, że dojdzie do zamachu na moje życie. Jak najszybciej wyślijcie wiadomości do swoich kontaktów w rządzie Tajlandii i uprzedźcie o zamachu. Powiedzcie, że tkwią w tym ludzie z najbliższego otoczenia Chakriego. Nikt inny nie miałby możliwości. Sądzę, że Chakri wiedział z góry. Hindusi, rzekomo zamieszani w sprawę, są kozłami ofiarnymi.

- Nie możesz tak pisać - zaprotestował Suriyawong. - Nie masz żadnych dowodów, żeby oskarżać Naresuana. Zezłościł mnie, ale jest lojalnym Tajem.

- Jest lojalnym Tajem - zgodził się Groszek. - Można być lojalnym i mimo to chcieć mojej śmierci.

- Ale nie mojej.

- Gdybyś chciał, żeby wyglądało to na ohydne dzieło obcych sił, to mążny Taj powinien zginąć wraz ze mną. A jeśli zechcą upozorować zamach na akcję indyjskiej grupy specjalnej? Taka prowokacja wystarczyłaby do wypowiedzenia wojny, prawda?

- Chakri nie potrzebuje prowokacji.

- Owszem, jeśli Birmańczycy mają uwierzyć, że Tajlandia nie chce zwyczajnie wyrwać dla siebie kawałka ich kraju - odparł Groszek i wrócił do pisania.

Przekażcie im, że Suriyawong i ja żyjemy. Wyjdziemy z ukrycia, kiedy zobaczymy siostrę Carlottę w towarzystwie przynajmniej jednego wysokiego urzędnika rządowego, którego Suriyawong rozpozna. Działajcie natychmiast. Jeśli się mylę, możecie się ośmieszyć. Jeśli mam rację, uratujecie mi życie.

- Niedobrze mi się robi na myśl, jak bardzo się skompromituję. Do kogo to wysyłasz?

- Do ludzi, którym ufam. Jak tobie.

Potem, przed wysłaniem listu, dodał w okienku odbiorców adres Petera jako Locke'a.

- Znasz brata Endera Wiggina? - zdziwił się Suriyawong.

- Owszem, spotkałem go kiedyś. Groszek się wyłączył.

- Co teraz? - spytał Suriyawong.

- Chyba musimy się ukryć.

Wtedy usłyszeli eksplozję. Zabrzęczały szyby. Zadygotała podłoga. Światła zamigotały, a komputery zaczęły restartować.

- Zdążyliśmy akurat na czas - zauważył Groszek.

- Co to było?

- Koniec. Jesteśmy już martwi.

- Gdzie się ukryjemy?

- Jeśli zdetonowali bombę, to myśleli, że nadal siedzimy w baraku. Czyli nie będą nas teraz szukać. Możemy iść do moich koszar. Moi ludzie pomogą nam się ukryć.

- Chcesz na to postawić moje życie? - zapytał Suriyawong.

- Tak - potwierdził Groszek. - Na razie mam niezłe wyniki w jego chronieniu.

Wyszli z sali dla gości i zobaczyli wozy wojskowe pędzące tam, gdzie kłęby dymu sięgały księżycowego nieba. Inne mknęły ku bramom bazy - od tej chwili nikt tu nie wejdzie ani się nie wydostanie.

Zanim dotarli do koszar, gdzie kwaterował oddział Groszka, usłyszeli strzały.

- W tej chwili likwidują fałszywych indyjskich szpiegów, na których zrzuca winę - wyjaśnił Groszek. - Chakri z żalem poinformuje rząd, że wszyscy stawiali opór. Żadnego nie udało się wziąć żywcem.

- Znowu go oskarżasz - zauważył Suriyawong. - Dlaczego? Skąd wiedziałeś, co się stanie?

- Domyśliłem się chyba dlatego, że zbyt wielu inteligentnych ludzi zaczęło nagle działać głupio. I Achilles, i Chakri. W dodatku niesprawiedliwie nas potraktował. Dlaczego? Ponieważ nasza śmierć go niepokoiła. Musiał sam siebie przekonać, że jesteśmy niełojalnymi dziećmi, które stoją po stronie MF. Że jesteśmy zagrożeniem dla Tajlandii. Kiedy w końcu zaczął nas nienawidzić, potrafił sam przed sobą usprawiedliwić zamach.

- Ale to jeszcze daleko do odgadnięcia, że właśnie mają nas zabić.

- Prawdopodobnie planowali zamach na moją kwaterę. Możliwe, że zaplanowali go na inną okazję, na przykład że Chakri wezwie nas na jakieś spotkanie i tam zginiemy. Ale kiedy przez długie godziny siedzieliśmy w twoim gabinecie, zrozumieli, że właśnie teraz trafia się idealna okazja. Musieli skontaktować się z Chakrim i uzyskać jego zgodę na przyspieszenie akcji. Zapewne musieli też w pośpiechu przerzucić na miejsce indyjskich bandytów; to zresztą mogą być prawdziwi schwytni szpiegi. Albo znarkotyzowani tajscy przestępcy mający przy sobie obciążające dokumenty.

- Nie obchodzi mnie, kim są - przerwał Suriyawong. - Wciąż nie rozumiem, skąd wiedziałeś.

- Ja też nie - wyznał Groszek. - Na ogół bardzo szybko analizuję sytuację i dokładnie rozumiem, skąd wiem to, co wiem. Ale czasami moja podświadomość wyprzedza świadomość. Tak się zdarzyło podczas ostatniej bitwy z Enderem. Byliśmy skazani na klęskę, nie widziałem żadnego rozwiązania. I wtedy coś powiedziałem: ironiczne stwierdzenie, gorzki żart. Ale zawierał tę właśnie sugestię, której potrzebował Ender. Od tego czasu staram się nie lekceważyć podświadomych procesów, które dostarczają mi odpowiedzi. Potem przypomniałem sobie także inne sytuacje, kiedy mówiłem coś, co właściwie nie było usprawiedliwione przez świadomą analizę. Jak wtedy, kiedy staliśmy nad powalonym Achillesem, a ja powiedziałem Buch, żeby go zabić. Nie chciała, a ja nie potrafiłem jej przekonać, bo naprawdę nie wiedziałem dlaczego. Ale zrozumiałem, kim on jest. Wiedziałem, że musi zginąć, bo inaczej ją zabije.

- A wiesz, co ja myślę? - spytał Suriyawong. - Myślę, że usłyszałeś coś na zewnątrz. Albo zauważyłeś podświadomie po drodze. Kogoś, kto nas obserwuje. I to ich zdradziło.

Groszek mógł tylko bezradnie wzruszyć ramionami.

- Całkiem możliwe, że masz rację. Jak już mówiłem, sam tego nie rozumiem.

Był już wieczór, ale dotknięcie dłoni Groszka wciąż otwierało zamki i mogli przechodzić, nie wzbudzając alarmu. Nikt nie zadał sobie trudu, by odebrać mu uprawnienia. Wejście do baraku będzie zarejestrowane gdzieś na komputerze, ale program strażniczy działa automatycznie. Zanim ktoś z ludzi przejrzy zapisy, przyjaciele Groszka powinni już przystąpić do działania.

Z satysfakcją odkrył, że choć jego oddział przebywał w koszarach, na terenie bazy sztabu tajskiej armii, ludzie nie zapomnieli o dyscyplinie. Gdy tylko przekroczyli próg, on i Suriyawong zostali pochwyceni, ustawieni pod ścianą i przeszukani.

- Dobra robota - pochwalił Groszek.

- To pan, sir! - zdumiony żołnierz zasalutował.

- I Suriyawong - dodał Groszek.

- Sir!

Obaj wartownicy stanęli na baczność.

Zamieszanie obudziło kilku innych.

- Żadnych świateł - polecił szybko Groszek. - Żadnych głośnych rozmów. Broń nabita. Przygotować się do ewakuacji alarmowej.

- Wynosimy się? - zdziwił się Suriyawong.

- Jeśli dowiedzą się, że tu jesteśmy, i postanowią dokończyć robotę, to miejsce nie nadaje się do obrony.

Kilku żołnierzy cicho budziło śpiących, a wszyscy szybko się ubierali i ładowali broń. Groszek nakazał jednemu z wartowników zaprowadzić się do komputera.

- Wy się zalogujcie - polecił.

Potem zajął miejsce żołnierza i z jego adresu napisał do Graffa, Carlotty i Petera.

Obie przesyłki bezpieczne, oczekują na odbiór. Proszę się spieszyć, bo zostaną zwrócone do nadawcy.

Wysłał na zwiad jeden pluton podzielony na cztery pary. Kiedy wracali, zastępowali ich kolejne pary z innych plutonów. Zależało mu na ostrzeżeniu z takim wyprzedzeniem, by przed ewentualnym szturmem zdążyć wyprowadzić żołnierzy.

Tymczasem włączyli wid i oglądali wiadomości. Wkrótce pojawiły się pierwsze raporty. Indyjscy agenci najwyraźniej przeniknęli do bazy sztabu tajskiej armii i podłożyli bombę pod tymczasowy barak, zabijając Suriyawonga, najznakomitszego absolwenta Szkoły Bojowej z Tajlandii. Suriyawong od półtora roku, od powrotu z przestrzeni, kierował wydziałem doktryny wojennej i planowania strategicznego; jego śmierć jest ogromną narodową tragedią. Nie ma jeszcze potwierdzenia, ale wstępne raporty wskazują, że kilku indyjskich agentów zginęło z rąk żołnierzy, bohatersko broniących Suriyawonga. Śmierć poniósł także inny absolwent Szkoły Bojowej, który przybył do Suriyawonga z wizytą.

Kilku żołnierzy Groszka parsknęło śmiechem, ale zaraz wszyscy spoważnieli. Ktoś przekazał reporterom, że Suriyawong i Groszek zginęli - musiał więc wierzyć, że byli w baraku w momencie eksplozji. A wybuch nastąpił o takiej porze, że wiedzieć to można było, jedynie gdyby znaleziono ciała albo gdyby barak był obserwowany. Ciał w oczywisty sposób nie znaleziono. Zatem człowiek, który pisał oficjalne raporty z gabinetu Chakriego, musiał należeć do spisku.

- Mogę zrozumieć, że ktoś chciał zabić Borommakota - odezwał się Suriyawong. - Ale dlaczego mnie?

Żołnierze zaśmiali się głośno. Groszek także się uśmiechnął.

Patrole wróciły i wyruszyły, i znowu, i znowu. Żadnych ruchów jednostek w stronę koszar. W wiadomościach przekazywano wstępne opinie komentatorów. Indie wyraźnie próbowały osłabić tajską armię, eliminując najlepszy umysł militarny w kraju. Tego nie można tolerować. Rząd nie ma teraz wyboru: musi wypowiedzieć wojnę i przyłączyć się do Birmy w walce z indyjską agresją.

Po chwili nadeszła nowa wiadomość. Premier oświadczył, że śledztwo w sprawie

katastrofy obejmie osobistym nadzorem. Ktoś z wojskowych wyraźnie nie dopełnił obowiązków i dopuścił, by obcy przeniknęli do bazy sztabu. Aby zatem chronić reputację Chakriego i dopilnować, by nie pojawił się nawet cień podejrzenia, że wojskowi spróbują maskować swoje błędy, śledztwo będzie nadzorować komenda policji w Bangkoku. Natomiast ruiny wysadzonego budynku zbadają eksperci ze straży pożarnej.

- Niezły pomysł - pochwalił Suriyawong. - Tłumaczenie premiera ma solidne podstawy. Chakri nie będzie bronił policji dostępu do bazy.

- Jeśli ludzie ze straży pojawią się szybko - dodał Groszek - mogą nie dopuścić, żeby ludzie Chakriego weszli do baraku, kiedy tylko wystygnie po pożarze. Więc nie dowiedzą się, że nas tam nie było.

Syreny wewnątrz bazy oznajmiły przybycie policji i straży pożarnej. Groszek czekał na odgłosy strzelaniny - bezskutecznie.

Zamiast tego wróciły biegiem dwa patrole.

- Ktoś tu idzie, ale nie żołnierze. To policjanci z Bangkoku. Szesnastu. I cywil.

- Tylko jeden? - zdziwił się Groszek. - Czy wśród nich jest kobieta?

- Nie ma kobiet i tylko jeden. Wydaje mi się, sir, że to sam premier.

Groszek wysłał kolejne patrole, by sprawdzić, czy w pobliżu znajdują się jakieś siły wojskowe.

- Skąd wiedzieli, że tu jesteśmy? - zdziwił się Suriyawong.

- Kiedy przejęli biuro Chakriego, zajrzeli do akt wojskowego personelu. I odkryli, że żołnierz, który wysłał wiadomość, przebywał wtedy w tym baraku.

- Czyli możemy wyjść bezpiecznie?

- Jeszcze nie. Wrócił patrol.

- Pan premier pragnie wejść na teren koszar. Sam.

- Proszę - odparł Groszek. - Zaproście go.

- Jesteś pewien, że nie jest obwieszony materiałem wybuchowym i nie pozabija nas wszystkich? - zapytał Suriyawong. - Wiesz, twoja paranoja do tej pory zachowała nas przy życiu.

Jakby w odpowiedzi, wid pokazał, że Chakri odjeżdża w eskorcie policji spod głównej bramy bazy. Naresuan złożył dymisję, ale za namową premiera zgodził się jedynie udać na urlop. Tymczasem minister obrony objął osobistym nadzorem kancelarię Chakriego, a generałowie z jednostek liniowych przybywali do stolicy, by objąć inne stanowiska wymagające publicznego zaufania. Do tego czasu policja kontrolowała system dowodzenia. „Nie możemy być pewni bezpieczeństwa, dopóki się nie dowiemy, w jaki sposób ci indyjscy

szpiedzy przeniknęli do naszej najważniejszej bazy”, powiedział minister obrony.

Premier wszedł do koszar.

- Suriyawong - powiedział i skłonił się nisko.

- Panie premierze - odparł Suriyawong i ukłonił się wyraźnie nie tak nisko.

Och, próżność absolwenta Szkoły Bojowej, pomyślał Groszek.

- Leci do nas pewna zakonnica - oświadczył premier. - Mieliśmy jednak nadzieję, że zaufacie mi i wyjdziecie z ukrycia, nie czekając na jej przybycie. Tak się składa, że była na drugim końcu świata.

Groszek wysunął się naprzód i przemówił w całkiem niezłym thai:

- Panie premierze, sądzę, że Suriyawong i ja jesteśmy bezpieczniejsi tutaj, z tymi wiernymi żołnierzami, niż w dowolnym innym miejscu w Bangkoku.

Premier spojrział na żołnierzy stojących na baczność i w pełni uzbrojonych.

- Czyli ktoś tu, w samym środku naszej bazy, ma swoją prywatną armię...

- Nie wyraziłem się dostatecznie jasno - rzekł Groszek. - Ci żołnierze są absolutnie lojalni wobec pana. Może im pan rozkazywać, ponieważ w tej chwili to pan jest Tajlandią.

Premier lekko skłonił głowę, po czym zwrócił się do żołnierzy.

- W takim razie rozkazuję wam aresztować tego cudzoziemca.

Natychmiast dwóch ludzi chwyciło Groszka za ręce, a trzeci obszukał go sprawnie. Suriyawong szeroko otworzył oczy, ale poza tym nie okazał zdziwienia.

Premier uśmiechnął się.

- Możecie go puścić. Chakri ostrzegał mnie, zanim udał się na urlop, że żołnierze ci zostali poddani praniu mózgów i nie są już wierni Tajlandii. Widzę, że został źle poinformowany. A ponieważ mylił się w tej kwestii, sądzę, że masz rację. Będziesz bezpieczny tutaj, pod ich ochroną, dopóki nie wykryjemy zasięgu spisku. Byłbym wdzięczny, gdybym mógł wysłać setkę tych ludzi, żeby współpracowali z policją w przejmowaniu bazy.

- Nalegam, żeby wziął pan ich wszystkich prócz ośmiu.

- Których ośmiu?

- Każdy z tych ośmioosobowych plutonów, panie premierze, mógłby przez dobę powstrzymać całą indyjską armię.

To był nonsens, oczywiście, ale zdanie dobrze brzmiało, a żołnierze kochają takie słowa.

- W takim razie, Suriyawong - zdecydował premier - byłbym ci wdzięczny, gdybyś wziął wszystkich żołnierzy prócz ośmiu i poprowadził ich, by w moim imieniu przejęli kontrolę nad bazą. Do każdej grupy przydzielę policjanta, by było wyraźnie widoczne, że działają z

mojego upoważnienia. A jeden pluton, naturalnie, pozostanie z tobą, by przez cały czas zapewnić ci ochronę.

- Tak jest, panie premierze - odparł Suriyawong.

- Pamiętam - dodał premier - jak w ostatniej swojej kampanii mówiłem, że dzieci Tajlandii są kluczem do przetrwania narodu. Nie miałem wtedy pojęcia, jak dosłownie i jak szybko to się sprawdzi.

- Kiedy dotrze tu siostra Carlotta - wtrącił Groszek - proszę jej przekazać, że nie jest już potrzebna, ale z radością się z nią spotkam, jeśli znajdzie dla mnie czas.

- Powiem jej - obiecał premier. - A teraz bierzmy się do pracy. Przed nami długa noc.

Wszyscy zachowywali powagę, kiedy wezwano dowódców plutonów. Groszek z podziwem odkrył, że Suriyawong zna ich z imienia i twarzy. Może nie szukał towarzystwa Groszka, ale z pewnością pilnie śledził jego działania.

Dopiero kiedy wszyscy ruszyli wypełniać swoje zadania, każdy pluton z jednym policjantem niczym proporcem bojowym, Suriyawong i premier pozwolili sobie na uśmiechy.

- Dobra robota - pochwalił premier.

- Dziękuję, że uwierzył pan w nasz raport - odezwał się Groszek.

- Nie byłem pewien, czy mogę ufać Locke'owi. A minister kolonizacji Hegemona to w tej chwili już tylko polityk. Ale kiedy papież osobiście do mnie zatelefonował, nie miałem wyboru. Teraz powinienem wyjść na zewnątrz i przekazać ludziom pełną prawdę o tym, co zaszło.

- Że indyjscy agenci rzeczywiście usiłowali zabić mnie i anonimowego cudzoziemskiego gościa? - upewnił się Suriyawong. - Ale ocaleliśmy dzięki błyskawicznej akcji bohaterskich żołnierzy armii Tajlandii? Czy może anonimowy gość zginął?

- Obawiam się, że zginął - westchnął Groszek. - Wybuch rozerwał go na kawałki.

- W każdym razie - dokończył Suriyawong - zapewni pan naród, że wrogowie Tajlandii przekonali się dzisiaj, iż można tajskej armii rzucić wyzwanie, ale nie można jej pokonać.

- Cieszę się, że szkolisz się na żołnierza - stwierdził premier.

- Nie chciałbym spotkać się z tobą jako rywalem w kampanii politycznej.

- Nasza rywalizacja jest niemożliwa - zapewnił Suriyawong.

- Ponieważ nie moglibyśmy się różnić poglądami na żaden temat.

Wszyscy wyczuli ironię, ale nikt się nie roześmiał. Suriyawong wyszedł wkrótce razem z premierem i ośmioma żołnierzami. Groszek został w koszarach z ostatnim plutonem i razem oglądali w widzie, jak rozwijają się kłamstwa.

Głos spikera brzęczał cicho, a Groszek zaczął rozmyślać o Achillesie. W jakiś sposób

udało mu się odkryć, że Groszek żyje? Oczywiście Chakri był źródłem przecieku. Jeśli jednak Chakri przeszedł na stronę Achillesa, po co mu była śmierć Suriyawonga?

Jako pretekst do wojny z Indiami? To przecież bez sensu. Indiom z pewnością nie zależało na tym, by Tajlandia przystąpiła do wojny. Jeżeli dodać do tego jeszcze prymitywną, przewidywalną i kosztowną strategię masowego szturmu, wszystko zdawało się sugerować, że Achilles jest jakimś idiotą.

A przecież nie jest. Zatem prowadzi grę bardziej skomplikowaną i mimo swej wychwalanej podświadomości Groszek wciąż nie wiedział, na czym ta gra polega. Achilles zaś wkrótce się dowie - jeśli jeszcze nie wie - że Groszek nie zginął w zamachu.

Jest w morderczym nastroju, myślał Groszek. Petro, pomóż mi znaleźć sposób, żeby cię ocalić.

14. Hajdarabad

Post na Forum Polityki Międzynarodowej

From: EnsiRaknor@TurkMilNet.gov

Subject: Gdzie jest Locke, kiedy go potrzebujemy?

Czy jestem jedynym, który chciałby, żeby Locke zajął się ostatnimi wydarzeniami w Indiach? Kiedy Indie przekroczyły granicę Birmy, a wojska Pakistanu koncentrują się w Beludżystanie, zagrażając Iranowi i zatoce, potrzebne jest nowe spojrzenie na sytuację w południowej Azji. Dawne modele wyraźnie już nie działają.

Chciałbym wiedzieć, czy ForPolMi zrezygnowało z komentarzy Locke'a, kiedy Peter Wiggin ujawnił się jako autor, czy zrezygnował Wiggin? Ponieważ jeśli była to decyzja FPM, trzeba ją brutalnie nazwać głupią. Nie wiedzieliśmy, kim jest Locke, ale słuchaliśmy go, bo mówił z sensem. Raz po raz okazywało się, że on jeden potrafi rozwikłać kłopotliwą sytuację, a przynajmniej jako pierwszy dostrzega, co się naprawdę dzieje. Jakie to ma znaczenie, czy jest nastolatkiem, embrionem czy gadającym prosięciem?

A skoro już o tym mowa, to kiedy zbliża się do końca kadencja Hegemona, coraz bardziej niepokoi mnie nowy kandydat. Ktoś prawie rok temu zaproponował na ten urząd Locke'a. Dobry pomysł. Tylko teraz niech Locke obejmie tę funkcję pod własnym nazwiskiem. To, czego dokonał Ender Wiggin w wojnie z Formidami, Peterowi Wigginowi może się udać z pożarem, który już wybuchł - mógłby go stłumić.

Odp. 14, od Talleyrandophile@polnet.gov

Nie chcę być przesadnie podejrzliwy, ale skąd mamy wiedzieć, że nie jesteś Peterem Wigginem, który znowu chce włączyć się do gry?

Odp. 14.1, od EnsiRaknor@TurkMilNet.gov

Nie chcę używać argumentów osobistych, lecz adresy w Tureckiej Sieci Wojskowej nie bywają przydzielane nastolatkom, którzy pracują jako konsultanci na Haiti. Zdaję sobie sprawę, że w polityce międzynarodowej nawet paranoicy wydają się całkiem rozsądni, ale gdyby Peter Wiggin mógł pisać z tego adresu, musiałby już rządzić światem. Może moja

tożsamość posłuży za argument. Mam już powyżej dwudziestki i jestem absolwentem Szkoły Bojowej. Może dlatego myśl, by rządy powierzyć dzieciakowi, nie wydaje mi się szalona.

Virłomi poznała Petrę natychmiast, już w chwili jej przybycia do Hajdarabadu. Co prawda była znacznie starsza, więc ich pobyt w Szkole Bojowej zajął im zaledwie rok, lecz w owym czasie Virłomi zwracała pilną uwagę na każdą dziewczynę. Nie było to trudne, skoro przyłot Petry zwiększył ich liczbę do dziewięciu - z czego pięć skończyło Szkołę równocześnie z Virłomi. Zdawało się, że studia dziewcząt były eksperymentem, który nie przyniósł spodziewanych wyników.

W Szkole Bojowej Petra była twardym starterem, wyszczekaną pannicą, która dumnie odrzucała wszelkie dobre rady. Postanowiła chyba poradzić sobie jako dziewczyna wśród chłopców, spełniać wszelkie wymagania i bez pomocy znosić ich drwiny. Virłomi to rozumiała. Na początku sama postępowała tak samo. Miała więc nadzieję, że Petry nie czekają doświadczenia podobnie bolesne, jakie sama przeszła. W końcu zrozumiała, że wrogość chłopców jest na ogół nie do przezwyciężenia, a dziewczyna potrzebuje wszelkiej pomocy, jaką zdoła uzyskać.

Zapamiętała Petrę dobrze, więc od razu zauważyła jej nazwisko, kiedy po wojnie zaczęto publikować artykuły o jeeshu Endera. Była wśród nich jedna dziewczyna, armeńska Joanna d'Arc. Virłomi czytała prasę i uśmiechała się z satysfakcją. Petra okazała się zatem tak twarda, jak sądziła. I bardzo dobrze.

Potem cały jeesh Endera został porwany albo zabity... A kiedy porwani wrócili z Rosji, Virłomi załamana odkryła, że jedyną osobą, której los pozostał nieznany, była Petra Arkanian.

Tyle że nie miała czasu na żałobę. Zespół indyjskich absolwentów Szkoły Bojowej zyskał nagle nowego dowódcę. Natychmiast rozpoznali w nim Achillesa, którego Locke zdemaskował jako psychopatycznego mordercę. Wkrótce potem zauważyli, że często towarzyszy mu milcząca, zmęczona dziewczyna, której nazwiska nigdy nie zdradzono.

Virłomi ją rozpoznała: Petra Arkanian.

Nie wiedziała, dlaczego Achilles ukrywa tożsamość jeńca, ale to się jej nie podobało. Dopilnowała, by wszyscy w zespole planowania strategii wiedzieli, że to właśnie jest brakujący członek jeeshu Endera. Oczywiście nie rozmawiali z Achillesem o Petrze - wykonywali tylko jego polecenia i składali meldunki, kiedy ich zażądał. Już wkrótce milcząca Petra była traktowana jako ktoś całkiem zwyczajny. Ale inni przecież nie znali jej wcześniej.

Virłomi wiedziała, że jeśli Petra milczy, oznacza to coś strasznego. Oznacza, że Achilles trzyma ją w garści. Ma zakładnika? Porwał kogoś z jej rodziny? Grozi? Czy jeszcze

coś innego? Czyżby Achilles zdołał jakoś przełamać wolę Petry, która kiedyś wydawała się nieugięta?

Virłomi bardzo pilnowała, by Achilles nie zauważył, że poświęca Petrze szczególną uwagę. Obserwowała młodszą dziewczynę i próbowała dowiedzieć się jak najwięcej. Petra korzystała z komputera jak każdy, czytała raporty wywiadu i wszystko inne, co przysyłano. Ale coś się nie zgadzało i Virłomi zrozumiała to dopiero po dłuższym czasie: kiedy była zalogowana, Petra niczego nie pisała. Wiele sieciowych serwisów wymagało hasła, a przynajmniej rejestracji, by z nich korzystać. Lecz poza podaniem rano hasła, żeby podłączyć się do systemu, Petra nigdy nic nie wpisywała.

Jest zablokowana, domyśliła się Virłomi. Dlatego nigdy nie wysyła nam e-maili. Jest tutaj więźniem. Nie może wysyłać wiadomości na zewnątrz. I z nikim nie rozmawia, ponieważ jej zakazano.

Ale kiedy nie była zalogowana, musiała pracować gorączkowo, ponieważ od czasu do czasu Achilles wysyłał im wszystkim wiadomość, w której wskazywał nowe kierunki dla ich planów. Język tych wiadomości nie był stylem Achillesa, łatwo było zauważyć różnice. Dostawał te strategiczne wskazówki - i to dobre - od Petry, jednej z dziewiątki wybranej, by ratować ludzkość w wojnie z Formidami. Jeden z najznakomitszych umysłów planety trzymany w niewoli przez psychopatycznego Belga.

Kiedy więc inni z dumą prezentowali swoje strategiczne plany wojny agresywnej przeciwko Birmie i Tajlandii, kiedy notki Achillesa budziły w nich entuzjazm dla „Indii sięgających wreszcie po należne sobie miejsce wśród innych narodów”, Virłomi była coraz bardziej sceptyczna. Achilles nie dbał o Indie, niezależnie od używanej retoryki. A kiedy miała już ochotę mu uwierzyć, wystarczyło spojrzeć na Petrę, by przypomnieć sobie, kim on jest.

Ponieważ wszyscy inni chyba kupowali Achillesową wersję przyszłości Indii, Virłomi zachowywała swoje opinie dla siebie. Obserwowała tylko i czekała, aż Petra na nią spojrzy, żeby mogła do niej mrugnąć czy się uśmiechnąć.

Dzień nadszedł. Petra spojrzała. Virłomi uśmiechnęła się.

Petra odwróciła głowę tak obojętnie, jakby Virłomi była krzesłem, a nie osobą próbującą nawiązać kontakt wzrokowy.

Virłomi się nie zniechęciła. Próbowала dalej, aż pewnego dnia, gdy Petra przechodziła obok niej, by napić się wody, potknęła się i przytrzymała fotela Virłomi. Wśród szelestu przesuwanych stóp Virłomi wyraźnie usłyszała jej słowa:

- Przestań. On patrzy.

To było to: potwierdzenie podejrzeń Virłomi, dowód, że Petra ją zauważyła, i

ostrzeżenie, że jej pomoc nie jest potrzebna.

No cóż, to akurat nic nowego. Petra nigdy nie potrzebowała pomocy.

Potem, zaledwie miesiąc temu, nadszedł dzień, kiedy Achilles wysłał im polecenie uaktualnienia dawnych planów - oryginalnej strategii masowego ataku, rzucenia przeciwko Birmie potężnych armii z ich długimi liniami zaopatrzenia. Wszyscy byli zdumieni. Achilles niczego nie tłumaczył, a nawet wydawał się niezwykle miłkliwy i wszyscy zrozumieli, co chciał zasugerować: błyskotliwy plan inwazji został odrzucony przez dorosłych. Kilku najlepszych strategów na świecie opracowało znakomity plan działań, a dorośli zamierzali ich zignorować.

Wszyscy byli zirytowani, ale wkrótce wrócili do rutyny swej pracy, próbując dostosować stare plany do potrzeb zbliżającej się wojny. Żołnierze przegrupowywali się, zapasy rosły w jednym miejscu lub pokazywały się braki w innym. Dopracowali jednak logistykę. A kiedy otrzymali plan Achillesa - a raczej, jak zakładała Virlomi, Petry - przemieszczenia głównych sił znad granicy pakistańskiej na pogranicze Birmy, podziwiali jego pomysłowość. Plan dopasowywał potrzeby armii do istniejącej sieci połączeń kolejowych i lotniczych. Dzięki temu satelity nie mogły wykryć żadnych nietypowych ruchów do chwili, gdy wojska zaczną się formować na granicy. W najlepszym razie przeciwnik uzyska informacje z dwudniowym wyprzedzeniem; jeśli będą nieuważni, tylko jeden dzień wcześniej, nim wszystko stanie się oczywiste.

Achilles wyjechał w jedną ze swych częstych podróży, ale tym razem Petra również zniknęła. Virlomi bała się o nią. Może spełniła już swoje zadanie i kiedy przestała być potrzebna, Achilles ją zabije?

Ale nie. Wróciła tej samej nocy co Achilles.

Następnego ranka dotarła wiadomość o przemieszczeniu wojsk. Zgodnie z chytrym planem Petry, przerzucano żołnierzy nad granicę z Birmą. A później, ignorując równie chytry plan Petry, mieli przystąpić do prymitywnego, masowego ataku.

Dla Virlomi nie miało to sensu.

Potem dostała list z Ministerstwa Kolonizacji Hegemonii - od tego starego sabeeka, pułkownika Graffa.

Jestem pewien, że wiesz, iż jedna z naszych absolwentek Szkoły Bojowej, Petra Arkanian, nie powróciła z innymi, którzy pod dowództwem Endera Wiggina walczyli w decydującej bitwie. Bardzo chciałbym ją odnaleźć; sądzę, że mogła zostać wbrew swej woli przetransportowana do kryjówki gdzieś na terytorium Indii. Jeśli wiesz coś o jej położeniu i obecnej sytuacji, czy mogłabyś dać komuś znać? Na pewno chciałabyś, żeby i dla ciebie ktoś

zrobił coś takiego.

I niemal natychmiast dotarł e-mail od Achillesa.

Pewnie rozumiesz, że jesteśmy w stanie wojny. Wszelkie próby przekazania informacji komuś spoza armii indyjskiej będą traktowane jak szpiegostwo i zdrada, za co zostaniesz zabita.

Czyli Achilles nie tylko blokował kontakty Petry, ale też pilnował, żeby pozostawała ukryta przed światem.

Virlomi nie musiała się nawet zastanawiać, jak postąpić. Cała sprawa nie miała nic wspólnego z tajemnicą wojskową. Chociaż więc jego groźbę potraktowała bardzo poważnie, nie wierzyła, by było coś moralnie nagannego w próbach ominięcia zakazu.

Nie mogła pisać do pułkownika Graffa bezpośrednio. Nie mogła też wysłać żadnej wiadomości zawierającej choćby ukrytą wzmiankę o Petrze. Dowolny e-mail wychodzący z Hajdarabadu byłby zbadany. Teraz, kiedy Virlomi zaczęła się nad tym zastanawiać, doszła do wniosku, że ona i pozostali absolwenci Szkoły Bojowej, pracujący tutaj, w wydziale doktryny i strategii, mieli tylko odrobinę więcej swobody niż Petra. Nie mogli opuszczać terenu bazy. Nie mogli kontaktować się z nikim, kto nie pracował w armii i nie miał wysokiego poziomu dostępu do tajemnic wojskowych.

Szpiedzy mają sprzęt radiowy albo martwe skrzynki, myślała Virlomi. Ale jak można zostać szpiegiem, jeśli nie da się nic przekazać na zewnątrz inaczej niż listem, a nie ma do kogo pisać ani sposobu, by powiedzieć to, co chce się powiedzieć, tak by nie dać się złapać?

W końcu może znalazłaby jakieś rozwiązanie. Ale Petra uprościła proces, podchodząc do niej przy pojemniku z wodą do picia. Kiedy Virlomi napiła się i odsunęła, Petra zajęła jej miejsce.

- Jestem Briseis - rzuciła cicho.

To wszystko.

Odwołanie było oczywiste - wszyscy w Szkole Bojowej znali „Iliadę”. A że w tej chwili ich nadzorcą był Achilles, porównanie do Briseis samo się narzucało. Chociaż... Jednak nie. Briseis była w niewoli u kogoś innego, a Achilles - ten prawdziwy – czuł się upokorzony, gdyż nie mógł jej zdobyć. Więc co Petra miała na myśli twierdząc, że jest Briseis?

To musiało mieć jakiś związek z listem Graffa i ostrzeżeniem Achillesa. Istnieje jakiś klucz, sposób przekazania wiadomości o Petrze. A żeby przekazać wiadomość na zewnątrz, trzeba skorzystać z sieci. Więc „Briseis” musi coś oznaczać dla kogoś w sieci. Może założono gdzieś elektroniczną martwą skrzynkę zakodowaną imieniem Briseis. Może Petra znalazła już kogoś, z kim chce nawiązać kontakt, ale nie potrafi, gdyż została odcięta od sieci...

Virlomi nie bawiła się w poszukiwania. Jeśli ktoś gdzieś szukał Petry, to wiadomość dla niej musiała się znaleźć na serwerze, gdzie Petra mogłaby ją znaleźć w ramach oficjalnych badań. To znaczy, że Virlomi prawdopodobnie знаła już miejsce, gdzie ta wiadomość czeka.

Kłopot w tym, że w tej chwili oficjalnie zajmowała się metodą najbardziej efektywnego minimalizowania zagrożeń dla śmigłowców, jednak bez zużywania nadmiernych ilości paliwa. Problem był tak techniczny, że nie potrafiłaby uzasadnić poszukiwań historycznych czy teoretycznych.

Ale Sayagi, także absolwent Szkoły Bojowej, pięć lat starszy od niej, pracował nad problemem pacyfikacji i zdobywania poparcia miejscowej ludności w krajach okupowanych. Virlomi poszła więc do niego.

- Dostaję już greasy od tych algorytmów - oświadczyła.

- Mam ci pomóc? - zapytał.

- Nie. Chcę tylko odłożyć to wszystko na parę godzin, żeby potem spojrzeć na świeżo. Mogłabym czegoś dla ciebie poszukać?

Oczywiście Sayagi dostał taki sam list jak Virlomi i był dostatecznie bystry, żeby nie potraktować jej propozycji dosłownie.

- Sam nie wiem. A co chciałabyś robić?

- Jakies badania historyczne? Teoretyczne? W sieciach? - Próbowała mu odpowiedzieć, co jest jej potrzebne. A on zrozumiał.

- Toguro. Nie znoszę tej roboty. Potrzebuję danych o nieudanych próbach pacyfikacji i pojednania. Z wyjątkiem wybicia i deportowania wszystkich ludzi i sprowadzenia nowych.

- A co już masz?

- Szukaj, gdzie chcesz. Unikałem tego tematu.

- Dzięki. Chcesz pełny raport, czy tylko linki?

- Wystarczą cytaty. Ale żadnych linków. To tak jakbym sam musiał to robić.

Absolutnie niewinna wymiana zdań. Virlomi zyskała przykrywkę.

Wróciła do swojego komputera i zaczęła przeszukiwać witryny poświęcone historii i teorii wojskowości. Ani razu nie uruchomiła wyszukiwania imienia „Briseis” - to byłoby zbyt oczywiste. Oprogramowanie monitorujące natychmiast by to wykryło, a Achilles, gdyby zobaczył, co robi, zaraz by skojarzył, o co chodzi. Dlatego Virlomi sprawdzała listy dyskusyjne, czytając tematy listów.

Briseis pojawiła się już na drugim serwerze.

Była to wiadomość od kogoś, kto podpisywał się Hektor Zwycięski. Hektor to niezbyt szczęśliwy pseudonim - owszem, był bohaterem i jedynym człowiekiem, który mógł stawić

czoło Achillesowi, ale w końcu zginał, a Achilles włókł jego ciało dookoła murów Troi.

Mimo to przekaz był jasny dla kogoś, kto wiedział, że Briseis oznacza Petrę.

Virlomi przejrzała jeszcze kilka innych listów, udając, że je czyta, gdy w rzeczywistości układała odpowiedź dla Hektora Zwycięskiego. Kiedy była gotowa, wróciła do jego wiadomości i wpisała tekst. Wiedziała, że to, co robi, może się stać powodem jej egzekucji.

Moim zdaniem pozostałaby oporną niewolnicą. Nawet gdyby zmuszono ją do milczenia, znalazłaby sposób, by zachować ducha. Co do przekazania informacji komuś w Troi, to skąd wiesz, że tego nie zrobiła? Tylko co by komu z tego przyszło? Przecież w krótkim czasie wszyscy mieszkańcy Troi zginęli. A może nie słyszałeś o koniu trojańskim? Wiem - Briseis powinna uprzedzić Trojan, by strzegli się Greków przynoszących dary. Albo znaleźć kogoś miejscowego i przyjaznego, kto zrobiłby to dla niej.

Podpisała się własnym imieniem i adresem e-mailowym. W końcu miało to wyglądać na całkiem niewinny list. Bała się nawet, że jest zbyt niewinny. A jeśli osoba, która szuka Petry, nie zrozumie, że aluzje do oporu Briseis i zmuszania jej do milczenia to w rzeczywistości raport naocznego świadka? Albo że ten ktoś miejscowy i przyjazny to sama Virlomi?

Ale jej adres w indyjskiej sieci wojskowej powinien zwrócić uwagę tego kogoś.

Teraz, kiedy wiadomość została wysłana, Virlomi musiała dalej udawać, że prowadzi bezużyteczne badania, o które „poprosił” ją Sayagi. Jeszcze kilka nudnych godzin - stracony czas, jeśli nikt nie odbierze wiadomości.

* * *

Petra starała się nie przyglądać Virlomi zbyt otwarcie. Przecież jeśli Virlomi jest tak sprytna, jak powinna, żeby przeprowadzić tę akcję, z pewnością nie robi nic, czemu warto by się przyglądać. Ale zauważyła, że Virlomi podeszła do Sayagi i rozmawiali chwilę. Potem wróciła do pulpitu i przeglądała strony w sieci, zamiast coś pisać czy wyliczać. Czy zauważy listy Hektora Zwycięskiego?

Albo zauważy, albo nie. Petra nie mogła dłużej się nad tym zastanawiać. W pewnym sensie byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby Virlomi zwyczajnie ich nie zauważyła. Kto mógł przewidzieć, jak chytry okaże się Achilles? Te listy równie dobrze mogły być pułapką na kogoś, kogo by namówiła do pomocy. A to okazałoby się fatalne.

Ale przecież Achilles nie może być wszędzie. Jest inteligentny, jest podejrzliwy, prowadzi jakąś skomplikowaną grę. Jest jednak tylko człowiekiem i nie może przewidzieć wszystkiego. Poza tym jak właściwie ważna była dla niego Petra? Nie wykorzystał nawet jej

planów kampanii. Trzymał ją przy sobie z próżności, niczego więcej.

Meldunki nadchodzące z frontu były takie, jakich można by oczekiwać - Birma stawiała jedynie symboliczny opór, gromadząc główne siły na sprzyjającym terenie. W wąwozach. Na przeprawach.

Wszystko to na próżno, ma się rozumieć. Nieważne, gdzie Birmańczycy próbują się bronić, indyjska armia pójdzie dalej. Birma nie miała po prostu tylu żołnierzy, by zacięcie bronić więcej niż kilku punktów, a Indie mogły napierać na całym froncie. Wystarczyło wokół birmańskich zgromadzeń zostawiać tylu ludzi, by zatrzymać ich w miejscu. Tymczasem pozostałe siły zakończą zdobywanie Birmy i ruszą przez górskie przełęcze do Tajlandii.

Wtedy dopiero zaczną się kłopoty. Indyjskie linie zaopatrzeniowe rozciągną się na całą Birnę. A tajskie lotnictwo było znakomite. Niedawno zaobserwowano, że testują nowy system terenowych lotnisk, których pasy można zbudować w czasie, kiedy maszyny przebywają w powietrzu. Nie warto bombardować pasów startowych, jeśli w ciągu dwóch czy trzech godzin można położyć nowe.

Choć więc raporty wywiadu z Tajlandii były doskonałe - dokładne, precyzyjne i aktualne - w najważniejszych punktach nie miały właściwie znaczenia. Wobec strategii wykorzystywanej przez Tajów, niewiele pozostało na ich terenie sensownych celów.

Petra знаła Suriyawonga, absolwenta Szkoły Bojowej, który kierował strategią i doktryną wojenną Bangkoku. Był dobry. Podejrzany wydawał się fakt, że Tajlandia wprowadziła nową strategię kilka tygodni po ucieczce Achillesa z Rosji. Suriyawong pracował na tym stanowisku już od roku. Skąd ta nagła zmiana? Może ktoś poinformował ich o obecności Achillesa w Hajdarabadzie i co może z tego wyniknąć? Albo ktoś inny dołączył do Suriyawonga i wpłynął na jego sposób myślenia?

Groszek.

Petra nie chciała uwierzyć, że zginął. Te wiadomości musiały pochodzić od niego. Wprawdzie Suriyawong potrafiłby sam wymyślić nową strategię, ale zmiany nastąpiły gwałtownie, bez śladu stopniowego rozwoju. Aż prosiło się oczywiste wyjaśnienie: pojawił się ktoś nowy, ze świeżym spojrzeniem. A kto to może być, jeśli nie Groszek?

Problem leżał gdzie indziej. Jeśli to rzeczywiście Groszek, Achilles dysponował w Tajlandii tak dobrymi źródłami informacji, że mógł go tam wykryć. A jeżeli poprzedni zamach się nie udał, Achilles z całą pewnością nie powstrzyma się przed trzecią próbą.

Wolała o tym nie myśleć. Jeśli Groszek przetrwał jakoś pierwsze dwa zamachy, przeżyje i trzeci. On przecież także może dysponować siatką wywiadowczą w Indiach.

A jeśli to wcale nie Groszek wysyła listy o Briseis? To mógłby być na przykład Dink

Meeker. Tyle że to nie w jego stylu. Groszek zawsze miał skłonność do podstępów, podczas gdy Dink był bardziej konfrontacyjny. Zamieszczałby raczej w sieciach obwieszczenia, że wie o obecności Petry w Hajdarabadzie i żądałby jej uwolnienia. Groszek kiedyś odgadł, że Szkoła Bojowa śledzi ruchy studentów dzięki nadajnikom w ich ubraniach. Rozbierz się i chodź nago, a administracja nie będzie miała pojęcia, gdzie jesteś. Groszek nie tylko o tym pomyślał, ale to zrobił, wspinając się nocą do przewodów wentylacyjnych. Kiedy opowiedział o tym, gdy czekali na Erosie, aż zakończy się Wojna Ligi i będą mogli wrócić do domów, Petra z początku mu nie uwierzyła. Dopóki nie spojrzał jej chłodno w oczy i nie powiedział: „Ja nie żartuję, a gdyby nawet, to nie jest szczególnie zabawne”.

- Nie myślałam, że żartujesz - odparła Petra. - Uznałam, że się przechwalasz.

- To prawda - przyznał Groszek. - Ale nie marnowałbym czasu na przechwalanie się czymś, czego nie zrobiłem.

Taki właśnie był Groszek - wyznawał swoje wady wraz z zaletami. Brak fałszywej skromności, ale też ani śladu próżności. Jeśli w ogóle decydował się z kimś rozmawiać, nie usiłował wydać się lepszy czy gorszy niż w rzeczywistości.

Właściwie w Szkole Bojowej prawie go nie znała. Niby jak? Była starsza. Wprawdzie spotkali się kilka razy i rozmawiali - zawsze rozmawiała z nowymi, których traktowano jak pariasów, gdyż wiedziała, że potrzebują przyjaciela, choćby i dziewczyny. Ale z nim nie miała specjalnie powodów do rozmowy.

Potem nadeszła ta tragiczna chwila, kiedy próbowała ostrzec Endera - a okazało się, że to zmyłka, że wrogowie Endera wykorzystali tę próbę, żeby go dopaść. Groszek przejrzał ich plan i przeszkodził. Po czym oczywiście wywnioskował, że Petra uczestniczyła w spisku przeciwko Enderowi. Podejrzewał ją długo. Petra nie była pewna, kiedy wreszcie uwierzył w jej niewinność. Ale sprawa ta przez długi czas na Erosie była barierą między nimi. Dopiero po zakończeniu wojny mieli okazję, żeby poznać się lepiej.

Wtedy właśnie Petra zrozumiała, kim naprawdę jest Groszek. Trudno było zapomnieć o jego wzroście, nie myśleć jak o przedszkolaku. Wszyscy wiedzieli, że Groszek ma zastąpić Endera, gdyby Ender załamał się pod napięciem. Wielu się to nie podobało. Ale nie Petrze. Zdawała sobie sprawę, że Groszek jest najlepszy z całego jeeshu. To jej nie przeszkadzało.

Kim naprawdę był Groszek? Karłem. To musiała sobie uświadomić. U dorosłych karłów człowiek poznaje po twarzach, że są starsi, niż sugeruje wzrost. Lecz Groszek wciąż był dzieckiem i nie wystąpiło u niego typowe dla karłów nieproporcjonalne skrócenie kończyn - wyglądał na wiek, jaki wynikałby ze wzrostu. Ale kiedy człowiek rozmawiał z nim jak z dzieckiem, był wytlumiany. Petra nigdy tego nie robiła, więc poza krótkim okresem, gdy

podejrzewał ją o zdradę, Groszek zawsze traktował ją z szacunkiem.

Zabawne, że wszystko to wynikało z nieporozumienia. Groszek wierzył, że Petra rozmawia z nim jak z normalnym człowiekiem, bo jest dostatecznie mądra i dojrzała, by nie traktować go jak dziecka. W rzeczywistości traktowała go właśnie tak, jak traktowała małe dzieci. Po prostu zawsze odnosiła się do nich jak do dorosłych. Zasłużyła więc na uznanie wyłącznie dzięki szczęściu.

Zanim jednak wojna dobiegła końca, nie miało to już znaczenia. Wiedzieli, że wracają do domu - wszyscy oprócz Endera, jak się okazało - i nie liczyli, że na Ziemi znowu się zobaczą. Opanowało ich więc poczucie swobody, zapomnieli o ostrożności. Można było mówić, co kto chciał. Nie warto się było obrażać, bo za parę miesięcy to i tak nie będzie już ważne. Po raz pierwszy mogli mieć trochę zabawy.

I osobą, którą Petra najbardziej polubiła, był właśnie Groszek.

Dink, który zbliżył się do niej na pewien czas w Szkole Bojowej, był trochę urażony tym, że stale przebywa w towarzystwie Groszka. Oskarżał ją nawet - nie wprost, bo nie chciał się narażać na kompletne wymrożenie - że jej związek z Groszkiem ma jakiś romantyczny podtekst. Oczywiście, tak właśnie myślał. Dojrzewał i jak wszyscy chłopcy w jego wieku sądził, że procesy myślowe innych także są przytępiłone testosteronem.

Jednak związek Petry i Groszka był całkiem inny. I nie bratersko - siostrzany. Ani matczyno - synowski czy jakkolwiek dziwaczny psychobzdurny termin, jaki potrafiła wymyślić. Po prostu... po prostu go lubiła. Bardzo długo musiała udowadniać zarozumiałym, zazdrosnym i wystraszonemu chłopcom, że jest sprytniejsza i lepsza od nich, a teraz ze zdziwieniem poznawała kogoś tak aroganckiego, tak pewnego własnej inteligencji, że wcale nie czuł się zagrożony. Jeśli wiedziała o czymś, o czym on nie miał pojęcia, słuchał, patrzył i uczył się. Jedynym znanym jej człowiekiem, który zachowywał się podobnie, był Ender.

Ender... Czasami bardzo za nim tęskniła. Szkoлиła go i czasem mocno za to obrywała od Bonza Madrida, wtedy ich dowódcy. I kiedy w końcu wyszło na jaw, kim jest Ender, z radością dołączyła do tych, którzy poszli za nim, słuchali go i poświęcili się dla niego. Zawsze jednak pamiętała, że była jego przyjaciółką nawet wtedy, kiedy nikt jeszcze nie miał odwagi, by nim zostać. Zmieniła jego życie i chociaż niektórzy sądzili, że go zdradziła, Ender nigdy tak nie uważał.

Kochała Endera z tym dziwnym połączeniem zachwyty i tęsknoty, prowadzącym do głupich marzeń o niemożliwej przyszłości, o wspólnym życiu aż do śmierci. Marzyła o wychowaniu wspólnych dzieci, najmądrzejszych dzieci na świecie. O tym, że stanie u boku największego z ludzi - tak o nim myślała - a wszyscy zobaczą, że ją właśnie wybrał, by mu

towarzyszyła na zawsze.

Marzenia. Po wojnie Ender był rozbity. Załamany. Nie potrafił znieść myśli, że naprawdę doprowadził do zagłady Formidów. Ona także załamała się podczas bitwy, wstyd nie pozwolił jej się zbliżyć - a potem było za późno, oddzielili Endera od pozostałych.

Dlatego właśnie rozumiała, że jej uczucia dla Groszka są całkiem inne. Żadnych marzeń i fantazji - tylko całkowita akceptacja. Jej miejsce było przy Groszku, nie tak jak miejsce żony jest przy mężu, czy też - Boże ucho - dziewczyny przy chłopaku, ale raczej tak jak miejsce lewej ręki jest obok prawej. Po prostu do siebie pasowali. Nic niezwykłego; nic, o czym warto by pisać w Ustach do domu. Ale można na to liczyć. Wyobrażała sobie, że ze wszystkich dzieciaków w Szkole Bojowej, ze wszystkich członków jeeshu Endera właśnie z Groszkiem zachowa bliski kontakt.

A potem wysiedli z promu i rozpiechli się po świecie. I chociaż Grecja leżała stosunkowo blisko Armenii - w porównaniu choćby do Japonii Shena czy Chin Kant Zupy - nie widywali się już, nawet do siebie nie pisali. Wiedziała, że Groszek wraca do domu, by spotkać rodzinę, której wcześniej nie znał. Ona próbowała znowu żyć z własną. Właściwie nie tęskniła za nim ani on za nią. Poza tym nie musieli się spotykać czy gadać bez przerwy - i tak wiedziała, że wciąż są przyjaciółmi, że wciąż należą do siebie jak prawa i lewa ręka. Że gdyby kogoś potrzebowała, pierwszą osobą, jaką powinna wezwać, jest Groszek.

W świecie, gdzie zabrakło Endera Wiggina, oznaczało to, że Groszka kochała najbardziej. Że po nim najbardziej by rozpaczała, gdyby coś mu się przytrafiło.

Dlatego mogła udawać, że nie martwi się o to, czy Achilles załatwi Groszka, ale nie była to prawda. Martwiła się bez przerwy. Oczywiście, martwiła się też o siebie - może nawet trochę bardziej o siebie niż o niego. Ale straciła już jedną miłość swojego życia i choć powtarzała sobie, że te dziecięce przyjaźnie za dwadzieścia lat nie będą już miały znaczenia, nie chciała utracić drugiej.

Komputer zapiszczał.

Na ekranie pojawiła się wiadomość:

Kiedy to pozwoliłem na drzemkę w tym czasie? Przyjdź do mnie natychmiast.

Tylko Achilles pisał tak nieuprzejmie. Przecież nie drzemała. Myślała. Ale nie warto się z nim o to kłócić.

Wylogowała się i wstała.

Zapadł wieczór - na dworze było już ciemno. Rzeczywiście się zamyśliła. Większość pracujących na dziennej zmianie w dziale planowania już wyszła, pojawiali się ludzie z nocnej grupy. Chociaż przy komputerach siedziało jeszcze kilku z dziennej.

Pochwyciła spojrzenie Virlomi, jednej z tych spóźnionych. Dziewczyna wyglądała na niespokojną. To znaczy, że prawdopodobnie wysłała jakąś odpowiedź na ten list o Briseis, a teraz bała się reakcji. No cóż, słusznie się boi. Nikt nie wie, jak Achilles mówi, pisze czy się zachowuje, kiedy zamierza kogoś zabić. Petra uważała, że zawsze planuje czyjąś śmierć i żadna zmiana zachowania nie ostrzeże człowieka, który jest następny na liście. Idź do domu i spróbuj się przespać, Virlomi. Nawet jeśli Achilles odkrył, że próbowałaś mi pomóc, i postanowił cię zlikwidować, i tak nic na to nie poradzisz, więc równie dobrze możesz zasnąć snem dziecka.

Petra ruszyła przez korytarze. Szła jak w transie. Czy rzeczywiście spała, kiedy Achilles do niej napisał? Czy to ważne?

Chyba ona jedyna z działu strategii i doktryn wiedziała, gdzie jest gabinet Achillesa. Bywała tam często, choć ten zaszczyt nie robił na niej wrażenia. Cieszyła się swobodą niewolnika czy jeńca. Achilles pozwalał jej zakłócać własną samotność, gdyż nie uważał Petry za pełnowartościową osobę.

Jedną ścianę jego gabinetu pokrywał wielki ekran komputerowy, w tej chwili ukazujący szczegółową mapę regionów wokół granicy Indii z Birmą. W miarę jak nadchodziły raporty i dane satelitarne, mapa była aktualizowana, więc Achilles przez cały czas obserwował pozycje wojsk. Poza tym pokój urządzony był po spartańsku. Dwa niezbyt wygodne krzesła, stół, biblioteczka i prycza. Petra podejrzewała, że gdzieś w bazie znajduje się wygodny apartament z miękkim łóżkiem, nigdy nieużywanym. Cokolwiek można powiedzieć o Achillesie, na pewno nie był hedonistą. Nie dbał o osobiste wygody, a przynajmniej ona nigdy nic takiego nie zauważyła.

Gdy weszła, nie oderwał wzroku od mapy - ale do tego zdążyła się przyzwyczaić. Kiedy tak demonstracyjnie ją ignorował, uważała, że na swój perwersyjny sposób poświęca jej uwagę. Dopiero kiedy patrzył wprost na nią i tak naprawdę jej nie dostrzegał, czuła się niewidoczna.

- Kampania rozwija się pomyślnie - oświadczył.
- To głupi plan i Tajowie rozerwą go na strzępki.
- Parę minut temu mieli tam mały przewrót - poinformował Achilles. - Dowódca tajskiej armii wysadził w powietrze młodego Suriyawonga. Zapewne tragiczny wypadek zawodowej zazdrości.

Petra starała się nie okazać smutku na wiadomość o śmierci Suriyawonga i swojego obrzydzenia dla Achillesa.

- Nie spodziewasz się chyba, że uwierzę, iż nie miałeś z tym nic wspólnego.
- Cóż, obwiniają indyjskich szpiegów, naturalnie. Ale żadni indyjscy szpiegdy nie byli

w tę sprawę zamieszani.

- Nawet Chakri?

- Stanowczo nie szpiegował dla Indii.

- Więc dla kogo? Achilles roześmiał się.

- Jesteś taka nieufna, moja ty Briseis. Z trudem zachowała obojętność; nie zdradziła niczego, kiedy ją tak nazwał.

- Bo przecież jesteś moją Briseis, Pet. Nie widzisz tego?

- Nie bardzo - odparła. - Briseis żyła w namiocie kogoś innego.

- Och, mam tutaj twoje ciało i dostaję produkty pracy twojego umysłu. Ale serce wciąż należy do kogoś innego.

- Należy do mnie.

- Należy do Hektora. - Achilles westchnął. - Jak zdołam ci to przekazać? Widzisz, kiedy budynek wyleciał w powietrze, Suriyawong nie był w gabinecie sam. Jeszcze jedna osoba dodała strzępki ciała i kości oraz drobne kropelki krwi do ogólnego obrazu zniszczenia. Niestety, wynika z tego, że nie będę mógł wlec jego ciała wokół murów Troi.

Petra poczuła mdłości. Słyszał, jak mówiła Virlomi: „Jestem Briseis”. I o kogo mu chodziło, kiedy robił aluzje do Hektora?

- Powiedz wprost, co masz na myśli - zażądała. - Albo daj mi spokój.

- Nie wmówisz mi, że nie widziałaś tych liścików rozrzuconych po wszystkich listach dyskusyjnych. Tych o Briseis, Guinevrze i innych romantycznych heroinach, które przetrzymywał jakiś zarozumiały dureń.

- Co z nimi?

- Wiesz, kto je pisał.

- Wiem?

- Zapomniałem. Nie lubisz się bawić w zgadywanie. No dobrze. To był Groszek i wiedziałaś o tym.

Petra poczuła, jak wzbierają w niej emocje. Stłumiła je. Jeżeli Groszek pisał te listy, przetrwał wcześniejszy zamach. A zatem to on był „Hektorem Zwycięskim”. Ale z tych aluzji wynika, że przebywał w Bangkoku, że Achilles go znalazł i zabił razem z Suriyawongiem.

- Lubię, kiedy mi mówisz, co wiem. Dzięki temu nie muszę wysilać pamięci - oświadczyła.

- Wiem, że cierpisz, moja biedna Pet. Zabawne jednak, droga Briseis, jest to, że Groszek był tylko dodatkową premią. Od samego początku mierzyliśmy w Suriyawonga.

- Pięknie. Gratuluję. Jesteś genialny. Powiem, co tylko zechcesz, bylebyś się w końcu

zamknął i pozwolił mi iść na kolację.

Odzywanie się w ten sposób do Achillesa było ostatnią iluzją wolności, jaką Petra zdołała zachować. Domyślała się, że go to bawi. Nie była jednak tak głupia, by w ten sposób odnosić się do niego w obecności innych.

- Wierzyłaś całym sercem, że Groszek cię uratuje, prawda? Dlatego, kiedy Graff wysłał tę swoją głupią prośbę, podpowiedziałaś Virlomi, żeby spróbowała Groszkowi odpowiedzieć.

Petrę ogarnęła rozpacz. Achilles rzeczywiście pilnował wszystkiego.

- Rozczarowałaś mnie - rzucił. - Pojemnik z wodą to takie oczywiste miejsce, by założyć podsłuch.

- Myślałam, że masz ważniejsze sprawy.

- Nic w moim życiu nie jest ważniejsze od ciebie, Pet. Gdybym tylko cię skłonił, żebyś przyszła do mojego namiotu...

- Dwa razy mnie porwałeś. Nadzorujesz mnie bez przerwy. Nie wiem, jak mogłabym wejść do twojego namiotu głębiej niż w tej chwili.

- W moim namiocie - odparł Achilles - wciąż jesteś moim wrogiem.

- No tak, zapomniałam. Mam tak się starać zadowolić mojego dozorcę, że powinnam zrezygnować z własnej wolnej woli.

- Gdyby mi na tym zależało, kazałbym cię torturować, droga Pet. Ale nie chcę cię zdobywać w ten sposób.

- Jak miło z twojej strony.

- Nie. Jeśli nie staniesz u mego boku z własnej woli, jako przyjaciel i sprzymierzeniec, to cię zabiję. Nie lubię tortur.

- Kiedy już wykorzystasz moją pracę.

- Przecież nie korzystam z twojej pracy.

- A rzeczywiście. Skoro Suriyawong nie żyje, nie musisz się martwić przeciwnikiem. Achilles roześmiał się.

- Otóż to. Trafiłaś.

Co oznaczało, że niczego nie zrozumiała.

- Łatwo oszukać kogoś, kogo trzymasz w klatce - stwierdziła. - Wiem tylko tyle, ile mi mówisz.

- Ależ mówię ci wszystko - zapewnił Achilles. - Gdybyś tylko potrafiła to pojąć.

Petra zamknęła oczy. Wciąż myślała o nieszczęsnym Suriyawongu. Zawsze był taki poważny. Starał się jak najlepiej służyć ojczyźnie, a w końcu zabił go jego własny dowódca. Czy wiedział o tym? Miała nadzieję, że nie.

Jeśli będzie myśleć o tym biedaku, nie będzie musiała myśleć o Groszku.

- Nie słuchasz - odezwał się Achilles.

- Dzięki, że mi o tym mówisz. Wydawało mi się, że słucham.

Achilles nie odpowiedział. Nagle przechylił głowę. Nosił w uchu mały aparat słuchowy, który był odbiornikiem radiowym połączonym z komputerem. Ktoś właśnie zaczął do niego mówić.

Odwrócił się od Petry i podszedł do komputera. Wpisał coś, coś przeczytał. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji - ale na tym polegała zmiana, ponieważ uśmiechał się uprzejmie przez cały czas do chwili, kiedy ktoś odezwał się w słuchawce. Petra знаła go już dość dobrze i zdawało jej się, że rozpoznaje oznaki gniewu. A może - zastanowiła się z nadzieją - lęku.

- Nie zginęli - powiedziała głośno.

- Jestem zajęty - odparł. Zaśmiała się.

- Taką wiadomość dostałeś, prawda? Po raz kolejny twoi zamachowcy zawalili sprawę. Jeśli chcesz porządnie wykonać robotę, musisz sam się tym zająć.

Odwrócił się od monitora i spojrzał jej prosto w oczy.

- Wysłał wiadomość z koszar swojego zespołu uderzeniowego w Tajlandii. Chakri ją widział, oczywiście.

- Nie zginęli - powtórzyła Petra. - Ciągłe z tobą wygrywa.

- Ledwie uchodzi z życiem, ale w niczym to nie przeszkadza moim planom.

- Daj spokój. Wiesz przecież, że to on wykopał cię z Rosji. Achilles uniósł brwi.

- Więc przyznajesz, że wysłałeś mu zakodowaną wiadomość?

- Groszek nie potrzebuje kodowanych wiadomości, żeby cię pokonać.

Achilles wstał i podszedł do niej. Przygotowała się na cios, ale on oparł dłoń na jej piersi i pchnął ją razem z krzesłem do tyłu.

Uderzyła głową o podłogę. Wstrząs oszołomił ją, na obrzeżach pola widzenia rozbłysły małe światełka. Potem nadeszła fala bólu i mdłości.

- Posłał po kochaną siostrę Carlottę - oznajmił Achilles. Głos miał spokojny, obojętny. - Zakonnica leci z drugiego końca świata, żeby mu pomóc. Czy to nie miło z jej strony?

Petra ledwie rozumiała, co mówi. Potrafiła myśleć tylko o jednym: żeby nie było trwałych uszkodzeń mózgu. Umysł to wszystko, co ją określa. Wolałaby zginąć, niż stracić inteligencję, która uczyniła ją tym, kim jest.

- To daje mi czas na przygotowanie małej niespodzianki - ciągnął Achilles. - Groszek chyba pożałuje, że przeżył.

Petra chciała mu coś odpowiedzieć, ale nie mogła sobie przypomnieć, co to było. A

potem zapomniała, co mówił.

- Co?

- Och, w główce się kręci mojej Pet? Powinnaś uważać i nie huścić się na krzesło.

Teraz pamiętała, o co mu chodzi. Niespodzianka. Dla siostry Carlotty. Groszek ma pożałować, że przeżył.

- Siostra Carlotta wydostała cię z ulic Rotterdamu - powiedziała. - Wszystko jej zawdzięczasz. Operację nogi. I że trafiłeś do Szkoły Bojowej.

- Niczego jej nie zawdzięczam. Widzisz, ona wybrała Groszka. Jego posłała. A mnie zostawiła. To ja zaprowadziłem porządek na ulicy. Ja utrzymałem przy życiu tego jej ukochanego Groszka. Ale ona posłała go w kosmos, a mnie zostawiła w rynsztoku.

- Biedne dziecko...

Kopnął ją, mocno, w żebra. Syknęła.

- A co do Virłomi - dodał - użyję jej, by nauczyć cię czegoś o nielojalności wobec mnie.

- Świetny sposób, żeby sprowadzić mnie do namiotu. Kopnął ją znowu. Starła się powstrzymać jęk, ale bez skutku. Strategia biernego oporu wyraźnie nie działała. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało.

- Pet, dlaczego leżysz na podłodze? Wstawaj.

- Zabij mnie i miejmy to z głowy - odpowiedziała. - Virłomi próbowała tylko zachować się jak przyzwoita istota ludzka.

- Virłomi została ostrzeżona, co się stanie.

- Virłomi nie ma dla ciebie znaczenia. To tylko sposób, żeby mnie zranić.

- Nie jesteś aż taka ważna. A jeśli zechcę cię zranić, będę wiedział jak. - Zamachnął się, jakby znów chciał ją kopnąć. Zesztywniała, skuliła się... ale cios nie padł. Zamiast tego Achilles wyciągnął do niej rękę. - No, wstawaj, Pet. Podłoga to nie miejsce do drzemki.

Ujęła jego dłoń. Kiedy wstawiała, zawisła na nim całym ciężarem, więc ciągnął mocno.

Dureń, pomyślała. Byłam szkolona w walce wręcz. Ty nie zostałeś w Szkole Bojowej tak długo, żeby zaliczyć te ćwiczenia.

Gdy tylko podciągnęła pod siebie nogi, pchnęła mocno w górę. Ponieważ w tym kierunku ją ciągnął, stracił równowagę i przewrócił się na plecy, padając na nogi jej krzesła.

Nie uderzył się w głowę. Natychmiast spróbował się poderwać, ale Petra wiedziała, jak reagować na jego poruszenia. Kopnęła go mocno ciężkimi wojskowymi butami, zmieniając ułożenie ciała, by nigdy nie trafiać w miejsca, które próbował osłaniać.

Każde uderzenie sprawiało ból. Usiłował się odsunąć, ale napierała bezustannie; a że używał rąk, by się odczołgać, udało jej się trafić w głowę - solidny cios, po którym zachwiał się

i upadł.

Nie nieprzytomny, tylko trochę oszołomiony... Ciekawe, jak ci się to podoba.

Spróbował jakiegoś ruchu poznanego chyba w ulicznych bójkach: kopnął obunóż, patrząc jednocześnie w inną stronę. To było żałosne. Petra z łatwością przeskoczyła nad jego nogami i mocnym kopniakiem trafiła w krocze.

Wrzasnął z bólu.

- No, wstawaj - powiedziała. - Chcesz zabić Virłomi, więc zabij najpierw mnie. No już. Przecież jesteś mordercą. Bierz pistolet. Dalej.

A potem, nie całkiem pewna, jak tego dokonał, zobaczyła, że on naprawdę trzyma w ręku pistolet.

- Kopnij mnie jeszcze raz - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Kopnij mnie szybciej niż leci kula. Nie poruszyła się.

- Myślałem, że chcesz umrzeć.

Teraz zrozumiała. Nie zabije jej. Jeszcze nie. Najpierw na jej oczach zastrzeli Virłomi.

Straciła okazję. Kiedy leżał, zanim wyciągnął pistolet - zza paska? spod mebli? - powinna skrócić mu kark. To nie była sportowa walka, lecz okazja, żeby z nim skończyć. Jednak instynkt zwyciężył, a instynkt kazał jej nie zabijać, tylko unieszkodliwić przeciwnika, ponieważ tego właśnie uczyła się w Szkole Bojowej.

Ze wszystkich rzeczy, których mogłam nauczyć się od Endera, dlaczego przeoczyłam akurat instynkt zabójcy, dążenie do zadania ostatecznego ciosu?

Co to było, co Groszek tłumaczył o Achillesie? Coś, co powiedział mu Graff, kiedy odesłali Achillesa na Ziemię: musiał zabijać tych, którzy widzieli go bezbronnego. Nawet tę lekarkę, która składała mu nogę, ponieważ widziała, jak leży pod narkozą, i ponieważ cięła go nożem.

Petra właśnie unicestwiła wszelkie powody, które kazały mu zachowywać ją przy życiu. Czegokolwiek od niej chciał, teraz przestało się liczyć. Nie zniesie więcej jej obecności. Była właściwie trupem.

A jednak, niezależnie od sytuacji, wciąż pozostała taktykiem. Chociaż kręciło jej się w głowie, potrafiła jeszcze prowadzić ten taniec. Wróg ocenia sprawę w taki sposób? Zmieńmy coś, żeby widział inaczej. Roześmiała się.

- Nie sądziłam, że mi na to pozwolisz.

Wstał powoli, krzywiąc się z bólu. Mierzył do niej przez cały czas.

Mówiła dalej:

- Zawsze musiałeś być el supremo jak te dupki ze Szkoły Bojowej. Nie wierzyłam, że

jesteś takim twardzielem, żeby zachować się jak Groszek albo Ender. Aż do teraz.

Wciąż milczał. Stał nieruchomo. Słuchał.

- Wariactwo, prawda? Ale Groszek i Ender, wiesz, oni byli tacy mali. I nie przejmowali się. Wszyscy patrzyli na nich z góry. Nawet ja byłam wyższa. Ale byli jedynymi facetami w Szkole, którzy nie bali się, że ktoś zobaczy, jak to dziewczyna jest od nich lepsza i większa. - Mów dalej, ciągnij to... - Za wcześnie posłali Endera do armii Bonza. Nie był przeszkolony. Nie wiedział, jak co robić. A Bonzo wydał rozkaz, żeby nikt z nim nie pracował. Więc trafiłam na tego bezradnego dzieciaka... O niczym nie miał pojęcia. To lubię, Achilles. Mądrzejszy ode mnie, ale mniejszy. Dlatego go uczyłam. Pieprzyć Bonza, nie obchodził mnie. Był jak ty przez cały czas, stale pokazywał, kto tu jest szefem. Ale Ender pozwolił mi sobą kierować. Nauczyłam go wszystkiego. Oddałabym za niego życie.

- Jesteś szurnięta - stwierdził Achilles.

- Chcesz mi wmówić, że o tym nie wiedziałeś? Przez cały czas miałeś spluwę. Dlaczego mi na to pozwoliłeś, jeśli nie z powodu... jeśli nie próbowałeś...

- Czego nie próbowałem? - zapytał. Starał się mówić spokojnie, ale wyraźnie dostrzegała jego szaleństwo; głos drżał mu lekko. Pchnęła go poza granice normalności, głęboko w oblęd. Widziała przed sobą Kaligulę. Ale słuchał... Jeśli wymyśli odpowiednią historyjkę, żeby wytłumaczyć, co się stało, może wystarczy mu... coś innego. Wystarczy, że konia mianuje konsulem. Że robi z Petry...

- Nie próbowałeś mnie poderwać? - zdziwiła się.

- Przecież nawet nie masz jeszcze cycków.

- Nie wydaje mi się, żeby chodziło ci o cycki. Inaczej nigdy byś mnie za sobą nie ciągnął. Co to była za gadka, że chcesz mnie w swoim namiocie? O lojalności? Chciałeś, żebym należała do ciebie. A przez cały czas robiłeś te sabeek numery, rządziłeś się... Czułam dla ciebie tylko pogardę. Byłeś niczym, workiem testosteronu, szympansem, który wrzeszczy i wali pięściami w klatę. I nagle pozwoliłeś... bo pozwoliłeś mi, prawda? Nie każesz mi chyba wierzyć, że sama mogłam tego dokonać?

Lekki uśmieszek pojawił się w kącikach jego ust.

- Czy nie zepsuję efektu, jeśli przyznam, że zrobiłem to celowo? - zapytał.

Podeszła bliżej, aż wbił jej w brzuch lufę pistoletu. Chwyciła go za szyję i pociągnęła w dół, żeby sięgnąć do warg.

Nie miała pojęcia, jak się to robi, tyle tylko, że oglądała pocałunki na filmach. Ale najwyraźniej poradziła sobie całkiem dobrze. Pistolet pozostał na miejscu, lecz drugą ręką Achilles objął ją i przyciągnął bliżej.

Gdzieś w głębi umysłu pojawiło się wspomnienie opowieści Groszka: widział, że przed zabiciem jego przyjaciółki Buch Achilles ją pocałował. Ta scena powracała do niego w koszmarach: Achilles całuje Buch, a potem, w czasie pocałunku, dusi ją. To nie znaczy, że Groszek naprawdę to widział. Może wszystko odbyło się inaczej.

Tak czy inaczej, Achilles był chłopakiem, którego niebezpiecznie jest całować. I wciąż wbijał jej łufę w brzuch. Może właśnie czegoś takiego pragnął. Może o czymś takim marzył: pocałować dziewczynę i zaraz ją zastrzelić.

No to strzelaj, pomyślała. Wolę raczej zginąć, niż patrzeć, jak zabijasz Virlomi za to, że okazała mi współczucie i miała dość odwagi, by działać. Wolę cię całować, niż patrzeć, jak ją zabijasz, a nie ma na świecie niczego bardziej obrzydliwego, niż udawać, że cię... że cię kocham.

Pocałunek dobiegł końca. Ale nie wypuściła Achillesa z uścisku, nie cofnęła się. Musi uwierzyć, że go pragnie. Że jest w tym jego namiocie.

Oddychał płytko. Serce biło mu szybko. Preludium zabójstwa? Czy skutek pocałunku?

- Powiedziałem, że zabiję każdego, kto odpowie Graffowi - oświadczył. - Muszę to zrobić.

- Przecież nie odpowiedziała Graffowi, prawda? Wiem, że ty tu rządzisz, ale nie musisz być z tego powodu takim napuszonym yelda. Ona nie ma pojęcia, że wiesz, co zrobiła.

- Pomyśli, że uszło jej to na sucho.

- Ale ja pomyślę - odparta Petra - że nie bałeś się dać mi tego, czego chciałam.

- Wydaje ci się, że znalazłaś sposób, żebym robił to, czego chcesz?

Teraz mogła się wreszcie odsunąć.

- Myślałam, że znalazłam faceta, który nie musi udowadniać, jaki jest wielki, rozstawiając innych po kątach. Chyba się pomyliłam. Rób, co chcesz. Tacy jak ty budzą we mnie obrzydzenie. - Starła się głosem, miną wyrazić najwyższą pogardę. - No dalej, pokaż, że jesteś mężczyzną. Zastrzel mnie. Zastrzel wszystkich. Znałam prawdziwych mężczyzn. Miałam nadzieję, że też do nich należysz.

Opuścił pistolet. Petra nie okazała ulgi. Patrzyła mu prosto w oczy.

- Niech ci się nie wydaje, że mnie rozgryzłaś - powiedział.

- Nie obchodzi mnie, czy cię rozgryzłam, czy nie. Liczy się to, że od czasu Endera i Groszka jesteś pierwszym facetem, który miał dość odwagi, żeby pozwolić mi stanąć nad sobą.

- I to będziesz opowiadać?

- Opowiadać? Komu? Nie mam tu przyjaciół. W całej okolicy ty jesteś jedyną osobą, z którą warto rozmawiać.

Stał nieruchomo. Znowu oddychał ciężko, a w oczach błyszczała odrobina szaleństwa.
Co mówię nie tak?

- Zrobisz ten numer - oświadczyła. - Nie wiem, jak ci się to uda, ale czuję to. Ty będziesz kierował całym przedstawieniem. Wszyscy znajdą się w twojej władzy, Achillesie. Rządy, uniwersytety, korporacje będą się ścigać, żeby cię zadowolić. Ale kiedy zostaniemy sami, kiedy nikt nie będzie nas widział, oboje będziemy wiedzieli, że jesteś dość silny, by mieć przy sobie silną kobietę.

- Ciebie? - parsknął Achilles. - Kobietę?

- Jeśli nie jestem kobietą, to co ze mną przed chwilą robiłeś?

- Rozbierz się - polecił.

Obłąd wciąż tlił się w jego oczach. Chciał ją sprawdzić. Cekał, aż się okaże...

Okaże się, że udawała. Że tak naprawdę się go boi. Że cała ta historia była kłamstwem, miała go zmylić.

- Nie - odparła. - To ty się rozbierz.

Szaleństwo odpłynęło. Uśmiechnął się. Wsunął pistolet za pasek spodni, na plecach.

- Wynos się - rzucił. - Mam tu prowadzić wojnę.

- Jest noc - zauważyła. - Żadnych ruchów wojsk.

- Wojna to nie tylko armie.

- Kiedy będę mogła zostać w twoim namiocie? - spytała Petra. - Co mam zrobić?

Nie mogła uwierzyć, że to mówi, podczas gdy chce tylko wydostać się stąd jak najszybciej.

- Musisz być tym, czego potrzebuję - odparł. - A w tej chwili nie jesteś.

Podszedł do komputera i usiadł.

- Po drodze do wyjścia podnieś krzesło.

Zaczął pisać na klawiaturze. Rozkazy? Żeby zabić? Kogo?

Nie pytała. Postawiła krzesło. Wyszła.

I szła spokojnie przez korytarze, aż do pokoju, gdzie sypiała sama. Wiedziała, że jest obserwowana na każdym kroku. Będzie miał nagrania. Przejrzy je, żeby sprawdzić, jak się zachowywała. Przekonać się, czy mówiła prawdę. Dlatego nie mogła się zatrzymać, oprzeć czoła o ścianę i zapłakać. Musi być... jaka? Jak w sztuce, filmie albo widzie zagrałaby kobietę rozczarowaną, gdyż nie może zostać przy swoim mężczyźnie?

Nie wiem! - krzyczała w myślach. Nie jestem aktorką!

A potem inny, o wiele spokojniejszy głos odpowiedział: Owszem, jesteś. I to całkiem niezłą. Ponieważ przez kolejne parę minut, może przez godzinę, może do rana będziesz żyła.

Żadnych oznak tryumfu. Nie może okazać dumy, nie może okazać ulgi. Rozczarowanie, irytację... i ból tam, gdzie ją kopnął, gdzie uderzyła głową o podłogę. Tyle tylko może ujawnić.

Nawet w łóżku, w ciemności, leżała udając, kłamiąc. W nadziei że cokolwiek zrobi przez sen, nie sprowokuje go. Nie przywoła tego obłąkanego, przerażonego, czujnego spojrzenia.

To zresztą żadna gwarancja, oczywiście. Nie zdradzał żadnych objawów szaleństwa, kiedy strzelał do tych dwóch ludzi w furgonetce w Rosji. Niech ci się nie wydaje, że mnie rozgryzłaś, powiedział.

Wygrałeś, Achillesie. Nie wydaje mi się, żebym cię rozgryzła. Ale nauczyłam się grać na jednej poluzowanej strunie. To już coś.

A także powaliłam cię na ziemię, stłukłam jak szmaciarza, skopałam po twoich małych kintamas i przekonałam, że ci się to podobało. Zabij mnie jutro czy kiedy tam chcesz - ale nie odbierzesz mi tego uczucia, kiedy mój but trafił cię w twarz.

* * *

Rankiem Petra stwierdziła, że wciąż jest żywa - z wielką satysfakcją, biorąc pod uwagę, co zrobiła wczorajszej nocy. Głowa ją bolała i kłuły żebra, ale chyba nic nie miała złamanego.

Była też głodna. Wczoraj straciła kolację, a może pobicie dozorczy zwiększyło głód? Zwykle nie jadła śniadań, więc nie miała stałego miejsca w stołówce. Przy innych posiłkach siedziała sama; inni, szanując jej izolację albo ze strachu przed Achillesem, nie narzucali się z towarzystwem.

Ale dzisiaj pod wpływem jakiegoś impulsu usiadła z tacą przy stole, gdzie pozostało tylko kilka wolnych krzeseł. Rozmowy przycichły, kiedy się zbliżyła. Kilka osób skinęło jej na powitanie. Uśmiechnęła się do nich, po czym zajęła jedzeniem. Wrócili do rozmów.

- Nie mogła przecież wydostać się z bazy.
- Czyli wciąż tu jest.
- Chyba że ktoś ją zabrał.
- Może to jakieś specjalne zadanie albo coś w tym rodzaju.
- Sayagi uważa, że nie żyje. Dreszcz przebiegł Petrze po karku.
- Kto? - zapytała.

Pozostali spojrzeli na nią i odwrócili wzrok. Po chwili ktoś odpowiedział:

- Virłomi.

Virlomi zniknęła. I nikt nie wiedział, gdzie jest.

Zabił ją. Powiedział, że to zrobi, i zrobił. Jedyne, co zyskałam swoim wczorajszym występem, to że nie zabił jej przy mnie.

Nie wytrzymam tego. Koniec. Nie warto dalej żyć. Być jego więźniem, gdy zabija każdego, kto próbuje mi pomóc...

Nikt na nią nie patrzył. Nie rozmawiali.

Wiedzieli, że Virlomi próbowała odpowiedzieć Graffowi. Musiała coś powiedzieć Sayagi, kiedy wczoraj do niego podeszła. A teraz zniknęła.

Petra wiedziała, że musi jeść, choćby bolało ją serce, choćby chciała zaszlochać, wybiec z krzykiem z sali, rzucić się na podłogę i błagać o wybaczenie... czego? Tego, że żyje, kiedy Virlomi zginęła.

Zjadła tyle, ile zdołała, i wyszła ze stołówki.

Idąc korytarzem do sali, gdzie pracowali, nagle coś sobie uświadomiła: Achilles nie zabiłby Virlomi w taki sposób. Inni powinni zobaczyć, że aresztują ją i wyprowadzają. Gdyby zwyczajnie zniknęła nocą, nie osiągnąłby tego, co chciał osiągnąć.

A jeśli uciekła, nie mógł tego przyznać. Będzie więc milczał i pozwoli wszystkim wierzyć, że Virlomi nie żyje.

Petra wyobraziła sobie, jak Virlomi śmiało wychodzi z budynku. Pewność siebie wystarcza jej za przepustkę. A może wymknęła się w przebraniu sprzątaczkii? Może wspięła się na mur, pokonała pole minowe? Petra nie wiedziała nawet, jak wygląda otoczenie bazy. Nigdy jej nie pokazali.

Marzenia, tłumaczyła sobie, siadając przy komputerze. Virlomi nie żyje, a Achilles czeka z ogłoszeniem tego, żeby nas dręczyć niepewnością.

Ale kiedy mijały godziny i Achilles wciąż się nie pojawiał, Petra zaczęła wierzyć, że Virlomi naprawdę zdołała uciec. Może Achilles nie przychodził, bo nie chciał budzić plotek swoimi sińcami. Albo ma kłopoty z krocem i wezwał lekarza. Ale niech Bóg ma w swojej opiece tego człowieka, jeśli Achilles uzna, że badanie jego obolałych jąder zasługuje na karę śmierci.

Może trzymał się z daleka, bo Virlomi uciekła i nie chciał, żeby widzieli go rozszoszczonego i bezradnego? Kiedy ją złapie, wciągnie na salę i zastrzeli przy wszystkich, wtedy dopiero spojrzy im w oczy.

A na razie wciąż istniała szansa, że Virlomi żyje.

Niech tak zostanie, droga przyjaciółko. Uciekaj daleko stąd i nie zatrzymuj się. Przejdź przez granicę, znajdź jakąś kryjówkę, popłyn do Sri Lanki, leć na Księżyc. Dokonaj cudu,

Virlomi, i žyj.

15. Mord

To: Graff%pilgrimage@colmin.gov

From: Carlotta%agape@vatican.net/orders/sisters/ind

Subject: Proszę przekazać

Dołączony plik jest zaszyfrowany. Proszę odczekać dwanaście godzin od czasu jego wysłania i jeśli nie nadejdzie ode mnie wiadomość, przekazać go Groszkowi. Będzie znał klucz.

Nim minęły cztery godziny, przeszukano i zabezpieczono całą bazę sztabu w Bangkoku. Eksperci komputerowi mieli jeszcze zbadać, z kim na zewnątrz kontaktował się Naresuan, czy związał się z jakimś obcym mocarstwem, czy też ten gambit był jego prywatnym przedsięwzięciem. Kiedy Suriyawong zakończył pracę u boku premiera, przyszedł sam do koszar, gdzie czekał Groszek.

Większość żołnierzy wróciła wcześniej i Groszek posłał ich do łóżek. Wciąż zerkał na wiadomości - nie działo się nic nowego, więc słuchał komentarzy. W Tajlandii zapanował patriotyczny ferwor. Naturalnie za granicą sugerowano inne wyjaśnienia. Wszystkie programy we wspólnym dość sceptycznie traktowały hipotezę, że zamachu dokonali indyjscy agenci.

- Po co Indie miałyby prowokować Tajlandię do wojny?

- Wiedzą, że Tajlandia i tak w końcu do niej przystąpi, niezależnie od tego, czy Birma ją o to poprosi, czy nie. Uznali więc, że należy pozbawić Tajlandię jej najlepszego absolwenta Szkoły Bojowej.

- Czy jedno dziecko może być aż tak niebezpieczne?

- Powinieneś zapytać o to Formidów. Jeśli jakiegoś znajdziesz.

I tak dalej, i tak dalej - każdy starał się wyjść na inteligentnego, a przynajmniej inteligentniejszego od rządów Indii i Tajlandii. Media zawsze bawiły się w tę grę. Dla Groszka najważniejsze było, w jaki sposób wpłynie to na Peter. Czy ktoś wspomniał o możliwości, że to Achilles pociąga za sznurki w Indiach? Ani słowa. Coś na temat ruchów wojsk pakistańskich nad granicą irańską? „Zamach w Bangkoku” wypchnął z programów tę wolno rozwijającą się historię. Nikt nie rozważał żadnych globalnych skutków. Dopóki MF czuwała i nie pozwalała latać pociskom jądrowym, wszystko było tylko polityką - typową w południowej Azji.

Ale nie było. Każdy tak bardzo się starał wykazać własną błyskotliwość i zdolność przewidywania... Nikt nie wstał i nie zaczął krzyczeć, że cały ten ciąg wydarzeń różni się

całkowicie od wszystkiego, co zdarzało się przedtem. Najliczniejszy naród świata ośmielił się odwrócić plecami do swego najgroźniejszego od dwóch wieków przeciwnika i uderzył na nieduży, słaby kraj na wschodzie. A teraz Indie zaatakowały Tajlandię. Co to oznacza? Jaki jest cel Indii? Jakże mogą odnieść korzyści?

Dlaczego nie mówią o takich sprawach?

- Wiesz - odezwał się Suriyawong - nie wydaje mi się, żebym szybko poszedł spać.

- Wszystko wyczyszczone?

- Raczej wygląda to tak, że każdy, kto blisko współpracował z Chakrim, został odesłany i osadzony w areszcie domowym, do czasu zakończenia śledztwa.

- To przecież oznacza całe dowództwo.

- Nie całkiem. Najlepsi dowódcy liniowi są w polu. Dowodzą. Któryś z nich przyjedzie tutaj i przejmie obowiązki Chakriego.

- Tobie powinni oddać to stanowisko.

- Powinni, ale nie dadzą. Nie jesteś głodny?

- Już późno.

- Jesteśmy w Bangkoku.

- Nie, właściwie nie - zaprotestował Groszek. - To baza wojskowa.

- Kiedy wylądował samolot twojej przyjaciółki?

- Rano. O świcie.

- Będzie trochę nieswoja. Wyjdiesz po nią na lotnisko?

- Nie myślałem o tym.

- Chodźmy gdzieś na kolację - zaproponował Suriyawong. - Oficerowie stale wychodzą. Możemy zabrać paru żołnierzy, niech dopilnują, żeby się nas, dzieci, nie czepiali.

- Achilles nie zrezygnuje i będzie próbował mnie zabić.

- Nas. Tym razem celował w nas obu.

- Mógł zostawić grupę rezerwową.

- Groszek, jestem głodny. Czy wy jesteście głodni? - Suriyawong zwrócił się do żołnierzy z plutonu, który mu towarzyszył. - Któryś z was chciałby coś zjeść?

- Właściwie nie - odparł jeden z żołnierzy. - Jedliśmy o normalnej porze.

- Raczej niewyspani - dodał inny.

- Czy któryś jest tak przytomny, żeby iść z nami do miasta? Natychmiast wszyscy zrobili krok do przodu.

- Nie pytaj doskonałych żołnierzy, czy chcą ochraniać swojego dowódcę - uśmiechnął się Groszek.

- Wyznacz dwóch, żeby poszli z nami, a pozostali niech się wyśpią.
- Tak jest. - Groszek spojrzał na swoich ludzi. - Uczciwa ocena: kto z was będzie najmniej osłabiony, jeśli się dzisiaj nie wyśpi?
- Czy jutro będziemy mogli spać?
- Tak. Chodzi raczej o to, jak na was wpłynie takie zakłócenie rytmu.
- Nic mi nie będzie - uznał jeden żołnierz. Czterech innych także dobrze się czuło.
Groszek wybrał dwóch najbliższych.

- Dwaj mają trzymać wartę jeszcze przez dwie godziny, potem wracacie do normalnej rotacji.

Przed barakiem, z dwoma żołnierzami idącymi pięć metrów z tyłu, Groszek i Suriyawong mogli wreszcie porozmawiać szczerze. Najpierw jednak Suriyawong zapytał z niedowierzaniem:

- Naprawdę trzymasz normalne warty? Nawet tutaj, w bazie?
- Nie mam racji? - odparł Groszek.
- Niby tak, ale... rzeczywiście popadasz w paranoję.
- Wiem, że mam wroga, który chce mojej śmierci. Wroga, który ostatnio przeskakuje z jednego wysokiego stanowiska na drugie.

- I za każdym razem wyższe - zauważył Suriyawong. - W Rosji nie miał takiej władzy, żeby rozpocząć wojnę.

- W Indiach też może nie mieć.
- Ale jest wojna. Chcesz powiedzieć, że nie jego?
- Jego - przyznał Groszek. - Ale prawdopodobnie nadal musi przekonywać dorosłych, żeby realizowali jego plany.

- Przekona kilku, a dadzą mu własną armię.
- I jeszcze kilku, a dadzą mu kraj. Jak tego dowiedli Napoleon i Waszyngton.
- Ilu trzeba przekonać, żeby dostać cały świat? Groszek zostawił to pytanie bez odpowiedzi.

- Dlaczego nas zaatakował? - zastanawiał się Suriyawong. - Myślę, że masz rację, przynajmniej ta operacja jest w całości działaniem Achillesa. Rząd Indii nie robi takich rzeczy. Indie to demokracja. Zabijanie dzieci nie wygląda dobrze. Nie ma sposobu, żeby uzyskać aprobatę.

- To nawet nie muszą być Indie - zauważył Groszek. - Tak naprawdę niczego nie wiemy.

- Oprócz tego, że to robota Achillesa. Zastanów się teraz nad tym wszystkim, co wydaje

się bezsensowne. Marna, przewidywalna strategia; pewnie zdołamy rozbić tę ich ofensywę bez kłopotów. I jeszcze paskudny zamach, który może zniszczyć reputację Indii na świecie.

- Najwyraźniej nie działa w najlepszym interesie Indii - przyznał Groszek. - Ale im się wydaje, że tak. A zwłaszcza jeżeli to rzeczywiście on doprowadził do układu z Pakistanem. Achilles pracuje dla siebie. I widzę, co chce osiągnąć, porywając jeesh Endera i próbując cię zabić.

- Mniejszą liczbę rywali?

- Nie. Dzięki temu absolwenci Szkoły Bojowej zaczynają wyglądać jak najważniejsza broń tej wojny.

- Ale on nie jest absolwentem Szkoły Bojowej.

- Za to był w Szkole Bojowej i jest w odpowiednim wieku. Nie chce mu się czekać, aż dorośnie, żeby zostać władcą świata. Chce, by wszyscy uwierzyli, że dziecko powinno nimi dowodzić. Jeśli ty wart jesteś zamachu, a jeesh Endera porwania...

To pomaga także Peterowi Wigginowi, uświadomił sobie Groszek. Wprawdzie nie był nigdy w Szkole Bojowej, ale jeśli dzieci nadają się na przywódców świata, to jego dokonania jako Locke'a dają mu znaczną przewagę nad innymi kandydatami. Zdolności wojskowe to jedno, ale doprowadzenie do zakończenia Wojny Ligi jest dowodem lepszych kwalifikacji. Przebił tym „psychopatę usuniętego ze Szkoły Bojowej”.

- Myślisz, że to już wszystko? - Suriyawong przerwał jego zamyślenie.

- Co wszystko? - Groszek zgubił wątek. - Aha, pytasz, czy to wystarczy, żeby wytłumaczyć, dlaczego Achilles chciał cię zabić? - Zastanawiał się przez chwilę. - Nie wiem. Może. Ale nie mówi nam to, dlaczego wciąga Indie w wojnę o wiele bardziej krwawą, niż musiały stoczyć.

- Pomyśl o tym: niech wszyscy się boją tego, co niesie wojna. Będą chcieli wzmocnić Hegemonię, żeby nie dopuścić do rozszerzenia działań wojennych.

- Świetny pomysł, tyle że nikt nie nominuje Achillesa na Hegemona.

- Słuszna uwaga. I wykluczamy możliwość, że Achilles jest zwyczajnie głupi?

- Owszem, tego nie bierzemy pod uwagę.

- A co z Petrą? Mogła go oszukać, żeby trzymał się tej oczywistej, ale dość głupiej i marnotrawnej strategii?

- To możliwe, ale Achilles doskonale czyta w ludziach. Nie wiem, czy Petra zdołałaby go okłamać. Nigdy nie widziałem, żeby okłamywała kogokolwiek. Nie jestem pewien, czy umie.

- Nie widziałeś, żeby w ogóle kłamała? - zdziwił się Suriyawong. Groszek wzruszył

ramionami.

- Pod koniec wojny zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi. Ona mówi to, co myśli. Czasami może coś ukrywać, ale wtedy uprzedza o tym. Żadnej zasłony dymnej, żadnych kombinacji. Drzwi są albo otwarte, albo zamknięte.

- Kłamstwo wymaga praktyki - zauważył Suriyawong.

- Jak u Chakriego?

- Nie osiągniesz takiej pozycji wyłącznie dzięki talentom wojskowym. Musisz dobrze wypaść w oczach wielu ludzi. I ukrywać wiele z tego, co robisz.

- Sugerujesz, że rząd Tajlandii jest skorumpowany? - zdziwił się Groszek.

- Sugeruję, że rząd Tajlandii jest polityczny. Mam nadzieję, że to cię nie zaskoczyło. Bo słyszałem, że jesteś inteligentny.

Dostali samochód, żeby pojechać do miasta - Suriyawong zawsze miał prawo do samochodu z kierowcą, tylko nigdy z niego nie korzystał.

- Więc gdzie zjemy? - spytał Groszek. - Nie mam przy sobie przewodnika po restauracjach.

- Wychowywałem się w rodzinie, gdzie szef kuchni był lepszy niż w dowolnej restauracji - odparł Suriyawong.

- Czyli jedziemy do ciebie do domu?

- Moja rodzina mieszka w pobliżu Cziang Mai.

- To będzie strefa walk.

- Dlatego podejrzewam, że przebywają teraz w Vientiane, choć zasady bezpieczeństwa nie pozwalają mi tego zdradzić. Ojciec kieruje rozproszoną siecią fabryk amunicji. - Suriyawong uśmiechnął się szeroko. - Musiałem dopilnować, żeby niektóre zlecenia obronne trafiły do mojej rodziny.

- Inaczej mówiąc, był najlepszy do tego zadania.

- Moja matka byłaby najlepsza, ale jesteśmy w Tajlandii. Nasz romans z kulturą zachodnią skończył się sto lat temu.

W końcu musieli zapytać żołnierzy, a ci znali tylko lokale, na jakie było ich stać. Trafili więc do maleńkiej całodobowej jadalni w części miasta, która nie była najgorsza, ale i nie najładniejsza. Za to jedzenie podawano tak tanie, że prawie darmowe.

Suriyawong i żołnierze rzucili się na nie, jakby to był najlepszy posiłek w ich życiu.

- Czy to nie świetne? - spytał Suriyawong. - Kiedy rodzice mieli gości, zawsze jedli z nimi w jadalni wymyślne potrawy. A my, dzieciaki, jedliśmy w kuchni to co służba. Coś takiego. Prawdziwe jedzenie.

Pewnie dlatego Amerykanie w Yum-Yum w Greensboro też uwielbiali to, co tam podawano. Wspomnienia z dzieciństwa. Jedzenie, które smakuje jak bezpieczeństwo, jak nagroda za dobre sprawowanie. Święto - idziemy do restauracji. Groszek oczywiście nie miał takich wspomnień. Nie tęsknił za zbieraniem opakowań, zlizywaniem cukru z celofanu i próbami sięgnięcia do resztek, które wysypały się na nos.

Za czym właściwie mógł tęsknić? Za życiem w „rodzinie” Achillesa? Za Szkołą Bojową? Raczej nie. A czas spędzony z rodziną w Grecji nadszedł zbyt późno, by stać się częścią wspomnień z dzieciństwa. Podobało mu się na Krecie, kochał rodziców, ale... Jedyne przyjemne wspomnienia z czasów dzieciństwa to mieszkanie siostry Carlotty, kiedy zabrała go z ulicy, karmiła i ochraniała, pomagała się przygotować do testów ze Szkoły Bojowej - jego przepustki z Ziemi do miejsca, gdzie miał być bezpieczny od Achillesa.

To jedyny okres dzieciństwa, kiedy czuł się bezpieczny. I chociaż nie wierzył w to ani nie rozumiał, czuł się także kochany. Gdyby mógł w jakiejś restauracji dostać potrawy, jakie siostra Carlotta gotowała mu w Rotterdamie, pewnie czułby się tak, jak Amerykanie w Yum-Yum albo ci Tajowie tutaj.

- Naszemu przyjacielowi Borommakotowi chyba nie bardzo smakuje - stwierdził Suriyawong. Mówił po tajsku, ponieważ Groszek dość szybko opanował ten język, a żołnierze nie czuli się zbyt pewnie we wspólnym.

- Może mu nie smakuje - odparł jeden z nich - ale dzięki jedzeniu rośnie.

- Niedługo będzie taki wysoki jak pan - dodał drugi.

- A jacy wysocy są zwykle Grecy? - zapytał pierwszy.

Groszek zamarł. Suriyawong także.

Obaj żołnierze rozejrzeli się niespokojnie.

- Co się stało? Zauważyliście coś?

- Skąd wiedzieliście, że jest Grekiem? - spytał Suriyawong. Spojrzeli po sobie, próbując ukryć uśmiechy.

- Przecież nie są głupi - mruknął Groszek.

- Oglądaliśmy wszystkie widy o wojnie z robalami, widzieliśmy pańską twarz. Jest pan sławny, sir. Nie wiedział pan?

- Ale nic nie mówiliście!

- To by było niegrzeczne.

Groszek zastanowił się, ilu ludzi rozpoznało go w Araraquara i w Greensboro, ale milczało z uprzejmości.

Kiedy dotarli na lotnisko, dochodziła trzecia nad ranem. Groszek był zbyt podniecony,

by zasnąć. Powiedział, że będzie trzymał wartę, i pozwolił na drzemkę Suriyawongowi i żołnierzom.

Dlatego właśnie on dostrzegł nagle zamieszanie wokół stanowiska informacji, jakieś czterdzieści pięć minut przed planowanym lądowaniem. Wstał i podszedł, by spytać, co się dzieje.

- Zaczekaj, wkrótce podamy wiadomość - odpowiedział człowiek za ladą. - Gdzie są twoi rodzice? Gdzieś tutaj?

Groszek westchnął. To tyle, jeśli chodzi o sławę. Przynajmniej Suriyawonga powinni rozpoznać. Choć z drugiej strony ci ludzie pełnili dyżur przez całą noc i pewnie nie słyszeli o dzisiejszym zamachu. Nie widzieli też twarzy Suriyawonga, co chwila pokazywanej w wiadach. Wrócił na miejsce i obudził jednego z żołnierzy, żeby sprawdził - jako dorosły - co zaszło.

Mundur chyba sprawił, że uzyskał informacje, jakich nie zdradzono by cywilowi. Wrócił z posępną miną.

- Samolot spadł - oznajmił.

Groszkowi zamarło serce. Achilles? Czyżby znalazł sposób, by uderzyć w siostrę Carlottę?

To niemożliwe. Skąd by wiedział? Nie może przecież pilnować wszystkich samolotów na świecie.

Wiadomość wysłana z komputera w koszarach... Chakri mógł ją zobaczyć. Jeśli do tego czasu nie był jeszcze aresztowany. Może zdążył ją przekazać Achillesowi czy jakiemuś pośrednikowi. Inaczej skąd Achilles by wiedział, że siostra Carlotta tu leci?

- Tym razem to nie on - uznał Suriyawong, kiedy Groszek podzielił się z nim domysłami. - Jest mnóstwo powodów, dla których samolot może zniknąć z radaru.

- Ona nie mówiła, że zniknął - przypomniał żołnierz. - Powiedziała, że spadł.

Suriyawong był szczerze poruszony.

- Borommakot... Strasznie mi przykro.

Poszedł do automatu i zadzwonił do kancelarii premiera. Był dumą i radością Tajlandii, właśnie ocaloną z zamachu, co miało swoje dobre strony - po kilku minutach odprowadzono ich do sali konferencyjnej lotniska, gdzie obradowali przedstawiciele rządu i wojska w kontakcie z ekspertami lotnictwa i agencjami śledczymi.

Samolot runął nad południowymi Chinami. Należał do linii Air Shanghai i Chiny traktowały wypadek jak swoją sprawę wewnętrzną, nie dopuszczając na miejsce katastrofy zagranicznych ekspertów. Ale satelity przekazały nagrania. Była eksplozja, i to silna; samolot rozpadł się, zanim jeszcze dotarł do ziemi. Żadnej możliwości, by ktokolwiek przeżył.

Pozostała tylko jedna szansa - może Carlotta nie zdążyła gdzieś na przesiadkę. Może nie było jej na pokładzie.

Ale była.

Mogłem ją powstrzymać, myślał Groszek. Kiedy zgodziłem się zaufać premierowi, nie czekając na jej przybycie, mogłem wysłać wiadomość, żeby wracała do domu.

Zamiast tego czekał, oglądał widy i poszedł zjeść kolację na mieście.

Bo był przestraszony i chciał ją mieć przy sobie.

Bo był egoistą i nie pomyślał nawet, na jakie niebezpieczeństwo ją naraża. Podróżowała pod własnym nazwiskiem - nigdy tego nie robiła, kiedy byli razem. Czy to jego wina?

Tak. Wezwał ją pilnie i nie miała czasu na przygotowania. Watykan zarezerwował bilety i to wszystko. Koniec życia.

Koniec misji, jak sama by pewnie to określiła. Niedokończona praca. Zadania, które będzie musiał wykonać ktoś inny.

Od czasu ich pierwszego spotkania tylko zabierał jej czas, nie pozwalał zająć się tym, co naprawdę się dla niej liczyło. Musiała pracować w biegu, w ukryciu. Dla niego. Kiedy jej potrzebował, rzucała wszystko. Czego dokonał, by na to zasłużyć? Co dał jej w zamian? A teraz przerwał jej pracę już na zawsze. Zezłościłaby się. Ale nawet w tej chwili, gdyby tylko mógł z nią porozmawiać, wiedział, co by mówiła.

Zawsze miałam wybór, powiedziałaaby. Jesteś częścią zadania, które powierzył mi Bóg. Boję się tylko o ciebie, bo zawsze pozostawałeś dla Niego obcy.

Gdyby potrafił uwierzyć, że żyje wciąż w jakimś miejscu poza światem. Że może jest z Buch, że się nią opiekuje tak jak nim przed laty. I obie śmieją się, wspominając niezgrabnego Groszka, który jakoś zawsze doprowadzał ludzi do śmierci.

Ktoś położył mu dłoń na ramieniu.

- Groszek - szepnęła Suriyawong. - Groszek, chodźmy stąd. Groszek oprzytomniał i uświadomił sobie, że łzy spływają mu po policzkach.

- Zostaję - odparł.

- Nie. Tutaj już nic się nie dzieje. Jedźmy do rezydencji rządowej. Tam teraz będzie fruwał dyplomatyczny greeyaz.

Groszek wytarł oczy rękawem, czując się przy tym jak małe dziecko. Ależ się zachował przy swoich ludziach.... Trudno; gorzej byłoby, gdyby starał się to ukryć albo żałośnie prosił, by nikomu nie mówili. Zrobił, co zrobił; zobaczyli, co zobaczyli. Niech tak będzie. Jeśli siostra Carlotta nie była warta paru łez kogoś, kto zawdzięczał jej tyle co Groszek, to po co w ogóle są łzy i kiedy można je przelać?

Przed lotniskiem czekała eskorta policyjna. Suriyawong podziękował żołnierzom i odesłał ich do koszar.

- Nie musicie wstawać, dopóki się nie wyśpicie - powiedział.

Zasalutowali mu. Potem zwrócili się do Groszka i także zasalutowali. Szttywno. W najlepszym wojskowym stylu. Żadnego politowania, tylko honor. Odpowiedział im tym samym: żadnej wdzięczności, tylko szacunek.

* * *

Rankiem w rządowych gabinetach wszyscy na przemian albo się nudzili, albo złościли. Chiny były nieprzejezdne. Chociaż większość pasażerów stanowili tajscy biznesmeni i turyści, chodziło o chiński samolot, który uległ katastrofie w chińskiej przestrzeni powietrznej. Pewne okoliczności sugerowały raczej rakietę ziemia-powietrze niż bombę umieszczoną na pokładzie, więc całe dochodzenie objęto ścisłą tajemnicą wojskową.

Stanowczo Achilles, zgodzili się Groszek i Suriyawong. A że wcześniej wiele o nim rozmawiali, Groszek pozwolił Suriyawongowi przekazać informacje tajskim wojskowym i urzędnikom potrzebującym wszelkich danych, by zrozumieć sytuację.

Dlaczego Indie postanowiły zestrzelić samolot pasażerski nad Chinami? Czy naprawdę jedynym powodem było zabicie zakonniczki lecącej z wizytą do greckiego chłopca w Bangkoku? To zbyt niewiarygodne. Jednak po trochu - z pomocą ministra kolonizacji, który przekazał szczegóły psychopatologii Achillesa, jakich nie było nawet w raportach Locke'a - zaczęli rozumieć, że tak, rzeczywiście, mogła to być wiadomość i wyzwanie od Achillesa dla Groszka. Zaznaczenie, że chociaż Groszkowi się udało, to jednak Achilles może zabić, kogo zechce.

Kiedy Suriyawong rozmawiał z urzędnikami, Groszka odprowadzono na piętro, do prywatnej rezydencji. Żona premiera wskazała mu gościnną sypialnię i delikatnie spytała, czy ma jakichś przyjaciół lub krewnych, których mogłaby sprowadzić, albo czy chciałby się spotkać z kapłanem lub księdzem jakiejś religii. Podziękował jej i zapewnił, że chce po prostu zostać sam.

Zamknęła za sobą drzwi. Groszek płakał cicho, a kiedy był już całkiem wyczerpany, zwinął się na macie i zasnął.

Gdy się zbudził, za żaluzjami wciąż trwał jasny dzień. Oczy piekły go od płaczu. Nadal był zmęczony. Obudził się, bo cisnął go pełny pęcherz. Chciało mu się pić. To jest życie: wlewanie, wylewanie. Spanie i czuwanie, spanie i czuwanie. Aha, i czasem jeszcze jakaś reprodukcja tu czy tam. Ale on był za młody, a siostra Carlotta sama zrezygnowała z tej

możliwości, więc ich cykle życiowe niewiele się właściwie różniły. Trzeba znaleźć jakiś cel w życiu. Jaki? Groszek był sławny. Jego imię na zawsze przetrwa w podręcznikach historii. Prawdopodobnie jako jedno z wielu, w rozdziale poświęconym Enderowi Wigginowi, ale to wystarczy, to i tak więcej niż osiąga większość. Kiedy umrze, nie będzie to już miało znaczenia.

Carlotta nie trafi do podręczników. Nawet w przypisach. Chociaż nie, to nieprawda. Achilles będzie sławny, a to ona go znalazła - czyli jednak coś więcej niż tylko przypis. Jej imię będzie pamiętane, ale zawsze w powiązaniu z tym koncho, który ją zabił, bo widziała, jaki jest bezbronny, i uratowała go od życia na ulicy.

Achilles ją zabił, ale oczywiście sam mu pomogłem.

Zmusił się, żeby myśleć o czymś innym. Czuł już to pieczenie pod powiekami oznaczające, że zaraz popłyną łzy. Ale to już skończone. Musi zachować sprawny umysł. To bardzo ważne, żeby stale o czymś myśleć.

W pokoju stał komputer dla gości, ze standardowym połączeniem do sieci i z niezłym oprogramowaniem. Groszek załogował się z jednego z rzadziej używanych adresów. Graff z pewnością ma dane, które nie dotarły do rządu Tajlandii. Peter również. I na pewno do niego napiszą.

Rzeczywiście, listy od nich obu czekały zaszyfrowane w jednej ze skrytek. Ściągnął je.

Były identyczne: e-mail przesłany przez siostrę Carlottę.

Obaj napisali to samo. Wiadomość dotarła do nich o dziewiątej rano czasu Tajlandii. Powinni odczekać dwanaście godzin na wypadek, gdyby Carlotta poprosiła o wycofanie wiadomości. Ale kiedy sprawdzili w niezależnych źródłach, że nie ma najmniejszych szans, by przeżyła katastrofę, postanowili nie czekać. Siostra Carlotta zaprogramowała wiadomość tak, że jeśli każdego dnia aktywnie jej nie zablokuje, serwer automatycznie prześle ją do Graffa i Petera z prośbą o przekazanie Groszkowi.

To znaczy, że myślała o nim każdego dnia swego życia, że codziennie robiła coś, by nie zobaczył tego listu. A jednak dopilnowała także, by treść w końcu do niego dotarła.

Jej pożegnanie. Nie chciał czytać. Zapłakał po niej. Nie pozostało już nic.

Ale przecież chciała, żeby przeczytał. Po wszystkim, co dla niego zrobiła, on także może zrobić coś dla niej.

Plik był podwójnie kodowany. Otworzył go własnym kluczem i znalazł kolejny szyfr. Nie miał pojęcia, jakiego użyła hasła, zatem musiało to być coś, o czym jej zdaniem na pewno pomyśli.

Miał szukać hasła dopiero po śmierci Carlotty, wybór był więc oczywisty. Wpisał imię

Buch i dekodowanie rozpoczęło się natychmiast.

Tak jak się spodziewał, był to list do niego.

Drogi Julianie, drogi Groszku, drogi przyjacielu!

Może to Achilles mnie zabił, a może nie. Wiesz, co myślę o zemście. Kara należy do Boga, a poza tym gniew odbiera ludziom rozum - nawet ludziom tak inteligentnym jak ty. Achillesa trzeba powstrzymać dlatego, że jest tym, kim jest, nie z powodu tego, co mi zrobił. To, jak zginęłam, nie ma dla mnie znaczenia. Liczy się tylko to, jak żyłam, a to osądzi Odkupiciel.

Ale wiesz już to wszystko i nie dlatego piszę ten list. Posiadam pewne informacje o tobie i masz prawo je poznać. Nie są to przyjemne informacje i zamierzałam z nimi poczekać do chwili, kiedy sam zaczniesz coś podejrzewać. Nie mogłam jednak pozwolić, by moja śmierć pozostawiła cię w niewiedzy. W ten sposób dałabym Achillesowi albo przypadkowi - którykolwiek z nich był sprawcą mojej gwałtownej śmierci - zbyt wielką władzę nad tobą.

Wiesz już, że przyszedłeś na świat w ramach nielegalnego eksperymentu naukowego, który wykorzystywał embriony wykradzione twoim rodzicom. Posiadasz niezwykle wspomnienia na temat swojej nieprawdopodobnej ucieczki z rzezi na twych braciach i siostrach, kiedy eksperyment został przerwany. To, czego dokonałeś w tym wieku, zdradza każdemu, kto zna tę historię, że jesteś wyjątkowo inteligentny. Do tej chwili nie wiedziałeś jednak, dlaczego jesteś inteligentny i co z tego wynika dla twojej przyszłości.

Osoba, która wykradła zamrożony embrion, była naukowcem - w pewnym sensie. Zajmowała się genetycznym zwiększeniem ludzkiej inteligencji, opierając swoje badania na teoretycznych pracach rosyjskiego uczonego imieniem Anton. Choć Anton miał blokadę interwencyjną i nie mógł mówić wprost, mężnie znalazł sposób, by ominąć programowanie i powiedzieć mi o zmianie genetycznej, jakiej w tobie dokonano. Wydawało mu się wprawdzie, że można ją przeprowadzić tylko w niezapłodnionym jajeczku, ale w rzeczywistości był to problem technicznej, nie teoretycznej natury.

W ludzkim genomie znajduje się podwójny klucz. Jedna jego część odpowiada za inteligencję. Przekręcony w pewien sposób, zakłada blokadę na zdolność ludzkiego mózgu do funkcjonowania z najwyższą wydajnością. W twoim przypadku klucz Antona przekręcono w drugą stronę. Twój mózg nie zakończył wzrostu: cały czas tworzy nowe neurony i nowe połączenia. Zamiast ograniczonej pojemności, z układami połączeń uformowanymi we wczesnym etapie rozwoju, mózg w miarę potrzeby zwiększa pojemność i dodaje nowe ścieżki. Psychicznie jesteś podobny do rocznego dziecka, ale dysponującego doświadczeniem.

Umysłowe przełomy, jakich regularnie dokonują niemowlęta, większe niż wszystko, do czego zdolni są dorośli, zawsze pozostaną w twoim zasięgu. Na przykład przez całe życie będziesz mógł uczyć się nowych języków i używać ich jak ktoś, kto zna je od urodzenia. Potrafisz utrzymywać niedostępne innym połączenia z własną pamięcią. Innymi słowy, jesteś nieznanym - czy też samopoznawanym - terytorium.

Oczywiście, jest cena, jaką płacisz za to uwolnienie mózgu. Prawdopodobnie sam już odgadłeś. Jeśli mózg rośnie, to co się dzieje z głową? Jak te wszystkie komórki mogą się zmieścić wewnątrz?

Twoja głowa, oczywiście, rośnie przez cały czas. Czaszka nigdy się w pełni nie domknęła. Naturalnie, prowadziłam pomiary. Przyrost jest powolny, a duża część wzrostu objętości mózgu opiera się na powstawaniu większej liczby, ale mniejszych neuronów. Kości czaszki także stają się cieńsze, mogłeś więc nie zauważyć powiększenia obwodu głowy - ale jest on realny.

Widzisz, druga strona klucza Antona ma związek z ludzkim wzrostem. Gdybyśmy nie przestawali rosnąć, umieralibyśmy w młodym wieku. Dłuższe życie wymaga rezygnacji z większej części inteligencji, ponieważ mózg musi się blokować i zakończyć rozwój we wcześniejszym okresie cyklu życiowego. Fluktuacje wzrostu istot ludzkich mieszczą się w dość wąskim paśmie. Ciebie nie ma nawet na wykresie.

Groszku, Julianie, mój synu, umrzesz bardzo młodo. Twoje ciało będzie rosnąć nie tak, jak zwykle w okresie dojrzewania, z jednym ostrym skokiem, a potem stabilizacją na poziomie dojrzałego wzrostu. Jak ujął to jeden z naukowców, nigdy nie osiągniesz dojrzałego wzrostu, ponieważ dojrzały wzrost dla ciebie nie istnieje. Jest tylko wzrost w chwili zgonu. Będziesz coraz wyższy i cięższy, aż wreszcie serce nie wytrzyma albo załamie się kręgosłup. Mówię ci to wprost, ponieważ nie ma sposobu, by złagodzić ten wstrząs.

Nikt nie wie, jak będzie postępował ten proces. Z początku pocieszał mnie fakt, że roślesz o wiele wolniej, niż przewidywano. Uprowadzono mnie, że w wieku dojrzewania powinienes dogonić rówieśników - ale to nie nastąpiło. Pozostałeś o wiele niższy. Miałam nadzieję, że się pomylili, że możesz dożyć czterdziestu albo pięćdziesięciu, czy choćby nawet trzydziestu lat. Ale w ciągu tego roku, kiedy byłeś z rodziną, a potem ze mną, zmierzono cię i tempo wzrostu wyraźnie się zwiększyło. Wszelkie znaki wskazują, że będzie rosło w dalszym ciągu. Jeśli dożyjesz dwudziestki, przekroczysz wszelkie rozsądne przewidywania. Jeśli umrzesz przed piętnastym rokiem życia, nie będzie to wielkim zaskoczeniem. Ronię łzy, pisząc te słowa, ponieważ jeśli kiedykolwiek istniało dziecko, które długim dorosłym życiem mogłoby służyć ludzkości, właśnie ty nim jesteś. Nie, będę szczerą: te łzy to dlatego, że myślę o tobie, jakbyś był

- pod wieloma względami - moim synem. Jestem tylko zadowolona, że skoro dowiadujesz się o swej przyszłości z tego listu, to znaczy, że umarłam przed tobą. Widzisz, najstraszniejszym lękiem wszystkich kochających rodziców jest ten, że będą musieli pogrzebać swoje dziecko. Nam, zakonnicom i księżom, oszczędzono tego brzemienia. Chyba że sami bierzemy je na swe barki, jak ja to uczyniłam nierozsądnie i z radością.

Dysponuję pełną dokumentacją odkryć dokonanych przez zespół, który cię obserwował. Jeśli im pozwolisz, będę nadal prowadzić badania - ich adres sieciowy znajdziesz na końcu tego listu. Można im ufać, bo to porządni ludzie, a także ponieważ wiedzą, że gdyby odkryto istnienie tego projektu badawczego, znaleźliby się w wielkim niebezpieczeństwie - badania genetycznego wspomagania ludzkiej inteligencji są zakazane przez prawo. Współpraca z nimi zależy wyłącznie od ciebie. Zdobyli już wiele cennych danych. Możesz żyć dalej, nie kontaktując się z nimi, albo możesz dostarczać im informacji. Naukowa strona twojej sytuacji nie interesuje mnie specjalnie. Pracowałam z nimi, bo chciałam wiedzieć, co cię czeka.

Wybacz, że ukrywałam przed tobą te fakty. Wiem, sadzisz, że wolałbyś znać je od początku. Na moją obronę mogę powiedzieć tyle, że dobrze jest, by istoty ludzkie miały w życiu okres niewinności i nadziei. Bałam się, że jeśli dowiesz się wszystkiego zbyt wcześnie, ta nadzieja zostanie ci odebrana. A jednak bez tej wiedzy nie miałbyś swobody wyboru, jak chcesz przeżyć te lata, które ci pozostały. Zamierzałam powiedzieć ci o wszystkim już wkrótce.

Niektórzy twierdzą, że z powodu tej drobnej korekty genetycznej nie jesteś człowiekiem. Ponieważ klucz Antona wymaga dwóch zmian w genomie, nie jednej, nie mógłby się zdarzyć przypadkiem, a zatem jesteś reprezentantem nowego, stworzonego laboratoryjnie gatunku. Ale ja mówię, że ty i Nikolai jesteście bliźniakami, nie osobnikami różnych gatunków, i ja - która poznałam cię nie gorzej niż dowolna inna ludzka istota - nigdy nie dostrzegłam w tobie niczego prócz najczystszej człowieczeństwa. Wiem, że nie akceptujesz mojej terminologii religijnej, ale zdajesz sobie sprawę, co to dla mnie znaczy. Masz duszę, moje dziecko. Zbawiciel umarł za ciebie, tak jak za każdego człowieka, jaki się narodził. Twoje życie ma nieskończoną wartość dla miłującego Boga. I dla mnie, synu.

Znajdziesz własny cel na te lata, jakie ci pozostały. Nie traktuj swego życia lekkomyślnie tylko dlatego, że będzie krótkie. Ale też nie chroń go nazbyt gorliwie. Śmierć nie jest tragedią dla tego, kto umiera. Tragedią jest, jeśli ktoś zmarnuje życie jeszcze przed śmiercią. Ty już wykorzystalesz swe lata lepiej niż większość. Znajdziesz nowe cele i zrealizujesz je. A jeśli ktokolwiek w niebiosach słucha głosu pewnej starej zakonnicy, będziesz dobrze strzeżony przez anioły, a wielu świętych będzie się za ciebie modlić.

Zawsze kochająca Carlotta

Groszek wykasował list. Gdyby chciał znów do niego zajrzeć, może zawsze ściągnąć go ze skrytki i zdekodować. Ale treść pozostała wypalona w pamięci. I to nie jako tekst na ekranie. Gdy przebiegał wzrokiem po wyświetlanych na monitorze liniijkach, słyszał słowa odczytywane głosem Carlotty,

Wyłączył komputer. Podszedł do okna i otworzył je na oścież. Spojrzał na ogród przy rezydencji premiera. W oddali widział samoloty podchodzące do lądowania i inne, które właśnie wystartowały i wznosiły się w niebo. Próbował sobie wyobrazić duszę siostry Carlotty, wzlatującą jak jeden z nich. Ale obraz stale się zmieniał na Air Shanghai zniżający się nad pasem, na Carlottę schodzącą po schodkach, patrzącą na niego i mówiącą: „Musisz sobie kupić nowe spodnie”.

Wrócił do pokoju i położył się na macie, ale nie spał. Nie zamknął nawet oczu. Patrzył w sufit, myślał o życiu i śmierci, o miłości i stracie. I kiedy tak leżał, miał wrażenie, że czuje, jak rosną mu kości.

CZĘŚĆ 4

DECYZJE

16. Zdrada

To: Demosthenes%Tecumseh@freeamerica.org

From: Unready%cincinnatus@anon.set

Subject: Air Shanghai

Czubki, które rządzą tym cyrkiem, postanowiły nie ujawniać info satelitarnych nikomu oprócz armii. Twierdzą, że sprawa dotyczy żywotnych interesów USA. Jedyne kraje mające satelity zdolne zobaczyć to samo co nasze, to Chiny, Japonia i Brazylia, a z nich tylko Chiny miały satelitę na odpowiedniej pozycji. Czyli Chińczycy wiedzą. A kiedy skończę ten list, ty będziesz wiedział także - i będziesz wiedział, jak użyć tej informacji. Nie lubię, kiedy wielkie kraje walą w małe, chyba że ten wielki kraj jest mój. I co mi kto zrobi?

Maszyna Air Shanghai została zestrzelona pociskiem ziemia - powietrze, odpalonym z TERYTORIUM TAJLANDII. Jednak wsteczna analiza komputerowa przemieszczeń na tym terenie wykazała, że jedynym poważnym kandydatem mogącym dostarczyć pocisk na pozycję startową była ciężarówka, której trasa zaczęła się - uważaj teraz - w Chinach.

Szczegóły: ciężarówka (nieduży wóz typu Ho, produkcja wietnamska) wyruszyła z magazynów w Gejiu (zidentyfikowano je już jako składy amunicji) i przekroczyła granicę wietnamską pomiędzy Jinping w Chinach a Sinh Ho w Wietnamie. Następnie przejechała granicę Laosu przełęczą Ded Tay Chang. Pokonała najszerszą część Laosu i w pobliżu Tha Li dotarła na terytorium Tajlandii. Wtedy porzuciła główne drogi. Przejechała dostatecznie blisko punktu, skąd wystrzelono pocisk, by można było ją rozładować i przenieść wyrzutnię na miejsce. I uważaj: wszystko to działo się PONAD MIESIĄC TEMU.

Nie wiem jak ty, ale ja i wszyscy inni tutaj uważamy, że Chiny próbują „prowokacji”, żeby przystąpić do wojny z Tajlandią. Odrzutowiec Air Shanghai, lecący do Bangkoku z tajskimi głównie pasażerami, jest zestrzelony nad terytorium Chin przez pocisk p-lot odpalony z Tajlandii. Chiny spróbują to przedstawić, jakby tajska armia próbowała dokonać fałszywej prowokacji przeciwko nim, podczas gdy w rzeczywistości jest odwrotnie. Dość skomplikowane, ale Chińczycy mają zdjęcia satelitarne na dowód, że pocisk startował z Tajlandii. Mogą też udowodnić, że musiał mieć wspomaganie radarowe z rozbudowanych systemów naziemnych - co w ich wersji będzie wskazywać na armię Tajlandii, choć MY wiemy, że to chińska armia wszystkim kierowała. A kiedy Chińczycy poproszą o niezależne potwierdzenie, mogą się założyć, że nasz ukochany rząd, który zawsze wyżej cenił interes niż honor, poprze ich bajeczkę, nie

wspominając nawet o tej ciężarówce. W ten sposób Ameryka zachowa łaski swego partnera handlowego. A Tajlandia może spadać.

Zrób, co trzeba, Demostenesie. Ujawnij te informacje, zanim nasz rząd zacznie się im podlizywać. Spróbuj tylko znaleźć taką metodę, żeby nic nie wskazywało na mnie. Tu nie chodzi tylko o stratę pracy - mogę trafić do więzienia .

Kiedy o dziewiątej Suriyawong zapytał, czy Groszek nie ma ochoty na kolację - przekąska dla oficerów na służbie, nie oficjalna kolacja z premierem - Groszek chciał iść za nim natychmiast. Musiał coś zjeść, a pora była nie gorsza od innych. Ale przypomniał sobie, że od lektury listu siostry Carlotty nie sprawdzał poczty. Poprosił więc Suriyawonga, żeby zaczął bez niego i zajął mu miejsce.

Sprawdził skrytkę, której użył Peter, by przekazać wiadomość od Carlotty, i znalazł późniejszy e-mail. Zawierał tekst listu od jednego z kontaktów Demostenesa w amerykańskim wywiadzie satelitarnym, co w połączeniu z Petera analizą sytuacji wyjaśniło wszystko. Napisał krótką odpowiedź, przesuwając hipotezy Petera o krok dalej, i zszedł do jadalni.

Suriyawong i dorośli oficerowie - było kilku generałów wezwanych z placówek terenowych do Bangkoku z powodu kryzysu w dowództwie - śmiali się. Umilkli, gdy Groszek wszedł do pokoju. Zwykle próbowałby jakoś rozładować atmosferę. Był w żałobie, ale nie zmieniało to faktu, że w czasie kryzysu dobry humor jest potrzebny, by zmniejszyć napięcie. Ale w tej chwili ich milczenie było wygodne. Dlatego je wykorzystał.

- Otrzymałem właśnie wiadomość od jednego z moich najlepszych źródeł wywiadowczych - oznajmił. - Panowie przede wszystkim powinni ją usłyszeć. Ale gdyby premier zechciał do nas dołączyć, oszczędzilibyśmy na czasie.

Któryś z generałów zaczął protestować, że cudzoziemski dzieciak nie będzie wzywał premiera Tajlandii, ale Suriyawong wstał i skłonił się przed nim. Generał zamilkł.

- Proszę wybaczyć, panie generale - powiedział Suriyawong - ale ten cudzoziemski chłopiec to Julian Delphiki, którego analiza podczas ostatniej bitwy z Formidami bezpośrednio doprowadziła do zwycięstwa Endera.

Oczywiście, generał wiedział o tym doskonale, ale Suriyawong pozwalał mu udawać, że to niespodzianka - dawał szansę wycofania się bez utraty twarzy.

- Rozumiem - rzekł generał. - W takim razie pan premier nie będzie urażony wezwaniem.

Groszek starał się jak najlepiej pomóc Suriyawongowi.

- Proszę wybaczyć, że odezwałem się tak nieuprzejmie. Słusznie zwrócił mi pan uwagę.

Mam tylko nadzieję, że zechce mi pan wybaczyć ten brak manier. Kobieta, która mnie wychowała, leciała tym samolotem Air Shanghai.

I znowu: generał to wiedział. Ale teraz mógł skłonić głowę i wymamrotać kondolencje. Wszystkim okazano należny szacunek i można było przystąpić do rzeczy.

Premier wyszedł z bankietu, gdzie gościł kilku dygnitarzy z chińskiego rządu. Stał pod ścianą i słuchał, jak Groszek przekazuje to, czego dowiedział się od Petera o miejscu pochodzenia pocisku, który zestrzelił samolot.

- Przez cały dzień, z przerwami, prowadziłem konsultacje z chińskim ministrem spraw zagranicznych - powiedział w końcu.

- Nie wspominał, że pocisk był wystrzelony z Tajlandii.

- Kiedy chiński rząd będzie gotów, by wykorzystać tę prowokację - odparł Groszek - będą udawać, że właśnie to odkryli. Premier się zaniepokoił.

- A nie mogli to być indyjscy agenci, którzy starali się stworzyć pozory, że to akcja Chińczyków?

- To mógł być każdy - przyznał Groszek. - Ale to byli Chińczycy.

Odezwał się gburowaty generał:

- Skąd wiesz, jeśli raporty satelitarne tego nie potwierdzają?

- Dla Indii takie działanie nie miałooby sensu. Jedyne kraje, które mogły wykryć ciężarówkę, to Chiny i USA, a dobrze wiadomo, że Amerykanie siedzą u Chińczyków w kieszeni. Ale Chiny by wiedziały, że nie oni wystrzelili pocisk i że Tajlandia go nie wystrzeliła. Więc po co to wszystko?

- Dla Chin to także nie ma sensu - zauważył premier.

- Panie premierze, nic nie ma sensu w wydarzeniach, jakie zaszły w ostatnich dniach. Indie zawarły pakt o nieagresji z Pakistanem i oba kraje wycofały wojska znad wspólnej granicy. Pakistan zaatakował Iran. Indie ruszyły na Birmę nie dlatego, że Birma jest taka cenna, ale dlatego że leży na drodze do Tajlandii. Tyle że działania indyjskie nie mają sensu. Prawda, Suriyawong? Suriyawong natychmiast zrozumiał, że Groszek prosi go o wsparcie, bo nie chce, żeby wszystkie analizy pochodziły do Europejczyka.

- Jak tłumaczyliśmy wczoraj Chakriemu, indyjski atak na Birmę jest nie tylko głupio zaplanowany, ale umyślnie głupio zaplanowany. Indie mają dowódców dostatecznie inteligentnych i dobrze wyszkolonych, żeby wiedzieli, iż posłanie mas żołnierzy przez granicę, z ogromnymi problemami zaopatrzenia, daje łatwy cel naszym oddziałom stosującym taktykę wojny podjazdowej. A także w pełni angażuje ich siły. Mimo to rozpoczęli właśnie taką kampanię.

- Tym lepiej dla nas - stwierdził gburowaty generał.

- Panowie - ciągnął Suriyawong - ważne, byście zrozumieli, że Indie mają u siebie Petre Arkanian, i zarówno Borommakot, jak i ja dobrze wiemy, że Petra nigdy nie podpisałaby się pod taką strategią. Zatem, oczywiście, nie jest to ich strategia.

- A co to ma wspólnego z lotem Air Shanghai? - wtrącił premier.

- Wszystko - odpowiedział Groszek. - A także z wczorajszym zamachem na Suriyawonga i na mnie. Ta drobna rozgrywka Chakriego miała za zadanie sprowokowanie Tajlandii do natychmiastowego przystąpienia do wojny z Indiami. I chociaż intryga zawiodła i Chakri został zdemaskowany, nadal podtrzymujemy legendę, że była to indyjska prowokacja. Pańskie spotkania z chińskim ministrem spraw zagranicznych są elementem planu mającego wciągnąć Chiny do wojny z Indiami. Nie, niech pan nie mówi, że nie może pan potwierdzić ani zaprzeczyć; to przecież oczywiste, czego mogą dotyczyć takie rozmowy. A Chińczycy tłumaczą panu, założę się, że gromadzą wojska na birmańskiej granicy, aby zaatakować Indie niespodziewanie, kiedy najbardziej się odsłonią.

Premier, który rzeczywiście otwierał już usta, by coś odpowiedzieć, zachował milczenie.

- Tak, to oczywiste, że o tym pana przekonują. Ale Hindusi też wiedzą, że Chińczycy zbierają siły na granicy Birmy, a mimo to kontynuują inwazję. Ich wojska są niemal w pełni związane, bez żadnych odwodów do obrony przed chińskim atakiem z północy. Dlaczego? Czy będziemy udawać, że Hindusi są aż tak głupi?

Odpowiedział mu Suriyawong, kiedy tylko zrozumiał, co się dzieje.

- Indie mają też pakt o nieagresji z Chinami. Wierzą, że chińscy żołnierze zbierają się na granicy, żeby uderzyć na nas. Chińczycy i Hindusi podzielili między siebie Azję Południowo-Wschodnią.

- Czyli ta rakietą, którą Chińczycy wystrzelili z Tajlandii, żeby strącić własny samolot pasażerski nad własnym terytorium - dokończył premier - to będzie pretekst, żeby zerwać negocjacje i zaatakować nas z zaskoczenia?

- Nikt nie jest zaskoczony zdradami Chin - mruknął jeden z generałów.

- Ale to jeszcze nie jest pełny obraz - podjął Groszek. - Jak dotąd nie wzięliśmy pod uwagę Achillesa.

- Przebywa w Indiach - poinformował Suriyawong. - Zaplanował wczorajszy zamach na nas.

- A wiemy, że to on planował zamach - wtrącił Groszek - ponieważ ja tam byłem. Zabicie ciebie miało być prowokacją, ale dał zgodę, żeby spróbować zeszłej nocy, gdyż

zginęlibyśmy obaj. Wiemy też, że on zlecił strącenie samolotu Air Shanghai, bo chociaż pocisk czekał od miesiąca, gotowy do odpalenia, nie nadszedł jeszcze właściwy moment na prowokację. Chiński minister spraw zagranicznych wciąż przebywa w Bangkoku. Tajlandia nie wprowadziła jeszcze żołnierzy do walki, nie zużyła rezerw i nie wysłała większości swoich sił w misję na północnym zachodzie. Chińskie oddziały nie są odpowiednio rozmieszczone na północy. Ten pocisk nie powinien być wystrzelony jeszcze co najmniej przez kilka dni. Ale wystartował dziś rano, ponieważ Achilles wiedział, że tym samolotem leci siostra Carlotta i nie mógł przepuścić okazji, by ją zabić.

- Mówiłeś przecież, że ten pocisk to operacja chińska - przypomniał premier. - Achilles przebywa w Indiach.

- Achilles jest w Indiach, ale czy Achilles pracuje dla Indii?

- Chcesz powiedzieć, że Achilles pracuje dla Chin?

- Achilles pracuje dla Achillesa - odparł Suriyawong. - Ale rzeczywiście, teraz sytuacja jest jasna.

- Dla mnie nie - oznajmił gburowaty generał. Suriyawong z zapalem zaczął tłumaczyć:

- Achilles od samego początku wystawiał Indie Chinom. Póki był jeszcze w Rosji, z pewnością wykorzystywał rosyjskie służby wywiadowcze, żeby nawiązać kontakty w Pekinie. Obiecał, że potrafi za jednym zamachem oddać im całą południową i południowo-wschodnią Azję. Potem uciekł do Indii i rozpoczął wojnę, w wyniku której indyjskie wojska są całkowicie zaangażowane w Birmie. Do tej chwili Chińczycy nie mogli ruszyć na Indie, ponieważ indyjska armia koncentrowała siły na zachodzie i północnym zachodzie, więc chińscy żołnierze, którzy dotarli tam przez przełęcz w Himalajach, nie mogli się z nią zmierzyć. Teraz jednak cała indyjska armia jest odsłonięta, oddalona od swoich baz. Jeśli Chińczykom uda się niespodziewany atak i zniszczą tę armię, Indie będą bezbronne. Będą musiały się poddać. My jesteśmy tylko celem ubocznym. Zaatakują nas, żeby uspić czujność Indii.

- Czyli nie planują inwazji na Tajlandię? - upewnił się premier.

- Planują - zapewnił go Groszek. - Chcą panować od Indusu po Mekong. Ale głównym celem jest armia indyjska. Kiedy ją rozbiją, nic już nie stanie im na drodze.

- I to wszystko - zadrwił gburowaty generał - dedukujemy z faktu, że samolotem leciała pewna katolicka mniszka?

- Dedukujemy to - odparł Groszek - z faktu, że Achilles kieruje wydarzeniami w Chinach, Tajlandii i Indiach. Achilles wiedział, że siostra Carlotta znajduje się w tym samolocie, ponieważ Chakri przechwycił moją wiadomość do pana premiera. Achilles tym rządzi. Zdradza każdego wobec każdego. A w końcu stanie u władzy nowego imperium, gdzie

żyje ponad połowa ludności świata: Chiny, Indie, Birma, Tajlandia, Wietnam. Wszyscy będą musieli się liczyć z tym nowym supermocarstwem.

- Przecież Achilles nie rządzi w Chinach - zauważył premier. - O ile wiemy, nigdy nawet tam nie był.

- Chińczycy z pewnością wierzą, że go wykorzystują. Ale ja znam Achillesa. Przewiduję, że w ciągu roku chińscy przywódcy będą albo martwi, albo posłuszni jego rozkazom.

- Może powinienem iść teraz i ostrzec chińskiego ministra, jakie niebezpieczeństwo mu grozi? - zastanowił się premier. Gburowaty generał wstał gwałtownie.

- Oto co się dzieje, jeśli pozwolić dzieciom na zabawę sprawami świata dorosłych. Wydaje im się, że prawdziwe życie to gra komputerowa: wystarczy kilka ruchów myszą, żeby powstawały i upadały państwa.

- Właśnie w ten sposób państwa powstają i padają - zwrócił mu uwagę Groszek. - Przypomnijmy sobie Francję w 1940 roku. Napoleon na początku dziewiętnastego wieku od nowa nakreślił mapę Europy, tworząc królestwa, by jego bracia mieli czym władać. Zwycięzcy pierwszej wojny światowej cięli królestwa i kreślili na mapach bezsensowne linie, które miały znowu i znowu prowadzić do wojny. A jeszcze japoński podbój większej części zachodniego Pacyfiku w grudniu 1941 roku czy upadek Związku Radzieckiego w 1989. Wydarzenia czasem następują bardzo gwałtownie.

- Ale tam działały potężne siły - upierał się generał.

- Kaprysy Napoleona nie były potężną siłą. Ani Aleksandra powalającego imperia, gdzie tylko się skierował. Nie było nic nieuniknionego u Greków docierających do Indusu.

- Nie potrzebuję twojej lekcji historii.

Groszek chciał odpowiedzieć, że tak, najwyraźniej potrzebuje... Ale Suriyawong pokręcił głową. Groszek zrozumiał natychmiast.

Suriyawong miał rację. Premier nie był przekonany, a jedyni generałowie, którzy dotąd zabierali głos, to ci wyraźnie niechętni ideom Groszka i Suriyawonga. Jeśli będzie naciskał, osiągnie tyle, że w nadchodzącej wojnie zepchną go na margines. A musiał być w samym gąszczu zdarzeń, jeśli chciał użyć swojej grupy uderzeniowej, z takim trudem stworzonej.

- Panie generale - powiedział więc - nie zamierzałem uczyć pana czegokolwiek. Niczego nie musi się pan ode mnie uczyć. Przekazałem tylko informację, jaką otrzymałem, oraz wnioski, jakie z niej wyciągnąłem. Jeśli wnioski te nie są poprawne, przepraszam, że zabrałem panom czas. A jeżeli włączymy się do wojny z Indiami, proszę tylko o szansę, by godnie służyć Tajlandii i odpłacić za okazaną mi gościnność.

Zanim generał zdążył zareagować - a było jasne, że zamierza odpowiedzieć wyniośle - interweniował premier.

- Jesteśmy wdzięczni, że ofiarowałeś nam to, co miałeś najlepszego. Tajlandia przetrwała w tym trudnym regionie, ponieważ nasz lud i nasi przyjaciele poświęcali wszystko w służbie tej niewielkiej, ale pięknej krainy. Naturalnie, że chcemy skorzystać z twoich usług w nadchodzącej wojnie. O ile pamiętam, dowodzisz niewielką grupą doskonale i wszechstronnie wyszkolonych tajskich żołnierzy. Dopilnuję, żeby twój oddział trafił pod rozkazy dowódcy, który potrafi wykorzystać i tych ludzi, i ciebie.

Był to zręczny sygnał dla zebranych, że obaj chłopcy są pod opieką premiera. Generał, który próbowałby odsunąć ich od walki, osiągnie tylko tyle, że trafią pod komendę kogoś innego. Groszek nie mógł liczyć na więcej.

- A teraz - zakończył premier - choć miło mi było spędzić ten kwadrans w panów towarzystwie, minister spraw zagranicznych Chin z pewnością się zastanawia, czemu jestem nieuprzejmy i nie wracam przez tak długi czas.

Premier skłonił się i wyszedł.

Gburowaty generał i inni oficerowie, którzy okazywali największy sceptycyzm, natychmiast wrócili do żartobliwej rozmowy przerywanej uprzednio wejściem Groszka. Zachowywali się, jakby nic się nie wydarzyło.

Ale generał Phet Noi, dowodzący siłami tajskimi na Półwyspie Malajskim, skinął dyskretnie na Groszka i Suriyawonga. Suriyawong wziął talerz i przysiadł się do niego, a Groszek zatrzymał się tylko, by nałożyć sobie porcję z tac na ładzie. Potem dołączył do przyjaciela.

- Czyli masz grupę uderzeniową - rzekł Phet Noi.

- Powietrze, morze i ląd - potwierdził Groszek.

- Główna ofensywa indyjska rozwija się na północy. Moja armia ma bronić wybrzeża przed próbami lądowania, ale naszym zadaniem jest czujność, nie walka. Mimo to sądzę, że gdyby twoja grupa podejmowała misję z południa, mniejsza byłaby szansa, że wpłaczą was w typowe rajdy startujące z ważniejszych okręgów północnych.

Phet Noi wiedział, że jego okręg był jednym z najmniej istotnych w nadchodzącej wojnie, ale zależało mu na udziale w walkach nie mniej niż Groszkowi i Suriyawongowi. Mogli pomóc sobie nawzajem. Do końca posiłku zastanawiali się wspólnie, gdzie na tym malajskim uchwycie tajlandzkiej patelni najlepiej umieścić oddział Groszka. W końcu zostali przy stole tylko we trzech.

- Panie generale - odezwał się Groszek. - Ponieważ jesteśmy tu sami, muszę coś panu

powiedzieć.

- Słucham.

- Będę panu służył lojalnie i wykonywał pańskie rozkazy. Ale jeśli nadarzy się okazja, wykorzystam mój zespół do osiągnięcia celu, który nie jest bezpośrednio związany z interesami Tajlandii.

- Co to takiego?

- Moja przyjaciółka, Petra Arkanian, jest zakładniczką... nie, o ile wiem, jest praktycznie niewolnicą Achillesa. Każdego dnia grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Kiedy uzyskam informacje, które zwiększą szansę sukcesu misji, wykorzystam mój oddział, żeby wyrwać ją z Hajdarabadu.

Phet Noi zastanawiał się jakiś czas. Jego twarz nie zdradzała niczego.

- Zdajesz sobie sprawę, że Achilles trzyma ją może właśnie dlatego, by posłużyła za przynętę i zwabiła cię w pułapkę?

- To możliwe - przyznał Groszek. - Ale nie wierzę, żeby takie miał plany. On uważa, że jest w stanie zabić każdego, w dowolnym miejscu. Nie musi zastawiać pułapek. Czekanie na okazję to oznaka słabości. Sądzę, że trzyma Petrę dla jakichś własnych powodów.

- Znasz go - stwierdził Phet Noi. - A ja nie. - Pomyślał chwilę. - Kiedy słuchałem, co mówisz o Achillesie, jego planach i zdradach, sądzą, że sytuacja może się rozwinąć właśnie tak, jak to przewidujesz. Nie wiem tylko, w jaki sposób Tajlandia może wyjść z tego zwycięsko. Nawet ostrzeżeni, nie zdołamy pokonać Chińczyków na polu bitwy. Ich linie zaopatrzenia będą krótkie. Prawie czwarta część ludności Tajlandii jest chińskiego pochodzenia i chociaż większość to lojalni obywatele, spora grupa wciąż uważa Chiny za swoją ojczyznę. Chińczykom nie zabraknie więc w naszym kraju sabotażystów i kolaborantów, podczas gdy Indie nie mają takich możliwości. Jak możemy przetrwać?

- Jest tylko jeden sposób - odparł Groszek. - Skapitulować natychmiast.

- Co?! - wykrzyknął Suriyawong.

- Premier Paribatra powinien udać się do chińskiego ministra spraw zagranicznych i oświadczyć, że Tajlandia pragnie zostać sprzymierzeńcem Chin. Tymczasowo oddamy pod chińskie rozkazy większą część naszych sił, by w miarę potrzeby wykorzystywać je do walki z indyjskim agresorem. Będziemy zaopatrywać nie tylko własnych, ale i chińskich żołnierzy, w miarę naszych możliwości. Chińscy kupcy uzyskają nieograniczony dostęp do naszych rynków i fabryk.

- Ale to przecież haniebné...

- Było hanbą - przypomniał Groszek - kiedy w czasie drugiej wojny światowej

Tajlandia sprzymierzyła się z Japonią, ale przetrwała, a japońscy żołnierze nie okupowali kraju. Było hańbą, gdy Tajlandia ustąpiła Europejczykom i oddała Francji Laos i Kambodżę, ale serce kraju pozostało wolne. Jeśli teraz Tajlandia nie sprzymierzy się z góry z Chinami i nie da im wolnej ręki, Chińczycy i tak będą tu rządzić, ale Tajlandia całkowicie straci wolność i niezależne istnienie... na wiele lat, a być może na zawsze.

- Czy słucham wyroczni? - spytał Phet Noi.

- Słucha pan lęków własnego serca, generale. Czasami trzeba nakarmić tygrysa, żeby nas nie pożarł.

- Tajlandia nigdy tego nie uczyni - zapewnił generał.

- W takim razie sugeruję, by zaczął się pan przygotowywać do ucieczki i życia na wygnaniu - odparł Groszek. - Bo kiedy Chińczycy przejmą władzę, wyższe warstwy społeczne ulegną likwidacji.

Wiedzieli, że Groszek mówi o podboju Tajwanu. Wszyscy urzędnicy rządowi i ich rodziny, profesorowie, dziennikarze, pisarze, politycy i ich rodziny zostali wywiezieni z Tajwanu do obozów reedukacji na zachodnich pustkowiach, gdzie zaprzęgnięto ich do prac fizycznych - ich i ich dzieci, do końca życia. Nikt z nich nie wrócił już na Tajwan. Żadne z dzieci nie uzyskało zgody na kształcenie powyżej czternastego roku życia. Metoda okazała się tak skuteczna przy pacyfikacji wyspy, że trudno uwierzyć, by Chiny nie wykorzystały jej przy obecnych podbojach.

- Czy mam zostać zdrajcą, który szykuje się do klęski i planuje własną ucieczkę? - zastanowił się głośno Phet Noi.

- Czy raczej będzie pan patriotą, który próbuje wyrwać z rąk nieprzyjaciela przynajmniej jednego tajskiego generała z rodziną? - odparł Groszek.

- Nasza klęska jest więc nieunikniona? - spytał Suriyawong.

- Umiesz czytać mapę. Ale cuda się zdarzają. Groszek zostawił ich w niewesołym nastroju, a sam wrócił do siebie, by uprzedzić Petera o prawdopodobnej reakcji Tajlandii.

17. Na moście

To: Chamrajnagar%8acredriver6ifcom.gov

From: Wiggin%resistance@haiti.gov

Subject: Dla dobra Indii proszę nie stawiać stopy na Ziemi

Szanowny Polemarcho,

z powodów, jakie wyjaśnia dołączony artykuł, który wkrótce opublikuję, spodziewam się, że wróci pan na Ziemię akurat na czas, by trafić na całkowity podbój Indii przez Chiny.

Gdyby pański powrót do Indii mógł pomóc w zachowaniu niepodległości, podjąłby pan wszelkie ryzyko, niezależnie od moich rad. A gdyby utworzenie rządu emigracyjnego mogło w czymkolwiek pomóc pańskiej ojczyźnie, kto ośmieliłby się pana przekonywać, by tego nie robić? Jednak strategiczna pozycja Indii jest tak odkryta, a chińska zaciętość w podbojach tak dobrze znana, że z pewnością sam zdaje pan sobie sprawę, iż żadne z tych działań nie doprowadzi do niczego.

Pańska dymisja ze stanowiska Polemarchy nie nabierze mocy, dopóki nie wyląduje pan na Ziemi. Jeżeli nie wsiądzie pan na prom, a zamiast tego powróci do sztabu MF, pozostanie pan Polemarchą. Jest pan jedynym człowiekiem, który potrafi zabezpieczyć Międzynarodową Flotę. Nowy dowódca nie zdoła rozróżnić Chińczyków lojalnych wobec Floty od tych, którzy są wierni przede wszystkim swej dominującej teraz ojczyźnie. MF nie może wpaść pod wpływ Achilleśa. Pan jako Polemarcha mógłby przydzielić niepewnym Chińczykom mniej ważne funkcje, nie dopuszczając, by któryś z nich sięgnął po władzę. Jeśli natomiast wróci pan na Ziemię, a Achilles zyska wpływ na pańskiego następcę, MF stanie się narzędziem podbojów.

Jeśli zachowa pan stanowisko Polemarchy, musi się pan liczyć z oskarżeniami o planowanie zemsty na Chinach. Zatem, by dowieść swej bezstronności i uniknąć podejrzeń, powinien pan zachować absolutną powściągliwość w kwestii ziemskich wojen i walk. Może pan zaufać mnie i moim sprzymierzeńcom, że będziemy stawiać opór Achillesowi niezależnie od oceny naszych szans. Choćby z tego powodu, że jego ostateczny tryumf oznacza naszą natychmiastową likwidację.

Niech pan zostanie w kosmosie i w ten sposób da ludzkości szansę wyrwania się spod władzy szaleńca. W zamian obiecuję, że uczynię wszystko co w mojej mocy, by wyzwolić Indie spod władzy Chin i przywrócić im niepodległość.

Żołnierze doskonale wiedzieli, kim jest Virłomi. Wiedzieli też, że wyznaczono nagrodę za jej schwytanie - albo za jej martwe ciało. Była oskarżona o szpiegostwo i zdradę. Ale od samego początku, kiedy dotarła na wartownię przy bramie bazy w Hajdarabadzie, zwykli żołnierze wierzyli jej i traktowali przyjaźnie.

- Usłyszycie, że zarzucają mi szpiegostwo albo coś jeszcze gorszego - powiedziała. - To kłamstwo. Zdradziecki cudzoziemski potwór rządzi w Hajdarabadzie i chce mnie zabić z osobistych powodów. Pomóście.

Żołnierze bez słowa wyprowadzili ją poza pole widzenia kamer i czekali. Kiedy nadjechała pusta ciężarówka, zatrzymali ją. Jeden zaczął rozmawiać z kierowcą, a inni pomogli jej wsiąść. Ciężarówka przejechała i Virłomi wydostała się na zewnątrz.

Od tego czasu stale zwracała się do piechurów o pomoc. Oficerowie mogli, ale nie musieli pozwolić, by współczucie i słuszość racji wpłynęły na ich posłuszeństwo i ambicje - ale zwykli żołnierze nie mieli takich oporów. Przejechała wśród nich zatłoczonym pociągiem, dostawała tyle jedzenia wyniesionego z kuchni, że nie mogła zjeść wszystkiego, miała własną prycę, choć zmęczeni mężczyźni spali na podłodze. Nikt nawet jej nie dotknął, chyba po to, żeby jej pomóc. Nikt jej nie zdradził.

Jechała przez Indie na wschód, ku strefie wojny. Wiedziała, że jej jedyną nadzieją - i jedyną nadzieją dla Petry Arkanian - jest odszukać Groszka albo pozwolić mu się znaleźć.

Wiedziała, co teraz robi Groszek: przeszkadza Achillesowi, gdzie tylko i jak tylko potrafi. Ponieważ indyjski sztab wybrał niemądrą i ryzykowną strategię zaangażowania w walce wszystkich swoich sił, wiedziała, że skuteczna taktyka oporu polega na atakowaniu i przecinaniu linii zaopatrzenia. A Groszek pojawi się tam, gdzie linie zaopatrzenia są najbardziej istotne, ale też najtrudniejsze do zniszczenia.

Zbliżając się do frontu, Virłomi analizowała zapamiętaną mapę. Aby przerzucić duże ilości zapasów i amunicji z Indii do oddziałów walczących na wielkiej równinie, gdzie płynie Irawadi, można było wybrać jedną z dwóch głównych tras. Szlak północny był łatwiejszy, ale bardziej narażony na ataki. Szlak południowy trudniejszy, ale osłonięty. Groszek na pewno zajmie się zniszczeniem szlaku południowego.

W którym punkcie? Dwie drogi prowadziły przez góry z Imphalu w Indiach do Kalemio w Birmie. Obie biegły wąskimi dolinami i ponad głębokimi kanionami. Gdzie najtrudniej będzie odbudować wysadzony most albo zniszczoną drogę? Na obu trasach istniały takie miejsca. Ale najtrudniejsza byłaby trasa zachodnia - długi pas drogi wykutej w stromym

urwisku, prowadzącej do mostu nad wąwozem. Groszek nie ograniczył się do wysadzenia tego mostu, uznała Virłomi, ponieważ zbyt łatwo byłoby przerzucić nowy. Groszek zburzył też w kilku punktach drogę, więc grupy techniczne nie dotrą do miejsca, gdzie trzeba zakotwiczyć przęsło, dopóki nie wyryją i nie ułożą nowego szlaku.

Tam więc dostała się Virłomi. I czekała.

Wodę znalazła bez trudu, spływającą strumykami ze zboczy. Żywność dostawała od przechodzących żołnierzy. Szybko odkryła, że sami jej szukają. Rozeszła się wieść, że ukrywająca się kobieta potrzebuje jedzenia. I wciąż żaden z oficerów nie wiedział, gdzie jest, nie pojawił się wysłany przez Achillesa morderca. Choć żołnierze byli biedni, nagroda wyraźnie ich nie skusiła. Virłomi była dumna z rodaków, choć równocześnie płakała nad nimi, skoro ktoś taki jak Achilles sprawował władzę.

Słyszała o śmiałych atakach na trasie wschodniej. Wzmógł się ruch na trasie zachodniej; droga dudniła dniem i nocą - Indie zużywały rezerwy paliwa, zaopatrując armię o wiele większą, niż wymagała ta wojna, Virłomi pytała żołnierzy, czy słyszeli o tajskich żołnierzach dowodzonych przez dziecko. Śmiali się z goryczą.

- Dwóch chłopców - odpowiadali. - Jeden biały, jeden brązowy. Nadlatują w swoich maszynach, niszczą i znikają. Kogokolwiek dotkną, ten ginie. Cokolwiek zobaczą, burzą.

Teraz zaczęła się martwić. A jeśli ten, który przyleci, by zniszczyć most, nie będzie Groszkiem, ale tym drugim? Na pewno też ktoś ze Szkoły Bojowej - przyszedł jej na myśl Suriyawong. Ale czy Groszek powiedział mu o jej liście? Czy zrozumie, że ma w głowie szczegółowy plan bazy w Hajdarabadzie? I że wie, gdzie trzymają Petrę?

Nie miała wyboru. Musi się pokazać i liczyć na szczęście.

I tak mijały dni, a Virłomi wciąż czekała na warkot śmigłowców niosących grupę uderzeniową, która zniszczy most.

* * *

W Szkole Bojowej Suriyawong nie zdążył zostać dowódcą. Zamknęli program, nim awansował. Ale marzył o dowodzeniu, studiował je, planował... I teraz, pracując z Groszkiem i kierując taką czy inną konfiguracją ich zespołu, wreszcie rozumiał groźbę i szczęście, jakie daje świadomość, że żołnierze go słuchają, wykonują rozkazy, wchodzą do akcji i ryzykują życie, ponieważ mu ufają. Za każdym razem, gdy żołnierze byli tak pomysłowi i dobrze wyszkoleni, a ich taktyka skuteczna, wracał do bazy bez strat.

Ranni, owszem, ale żadnych zabitych. Czasami przerwane misje - ale żadnych zabitych.

- Tymi przerwany misjami zyskujesz ich zaufanie - tłumaczył Groszek. - Kiedy widzisz, że jest bardziej niebezpiecznie, niż się spodziewałeś, że osiągnięcie celu wymaga ofiar, pokaż swoim ludziom, że ich życie cenisz bardziej niż wykonanie zadania. Później, kiedy nie będziesz miał wyboru i podejmiesz ryzyko, będą wiedzieli, że tym razem warto umierać. Będą wiedzieli, że nie zmarnujesz ich życia jak dzieciak, na głupstwa.

Miał rację, co wcale Suriyawonga nie dziwiło. Groszek był przecież nie tylko najbardziej inteligentny, ale też obserwował z bliska Endera - był jego tajną bronią w Armii Smoka i rezerwowym dowódcą na Erosie. Oczywiście, że wiedział, na czym polega dowodzenie.

Suriyawonga zaskakiwała raczej jego wielkoduszność. Groszek sam przecież stworzył ten oddział, przeszkolił ludzi, zdobył ich zaufanie. Przez cały ten czas Suriyawong prawie mu nie pomagał, a niekiedy okazywał otwartą wrogość. Mimo to Groszek przyjął go do jednostki, powierzył dowództwo, zachęcał żołnierzy, by mu pokazali, co potrafią. Ani razu nie potraktował Suriyawonga jak kogoś gorszego czy jak swego podkomendnego. Raczej zwracał się do niego jak do starszego stopniem oficera.

W zamian Suriyawong nigdy nie rozkazywał niczego Groszkowi. Starali się dojść do zgody we wszystkich sprawach, a jeśli im się nie udało, Suriyawong polegał na opinii Groszka i go wspierał.

Uświadomił sobie, że Groszek nie ma śladu ambicji. Nie próbuje pokazać, że jest od kogoś lepszy, nie chce nikim rządzić, nie pragnie zaszczytów.

Potem, w czasie wspólnych misji, Suriyawong zauważył coś jeszcze: Groszek nie bał się śmierci.

Czasami świstały kule, materiały wybuchowe miały zaraz detonować, a Groszek poruszał się bez lęku, szukając symbolicznej tylko osłony. Całkiem jakby wyzywał nieprzyjaciela, by spróbował go zastrzelić, wyzywał ich własne ładunki, żeby go zawiodły i eksplodowały, zanim odejdzie na bezpieczną odległość.

Czy to odwaga? A może pragnął śmierci? Czy zgon siostry Carlotty odebrał mu wolę życia? Rozmawiając z nim, Suriyawong nie mógł uwierzyć w coś takiego. Groszek zdradzał zbyt wiele determinacji w dążeniu do uwolnienia Petry. Miał cel, dla którego warto było żyć. A mimo to nie okazywał lęku w bitwie.

Jakby znał dzień swojej śmierci i wiedział, że to nie jest jeszcze ten dzień.

Na pewno nie przestał się czymkolwiek przejmować. Więcej: spokojny, chłodny, opanowany i arogancki Groszek, którego Suriyawong pamiętał, od dnia śmierci siostry Carlotty stał się niecierpliwy i nerwowy. Spokój, jaki okazywał w bitwie przed żołnierzami,

znikał bez śladu, kiedy zostawał sam z Suriyawongiem i generałem Phet Noi. A ulubionym celem jego przekleństw nie był Achilles - prawie nigdy nie wspominał o Achillesie - ale Peter Wiggin.

- Wiedział wszystko już od miesiąca! Owszem, załatwia różne drobiazgi: przekonał Chamrajnagara, żeby jeszcze nie wracał na Ziemię, przekonał Ghaffara Wahabiego, żeby nie atakował Iranu. Opowiada mi o tym, ale nie chce załatwić najważniejszego: opublikować całej zdradzieckiej strategii Achillesa! I tłumaczy mi, żebym ja sam też jej nie ujawniał. Dlaczego nie? Gdyby indyjski rząd się dowiedział, że Achilles chce ich zdradzić, może zdążyliby wycofać z Birmy dość wojska, żeby oprzeć się Chińczykom. Rosja mogłaby interweniować. Japońska flota zagroziłaby chińskim interesom handlowym. Przynajmniej sami Chińczycy by zrozumieli, kim jest Achilles, i pozbyli się go, chociaż nadal realizowaliby jego plany! A on tylko powtarza: to nie jest właściwy moment, jeszcze za wcześnie, trzeba poczekać, zaufaj mi, wspieram cię i będę z tobą do końca.

Nie był łaskawszy w ocenach tajskich generałów prowadzących wojnę - a raczej rujnujących wojnę, jak to określał. Suriyawong musiał przyznać mu rację. Cała ich strategia opierała się na rozproszeniu wojsk. Teraz jednak, gdy tajskie lotnictwo uzyskało panowanie w powietrzu nad Birmą, skoncentrowali siły i bazy lotnicze na wysuniętych pozycjach.

- Tłumaczyłem im, na czym polega zagrożenie - mówił Groszek. - A oni i tak zbierają wojska w jednym wygodnym miejscu.

Phet Noi słuchał cierpliwie. Suriyawong także zrezygnował już ze sporów. Rzeczywiście, ludzie zachowywali się głupio i to wcale nie z powodu niewiedzy. Oczywiście, potem będą tłumaczyć: „Przecież nie wiedzieliśmy, że Groszek ma rację”.

Na co, Groszek też miał odpowiedź.

- Nie wiedzieliście, że się mylę! Więc powinniście przynajmniej zachować ostrożność!

Jedno z czasem zmieniło się w Groszkowych diatrybach - zachrypiał, a kiedy odzyskał głos, był on niższy. Jak na chłopca, który zawsze był drobny, mutacja nadeszła wcześniej. A może po prostu tymi mowami podrażnił struny głosowe.

Ale teraz, w czasie misji, Groszek milczał; był już spokojny i opanowany przed walką. Razem z Suriyawongiem jako ostatni wsiedli do śmigłowców, po sprawdzeniu, że wszyscy są już wewnątrz. Jeszcze tylko zaszalowali sobie nawzajem, zanurkowali do wnętrza, zatrzasnęli włazy. Śmigłowce uniosły się w powietrze. Lecieli na silnikach odrzutowych tuż nad powierzchnią Oceanu Indyjskiego, ze złożonymi i schowanymi łopatami wirników. Dopiero gdy dotarli do wyspy Cheduba, bazy pośredniej dzisiejszej operacji, maszyny rozsunęły się, wyłączyły silniki i rozłożyły wirniki do pionowego lądowania.

Tutaj zostawili odwody - ludzi i maszyny mające ewakuować tych, których unieruchomią awarie lub nieprzewidziane komplikacje. Groszek i Suriyawong nigdy nie lecieli razem, bo awaria jednego śmigłowca nie powinna pozbawiać oddziału dowództwa. Każdy z nich brał dodatkowy sprzęt, by mogli nawet pojedynczo wykonać zadanie. Niejeden raz te rezerwy ratowały żołnierzy i sytuację. Phet Noi zawsze dbał o to, by byli odpowiednio wyposażeni, ponieważ, jak mawiał, „Sprzęt daje się tym dowódcom, którzy potrafią go wykorzystać”.

Groszek i Suriyawong mieli zbyt wiele pracy, by rozmawiać w bazie pośredniej. Spotkali się jednak na chwilę, obserwując, jak zespół rezerwowy maskuje śmigłowce i rozstawia baterie słoneczne.

- Wiesz, o czym marzę? - zapytał Groszek.

- Żeby zostać astronautą, jak dorośniesz?

- Żebyśmy mogli skreślić tę misję i polecieć do Hajdarabadu.

- I dać się zabić, nie widząc nawet śladu Petry - dokończył Suriyawong. - Zresztą pewnie i tak już ją przerzucili gdzieś w Himalaje.

- W tym właśnie tkwi geniusz mojego planu - odparł Groszek. - Weźmiemy stado krów jako zakładników i zagrozimy, że będziemy zabijać jedną dziennie, dopóki nie wydadzą nam Petry.

- Zbyt ryzykowne. Krowy zawsze próbują się wyrwać.

Ale Suriyawong rozumiał, że niemożność udzielenia pomocy Petrze dręczy Groszka bez przerwy.

- Uda się w końcu. Peter szuka kogoś, kto ma aktualne informacje o Hajdarabadzie.

- Tak jak pracuje nad ujawnieniem planu Achillesa. Ulubiony temat... Tylko dlatego że byli w akcji, Groszek zachował spokój, zamiast znowu się wściekać.

- Wszystko gotowe - poinformował Suriyawong.

- Zobaczymy się w górach.

To była ryzykowna misja. Przeciwnik nie mógł piklować każdego kilometra drogi, ale nauczył się szybko koncentrować siły, gdy tylko dostrzeżono tajskie helijety. Ich grupy miały coraz mniej czasu na wykonanie zadań. A ten punkt szlaku prawdopodobnie będzie broniony. Dlatego oddział Groszka - cztery z pięciu kompanii - miał usunąć obrońców z okolicy i osłaniać ludzi Suriyawonga, gdy będą zakładać ładunki i wysadzać drogę oraz most.

Wszystko szło zgodnie z planem - a nawet lepiej, bo nieprzyjacieli nie zorientował się chyba, gdzie wylądowali - kiedy jeden z żołnierzy wyciągnął rękę.

- Na moście stoi kobieta.

- Cywil?

- To trzeba zobaczyć.

Suriyawong opuścił miejsce, gdzie zakładano materiał wybuchowy, i wspinał się z powrotem na most. Rzeczywiście, stała tam młoda Hinduska, wyciągając ramiona wzdłuż Unii wąwozu.

- Czy ktoś ją uprzedził, że ten most wyleci w powietrze i nic nas nie obchodzi, że ktoś na nim stoi?

- Ona pyta o Groszka - odparł żołnierz.

- Z imienia?

Żołnierz kiwnął głową.

Suriyawong raz jeszcze przyjrzał się kobiecie. Bardzo młoda; ubranie miała brudne i podarte. Czy kiedyś mógł to być mundur? Z pewnością miejscowe kobiety tak się nie ubierają.

Popatrzyła na niego.

- Suriyawong! - zawołała.

Usłyszał za sobą syknięcia i zaskoczone pomruki żołnierzy. Skąd ta Hinduska wiedziała? Suriyawong zmartwił się trochę. Polegał na swoich ludziach całkowicie, ale kiedy już wbijają sobie do głowy jakieś czary, może to poważnie skomplikować akcje.

- Jestem Suriyawong - odpowiedział.

- Byłeś w Armii Smoka - oświadczyła. - I pracujesz z Groszkiem.

- Czego chcesz?

- Porozmawiać z tobą. Sam na sam. Tutaj, na moście.

- Lepiej tam nie iść - szepnął żołnierz. - Nikt nie strzela, ale wykryliśmy kilku indyjskich żołnierzy. Kto wyjdzie na otwarty teren, ten jest właściwie trupem.

Co zrobiłby Groszek?

Suriyawong wyszedł na most - śmiało, ale bez pośpiechu. Zastanawiał się, czy poczuje uderzenie, zanim usłyszy trzask wystrzału. Czy nerwy uszu przekażą impuls do mózgu szybciej niż nerwy z tej części ciała, w którą trafi kula? A może snajper strzeli w głowę i problem zniknie?

Nie było strzału. Zbliżył się do niej i zatrzymał, kiedy powiedziała:

- Nie powinieneś iść dalej. Inaczej mogą się zaniepokoić i strzelać.

- Dowodzisz tymi żołnierzami? - spytał.

- Nie poznałeś mnie? Jestem Virłomi. Skończyłam Szkołę Bojową przed tobą.

Znał jej imię, ale nigdy by nie rozpoznał twarzy.

- Odleciałaś, zanim się tam zjawiłem.

- W Szkole Bojowej nie było wielu dziewcząt. Sądziłam, że legenda przetrwa.

- Słyszałem o tobie.

- Tutaj też jestem legendą. Moi ludzie nie strzelają, bo sądzą, że wiem, co robię, stojąc na moście. A ja myślałam, że mnie poznałeś, bo wasi żołnierze na obu zboczach wąwozu nie strzelają do indyjskich, chociaż wiem, że ich wykryli.

- Może Groszek cię poznał - odparł Suriyawong. - A ja słyszałem twoje imię całkiem niedawno. To ty odpowiadałaś na jego list, prawda? Byłaś w Hajdarabadzie.

- Wiem, gdzie jest Petra.

- O ile jej nie przenieśli.

- A macie jakieś lepsze dane? Próbowałam znaleźć sposób, żeby przekazać Groszkowi wiadomość i nie dać się złapać. W końcu zrozumiałam, że problem nie ma komputerowego rozwiązania. Musiałam dostarczyć plany we własnej głowie.

- Więc leć z nami.

- To nie takie proste - stwierdziła. - Jeśli uznają, że jestem jeńcem, nigdy stąd nie odleciecie. Ręczne wyrzutnie p-lot.

- Zasadzka - mruknął Suriyawong. - Wiedzieli, że się tu zjawimy?

- Nie - uspokoiła go Virlomi. - Wiedzieli, że ja tu jestem. Nic nie mówiłam, ale wszyscy wiedzieli, że ukrywająca się kobieta czeka przy moście. Uznali, że bogowie chronią to miejsce.

- I bogowie potrzebują pocisków p-lot?

- Nie. Ci ludzie ochraniają mnie. Bogowie mają most, oni mają mnie. Ale do rzeczy. Zdemontujecie ładunki na moście. Przerwiecie misję. Zobaczą, że mam moc odesłania wroga z niczym. A potem zobaczą, jak przywołuję do siebie jeden z odlatujących śmigłowców i wsiadam z własnej woli, bez żadnego przymusu. To jedyny sposób, żeby się stąd wydostać. Właściwie nic takiego nie planowałam, ale nie widzę innego wyjścia.

- Nie znoszę przerwanych misji - oświadczył Suriyawong. Ale zanim zdążyła zareagować, wybuchnął śmiechem. - Nie, nie przejmuj się. Wszystko w porządku. To dobry plan. Gdyby Groszek był na moim miejscu, zgodziłby się bez namysłu.

Wrócił do swoich ludzi.

- Nie, to nie bogini ani święta. To Virlomi, zna mnie ze Szkoły Bojowej. Ma informacje cenniejsze niż ten most. Przerywamy misję.

Żołnierz słuchał spokojnie. Suriyawong widział, że próbuje wpasować do jego tłumaczeń czynnik magiczny.

- Nie rzuciła na mnie czaru. Ta kobieta zna plan bazy sztabu armii indyjskiej w Hajdarabadzie.

- Dlaczego Hinduska miałyby go nam zdradzić?

- Ponieważ ten wariat, który prowadzi wojnę ze strony indyjskiej, trzyma więźnia o kluczowym znaczeniu.

Teraz wyjaśnienie nabrało sensu. Element magiczny zniknął. Suriyawong sięgnął do pasa po satkom i wprowadził kod przerywania. Wszystkie inne komunikatory zawibrowały w ustalony sposób.

Zespoły minujące natychmiast zaczęły usuwać ładunki. Gdyby mieli ewakuować się natychmiast, otrzymaliby drugi sygnał, nakazujący pośpiech. Ale Suriyawong wolał nie zostawiać w rękach indyjskich żadnych materiałów. Poza tym uznał, że spokojne tempo będzie lepsze.

- Żołnierzu, muszę udawać, że ta kobieta mnie zahipnotyzowała - poinformował. - Nie jestem zahipnotyzowany, ale tak powinienem się zachowywać. Dzięki temu indyjscy żołnierze wokół nas pomyślą, że mną kieruje. Jasne?

- Tak jest.

- Dlatego kiedy znów ruszę w jej stronę, wezwiesz Groszka i powiesz mu, że wszystkie śmigłowce oprócz mojego mają się ewakuować, by Hindusi to zobaczyli. Potem powiedz „Petra”. Zrozumiałeś? Nic więcej, nieważne, o co będzie pytał. Możemy być na podsłuchu, jak nie tutaj, to w Hajdarabadzie.

Albo w Pekinie, ale nie chciał o tym wspominać, żeby nie komplikować sprawy.

- Tak jest.

Odwrócił się, zrobił trzy kroki w stronę Virlomi i upadł przed nią na twarz. Za sobą słyszał, jak żołnierz powtarza ściśle to, co mu polecił.

Po chwili śmigłowce wzniosły się w powietrze z obu stron wąwozu. Żołnierze Groszka wycofywali się.

Suriyawong wrócił do swoich ludzi. Jego grupa przyleciała w dwóch maszynach.

- Wszyscy pakujecie się do śmigłowca z materiałami - rozkazał. - W drugim zostają tylko piloci.

Żołnierze natychmiast wykonali rozkaz i po trzech minutach Suriyawong został sam na swoim końcu mostu. Odwrócił się jeszcze, pokłonił nisko Virlomi, po czym spokojnie podszedł do śmigłowca i wspiął się na pokład.

- Startuj powoli - nakazał pilotowi. - Potem przeleć wolno koło tej kobiety na moście, włazem w jej stronę. Żadna broń ani przez chwilę nie może w nią mierzyć. Żadnego zagrożenia.

Patrzył przez okno. Virlomi nie dawała żadnych znaków.

- Wyżej, jakbyśmy odlatywali - polecił. Pilot wykonał rozkaz.

Wreszcie Virloomi zamachała rękami, przyzywając ich do siebie, jak gdyby z każdym ruchem ściągała ich bliżej.

- Zwolnij i zacznij się zniżać w jej stronę. Tylko ostrożnie, żeby jakiś podmuch nie pchnął jej w wirnik.

Pilot zaśmiał się tylko i niczym tancerz sprowadził maszynę na most, tak daleko, że Virloomi nie znalazła się w zasięgu łopat, ale dość blisko, by od wjazdu dzieliło ją kilka kroków.

Suriyawong podbiegł i odsunął wjazd.

Virloomi nie podeszła do śmigłowca - tańczyła, z każdym krokiem wykonując okrężne gesty, jak gdyby dopełniała rytuału.

Pod wpływem nagłego impulsu wyskoczył na zewnątrz i rozciągnął się twarzą do ziemi.

- Przejdź po mnie - powiedział, kiedy się zbliżyła, dość głośno, by usłyszała go mimo świstu łopat.

Bosymi stopami stanęła mu na łopatkach i przeszła po plecach. Suriyawong nie mógłby jaśniej dać indyjskim żołnierzom do zrozumienia, że Virloomi nie tylko uratowała ich most, ale też opanowała śmigłowca.

Wreszcie znalazła się wewnątrz.

Wstał, odwrócił się powoli i swobodnym krokiem wrócił do maszyny.

Swoboda skończyła się, gdy tylko wskoczył na pokład. Pchnął na miejsce dźwignię wjazdu i krzyknął:

- Wszystko w dysze, ale jak najszybciej! Śmigłowiec wystartował natychmiast.

- Zapnij się - polecił Suriyawong.

Widząc, że Virloomi nie zna maszyny, pchnął ją na miejsce i wcisnął w ręce klamry uprząży. Zrozumiała od razu i dokończyła sama. On tymczasem rzucił się na fotel. Zapiął pas w chwili, gdy śmigłowiec złożył wirnik i przez moment spadał w dół, nim zaskoczyły silniki odrzutowe. Pomknęli wąwozem coraz dalej, poza zasięg ręcznych wyrzutni p-lot.

- No to się udało. - Odetchnął z ulgą.

- Długo wam to zajęło - zauważyła Virloomi. - Myślałam, że ten most będzie jednym z pierwszych celów.

- Uznaliśmy, że wszyscy tak pomyślą, więc przez jakiś czas go omijaliśmy.

Greeraz. Powinam pamiętać, że trzeba kombinować od dupy strony, żeby przewidzieć, co wymyślą bachory ze Szkoły Bojowej.

W chwili, kiedy zobaczył ją na moście, Groszek wiedział, że to musi być Virlomi, indyjska absolwentka Szkoły Bojowej, która odpowiedziała na jego list o Briseis. Mógł tylko mieć nadzieję, że Suriyawong zrozumie, co się dzieje, zanim uzna, że warto by kogoś zastrzelić. I Szurak go nie zawiódł.

Kiedy wrócili do bazy pośredniej, Groszek ledwie zdążył przywitać się z Virlomi. I natychmiast zaczął wydawać rozkazy.

- Zwinąć całą bazę. Wszyscy lecą z nami. Kiedy zajęli się tym dowódcy kompanii, polecił, by łącznościowiec jednego ze śmigłowców otworzył mu łącze z siecią.

- Przez satelitę - ostrzegł żołnierz. - Szybko nas namierzają.

- Nie będzie nas tutaj, zanim zareagują. Dopiero wtedy zaczął tłumaczyć Suriyawongowi i Virlomi, co zamierza.

- Mamy pełny zestaw sprzętu, tak?

- Ale nie pełne baki.

- Zajmę się tym. Lecimy do Hajdarabadu. Zaraz.

- Przecież nawet nie naszkicowałam wam planu - przypomniała Virlomi.

- Będzie na to czas w powietrzu. Tym razem lecimy razem, Suriyawong. Nie ma rady, obaj musimy znać cały plan.

- Czekaliśmy tyle czasu - zauważył Suriyawong. - Skąd nagle ten pośpiech?

- Z dwóch powodów - odparł Groszek. - Pomyśl, jak długo potrwa, zanim do Achillesa dotrze wiadomość, że nasza grupa zdjęła Hinduskę czekającą na moście? Po drugie, zamierzam zmusić Petera Wiggina do działania. Rozpęta się piekło, a my popłyniemy na fali.

- Jaki jest cel? - spytała Virlomi. - Ratować Petrę? Zabić Achillesa?

- Wyciągnąć stamtąd wszystkich ze Szkoły Bojowej, którzy zechcą z nami lecieć.

- Nigdy nie opuszczają Indii. Ja sama też chyba zostanę.

- Pudło, oba razy - stwierdził Groszek. - Daję Indiom najwyżej tydzień, zanim chińscy żołnierze przejmą Nowe Delhi, Hajdarabad i każde inne miasto, jakie zechcą.

- Chińscy? - zdziwiła się Virlomi. - Przecież mamy...

- Pakt o nieagresji? Załatwiony przez Achillesa?

- Od samego początku pracował dla Chin - wyjaśnił Suriyawong. - Indyjska armia jest odsłonięta, pozbawiona zaopatrzenia, wyczerpana i zdemoralizowana.

- Ale... jeśli Chiny wkroczą po stronie Tajlandii, to chyba tego właśnie chcecie?

Suriyawong parsknął śmiechem.

- Chiny wkroczą po stronie Chin. Próbowaliśmy ostrzec naszych ludzi, ale są pewni, że

to właśnie oni dogadali się z Pekinem.

Virlomi zrozumiała natychmiast. Przeszkolona w Szkole Bojowej, potrafiła myśleć w taki sposób jak Groszek i Suriyawong.

- Więc dlatego Achilles nie wykorzystał planu Petry... Groszek i Suriyawong uśmiechnęli się obaj i skłonili sobie nawzajem.

- Wiedzieliście o planie Petry?

- Zakładaliśmy, że musi istnieć plan lepszy od tego, który realizują Indie.

- Macie jakiś pomysł, żeby powstrzymać Chiny? - spytała Virlomi.

- Nie ma szans - stwierdził Groszek. - Chiny można było powstrzymać miesiąc temu, ale wtedy nikt nie chciał słuchać. - Wspomniał Petera i z trudem pohamował wściekłość. - Wciąż jeszcze można powstrzymać, a przynajmniej osłabić Achillesa. Ale naszym celem jest nie dopuścić, aby zespół indyjskich absolwentów Szkoły Bojowej wpadł w ręce Chińczyków. Nasi tajscy przyjaciele mają już przygotowane trasy ucieczki. Kiedy dotrzemy do Hajdarabadu, musimy nie tylko znaleźć Petrę, ale też zaproponować ucieczkę każdemu, kto zechce. Posłuchają cię?

- Zobaczymy - odparła Virlomi.

- Kontakt przygotowany - poinformował żołnierz. - Nie otwierałem jeszcze łącza, bo wtedy zaczyna biec czas.

- Otwórz teraz - polecił Groszek. - Mam coś do powiedzenia Peterowi Wigginowi.

Idę po ciebie, Petra. Wydostanę cię stamtąd.

Jeśli Achilles stanie mi na drodze, tym razem nie będzie litości. Nie będę czekał, aż ktoś inny wyłączy go z gry. Zabiję bez dyskusji. A moi ludzie dostaną rozkaz, żeby zrobić to samo.

18. Satyagraha

*klucz szyfrujący ******

*klucz deszyfrujący: ******

To: Locke%erasmus@polnet.gov

From: Borommakot@chakri.thai.gov/scom

Subject: Teraz, bo ja to zrobię

Jestem w akcji i potrzebuję od ciebie dwóch rzeczy, ale zaraz.

Po pierwsze, zgody rządu Sri Lanki na tankowanie w ich bazie pod Kilinochchi. Przybliżony czas przybycia poniżej godziny. To niewojkowa misja ratunkowa, mająca uchronić absolwentów Szkoły Bojowej od bezpośredniego zagrożenia schwytaniem, torturami, zniewoleniem, a co najmniej uwięzieniem.

Po drugie, trzeba uzasadnić to i inne działania, jakie zamierzam podjąć, aby przekonać tych ze Szkoły, że powinni odlecieć ze mną, i aby wywołać zamieszanie w Hajdarabadzie. Tak więc chcę, żebyś opublikował wszystko natychmiast. Powtarzam: NATYCHMIAST. Albo ja opublikuję własny artykuł, który dołączam. W szczególności wskazuję na ciebie jako współpiskującego z Chińczykami, czego dowodzi fakt, że nie chciałeś ujawnić tego, co wiesz, w rozsądnym terminie. Wprawdzie nie mam tak szerokiego posłuchu jak Locke, ale też dysponuję własną, niewielką, lecz ładną listą e-mailową i mój artykuł zwróci uwagę. Twój jednak szybciej odniesie skutek, dlatego wolałbym, żeby informacje wyszły od ciebie.

Daruj te groźby. Nie mogę się z tobą dalej bawić w „czekanie na właściwy moment”. Lecę ratować Petrę.

*klucz szyfrujący ******

*klucz deszyfrujący ******

To: Borommakot@chakri.thai.gov/scom

From: Locke%erasmus@polnet.gov

Subject: Załatwione

Potwierdzam: Sri Lanka wyraża zgodę na lądowanie/tankowanie w Kilinochchi dla śmigłowców w misji humanitarnej. Oznakowania tajskie?

Twoje groźby dowodzą lojalności wobec przyjaciółki, ale są zbędne. Przecież w chwili publikacji Achilles musiałby przenieść gdzieś swoją kwaterę i prawdopodobnie zabrałby ze

sobą Petrę. Jak byś ją znalazł, gdybym opublikował tekst miesiąc temu?

*klucz szyfrujący ******

*klucz deszyfrujący ******

To: Locke%erasmus@polnet.gov

From: Borommakot@chakri.thai.gov/scom

Subject: Re: Załatwione

Potwierdzam: oznakowania tajskie

Co do twojego tłumaczenia: Kuso. Gdyby to był powód opóźnienia, powiedziałbyś mi miesiąc temu. Znam prawdziwą przyczynę, nawet jeśli ty jej nie znasz. I rzygać mi się chce od tego.

Przez dwa tygodnie po zniknięciu Virłomi Achilles ani razu nie zjawił się w sali planowania. Nikt jakoś nie żałował, zwłaszcza kiedy wyznaczono cenę za głowę Virłomi. Nikt nie ośmielił się rozmawiać o tym otwarcie, ale wszyscy byli zadowoleni, że udało jej się uciec. Wszyscy też byli świadomi zwiększonego nadzoru - dla bezpieczeństwa, naturalnie. Ale nie zmieniło to ich trybu życia. W końcu żadne nie miało czasu na rozrywki w mieście, nikt też nie przyjaźnił się z oficerami trzy razy starszymi od nich.

Petra sceptycznie przyjęła wiadomość o nagrodzie. Za dobrze знаła Achillesa - wiedziała, że potrafiłby wyznaczyć cenę za schwytanie kogoś, kogo już zabił. Czy znalazłby lepszy kamuflaż? Jednak gdyby nawet tak było, to znaczy, że nie dostał carte blanche od Tikala Chapekara. Jeśli musiał coś ukrywać przed indyjskimi władzami, to znaczy, że nie rządził jeszcze wszystkim.

Kiedy w końcu się zjawił, nie miał sińców na twarzy. Albo kopnięcie Petry nie zostawiło śladu, albo wystarczyły dwa tygodnie, żeby całkiem zniknął. Własne sińce odczuwała jeszcze wyraźnie, ale nikt ich nie widział, ukrytych pod ubraniem. Zastanawiała się, czy nie dręczy go ból w kroczu, czy musiał odwiedzić urologa. Nie pozwoliła jednak, by jej twarz zdradziła uczucie satysfakcji.

Achilles powtarzał, jak świetnie idzie kampania i jaką dobrą robotę wykonali tutaj, w planowaniu. Armia była dobrze zaopatrzona i mimo ataków tchórzliwych wojsk tajskich ofensywa przebiegała zgodnie z założeniami. Zrewidowanymi, naturalnie.

Co za greeyaz... Przecież rozmawiał z planistami. Doskonale wiedzieli, że armia

utknęła, że ciągle walczą z Birmańczykami na równinie Irawadi, ponieważ tajska taktyka uniemożliwia rozpoczęcie miazdzącego szturm, który zepchnie siły Birmy w góry i otworzy armii indyjskiej drogę do Tajlandii. Założenia? Nic już nie pozostało z założeń.

Achilles naprawdę mówił tak: Jesteśmy na Unii towarzyskiej. Dopilnujcie, by żadna notatka, żaden e-mail z tej sali nie pozwolił komukolwiek choćby podejrzewać, że nie wszystko idzie zgodnie z planem.

Nie zmieniało to faktu, że wszyscy w planowaniu przeczuwali klęskę. Zaopatrzenie potężnej armii w ruchu było wystarczająco trudne wobec ograniczonych rezerw kraju. Zaopatrzenie, kiedy połowa transportów znikła w wyniku działań nieprzyjaciela, zużywało rezerwy szybciej, niż Indie potrafiły je odnawiać.

Przy obecnym tempie produkcji i konsumpcji amunicja dla indyjskiej armii skończy się za siedem tygodni. Ale to bez znaczenia - jeśli nie nastąpi cud, zapasy nieodnawialnych paliw wystarczą tylko na cztery.

Wszyscy wiedzieli, że gdyby realizowano plan Petry, Indie mogłyby prowadzić wojnę w nieskończoność, a ponoszone straty na pewno złamałyby już opór Birmy. Wojna toczyłaby się na gruncie Tajlandii, a wojska indyjskie nie wlokłyby się powoli, ze zbliżającym się nieuchronnie terminem wyczerpania zapasów.

W sali planowania nie rozmawiali o tym, ale przy posiłkach ostrożnie i nie wprost próbowali dyskutować o sytuacji. Czy już za późno, żeby zmienić strategię? Właściwie nie, lecz wymagałoby to taktycznego wycofania głównych sił, czego nie da się ukryć przed ludźmi i mediami. W sensie politycznym byłaby to katastrofa. Ale kiedy zabraknie naboju i paliwa, katastrofa będzie jeszcze bardziej dotkliwa.

- I tak musimy opracować plany wycofania wojsk - stwierdził Sayagi. - Jeżeli na polu walki nie zdarzy się cud, nie pojawi się jakiś genialny dowódca, do tej pory niewidoczny, nie nastąpią zaburzenia polityczne w Birmie albo Tajlandii, musimy wiedzieć, jak ewakuować naszych ludzi.

- Nie dostaniemy chyba zgody na takie opracowanie - zauważył ktoś.

Petra rzadko się odzywała podczas posiłków, mimo swego nowego zwyczaju, by siadać przy stoliku z tą czy inną grupą z planowania. Teraz jednak zaproponowała rozwiązanie.

- Róbcie to w głowie. Zastanawiali się przez chwilę.

- Dobry plan - uznał w końcu Sayagi. - Niekonfrontacyjny.

Od tego czasu część dyskusji przy jedzeniu składała się z tajemniczych uwag kolejnych członków zespołu, dotyczących fragmentów planu ewakuacji.

Następnym razem, kiedy Petra zabrała głos, nie miało to związku z planowaniem

wojskowym jako takim. Ktoś żartobliwie zauważył, że chwila jest odpowiednia, by powrócił Bose. Petra знаła historię Subhasa Chandry Bose, Netajiego wspieranej przez Japończyków antybrytyjskiej Indyjskiej Armii Narodowej podczas drugiej wojny światowej. Kiedy pod koniec wojny zginął w katastrofie lotniczej w drodze do Japonii, powstała legenda, że naprawdę wciąż żyje i kiedyś powróci, by poprowadzić swój naród do wolności. Przez wieki, które minęły od tego czasu, wspomnienie o powrocie Bose stało się jednocześnie żartem i poważnym komentarzem - sugestią, że obecny rząd jest równie nielegalny jak dawniej brytyjski radża.

Od wspomnienia o Bose rozmowa skierowała się na Gandhiego. Ktoś zaczął mówić o „pokojoyym oporze” - nie sugerując, oczywiście, że ktokolwiek w planowaniu rozważa coś podobnego.

- Nie, to był bierny opór - odpowiedział ktoś inny. Wtedy odezwała się Petra.

- To są Indie i znacie właściwe słowo. Satyagraha nie oznacza pokojowego ani biernego oporu.

- Nie wszyscy tu znają hindi - przypomniał planista z plemienia Tamilów.

- Ale wszyscy powinni słyszeć o Gandhim. Sayagi przyznał jej rację.

- Satyagraha oznacza coś innego. To zgoda na osobiste cierpienie, jeśli jest konieczne, by zrobić to, co słuszne.

- A jaka to różnica?

- Czasami to, co słuszne, nie jest ani pokojowe, ani bierne - wyjaśniła Petra. - Najważniejsze, że nie próbuje się unikać konsekwencji. Znosi się to, co znieść trzeba.

- To przypomina odwagę. Bardziej niż cokolwiek innego - zauważył Tamil.

- Odwagę, by postępować słusznie - uzupełnił Sayagi. - Odwagę nawet wtedy, kiedy nie można wygrać.

- A co z ostrożnością, która jest lepszą częścią odwagi?

- To słowa tchórzliwej postaci z Szekspira - odparł ktoś inny.

- Zresztą jedno drugiemu nie przeczy - stwierdził Sayagi. - Całkiem różne okoliczności. Jeśli istnieje szansa na późniejsze zwycięstwo, czasem warto się wycofać i zachować siły. Ale kiedy sam wiesz, że ceną za słuszny postęp jest ogromna strata, cierpienie czy nawet śmierć, tym bardziej starasz się postąpić słusznie, z obawy że strach uczyni cię nieprawym.

- Hm... Paradoksy w paradoksach.

Ale Petra zmieniła temat z powierzchownej filozofii na coś poważniejszego.

- Staram się osiągnąć satyagraha - oznajmiła.

Z milczenia, jakie zapadło, domyśliła się, że przynajmniej niektórzy zrozumieli. Żyła jeszcze, ponieważ nie osiągnęła satyagraha, nie zawsze postępowała słusznie, ale robiła tylko to, co konieczne dla przetrwania. I teraz chciała to zmienić. Zrobić to, co właściwe, nie dbając, czy przeżyje tę próbę. I z wielu zapewne powodów - czy to z szacunku dla niej, czy zaniepokojeni jej szczerością, czy zajęci własnymi przemyśleniami - zachowali milczenie do końca posiłku. Wtedy znowu zaczęli mówić o liczbach i terminach.

Wojna trwała już od miesiąca. Achilles właśnie wygłaszał do nich mowę o tym, że zwycięstwo jest coraz bliższe, choć oni zmagali się z coraz większymi problemami planu wycofania wojsk. Istotnie, odnieśli kilka zwycięstw i w dwóch punktach armia indyjska przekroczyła granicę Tajlandii - jednak to tylko wydłużyło linie dostaw, a żołnierze znowu znaleźli się w terenie górzystym, gdzie ich liczba nie dawała przewagi w walce, ale nadal wymagała zaopatrzenia. Lokalne ofensywy zużywały paliwo i amunicję. Za kilka dni dowódcy będą musieli wybierać, czy uruchomić czołgi, czy ciężarówki z zaopatrzeniem. Byli na najlepszej drodze, by stać się armią pieszą i wygłodniałą.

Gdy tylko Achilles wyszedł, wstał Sayagi.

- Pora, żeby spisać nasz plan i przekazać go dowództwu. Musimy ogłosić zwycięstwo i wycofać się jak najszybciej.

Nie rozległy się sprzeciwy. Chociaż widy i sieć pełne były materiałów o wspaniałych indyjskich zwycięstwach i zdobywaniu terytoriów Tajlandii, należało sformułować zalecenia i wydać rozkazy, póki wciąż mieli dość paliwa, by je wykonać.

Przez cały ranek zapisywali swoje fragmenty planu. Sayagi, jako ich faktyczny przywódca, zebrał je w jeden w miarę spójny dokument. Petra tymczasem szperała w sieci i zajmowała się zadaniem, jakie wyznaczył jej Achilles. Nie uczestniczyła w ich pracy. Nie była potrzebna, a z pewnością jej komputer podlegał ciągłemu nadzorowi. Jeśli ona będzie posłuszna, Achilles może nie zauważy, że inni nie są.

Kiedy prawie skończyli, odezwała się głośno, choć wiedziała, że słowa błyskawicznie dotrą do Achillesa. Może nawet sam podsłuchuje przez ten aparat w uchu.

- Przed wysłaniem to ogłoście - powiedziała.

Z początku myśleli chyba, że chodzi jej o sieć wewnętrzną, gdzie wszyscy mogliby przeczytać dokument. Ale zaraz zauważyli, że trzyma w ręku kawałek beżowego papieru toaletowego, na którym paznokciem wypisała adres.

Było to lista dyskusyjna Petera Wiggina, „Locke'a”.

Spojrzeli na nią jak na wariatkę. Umieścić plany wojskowe na publicznym forum?

Ale Sayagi pokiwał głową.

- Sprawdzają wszystkie nasze e-maile - przypomniał. - Tylko w ten sposób dotrzemy do samego Chapekara.

- Tylko że ujawnienie planów wojskowych... - odezwał się ktoś. Nie musiał kończyć. Wszyscy wiedzieli, jaka jest kara.

- Satyagraha - rzekł Sayagi. Wziął papier z adresem i usiadł przy komputerze, by wejść na wskazany serwer. - Ja za to odpowiadam i nikt inny. Wszyscy ostrzegaliście, żeby tego nie robić. Nie ma powodów, by więcej niż jedna osoba ponosiła konsekwencje.

Po chwili dane popłynęły na forum Wiggina.

Dopiero wtedy wysłał plan jako załącznik w e-mailu do sztabu - e-mailu, który musiał przejść przez komputer Achillesa.

- Sayagi, widziałeś, co jeszcze tam było? - zapytał ktoś. - Na tym forum?

Petra także otworzyła tę stronę i odkryła, że główny wystawiony artykuł to „Zdrada Chin i upadek Indii”, z podtytułem „Czy Chiny także padną ofiarą obłąkanych planów psychopaty?”.

Zaczęli czytać tekst Locke'a, szczegółowo wyjaśniający, jak to Chiny złożyły obietnice zarówno Tajlandii, jak Indiom, i zamierzają uderzyć teraz, kiedy obie armie są odsłonięte, a w przypadku indyjskim także oddalone od swoich baz. Zanim skończyli, do wszystkich nadeszły pilne e-maile z tym samym artykułem. To znaczy, że przeszły kontrolę na samej górze - Chapekar wiedział już o oskarżeniach Locke'a.

Zatem ich plany natychmiastowego wycofania armii indyjskiej z Birmy dotarły do niego właśnie w chwili, kiedy zrozumiał, że będą potrzebne.

- Toguro - szepnął Sayagi. - Wyszliśmy na geniuszy.

- Jesteśmy geniuszami - mruknął ktoś z tyłu i wszyscy się roześmiali.

- Jak myślicie? - zapytał Tamil. - Usłyszymy jeszcze od naszego belgijskiego przyjaciela pogadankę o tym, jak świetnie nam idzie na wojnie?

Jakby w odpowiedzi, na zewnątrz rozległy się strzały.

Nadzieja zelektryzowała Petrę: Achilles próbował uciec i go zastrzelili...

Ale natychmiast pojawiła się rozsądniejsza myśl: Achilles przewidział taką możliwość i rozstawił swoich ludzi, żeby osłaniali jego ucieczkę.

I wreszcie rozpacz: kiedy przyjdzie po mnie, to żeby mnie zabić, czy zabrać ze sobą?

Znowu strzały.

- Powinniśmy się rozproszyć - rzekł Sayagi.

Ruszył w stronę drzwi, które otworzyły się gwałtownie. Wkroczył Achilles w towarzystwie sześciu Sikhów z bronią automatyczną.

- Usiądź, Sayagi - polecił. - Obawiam się, że mamy tu grupę zakładników. Ktoś rozgłosił w sieci oszczercze pomówienia na mój temat. A kiedy nie pozwoliłem się zatrzymać na czas śledztwa, wybuchła strzelanina. Na szczęście mam kilku przyjaciół. I póki nie zjawią się tutaj, żeby mnie przerzucić w jakieś neutralne miejsce, będziecie gwarancją mojego bezpieczeństwa.

Dwaj chłopcy ze Szkoły Bojowej, którzy byli Sikhami, wstali natychmiast, zwracając się do ochrony Achillesa.

- Czy grozi nam śmierć z waszych rąk?

- Dopóki służycie gnębicielom - odparł któryś z żołnierzy.

- To on jest gnębicielem! - krzyknął jeden z Sikhów, wskazując Achillesa.

- Myślisz, że Pekin będzie lepiej niż Nowe Delhi traktować nasz lud? - zapytał drugi.

- Pamiętajcie, co Chińczycy robili na Tybecie i Tajwanie? To właśnie nasza przyszłość, i to przez niego!

Żołnierze Sikhowie wyraźnie się wahali.

Achilles wyjął zza pleców pistolet i zabił ich kolejno, jednego po drugim. Dwóch ostatnich próbowało się na niego rzucić, ale każdy strzał trafiał celnie.

Nie ucichło jeszcze echo, gdy Sayagi zapytał:

- Dlaczego oni do ciebie nie strzelali?

- Zanim weszliśmy, kazałem im rozładować broń. Powiedziałem, że nie chcę żadnych wypadków. Ale niech się wam nie wydaje, że możecie mnie pokonać, bo zostałem sam z opróżnionym do połowy magazynkiem. Ten pokój od dawna jest zaminowany. Eksplozja nastąpi, kiedy przestanie bić moje serce albo kiedy uruchomię zapalnik wszczepiony pod skórę na piersi.

Zabrzączał jego kieszonkowy telefon. Nie opuszczając broni, Achilles odpowiedział:

- Nie. Obawiam się, że to jeden z moich żołnierzy stracił panowanie nad sobą. Dla bezpieczeństwa dzieci musiałem zabić kilku własnych ludzi. Sytuacja nie uległa zmianie. Monitoruję otoczenie. Trzymajcie się z daleka, a dzieciom nic nie grozi.

Petra z trudem powstrzymywała się od nerwowego śmiechu. Większość obecnych w sali była starsza od Achillesa.

Achilles wyłączył telefon i schował go do kieszeni.

- Powiedziałem im, niestety, że trzymam was jako zakładników, zanim stało się to prawdą.

- Przyłapali cię z opuszczonymi spodniami, co? - rzucił drwiąco Sayagi. - Nie mogłeś wiedzieć, że będziesz potrzebował zakładników ani że wszyscy będziemy tutaj. W sali nie ma

żadnych ładunków.

Achilles spojrział na niego i z obojętną miną strzelił mu w głowę. Sayagi upadł. Kilka osób krzyknęło. Achilles spokojnie zmienił magazynek.

Nikt nie rzucił się na niego, kiedy był bezbronny.

Nawet ja, pomyślała Petra.

Nic lepiej niż obojętnie dokonane zabójstwo nie zmienia patrzących w rośliny.

- Satyagraha - powiedziała. Achilles odwrócił się błyskawicznie.

- Co to znaczy? W jakim języku?

- W hindi - wyjaśniła. - Znaczy „człowiek znosi to, co musi”.

- Koniec z hindi - uprzedził Achilles. - U wszystkich. Żadnego języka innego niż wspólny. I kiedy się odezwiecie, to lepiej do mnie, i lepiej, żeby to nie było nic głupiego czy obraźliwego, jak te słowa, które doprowadziły Sayagiego do śmierci. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, mój transport powinien tu dotrzeć za kilka godzin. Wtedy Petra i ja wyniesiemy się, a resztę zostawimy waszemu nowemu rządowi. Chińskiemu rządowi.

Wielu z nich spojrzało wtedy na Petrę. Uśmiechnęła się.

- A więc twój namiot wciąż jest otwarty?

Odpowiedział jej uśmiechem - ciepłym. Pełnym uczucia. Jak pocałunek.

Wiedziała jednak, że chce ją zabrać tylko po to, by rozkoszować się jej złudnymi nadziejami, zanim wypchnie ją ze śmigłowca, udusi albo - jeśli się zniecierpliwi - po prostu zastrzeli, gdy będzie chciała wyjść za nim z pokoju. Ich wspólny los dobiegał końca. Achilles czekał na swój rychły triumf. Architekt chińskiego podboju Indii miał wrócić do Chin jako bohater. Już teraz planował, jak opanuje chiński rząd i potem spróbuje zawładnąć resztą ludzkości.

Na razie jednak żyła, podobnie jak inni ze Szkoły Bojowej - oprócz Sayagiego. Oczywiście, zginął nie z powodu swoich słów. Zginął, ponieważ to on wysłał plany ewakuacji na forum Locke'a. Jako plan odwrotu przy nieprzewidzianych działaniach nieprzyjaciela wciąż nadawał się do wykorzystania, choćby chińscy żołnierze jak fala powodziowa przedarli się przez granice Birmy, a nawet gdyby chińskie samoloty bombardowały wycofujących się żołnierzy. Indyjscy dowódcy będą w stanie się bronić. Chińczycy będą musieli walczyć, zanim zwyciężą.

Ale zwyciężą. Indyjska obrona nie wytrzyma dłużej niż kilka dni, nieważne, ja mężczyźni będą żołnierze. Staną bowiem pojazdy, wyczerpie się amunicja i żywność. Wojna jest już przegrana. Pozostało niewiele czasu, by elity zdążyły uciec, nim Chińczycy bez oporu zajmą kraj i zastosują swoją politykę odcinania głowy społeczeństwu - sprawdzoną metodę

pacyfikacji okupowanych terytoriów.

To wszystko miało dopiero nastąpić. Na razie absolwenci Szkoły Bojowej, którzy mogli uchronić Indie przed taką sytuacją, których plany chwilowo powstrzymywały Chińczyków, siedzieli w sali z siedmioma trupami, jednym pistoletem i młodym człowiekiem, który zdradził wszystkich.

Ponad trzy godziny później znów rozległy się strzały. Daleko. Grzmiąca kanonada artylerii przeciwlotniczej.

Achilles natychmiast sięgnął po telefon.

- Nie strzelać do nadlatujących maszyn - ostrzegł. - Albo ci geniusze zaczną umierać.

Wyłączył się, zanim zdążyli mu odpowiedzieć. Kanonada ucichła.

Usłyszeli silniki. Śmigłowce lądowały na dachu.

Ależ głupio wybrali lądowisko, pomyślała Petra. To, że dach jest oznaczony jako heliport, nie znaczy jeszcze, że muszą przestrzegać tych znaków. Tam w górze indyjscy żołnierze dookoła będą mieli łatwy cel. Zobaczą wszystko, co się wydarzy. Zobaczą, kiedy Achilles wyjdzie na dach. Będą wiedzieli, który śmigłowiec zestrzelić jako pierwszy, bo on nim leci. Jeśli to najlepszy plan, jaki umieli wymyślić Chińczycy, Achillesa czeka wiele trudu, nim zdoła ich wykorzystać jako odskocznię do władzy nad światem.

Kolejne maszyny. Na dachu nie było już miejsca i następne lądowały na ziemi.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do sali wbiegło kilkunastu chińskich żołnierzy. Za nimi wkroczył oficer. Zasalutował Achillesowi.

- Przylecieliśmy natychmiast.

- Dobra robota - pochwalił go Achilles. - Bierzmy ich wszystkich na dach.

- Powiedziałaś, że nas zostawisz! - krzyknął ktoś z tyłu.

- Tak czy inaczej, wszyscy traficie do Chin. Ustawić się rzędem pod ścianą.

Znowu śmigłowce. A potem świst i huk eksplozji.

- Durni eemos - mruknął Tamil. - Przez nich nas tu pozabijają.

- Jaka szkoda - westchnął Achilles i wymierzył mu w głowę. Chiński oficer porozmawiał przez swój satkom.

- Chwileczkę! - zawołał. - To nie Hindusi. Mają tajskie znaki.

Groszek, odgadła Petra. Nareszcie jesteś! Albo to, albo śmierć. Bo jeśli nie Groszek dowodzi tymi maszynami, to Tajowie mogli przylecieć tylko w jednym celu: wybić w Hajdarabadzie wszystko, co się rusza.

Następny świst i wybuch. I znowu.

- Zdjęli wszystko, co mieliśmy na dachu - stwierdził chiński oficer. - Budynek płonie.

Musimy stąd wyjść.

- Czyj to był głupi pomysł, żeby w ogóle lądować na dachu? - spytał Achilles.

- To był najbliższy punkt, skąd można się ewakuować - odparł gniewnie oficer. - Nie mamy śmigłowców, żeby zabrać ich wszystkich.

- Lecą z nami. Nawet gdybyśmy musieli zostawić żołnierzy.

- I tak za parę dni ich dostaniemy. Nie porzucam swoich ludzi!

Niezły dowódca, uznała Petra. Nawet jeżeli trochę sobie nie radzi z taktyką.

- Nie pozwolą nam wystartować, jeśli nie będziemy mieli tych indyjskich geniuszy.

- Tajowie nie pozwolą nam wystartować w ogóle!

- Pozwolą - stwierdził Achilles. - Przylecieli, żeby mnie zabić, a ją uratować. - Wskazał na Petrę.

Czyli wie, że to Groszek.

Petra zachowywała kamienną twarz.

Jeżeli Achilles zdecyduje się odlecieć bez zakładników, istnieje spora szansa, że najpierw ich wszystkich pozabija. Trzeba pozbawić przeciwnika zasobów. A co ważniejsze, odebrać mu nadzieję.

- Achillesie - zaczęła, podchodząc do niego. - Zostawmy innych i wynośmy się. Wystartujemy z ziemi. Nikt nie będzie wiedział, kto leci którym śmigłowcem. Ale musimy ruszać natychmiast.

Przesunął pistolet i wymierzył jej w pierś. Nie zatrzymała się nawet; przeszła obok i otworzyła drzwi.

- Teraz, Achilles. Nie musisz zginąć dzisiaj w płomieniach, ale ku nim zmierzasz, czekając tutaj niepotrzebnie.

- Ma rację - rzekł oficer.

Achilles uśmiechnął się, spojrzał na Petrę, Chińczyka i znowu na Petrę. Zawstydziliśmy cię w obecności innych, domyśliła się. Pokazaliśmy, że wiemy, co robić, a ty nie wiedziałeś. Teraz musisz zabić nas oboje. Ten oficer jeszcze nie wie, że jest trupem, ale ja wiem. Choć z drugiej strony i tak byłam już martwa. Dlatego wynieśmy się stąd, nie zabijając nikogo innego.

- Nic w tej sali nie jest dla ciebie ważne - powiedziała. Uśmiechnęła się do niego. - Nie rób w pieluchy, mały.

Achilles odwrócił się i mierzył kolejno w ludzi ze Szkoły Bojowej. Cofali się... ale on nie strzelił. Opuścił rękę i wyszedł, po drodze łapiąc Petrę za ramię.

- Idziemy, Pet - rzekł. - Przyszłość wzywa.

Groszek nadchodzi, myślała Petra, i Achilles nie puści mnie nawet na metr od siebie.

Wie, że Groszek przyleciał po mnie, więc jestem jedyną osobą, której nie pozwoli mu uratować.

Może wszyscy się dzisiaj pozabijamy?

Wspomniała samolot, którym dotarła z Achillesem do Indii. Stali oboje przy otwartych drzwiach. Może dzisiaj trafi się lepsza okazja, by zginąć, zabierając go ze sobą. Ciekawe, czy Groszek zrozumie, że śmierć Achillesa jest ważniejsza niż jej ocalenie. Co ważniejsze, czy odgadnie, że ona to zrozumiała? Tak należało postąpić. Teraz, kiedy naprawdę poznała Achillesa, przekonała się, jakim jest człowiekiem, z radością zapłaci tę cenę i nie uzna jej za wysoką.

19. Ratunek

To: Wahabi%inshallah@Pakistan.gov

From: Chapekar%hope@India.gov

Subject: Dla ludu Indii

Drogi mój przyjacielu Ghaffarze,

szanuję cię, ponieważ kiedy przyszedłem do ciebie z propozycją pokoju między naszymi dwoma rodzinami ludu indyjskiego, przyjąłeś ją i dotrzymałeś słowa w każdym szczególe.

Szanuję cię, ponieważ żyłeś, stawiając dobro swego narodu ponad własne ambicje.

Szanuję cię, gdyż w tobie spoczywa nadzieja na przyszłość mojego ludu.

Wysyłając ten list do ciebie, równocześnie ogłaszam go publicznie, nie wiedząc, jaka będzie twoja odpowiedź. Mój naród musi bowiem wiedzieć, póki wciąż mogę do niego przemawiać, o co ciebie proszę i co ci ofiarowuję.

Zdradzieccy Chińczycy pogwałcili swe obietnice i grożą zniszczeniem naszej armii, osłabionej już zdradą tego, który zwał się Achillesem i którego traktowaliśmy jak gościa i przyjaciela. Jest dla mnie jasne, że jeśli nie zdarzy się cud, rozległe ziemie Indii będą bezbronne wobec najeźdźców atakujących nasz kraj od północy. Już wkrótce bezlitosny zdobywca będzie dyktował swą wolę od Bengalu po Pendżab. Ze wszystkich narodów Indusu tylko te w Pakistanie, prowadzone przez ciebie, pozostaną wolne.

Proszę cię teraz, byś wziął na swe barki wszystkie nadzieje narodów Indii. Nasza walka przez najbliższe dni da ci czas, na co liczę, by sprowadzić twe armie z powrotem nad nasze granice, gdzie możesz się przygotować do obrony przed chińskim wrogiem.

Wyrażam niniejszym zgodę na przekroczenie naszej granicy w każdym punkcie, który uznasz za konieczny, aby zająć silniejsze pozycje obronne. Rozkazuję wszystkim żołnierzom indyjskim pozostającym nad granicą pakistańską, by nie stawiali żadnego oporu wojskom Pakistanu wkraczającym do naszego kraju, by współpracowali z nimi, przekazując mapy naszych linii obronnych, wszelkie kody i książki szyfrów. Wszelkie rezerwy na granicy także mają zostać przekazane do dyspozycji Pakistanu .

Proszę cię, byś obywateli Indii, którzy znajdują się pod władzą rządu pakistańskiego, traktował tak wielkodusznie, jak chciałbyś, żebyśmy my traktowali twój lud, gdyby sytuacja była odwrotna. Wszelkie przeszłe urazy, jakie wynikły między naszymi rodzinami, wybaczymy sobie wzajemnie i nie prowadźmy do nowych, ale traktujmy się jak bracia i siostry, wierni

różnym twarzom tego samego Boga. Musimy stanąć ramię w ramię, by bronić krainy Indusu przed najeźdźcą, którego jedynym bogiem jest siła, a religią okrucieństwo.

Wielu członków indyjskiego rządu, korpusu oficerskiego i systemu edukacji podejmuje próby ucieczki do Pakistanu. Błagam, otwórz przed nimi granice, jeśli bowiem pozostaną w Indiach, czeka ich śmierć albo niewola. Inni Hindusi nie mają powodów, by lękać się osobistych prześladowań ze strony chińskiej. Proszę ich zatem, by nie uciekali do Pakistanu, ale zostali na ziemi indyjskiej, gdzie - jeśli Bóg pozwoli - wkrótce będą wyzwoleni.

Ja sam zostanę w Indiach, by ponieść brzemię, jakie na barki mego ludu złoży najeźdźca. Wolę być raczej Mandelą niż de Gaulle'em. Nie będzie rządu na wygnaniu. Teraz rządem dla ludu Indii jest Pakistan. To oznajmiam, z upoważnienia i z pełnym poparciem Kongresu.

Niech Bóg błogosławi wszystkim ludzi honoru i zachowa ich w wolności.

Twój brat i przyjaciel Tikal Chapekar

Lot na silnikach odrzutowych ponad suchymi, południowymi rubieżami Indii wydawał się Groszkowi dziwnym snem, w którym krajobraz nigdy się nie zmienia. A raczej nie - to była gra wideo, gdzie komputer w locie generuje scenerię i stosuje wciąż te same algorytmy, by tworzyć krajobrazy podobne, ale nigdy nie identyczne w szczegółach.

Jak u istot ludzkich. DNA różnych osób jest prawie identyczne, ale niewielkie odchylenia powołują do życia świętych i potwory, głupców i geniuszy, budowniczych i niszczycieli, kochających i biorących. Więcej ludzi żyło tylko w tym jednym kraju, w Indiach, niż na całej Ziemi jeszcze trzy albo cztery wieki temu. Więcej ludzi żyło tu dzisiaj niż na całym świecie przez wszystkie lata do narodzin Chrystusa. Wszystkie historie Biblii i „Iliady”, Herodota i Gilgamesza, i wszystko, co zostało znalezione przez archeologów, wszystkie ludzkie relacje, wszelkie zdobycze, mogły rozegrać się tutaj, wśród ludzi, nad którymi teraz lecimy. I jeszcze wielu by ich zostało, żeby przeżywać nowe historie, których nikt nigdy nie usłyszy.

Za kilka dni Chiny podbiją dość ludzi, by wypełnić pięć tysięcy lat historii. I będą ich traktować jak trawę, którą przycina się, by wszystkie źdźbła rosły do tego samego poziomu. A jeśli coś wzniesie się ponad ten poziom, zostanie odrzucone na kompost.

I co ja robię? Pędzę w maszynie, na widok której stary prorok Ezechiel dostałby zawału serca, zanim jeszcze by zdążył zapisać, jak to widział rekina w niebiosach. Siostra Carlotta żartowała czasem, że Szkoła Bojowa to właśnie koło na niebie, które zobaczył w swojej wizji. Siedzę tutaj, niczym pradawna postać z wizji proroka, i co robię? Tak jest: z miliardów ludzi,

których mógłbym ocalić, wybieram jedną osobę, którą przypadkiem znam i lubię najbardziej. I żeby tego dokonać, narażam życie paruset dobrych żołnierzy. Co zrobię, jeśli wyjdziemy z tego żywi? Spędzę kilka pozostałych mi lat życia, pomagając Peterowi pokonać Achillesa, żeby potem mógł uczynić to, czego Achilles jest już tak bliski: zjednoczyć ludzkość pod władzą jednego zwariowanego, ambitnego marubo?

Siostra Carlotta lubiła cytować inne biblijne mądrale. Marność nad marnościami i wszystko marność. Nie ma nic nowego pod słońcem. Jest czas rzucania kamieni i czas ich zbierania.

No więc dopóki Bóg nie powie ludziom, po co są te kamienie, mogę je sobie darować i ratować przyjaciółkę, jeśli zdołam.

W drodze do Hajdarabadu odbierali przez radio coraz więcej rozmów. To były dane taktyczne z satkomów, nie zwykłe informacje, których można by oczekiwać po spowodowanym esejem Petera, niespodziewanym chińskim ataku na Birmę. Kiedy się zbliżyli, komputery pokładowe mogły już rozróżnić radiowe identyfikatory chińskich i indyjskich żołnierzy.

- Wygląda na to, że grupa ewakuacyjna Achillesa dotarła na miejsce przed nami - domyślił się Suriyawong.

- Ale nie słychać strzałów - zauważył Groszek. - To znaczy, że przedostali się do sali planowania i wzięli jako zakładników wszystkich ze Szkoły Bojowej.

- Miałeś rację - stwierdził Suriyawong. - Trzy śmigłowce na dachu.

- Pewnie jest więcej na ziemi, ale możemy im trochę skomplikować życie. Zdejmijmy te trzy. Virlomi nie była przekonana.

- A jeśli uznają, że atakuje ich wojsko indyjskie, i zabiją zakładników?

- Achilles nie jest taki głupi. Sprawdzi, kto strzela, zanim zacznie kasować swój bilet do domu.

Przypominało to ćwiczenia na strzelnicy: trzy rakiety trafiły w trzy śmigłowce i po wszystkim.

- Teraz wysuńcie łopaty i pokażcie tajskie oznaczenia - polecił Suriyawong.

Jak zwykle nastąpił ostry wzlot i spadek, aż żołądki podeszły im do gardeł. Wirniki zaczęły pracę. Groszek był przyzwyczajony do tego uczucia mdłości i przez okienko zdołał zauważyć, że indyjscy żołnierze machają rękami i klaszczą.

- Coś takiego... Nagle zostaliśmy tymi dobrymi - powiedział.

- Myślę, że jesteśmy raczej nie tak całkiem złymi - poprawił go Suriyawong.

- A ja myślę, że nieodpowiedzialnie naraziliście życie moich przyjaciół - wtrąciła

Virlomi.

Groszek spoważniał natychmiast.

- Znam Achillesa, Virlomi. Jedyne sposoby powstrzymania go od zabicia twoich przyjaciół tak sobie, z czystej złośliwości, to postarać się, żeby był niespokojny i wytrącony z równowagi. Żeby nie miał czasu na demonstracje władzy.

- Chodziło mi o to, że któryś z pocisków mógł chybić. Mógł trafić w salę, gdzie przebywają, i wszystkich pozabijać.

- O to się martwisz? Virlomi, sam szkoliłem tych ludzi. W pewnych sytuacjach mogliby chybić. Ale obecna do nich nie należy.

Virlomi skinęła głową.

- Rozumiem. Zaufanie dowódcy do własnych żołnierzy. Wiele lat minęło od czasu, kiedy miałam własny pluton.

Kilka śmigłowców zostało w powietrzu, pilnując okolicy; większość usiadła przed budynkiem, gdzie mieściła się sala planowania. Suriyawong jeszcze w czasie lotu przez satkom przekazał instrukcje dowódcom kompanii, które miały wejść z nim do budynku. Teraz zeskoczył na ziemię, gdy tylko otworzył się właz. Virlomi pobiegła za nim. Zebrał swój oddział i ruszył zgodnie z planem.

Śmigłowiec Groszka poderwał się natychmiast, przeleciał nad budynkiem i zniżył się po drugiej stronie. Tutaj znaleźli dwie pozostałe chińskie maszyny; kręciły się łopaty wirników. Groszek polecił pilotowi wylądować tak, by wymierzyć rakiety w oba śmigłowce przeciwnika. Potem on i trzydziestu ludzi wyskoczyło z obu stron. Chińczycy zrobili to samo. Stanęli naprzeciw siebie, na otwartym terenie.

Drugi śmigłowiec Groszka został w powietrzu. Czekał, czy bardziej potrzebne okażą się jego rakiety, czy żołnierze.

Chińczycy mieli przewagę liczebną, ale nie było to istotne. Nikt nie strzelał - chcieli wydostać się stąd żywi, na co nie byłoby szans, gdyby zaczęła się strzelanina. Wtedy śmigłowiec w powietrzu po prostu zniszczyłby obie ich maszyny. Niezależnie od tego, jak skończyłoby się starcie na ziemi, na pewno nie wróciliby już do siebie i nie wykonali misji.

Tak więc obie małe armie uformowały się jak regimenty w wojnach napoleońskich, w równe szeregi. Groszek miał ochotę krzyknąć coś w stylu „Bagnet na broń!” albo „Ładuj!”, tyle że nikt już nie używał muszkietów. Zresztą ten, który go naprawdę interesuje, pojawi się w drzwiach budynku...

Rzeczywiście - wybiegł i pognął wprost do bliższego śmigłowca. Ścisnął Petrę za ramię, niemal włókł ją za sobą. W drugiej ręce trzymał pistolet. Groszek miał ochotę rozkazać

któremuś ze snajperów, żeby go zdjął, ale wiedział, że wtedy Chińczycy otworzą ogień i Petra na pewno zginie. Dlatego krzyknął do Achillesa.

Achilles nie zwracał na niego uwagi. Groszek wiedział, o czym myśli: dostać się do śmigłowca, póki nikt nie strzela. Wtedy Groszek będzie bezradny, nic nie zdoła zrobić Achillesowi, nie krzywdząc przy tym Petry.

Dlatego rzucił przez szałom komendę i wisząca w powietrzu maszyna zrobiła to, co strzelec ćwiczył wiele razy: odpaliła rakietę, która wybuchła tuż za bliższym z chińskich śmigłowców. Kadłub osłonił od wybuchu Petrę i Achillesa, ale sam śmigłowiec przechylił się na bok, łopaty wirnika uderzyły o ziemię, maszyna przewróciła się, odbiła, uderzyła o mur. Wyczołgało się z niej kilku żołnierzy; próbowali odciągnąć innych, ze złamaniami i innymi urazami, zanim wybuchną zbiorniki paliwa.

Achilles i Petra stali teraz pośrodku otwartej przestrzeni. Jedyny pozostały chiński śmigłowiec stał za daleko, żeby do niego dobiec. Achilles w tych okolicznościach mógł zrobić jedno: skrył się za Petrą, trzymając pistolet wymierzony w jej głowę. Takiego manewru nie uczyli w Szkole Bojowej, pochodził wprost z widów.

Tymczasem z budynku wyszedł chiński oficer - pułkownik, o ile Groszek dobrze pamiętał insygnia, bardzo wysoki stopień jak na operację w tak małej skali - i jego ludzie. Groszek nie musiał go uprzedzać, żeby trzymał się z dala od Achillesa i Petry. Pułkownik sam się domyślił, że jeśli spróbuje stanąć między nimi a Groszkiem, zacznie się bitwa. Pat trwał, dopóki Groszek miał możliwość zabicia Achillesa, gdy tylko spróbuje skrzywdzić Petrę.

Nie oglądając się nawet, Groszek rzucił do swoich żołnierzy:

- Kto ma pistolet strzałkowy?

Poczuł, jak ktoś wsuwa mu broń w otwartą dłoń.

- Lepiej nie wypuszczać też z ręki prawdziwego - szepnął żołnierz.

Ktoś inny powiedział:

- Hindusi nie wiedzą, mam nadzieję, że Achilles nie ma ze sobą żadnych indyjskich dzieci. Ormianką nie będą się przejmować.

Groszek doceniał fakt, że żołnierze rozumieli sytuację. Nie było jednak czasu na pochwały.

Ruszył wolno w stronę Achillesa i Petry. Zauważył, że Suriyawong i Virłomi wychodzą drzwiami, przez które niedawno przeszedł chiński pułkownik.

- Teren zabezpieczony! - krzyknął Suriyawong. - Pakujemy ich. Achilles zamordował tylko jednego z naszych.

- „Jednego z naszych”? - powtórzył Achilles. - Odkąd to Sayagi jest jednym z waszych?

To znaczy, że mogę zabijać, kogo zechcę, i nie was to nie obchodzi, ale wystarczy, że dotknę bachora po Szkole Bojowej, i od razu jestem mordercą?

- Nie odleciśz stąd z Petrą - oznajmił Groszek.

- Wiem, że na pewno nie odleczę bez niej - odparł Achilles. - Jeśli nie będę miał jej ze sobą, rozwalicie maszynę na takie małe kawałki, że trzeba je będzie wyczesywać z trawy grzebieniem.

- W takim razie będę musiał polecić jednemu ze snajperów, żeby cię zlikwidował.

Petra uśmiechnęła się promiennie. Chciała mu powiedzieć: Tak, zrób to.

- Pułkownik Yuan-xi uzna wtedy, że misja skończyła się niepowodzeniem, i wybije was do nogi. Petra będzie pierwsza.

Groszek widział, że pułkownik zapakował swoich ludzi do śmigłowca - tych, którzy wyszli z nim z budynku, i tych, którzy wyskoczyli z maszyn, kiedy wylądował Groszek. Na zewnątrz pozostał tylko on, Achilles i Petra.

- Panie pułkowniku - rzekł. - Żeby uniknąć rozlewu krwi, musimy uwierzyć nawzajem swojemu słowu. Obiecuję, że jeśli Petra będzie żywa i ze mną, możecie odlecieć bezpiecznie, nie obawiając się niczego ze strony mojego oddziału. Czy zabierzecie ze sobą Achillesa, nie ma dla mnie znaczenia.

Uśmiech Petry zniknął, zastąpiony wyrazem gniewu. Nie chciała pozwolić Achillesowi uciec.

Wciąż jednak miała nadzieję, że przeżyje - dlatego milczała. Aby Achilles nie wiedział, że domaga się jego śmierci, nawet kosztem własnego życia.

Ignorowała jednak fakt, że chiński dowódca musiał wypełnić minimalne warunki powodzenia misji - odlatując, mieć ze sobą Achillesa. Jeśli to się nie uda, zginie wielu ludzi. I po co? Achilles dokonał już swych najgorszych czynów. Od tej chwili nikt już mu nie uwierzy w żadnej sprawie. Jeśli zachowa jakąś władzę, to tylko dzięki strachowi i sile, nie oszustwu. A to znaczy, że na każdym kroku będzie stwarzał sobie wrogów i wpychał ludzi w ramiona swych przeciwników.

Nadal może wygrywać bitwy, nawet wojny. Może się wręcz wydawać, że zwyciężył całkowicie, ale - jak Kaligula - zmieni w zamachowców ludzi sobie najbliższych. A kiedy zginie, jego miejsce zajmą ludzie może nie lepsi od niego, ale nie tak obłąkani. Zabicie go teraz nie zmieni zbytnio losów świata.

Natomiast ocalenie Petry całkowicie zmieni świat dla Groszka. Popelniał błędy, w rezultacie których zginęła Buch i siostra Carlotta. Ale dzisiaj nie miał zamiaru ich robić. Petra będzie żyła, ponieważ nie potrafiłby znieść innego zakończenia. Ona sama nie miała w tej

kwestii prawa głosu.

Pułkownik się zastanawiał.

Achilles nie.

- Idę teraz do śmigłowca. Palec trzymam na spuście. Nie pozwól, żeby mi drgnął.

Groszek wiedział, co myśli Achilles: Czy mogę w ostatniej chwili zabić Groszka i jeszcze jakoś się stąd wyrwać? Czy raczej zostawić sobie tę przyjemność na później?

I na tym polegała przewaga Groszka. Jego myśli nie przyćmiewało marzenie o zemście.

Nie... On także o niej myślał. On też szukał sposobu, by zabić Achillesa i jednocześnie ocalić Petrę.

Pułkownik zbliżył się od tyłu do Achillesa i dopiero wtedy odpowiedział.

- Achilles jest architektem wielkiego zwycięstwa Chin! Musi zostać z wszelkimi honorami powitany w Pekinie. Moje rozkazy nie wspominają o Ormiance.

- Durniu, bez niej nigdy nam nie pozwolą odlecieć! - krzyknął Achilles.

- Panie pułkowniku, daję panu moje słowo honoru. Chociaż Achilles zamordował już kobietę i dziewczynkę, które czyniły mu jedynie dobro, i powinien umrzeć za swoje zbrodnie, pozwolę mu odlecieć. Panu także.

- W takim razie nasze cele nie są sprzeczne - uznał pułkownik. - Zgadzam się na wasze warunki, jeśli obiecacie zająć się moimi ludźmi, którzy zostaną tutaj, zgodnie z konwencjami o traktowaniu jeńców.

- Zgoda.

- Ja dowodzę tą misją - wtrącił Achilles. - I ja się nie zgadzam.

- Nie dowodzi pan tą misją, sir - sprzeciwił się pułkownik.

Groszek dokładnie wiedział, co robi teraz Achilles. Odsunął pistolet od głowy Petry, żeby zastrzelić chińskiego oficera. Spodziewa się, że zaskoczy tym wszystkich, ale Groszek wcale nie będzie zaskoczony. Podnosił już rękę z pistoletem strzałkowym, kiedy Achilles zaczął się odwracać do pułkownika.

Ale nie tylko Groszek wiedział, czego się spodziewać po Achillesie. Pułkownik świadomie podszedł tak blisko, że kiedy Achilles przesunął pistolet, Chińczyk wybił mu go z dłoni. Jednocześnie uderzył blisko łokcia i choć cios zdawał się nie mieć żadnej siły, ręka wygięła się w tył. Achilles wrzasnął z bólu i osunął się na kolana. Wypuścił Petrę. Natychmiast rzuciła się w bok, i wtedy Groszek wystrzelił. W ostatniej chwili opuścił nieco lufę, więc strzałka trafiła w koszulę z taką siłą, że kapsułka pękła na materiale, a zawartość dostała się do skóry.

Achilles runął na ziemię.

- To tylko środek usypiający - wyjaśnił Groszek. - Obudzi się za sześć godzin z bólem głowy.

Pułkownik stał nieruchomo. Nie opuścił nawet głowy, by spojrzeć na Achillesa. Wpatrywał się nieruchomo w Groszka.

- Teraz nie mamy już zakładnika. Pański wróg leży powalony. Ile warte jest pańskie słowo, jeśli zmienią się okoliczności, w których było dane?

- Ludzie honoru są braćmi niezależnie od tego, jakie noszą mundury - odparł Groszek. - Może pan przenieść go na pokład i startować. Sugeruję, żeby leciał pan w szyku z nami, dopóki nie przekroczymy południowej strefy obrony Hajdarabadu. Wtedy może pan przejść na swój kurs, a my na nasz.

- To rozsądny plan - przyznał Chińczyk.

Przyklęknął, by podnieść bezwładne ciało Achillesa. Nie było to łatwe, więc Groszek, choć niski, podszedł i chwycił uszpiętego za nogi.

Petra wstała już z ziemi i kiedy Groszek spojrzał w jej stronę, zauważył, że przygląda się leżącemu na trawie pistoletowi Achillesa. Groszek niemal czytał w jej myślach. Zabić Achillesa jego własną bronią to kusząca perspektywa - a Petra nie dała przecież słowa.

Ale zanim zdążyła zrobić choćby krok w stronę pistoletu, Groszek wymierzył w nią strzałkowiec.

- Ty także możesz się obudzić za sześć godzin z bólem głowy - ostrzegł.

- Nie ma potrzeby - odparła. - Wiem, że mnie też wiąże twoje słowo.

I nie schylając się po broń, podeszła, by pomóc dźwigać Achillesa.

Wrzucili go przez otwarte wrota śmigłowca. Żołnierze wewnątrz przenieśli go na tył, zapewne by go przypiąć pasami i zabezpieczyć. Maszyna była pełna, ale miała nieść tylko ludzi, żadnego sprzętu czy zapasów amunicji. Powinna wystartować bez problemów. Lot będzie tylko niewygodny dla pasażerów.

- Niech pan nie wraca do domu tym śmigłowcem - oświadczył Groszek. - Zapraszam do nas.

- Nie lećcie tam gdzie ja - przypomniał pułkownik.

- Znam tego chłopca, którego właśnie pan załadował. Nawet jeśli po przebudzeniu nie będzie pamiętał, co pan zrobił, ktoś mu kiedyś powie. A gdy się dowie, będzie pan naznaczony. On nigdy nie zapomina. Z pewnością pana zabije.

- Zginę więc, wykonując rozkazy i wypełniając misję.

- Pełny azyl - obiecał Groszek. - I życie poświęcone na uwolnienie Chin i innych krajów

od zła, które on sobą przedstawia.

- Rozumiem, że chce pan być uprzejmy - rzekł pułkownik. - Ale moja dusza cierpi, gdy taką nagrodę obiecuje mi się za zdradę ojczyzny.

- Pańska ojczyzna kierowana jest przez ludzi pozbawionych honoru. Jednak u władzy utrzymuje ich honor takich jak pan. Kto zatem zdradza ojczyznę? Nie, nie mamy czasu na dyskusję. Podsuwam tylko tę myśl, żeby tkwiła w pańskiej duszy niczym ropiejąca rana.

Groszek uśmiechnął się. Pułkownik odpowiedział uśmiechem.

- A więc jest pan diabłem. My, Chińczycy, zawsze wiedzieliśmy, że Europejczycy są diabłami.

Groszek zasalutował. Pułkownik oddał honory i wszedł na pokład.

Wrota się zasunęły.

Groszek i Petra wybiegli spod wirnika, a chiński śmigłowiec wzniósł się w powietrze. Zawisł tam nieruchomo. Groszek nakazał pozostałym wsiąść do ostatniej maszyny; po niecałych dwóch minutach ona także wystartowała. Wszystkie trzy wzleciały nad budynek, gdzie dołączyły do nich inne helijety grupy uderzeniowej, startujące z ziemi i nadlatujące z punktów obserwacyjnych dookoła.

Odleciały na południe - powoli, na śmigłach. Nikt ich nie ostrzeliwał. Indyjscy oficerowie z pewnością wiedzieli, że ich najlepsze umysły będą bezpieczniejsze w Tajlandii, niż gdyby zostały w Hajdarabadzie, gdy z całą potęgą dotrą tu Chińczycy.

Po chwili Groszek wydał rozkaz i jego maszyny wzniosły się wyżej, wyłączyły wirniki i opadły; zahuczały silniki odrzutowe, a łopaty złożyły się przed szybkim lotem do Sri Lanki.

Petra siedziała ponuro w fotelu, przypięta pasami. Virłomi zajęła miejsce obok, ale nie rozmawiały.

- Petra - odezwał się Groszek. Nie podniosła głowy.

- To Virłomi nas znalazła, nie my ją. Dzięki niej mogliśmy po ciebie przylecieć.

Petra wciąż siedziała ze spuszczoną głową, ale wyciągnęła rękę i uściśniła złożone dłonie Virłomi.

- Byłaś dzielna i dobra - powiedziała. - Dziękuję, że okazałaś mi współczucie.

Spojrzała Groszkowi w oczy.

- Ale tobie nie dziękuję. Byłam gotowa go zabić. Zrobiłabym to. Znalazłabym sposób.

- W końcu on sam się zabije - odparł Groszek. - Kiedyś przesadzi, jak Robespierre czy Stalin. Inni odkryją wzorzec jego zachowania i kiedy uświadomią sobie, że prędzej czy później pośle ich na gilotynę, uznają, że mają już tego dość. A wtedy z pewnością zginie.

- Ilu ludzi zdąży tymczasem zabić? Masz na rękach ich krew, bo to ty załadowałeś go

żywego do śmigłowca. Ja też mam.

- Mylisz się. Tylko on odpowiada za swoje zbrodnie. I nie masz racji mówiąc, co by się stało, gdybyśmy mu pozwolili cię zabrać. Nie przeżyłabyś tego lotu.

- Nie wiesz tego.

- Znam Achillesa. Kiedy śmigłowiec wzniosłby się na poziom dwudziestego piętra, wypchnąłby cię. A wiesz dlaczego?

- Żebyś to zobaczył?

- Nie. Zaczekałby, aż odlecimy. Nie jest głupi. Swoje przetrwanie stawia o wiele wyżej niż swoją śmierć.

- To dlaczego miałby mnie teraz zabić? Skąd jesteś taki pewien?

- Bo obejmował cię ramieniem jak kochanek - wyjaśnił Groszek. - Stał tam, mierzył ci w głowę i przytulał czule. Chyba zamierzał cię pocałować, zanim wejdzie na pokład. To miałem zobaczyć.

- Nie pozwoliłaby mu na taki pocałunek - oburzyła się Virlomi.

Ale Petra spojrzała Groszkowi w oczy i łyż pod powiekami dały odpowiedź prawdziwszą niż męzne słowa Virlomi. Już raz pozwoliła Achillesowi się pocałować. Jak Buch.

- Naznaczył cię - powiedział Groszek. - Kochał cię. Miałś nad nim władzę. I kiedy nie byłabyś mu już potrzebna jako zakładniczka, żeby mnie powstrzymać, nie mógł pozwolić, byś żyła dalej.

Suriyawong zadrżał.

- Co sprawiło, że stał się taki?

- Nic tego nie sprawiło. Nieważne, jakie straszne miał przeżycia, jakie potworne pragnienia budziły się w jego duszy. To on sam postanowił je zaspokajać, robić to, co zrobił. On odpowiada za swoje działania. Nikt inny. Nawet ci, którzy ocalili mu życie.

- Tak jak dzisiaj ty i ja - dodała Petra.

- Dzisiaj ocaliła mu życie siostra Carlotta - wyjaśnił Groszek. - Tuż przed śmiercią poprosiła, bym zemstę pozostawił Bogu.

- Wierzysz w Boga? - zdziwił się Suriyawong.

- Coraz bardziej - przyznał Groszek. - Ale też coraz mniej. Virlomi ujęła dłoń Petry.

- Dość już obwiniania się i dość Achillesa - powiedziała. - Uwolniłaś się od niego. Masz przed sobą minuty, godziny i dni, kiedy nie musisz się zastanawiać, co ci robi, jeśli usłyszysz, co mówisz, ani jak masz się zachowywać, bo cię obserwuje. Teraz może cię skrzywdzić tylko wtedy, gdy będziesz na niego patrzyła w głębi własnego serca.

- Słuchaj jej, Petro - poradził Suriyawong. - Wiesz, ona jest boginią.
- Ratuje mosty - zaśmiała się Virłomi. - I przyzywam śmigłowce.
- I mnie pobłogosławiłaś - dodał Suriyawong.
- Nie przypominam sobie.
- Kiedy przesłaś mi po plecach. Całe moje ciało jest teraz ścieżką bogini.
- Tylko tylna część. Musisz znaleźć kogoś innego, żeby pobłogosławił przód.

Kiedy paplali tak, pijani sukcesem, swobodą i przerażającą tragedią, jaką za sobą zostawiali, Groszek obserwował Petrę. Zauważył, że łyży kąpią jej z oczu, i miał ochotę wyciągnąć rękę, by je otrzeć. Ale co by tym osiągnął? Łzy wzbierały z głębi cierpienia i nie osuszyłyby ich źródła. Na to potrzeba czasu, a on czasu nie miał. Jeśli Petra ma zaznać w życiu szczęścia - tego szczęścia, o którym mówiła pani Wiggin - to musi połączyć swój los z kimś innym. Groszek ją uratował nie po to, by żyć u jej boku, ale by nie nosić brzemienia winy za jej śmierć, jak za śmierć Buch i Carloty. W pewnym sensie postąpił egoistycznie. A z drugiej strony przecież nie odniesie żadnych korzyści z dokonań dnia dzisiejszego.

Ale kiedy nadejdzie kres życia - zapewne wkrótce - będzie mógł spojrzeć na ten dzień z dumą większą niż ze wszystkich innych swych czynów. Ponieważ dzisiaj wygrał. Pośród wszystkich porażek udało mu się doprowadzić do zwycięstwa. Odebrał Achillesowi szansę popełnienia wymarzonego mord. Ocalił życie najdroższej przyjaciółki, choć ona chyba jeszcze nie całkiem jest mu wdzięczna. Jego armia dokonała tego, czego oczekiwał, i nie stracił ani jednego z dwustu ludzi, których oddano pod jego rozkazy. Zawsze dotąd był elementem czyjegoś sukcesu. Dzisiaj zwyciężył sam.

20. Hegemon

To: Chamrajnagar%Jawaharlal@ifcom.gov

From: PeterWiggin%freeworld@hegemon.gov

Subject: Nominacja

Szanowny Polemarcho Chamrajnagar

Dziękuję, że pozwolił mi pan zatwierdzić pańską nominację jako Polemarchy w moim pierwszym oficjalnym akcie. Obaj wiemy, że dałem panu tylko to, co już pan miał. Pan jednak, przyjmując tę nominację tak, jakby rzeczywiście coś znaczyła, przywrócił urzędowi Hegemona odrobinę szacunku, jaki zniszczyły wydarzenia ostatnich miesięcy. Wielu uważa, że pustym gestem jest wybór Hegemona, który kieruje tylko trzecią częścią ludzkości i nie ma właściwie wpływu na kolejną trzecią część, która tylko formalnie go wspiera. Wiele krajów na wyścigi ruszyło, by nawiązać jakieś stosunki z Chińczykami i ich sprzymierzeńcami. Ja sam żyję w ciągłym zagrożeniu, że zniosą mój urząd, gdyż to jeden z pierwszych gestów, którymi mogą zyskać przychyłność nowego supermocarstwa. Krótko mówiąc, jestem Hegemonem bez Hegemonii.

Godne podziwu, że ów wielkoduszny gest uczynił pan wobec osobnika kiedyś uznawanego za najgorszego z możliwych Hegemonów. Słabości mojego charakteru, które pan wtedy dostrzegł, nie zniknęły magicznie. Jedynie w porównaniu z Achillesem, i tylko w świecie, gdzie pańska ojczyzna jęczy pod chińskim butem, zaczynam się wydawać atrakcyjną alternatywą i źródłem nadziei zamiast rozpacz. Jednak niezależnie od swych słabości mam także mocniejsze strony i niniejszym składam panu obietnicę:

Choć przysięga, jaką pan złożył, obejmując swój urząd, zakazuje wykorzystania Międzynarodowej Floty, by wpływać na bieg wydarzeń na Ziemi, z wyjątkiem przechwytywania pocisków jądrowych i karania tych, którzy ich używają, wiem, że nadal pozostał pan obywatelem Ziemi, obywatelem Indii. Wiem, że dba pan o przyszłość ludzkości, a szczególnie o przyszłość pańskiego narodu. Obiecuję więc, że resztę swego życia poświęcę na przebudowę świata tak, by był pan z niego zadowolony. Uczynię to dla pańskiego narodu i dla wszystkich ludzi. Mam nadzieję, że osiągnę sukces, zanim któryś z nas umrze, i że nie pożałuje pan wsparcia, jakiego dziś mi pan udzielił.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Peter Wiggin

Ponad milion Hindusów wydostało się z Indii, zanim Chiny zablokowały granice. Z półtora miliarda ludności było to o wiele za mało. Przynajmniej dziesięć razy więcej przetransportowano w następnym roku z Indii w zimne tereny Mandżurii i na pustynie Sinkiangu. Wśród wywiezionych był też Tikal Chapekar. Chińczycy nikomu nie mówili o losie jego i innych „byłych oprawców indyjskiego ludu”. To samo, choć na mniejszą skalę, działo się w Birmie, Tajlandii, Wietnamie, Kambodży i Laosie.

Jakby te wielkie zmiany na mapie świata nie wystarczały, Rosja oznajmiła, że jest sojusznikiem Chin i że wszelkie kraje wschodniej Europy, nie będące lojalnymi członkami Nowego Układu Warszawskiego, uznaje za zbuntowane prowincje. Bez jednego strzału, wyłącznie obiecując, że nie będą władcami tak okrutnymi jak Chińczycy, Rosjanie przeredagowali tekst układu, który stał się praktycznie konstytucją nowego imperium. W jego granice weszła cała Europa na wschód od Niemiec, Austrii i Włoch na południu oraz Szwecji i Norwegii na północy.

Wyczerpane kraje Europy zachodniej szybko „powitały” nową „dyscyplinę”, jaką Rosja miała zaprowadzić. Natychmiast przyznały jej też pełne członkostwo Unii Europejskiej. Ponieważ Rosja kontrolowała teraz ponad połowę głosów, zachowanie przynajmniej pozorów niezależności wymagałoby ciężkiej walki. Wielka Brytania, Irlandia, Islandia i Portugalia zrezygnowały z tej gry. Wycofały się z Unii, jednak gorąco przekonywały, że chodzi wyłącznie o kwestie ekonomiczne i że naprawdę z radością witają ponowne zaangażowanie Rosji na Zachodzie.

Ameryka, która w sprawach handlowych dawno już przyjęła rolę chińskiego pieska, pomruczała groźnie o prawach człowieka, po czym wróciła do interesów, używając kartografii satelitarnej do wyrysowania mapy świata, zgodnej z nową rzeczywistością, by potem sprzedawać atlasy. Dla Afryki subsaharyjskiej Indie były największym partnerem handlowym i kulturalnym, więc ich upadek okazał się o wiele bardziej dotkliwy. Mimo to lojalnie potępiły chińskie podboje i zaczęły gorączkowo poszukiwać nowych rynków zbytu. Ameryka Południowa jeszcze głośniej ganiła wszelkich agresorów; brakowało jej jednak siły militarnej, więc protesty nie miały znaczenia. Na Pacyfiku Japonia ze swą potężną flotą mogła zachować twarde stanowisko; innych krajów wyspiarskich, oddzielonych od Chin niezbyt szerokimi akwenami, nie stać było na taki luksus.

Jedyną potęgą, która twardo stanęła przeciwko Chinom i Rosji, oddzieloną od nich silnie bronioną granicą, były państwa islamskie. Iran wielkodusznie zapomniał o tym, jak groźnie pakistańscy żołnierze grupowali się na jego pograniczu zaledwie miesiąc przed

upadkiem Indii, Arabowie połączyli się z Turkami w muzułmańskiej solidarności, by odpierać wszelkie rosyjskie rajdy przez Kaukaz albo na rozległe stepy Azji Środkowej. Nikt poważnie nie wierzył, że islamskie wojska mogłyby się długo opierać chińskiej ofensywie, a Rosja była tylko odrobinę mniej groźna, ale muzułmanie zapomnieli o sporach, ufali Allahowi i sugerowali, że trudno będzie wziąć ich byka za rogi.

Taki był świat w dniu, kiedy Peter „Locke” Wiggin objął urząd Hegemona. Chiny dały do zrozumienia, że sam wybór Hegemona jest obrażą, ale Rosja okazała więcej tolerancji. Przede wszystkim dlatego, że wiele rządów głoszących za kandydaturą Wiggina zaznaczało, że stanowisko jest raczej ceremonialne niż realne, że chodzi o gest, symbol jedności, a nie próbę cofnięcia podbojów, które przyniosły „pokój” niestabilnemu światu.

Prywatnie jednak wielu członków tych samych rządów zapewniało Petera, że oczekują, by uczynił wszystko dla przeprowadzenia „dyplomatycznej” transformacji okupowanych krajów. Peter słuchał ich uprzejmie, odpowiadał pocieszająco - ale odczuwał jedynie wzgardę. Ponieważ bez siły militarnej nie miał szans, by z kimkolwiek negocjować.

Pierwszym jego oficjalnym aktem było zatwierdzenie nominacji Chamrajnagara jako Polemarchy. Chiny zaprotestowały oficjalnie, że jest to działanie nielegalne, bo urząd Hegemona nie istnieje. Wprawdzie nie mogły w żaden sposób przeszkodzić Chamrajnagarowi w kierowaniu MF, odmówiły jednak dalszego finansowania Hegemonii i samej Floty. Peter zatwierdził następnie Graffa jako ministra kolonizacji - i znowu, ponieważ jego działalność dotyczyła spraw pozaplanetarnych, Chiny mogły najwyżej wycofać swoją składkę.

Z braku pieniędzy Peter musiał podjąć kolejną decyzję. Wyprowadził siedzibę Hegemonii z byłej Holandii, przywracając jej niezależność, co natychmiast zatrzymało ogromną falę imigrantów. Ograniczył działalność na całym świecie, z wyjątkiem programów rozwoju medycyny i rolnictwa oraz doradztwa. Główne biura przeniósł do Brazylii, gdyż po pierwsze, był to kraj dostatecznie duży i potężny. Wrogowie nie chcieliby prowokować Brazylii, mordując Hegemona na jej terytorium. Po drugie, kraj ten leżał na półkuli południowej i miał silne związki gospodarcze z Afryką, oboma Amerykami i regionem Pacyfiku. Peter utrzymywał się zatem w głównym nurcie międzynarodowego handlu i polityki.

Po trzecie wreszcie, Brazylia zaprosiła Petera Wiggina do siebie. Żadne inne państwo tego nie zrobiło.

* * *

Peter nie miał złudzeń co do tego, czym stał się obecnie urząd Hegemona. Nie

spodziewał się, że ktokolwiek przybędzie z wizytą. To on wyruszył w świat.

Dlatego właśnie, kiedy opuścił Haiti, przeleciał nad Pacyfikiem do Manili, gdzie chwilowe schronienie znaleźli Groszek, jego tajska armia i uratowani Hindusi. Peter wiedział, że Groszek wciąż jest na niego zły, dlatego z ulgą przyjął jego zgodę na spotkanie. Groszek traktował go z wyraźnym szacunkiem. Dwustu żołnierzy stanęło na baczność, by go powitać. Kiedy Groszek poznał go z Petrą, Suriyawongiem, Virłomi i innymi indyjskimi absolwentami Szkoły Bojowej, zachowywał się tak, jakby przedstawiał przyjaciół komuś wyższemu rangą.

Przed frontem swego wojska wygłosił też krótką przemowę.

- Jego Ekscelencji Hegemonowi ofiaruję służby tej grupy żołnierzy, weteranów wojennych, byłych przeciwników, a teraz, wskutek zdrady, wygnańców ze swych ojczyzn i towarzyszy broni. Nie jest to moja decyzja ani nawet decyzja większości. Każda z osób otrzymała możliwość wyboru i zdecydowała pozostać w służbie. Mamy nadzieję, że będzie to służba sprawie ważniejszej niż losy jednego narodu, że w końcu pomożemy ustanowić na Ziemi nowy, honorowy porządek.

Petera zaskoczył oficjalny ton propozycji oraz fakt, że złożono ją bez żadnych wstępnych negocjacji. Zauważył też, że Groszek sprowadził reporterów. Wygłosił więc krótkie, medialne przemówienie, wychwalając dokonania żołnierzy i wyrażając współczucie z powodu cierpienia ich narodów. Powinno dobrze wypaść - dwadzieścia sekund w widach, całość w sieci.

Po zakończeniu ceremonii przeprowadził inspekcję wojsk - wszystkiego, co zdołali uratować z Tajlandii. Nawet piloci myśliwców bombardujących i załogi łodzi patrolowych dotarły jakoś z południa kraju na Filipiny, więc Hegemon dysponował lotnictwem i flotą. Kamery wciąż pracowały, Peter kiwał głową i wygłaszał poważne komentarze.

Później jednak, kiedy zostali sami, pozwolił sobie na smętny, kpiący uśmiech.

- Gdyby nie ty, nie miałbym zupełnie nic - powiedział. - Ale wobec potężnych flot, eskadr i armii, jakimi dysponował kiedyś Hegemon...

Groszek spojrzał na niego chłodno.

- Możliwości urzędu musiały zostać poważnie ograniczone, zanim ci go powierzyli.

Najwyraźniej miodowy miesiąc dobiegł końca.

- Owszem - przyznał Peter. - To prawda.

- I świat musiał się znaleźć w rozpaczliwej sytuacji, kiedy samo istnienie urzędu Hegemona podano w wątpliwość.

- To także prawda. Jednak sprawiasz wrażenie, jakby cię to irytowało.

- Bo jeśli pominąć wcale nietrywialną kwestię skłonności Achillesa do zabijania kogoś

od czasu do czasu, nie dostrzegam wielkiej różnicy między nim a tobą. Obaj chętnie pozwolicie, by cierpiało wielu ludzi, jeśli w ten sposób udaje się wam realizować osobiste ambicje.

Peter westchnął.

- Jeżeli tylko taką widzisz różnicę, to nie wiem, jak mogłeś ofiarować mi swoją służbę.

- Widzę też inne, naturalnie. Ale to raczej kwestia skali, nie typu. Achilles zawiera układy, których nie zamierza dotrzymywać. Ty tylko piszesz eseje, które mogłyby ocalić całe narody, ale zwlekasz z publikacją. Te narody padają i świat znajduje się w sytuacji tak rozpaczliwej, że powierza ci stanowisko Hegemona.

- Twoja teza jest prawdziwa jedynie wtedy, gdy wierzysz, że wcześniejsza publikacja mogłaby ocalić Indie i Tajlandię.

- We wcześniejszym okresie wojny Indie wciąż miały zapasy i sprzęt. Mogły odeprzeć chiński atak. Siły Tajlandii były rozproszone i trudne do znalezienia.

- Ale gdybym opublikował mój tekst wcześniej, Indie i Tajlandia nie rozpoznałyby zagrożenia i by mi nie uwierzyły. W końcu tajski rząd nie uwierzył tobie, a ostrzegałeś ich przed Chinami.

- Ty jesteś Locke - przypomniał Groszek.

- A tak. Ponieważ miałem taki prestiż, byłem tak wiarygodny, że narody drżały i wierzyły moim słowom. Nie zapominałeś o czymś? Za twoją namową wyjawilem, że jestem nastoletnim studentem college'u. Wciąż starałem się po tym dojść do siebie, pokazać na Haiti, że naprawdę potrafię rządzić. Może miałem jeszcze prestiż i uwierzyliby mi w Tajlandii i Indiach... a może nie. Ale gdybym ogłosił wszystko za wcześnie, zanim Chińczycy byli gotowi do działania, zaprzeczyliby wszystkiemu po obu stronach. Wojna trwałaby dalej, a potem moja publikacja nikogo by już nie zaskoczyła. Nie potrafiłbym doprowadzić do inwazji dokładnie w chwili, kiedy tego potrzebowaleś.

- Nie udawaj, że przez cały czas planowałeś coś takiego.

- Taki był mój plan - zapewnił Peter. - Powstrzymać publikację do momentu, kiedy będzie to akt siły, nie daremne działanie. Owszem, myślałem o swoim prestiżu, bo w tej chwili to jedyne, czym dysponuję. To oraz wpływy, jakie daje mi w rządach tego świata. Tę monetę wybija się powoli, a wydawana nieefektywnie - znika. Masz rację, bardzo starannie chronię tę władzę i korzystam z niej oszczędnie. Żeby później, kiedy będę jej potrzebował, wciąż istniała.

Groszek milczał.

- Nienawidzisz tego, co wydarzyło się podczas tej wojny - rzekł Peter. - Ja również. Jest możliwe... niezbyt prawdopodobne, ale możliwe, że gdybym opublikował tekst wcześniej,

Indie zdążyłyby stawić prawdziwy opór. Może wciąż trwałyby walki. Miliony żołnierzy ginęłyby w czasie naszej rozmowy. Zamiast tego mieliśmy czyste, prawie bezkrwawe zwycięstwo Chin. A teraz Chińczycy muszą rządzić ludnością dwa razy liczniejszą od własnej, z kulturą równie starą, równie uniwersalną jak chińska. Wąż połknął krokodyla i nieraz pojawi się pytanie, kto kogo przetrawia. Tajlandia i Wietnam będą równie trudne w zarządzaniu, a Birmą nie zdołali naprawdę rządzić nawet Birmańczycy. To, co zrobiłem, ocaliło życie wielu ludzi. Przedstawiło światu wyraźne moralne przesłanie, pokazało, kto uderzył w plecy, a kto został uderzony. Owszem, Chiny są zwycięskie, a Rosja tryumfuje, ale władają zniewoloną, zbuntowaną ludnością, która nie stanie za nimi, gdy nadejdzie czas ostatecznego starcia. Jak myślisz, czemu Chiny tak szybko zawarły pokój z Pakistanem? Bo wiedzą, że nie mogą prowadzić wojny ze światem islamu, gdy ciągłym zagrożeniem pozostaje indyjska rewolta i sabotaż. A przymierze między Chinami i Rosją... To przecież zakrawa na dowcip. Nie minie rok, nim zaczną się kłótnie. Spróbują osłabiać się nawzajem wzdłuż całej długiej granicy na Syberii. Dla ludzi, którzy myślą powierzchownie, Chiny i Rosja są u szczytu. Ale nie sądziłem, że ty też się do nich zaliczasz.

- Rozumiem to wszystko - zapewnił Groszek.

- Ale cię to nie obchodzi. Dalej jesteś na mnie zły. Groszek nie odpowiedział.

- To trudne - przyznał Peter. - Kiedy wydaje się, że wszystko działa na moją korzyść, ciężko nie obwiniać mnie za ciągnięcie zysków z cudzego cierpienia. Ale sprawę trzeba postawić inaczej. Co chciałbym móc dokonać i co rzeczywiście zrobię teraz, kiedy formalnie jestem przywódcą świata, a realnie administratorem niewielkiego funduszu, kilku międzynarodowych agencji i tej małej armii, którą mi ofiarowałeś? Przeprowadziłem kilka działań leżących w mojej mocy; tak pokierowałem wydarzeniami, że kiedy obejmę stanowisko, nadal warte będzie zachodu.

- Przede wszystkim chciałeś zdobyć to stanowisko.

- Owszem, Groszku. Jestem zarozumiały. Uważam się za jedyną osobę, która rozumie, co trzeba zrobić i co jest do tego niezbędne. Sądzę, że świat mnie potrzebuje. Jestem nawet bardziej arogancki od ciebie. Czy o to ci chodzi? Powinienem zachowywać się z większą pokorą? Tylko tobie wolno szczerze oceniać własne zdolności i decydować, że najlepiej ze wszystkich nadajesz się do jakiegoś zadania?

- Nie chcę tego stanowiska.

- Tego akurat ja też nie chcę. Chcę być takim Hegemonem, który może słowami uciszać wojny, może wykreślić nowe granice, obalić złe prawa, rozbić międzynarodowe kartele i dać całej ludzkości szansę na przyzwoite życie w pokoju i tyle wolności, na ile pozwala ich kultura.

I takie stanowisko zdobędę, tworząc je krok po kroku. Co więcej, mam zamiar dokonać tego z twoją pomocą, ponieważ chcesz, żeby ktoś się tym zajął, a wiesz równie dobrze jak ja, że ja jedyny to potrafię.

Groszek bez słowa pokiwał głową.

- Wiesz to wszystko, ale wciąż jesteś na mnie zły.

- Jestem zły na Achillesa - odparł Groszek. - Jestem zły na głupotę tych, którzy nie chcieli mnie słuchać. Ale ty tu jesteś, a oni nie.

- Chodzi o coś więcej - stwierdził Peter. - Bo inaczej na długo przed naszą rozmową przekonałbyś sam siebie, że to nonsens.

- Wiem - przyznał Groszek. - Ale nie chcesz tego słuchać.

- Ponieważ zranisz moje uczucia? To może sam zgadnę? Jesteś zły, bo każde słowo z moich ust, każdy gest, każdy wyraz mojej twarzy przypomina ci Endera Wiggina. Tylko że ja nie jestem Enderem, nigdy nie będę Enderem. Myślisz, że Ender powinien robić to, co ja robię, i nienawidzisz mnie, bo dopilnowałem, żeby go odesłali.

- To irracjonalne - przyznał Groszek. - Wiem o tym. Wiem, że odsyłając go, ocaliłeś mu życie. Ludzie, którzy próbowali mnie zabić, zachęceni przez Achillesa, pracowaliby dzień i noc, żeby zabić Endera. Żadne sugestie Achillesa nie byłyby potrzebne. Bałoby się go o wiele bardziej niż mnie czy ciebie. To wiem. Ale ty wyglądasz i mówisz całkiem jak on. Ciągłe myślę: gdyby był tu Ender, nie zawaliłby spraw, tak jak ja zawałem.

- O ile mi wiadomo, jest odwrotnie. Gdyby ciebie nie było przy Enderze, to on zawaliłby wszystko na samym końcu. Nie, nie zaprzeczaj. To nieważne. Ważne, że świat jest, jaki jest w tej chwili, a my stoimy na pozycji, z której, jeśli będziemy postępować ostrożnie, jeśli zaplanujemy wszystko jak należy, możemy to naprawić. Żadnych wyrzutów. Żadnych żalów, że nie można zmienić przeszłości. Patrzymy w przyszłość i pracujemy, aż nam nogi wrosną w dupę.

- Będę patrzył w przyszłość. I pomogę we wszystkim, jeśli zdołam. Ale będę żałował tego, czego mi przyjdzie ochota żałować.

- Może być. Teraz, kiedy doszliśmy już do porozumienia, muszę ci o czymś powiedzieć. Postanowiłem przywrócić urząd Strategosa.

Groszek parsknął szyderczo.

- Chcesz nadać ten tytuł dowódcy armii złożonej z dwustu żołnierzy, paru samolotów, paru kutrów i napalonego towarzystwa strategów?

- Spokojnie. Jeśli ja mogę się nazywać Hegemonem, ty możesz być Strategosem.

- Zauważyłem, że nie chcesz, by widy pokazały tę nominację.

- Nie, nie chcę - przyznał Peter. - Nie chcę, żeby ludzie dowiadywali się o tym, oglądając widy dzieciaka. O twojej nominacji na Strategosa mają się dowiedzieć, patrząc na kromkę zwycięstwa nad Formidami i słuchając z offu opowieści, jak to uratowałeś indyjskich absolwentów Szkoły Bojowej.

- No dobra - zgodził się Groszek. - Przyjmuję. Dostanę bajerancki mundur?

- Nie. Ostatnio tak szybko rośniesz, że za często musielibyśmy płacić za nowy. Doprowadziłbyś nas do bankructwa. Groszek spowaźniał nagle.

- Co jest? - zapytał Peter. - Znowu cię uraziłem?

- Nie. Zastanawiałem się tylko, co powiedzieli twoi rodzice, kiedy się przyznałeś, że jesteś Locke'em. Peter wybuchnął śmiechem.

- Udawali, że wiedzieli od początku. Jak to rodzice.

Za radą Groszka Peter umieścił główne biura Hegemonii w osiedlu tuż poza granicami miasta Ribeirao Preto w stanie Sao Paulo. Miał stamtąd doskonałe połączenia lotnicze z całym światem, a wokół leżały tylko niewielkie miasteczka i tereny rolnicze. Byli daleko od siedzib wszystkich rządów. W tej okolicy zamieszkali, planując i szkoląc ludzi, by osiągnąć skromny cel uwolnienia podbitych narodów i niedopuszczenia do nowych agresji.

Rodzina Delphiki wyszła z ukrycia i zamieszkała z Groszkiem w bezpiecznym osiedlu Hegemonii. Grecja była teraz członkiem Układu Waszawskiego, więc nie mogli wrócić do domu. Przybyli też rodzice Petera - rozumieli, że staną się celem dla każdego, kto pragnie uderzyć w Hegemona. Peter zatrudnił ich w biurach urzędu; jeśli żałowali zakłócenia dawnego porządku życia, nie dawali tego poznać.

Arkanianowie opuścili ojczyznę i chętnie przeprowadzili się tam, gdzie mieli gwarancję, że nikt nie porwie ich dzieci. Rodzice Suriyawonga wydostali się w Tajlandii i przenieśli majątek oraz rodzinne interesy do Ribeirao Preto. Inne rodziny tajskie i indyjskie, krewni żołnierzy Groszka albo dzieci ze Szkoły Bojowej, zamieszkali tu także. W krótkim czasie powstała kwitnąca dzielnica, gdzie rzadko rozbrzmiewał portugalski.

Mijały kolejne miesiące, a o Achillesie wciąż nikt nie słyszał. Zapewne dotarł do Pekinu. Zapewne tą czy inną drogą dążył do władzy. Ale gdy długo nie było o nim wieści, pozwolili sobie na nadzieję. Może Chińczycy, kiedy już go wykorzystali, poznali się na nim tak dobrze, że nie dopuszczali do stanowisk.

* * *

Pochmurnego zimowego popołudnia, w czerwcu, Petra szła przez cmentarz w

Araraquara, zaledwie dwadzieścia minut pociągiem od Ribeirao Preto. Dopilnowała, żeby zbliżyć się do Groszka z kierunku, gdzie mógł ją widzieć. Po chwili stanęła obok niego i spojrzała na nagrobek.

- Kto tu leży? - spytała.

- Nikt - odparł Groszek, nie okazując zdziwienia jej przybyciem. - To cenotaf.

Petra odczytała wyryte imiona. Buch. Carlotta. Nic więcej.

- Siostra Carlotta ma swój symboliczny nagrobek gdzieś w Watykanie. Ale nie znaleziono ciała, które można by tam pochować. A ciało Buch zostało spalone przez ludzi, którzy nawet nie wiedzieli, kim była. To Virłomi podsunęła mi ten pomysł.

Virłomi ustawiła cenotaf dla Sayagiego - na niewielkim cmentarzu indyjskim w Ribeirao Preto. Był trochę bardziej dopracowany: zawierał daty urodzin i śmierci oraz określał Sayagiego jako człowieka satyagraha.

- To wariactwo, że tu przychodzisz, Groszek - odezwała się Petra. - Bez żadnej ochrony. Ten nagrobek stoi po to, by snajperzy mogli ustawić celowniki, zanim się jeszcze pokażesz.

- Wiem.

- Mogłeś przynajmniej zabrać mnie ze sobą. Spojrzał na nią; miał łzy w oczach.

- To miejsce mojej hańby - powiedział. - Ciężko pracowałem, żeby twoje imię się tu nie znalazło.

- Czemu to sobie wmawiasz? Groszek, nie ma tu żadnej hańby. Jest tylko miłość. I dlatego jest tu też miejsce dla mnie, obok innej samotnej dziewczynki i kobiety, które oddały ci serca.

Groszek objął ją i zapłakał na jej ramieniu. Urósł i był już dostatecznie wysoki.

- One ocaliły mi życie - szepnął. - Dały mi życie.

- Tak właśnie postępują dobrzy ludzie. A potem umierają, co do jednego. Skandal.

Zaśmiał się krótko - nie wiedziała, czy z jej beztroski, czy z siebie, że się rozplakał.

- Nic nie trwa wiecznie, prawda?

- One wciąż żyją w tobie.

- A w kim żyję ja? - spytał. - Tylko nie mów, że w tobie.

- Powiem, jeśli zechcesz. Ocaliłeś mi przecież życie.

- Żadna z nich nie miała dzieci. Nikt nie obejmował Buch ani Carlotty tak, jak mężczyzna obejmuje kobietę, nikt nie splodził z nimi potomstwa. Nie mogły patrzeć, jak ich dzieci rosną, jak mają własne.

- To był wybór siostry Carlotty - przypomniała Petra.

- Ale nie Buch.

- Obie miały ciebie.

- To właśnie jest daremne - odparł. - Jedyne dziecko, jakie miały, to ja.

- Czyli... Jesteś im coś winien. Musisz żyć dalej, ożenić się, mieć dzieci, które ze względu na ciebie będą o nich pamiętały. Groszek wpatrzył się w przestrzeń.

- Mam lepszy pomysł. Tobie o nich opowiem. A ty opowiesz swoim dzieciom. Zrobisz to dla mnie? Jeśli możesz mi to obiecać, myślę, że jakoś zniosę wszystko. Będę wiedział, że po mojej śmierci one nie znikną z ludzkiej pamięci.

- Oczywiście, Groszku. Ale mówisz tak, jakby twoje życie dobiegło już końca, a przecież to dopiero początek. Spójrz na siebie: rozwijasz się, niedługo będziesz już wysoki jak dorosły...

Delikatnie dotknął jej warg... Umilkła.

- Nie będę miał żony, Petro. Ani dzieci.

- Dlaczego nie? Jeśli powiesz, że postanowiłeś zostać księdzem, sama cię porwę i wywożę z tego katolickiego kraju.

- Nie jestem człowiekiem, Petro - odparł Groszek. - A mój gatunek zginie wraz ze mną.

Roześmiała się, kiedy jednak spojrzała mu w oczy, zrozumiała, że to wcale nie żart. Cokolwiek miał na myśli, był przekonany, że to prawda. Nie jest człowiekiem? Skąd mu to przyszło do głowy? Nie знаła nikogo bardziej ludzkiego od Groszka.

- Wracajmy do domu - zaproponował po chwili. - Zanim ktoś się zjawi i zastrzeli nas za włóczęgostwo.

- Dom - powtórzyła Petra. Groszek nie do końca zrozumiał.

- Przepraszam. Wiem, że to nie Armenia.

- Nie, Armenia też chyba nie była moim domem. - Petra westchnęła. - Szkoła Bojowa na pewno nie, ani Eros. Tutaj jest dom. W Ribeirao Preto. Bo... bo tu mieszka moja rodzina, oczywiście, ale...

I nagle zrozumiała, co próbuje powiedzieć.

- Dlatego że ty tu jesteś, Groszku. Bo jesteś jedynym, który przeszedł przez wszystko razem ze mną. Jesteś tym, który wie, o czym mówię. Co pamiętam. Endera. Ten straszny dzień z Bonzem. I dzień, kiedy na Erosie zasnąłam w środku bitwy. Myślisz, że tylko ty masz się czego wstydzić? - Zaśmiała się. - Ale z tobą nawet to mogę wspominać. Bo wiedziałeś o wszystkim, a mimo to przybyłeś, żeby mnie uwolnić.

- Dość dużo czasu mi to zajęło - mruknął Groszek.

Wyszli z cmentarza i skierowali się na stację. Trzymali się za ręce, ponieważ żadne z nich nie chciało być teraz samotne.

- Mam prośbę - odezwała się Petra.

- Jaką?

- Gdybyś kiedyś zmienił zdanie... No wiesz, o małżeństwie i dzieciach... Nie zapomnij mojego adresu. Daj znać. Groszek milczał przez chwilę.

- No tak - rzekł w końcu. - Rozumiem. Uratowałem księżniczkę, więc mogę się z nią ożenić, jeśli zechcę.

- Takie są zasady.

- Zauważyłem jednak, że nie wspomniałaś o tym, dopóki nie usłyszałaś mojej decyzji o życiu w celibacie.

- To chyba taka drobna perwersja z mojej strony.

- Poza tym to nieuczciwe. Czy nie powinienem dostać też połowy królestwa?

- Mam lepszy pomysł - odparła. - Możesz zabrać je sobie całe.

Spis treści

Część 1 OCHOTNICZY

1. Petra
2. Groszek
3. List w butelce
4. Opieka
5. Ambicja

Część 2 PRZYMIERZA

6. Szyfr
7. Ujawnienie
8. Furgonetka dostawcza
9. Zmarłych obcowanie
10. Towarzysze broni
11. Bangkok
12. Islamabad
13. Ostrzeżenia
14. Hajdarabad
15. Mord

Część 4 DECYZJE

16. Zdrada
17. Na moście
18. Satyagraha
19. Ratunek
20. Hegemon